3

## 1. Wstęp. Stosunki społeczne Francyi w wieku XI.

Nieraz już przeszły wieki całe, nie wydawszy męża, coby był woli ich wykonawcą, lub myśli tłumaczem, lub uczuć powiernikiem; pogrążone w cichej pracy lub milczącej apatyi, stroniły one od wszelkich wzruszeń gwałtownych, a więc i od mężów wielkich, którzy wzruszeń tych są spotęgowanem uosobieniem. A w innych znowu czasach pełno wielkich ludzi; nie pojedynczo, lecz szeregami występują, podawszy sobie dłonie do wspólnego dzieła;... a wtedy patrząc na nich, zapominamy o milionach pomocników i tylko ich los śledzimy, jak gdyby ich dola była dolą wszystkich.. lub też tytany te nie pracują wspólnie, lecz walczą uporczywie, jeden przeciw drugiemu, a wtedy patrząc na walkę, zapominamy znowu o tysiącach, co stawali przy nich i do rąk podawali nowe strzały, ile razy sajdak ich się wypróżnił, bo zdaje się, że ich walka, to walka wszystkich. Takie wspaniałe widowiska nie zawsze odbywają się; towarzyszą one tylko chwilom nadzwyczajnym, gdy albo stary porządek rzeczy kona, albo nowy się układa: jak gdyby w tych wszystkich chwilach nie dość było chóru zwyczajnych śpiewaków, lecz potrzeba było mistrzów popisujących się solo, aby lepiej oddać czy to cierpienia, czy nadzieje, tłoczące piersi wszystkich.

Takiemi chwilami nadziei były wieki XI i XII naszej ery; gdy średniowieczna cywilizacya i narody nowe ustalają się na podwalinach nowych, a dzielni architekci nad ustaleniem ich pracują. Pracę tę najlepiej uwydatnił rozwój Francyi. W wieku X Francyi jeszcze nie ma, innych ludów romańskich także nie było, tylko zarodki nowych społeczeństw szukają lub odpychają się nawzajem, wśród niesłychanych zamieszek i bezprzykładnego nieładu, ażeby ułożyć się w całość organiczną. Dziwna ta fermentacya, wśród której wszystko stare się rozkłada, a nowego jeszcze nie ma, była konieczną reakcyą, wywołaną przez dzieło Karola W. Na ruinach bowiem rzymskiego państwa, wegetowały obok siebie stare, klassyczne żywioły i nowe germańskie: po miastach przechowało się coś ducha rzymskiego i rzymskiej oświaty, zewnątrz ich murów rozsiedli się rycerze barbarzyńcy, zdobywcy Galii, zostając ze sobą w bardzo niepewnych, żadnem jasnem prawem nieoznaczonych stosunkach; na około ich ludność wiejska prawie zdziczała. Niepogodzone te ze sobą warstwy jednoczy duch chrześciański: po klasztorach i biskupich stolicach krzewi się nieco rzymskich nauk; powoli duch rzymski, który w południowej Galii nigdy nie zamarł zupełnie, wzrastając w siły, pokrywa nową zielenią dzikie, tłoczące go barbarzyńskie głazy, nareszcie zupełnego doczekał się

zmartwychwstania, gdy silna dłoń Karola W. wywołała z grobu dawne rzy-
mskie imperyum. Nieograniczona władza cezarów i komplikowana admini-
stracya ich rządów odżyły raz jeszcze, a krnąbrne, niesforne żywioły wtłoczone
przemocą w starodawną sztuczną formę, wydały się na chwilę piękną, orga-
niczną całością. Ale całość ta była ułudą, tylko i nie przeżyła twórcy swe-
go; ledwo Karol W. spoczął w kamiennym grobie w Akwizgranie, już bu-
dowa wspaniała chwiać się poczyna, a za wnuków jego rozsypała się
w smutne ruiny. Nieład zaś otaczające ruiny był większym prawie od
zamieszek, towarzyszących pierwszemu wtargnięciu hord frankońskich
do Galii; cesarscy urzędnicy, hrabiowie i książęta, przywłaszczywszy sobie
ziemię, którą w imieniu panującego rozrządzali, zamieniają się w udziel-
nych władców; ludność wiejska w niedoli i niewymownej nędzy, miasta
pozbawione mieszkańców i dostatków; nad drogami i rzekami wszędzie
ponure zamczyska, których dziedzice bezustannie, albo oblegają się nawza-
jem, albo nad podróżnemi się pastwią. Prawa żadnego, oświaty żadnej;
niższe duchowieństwo pogrążone w ciemnocie i życiu rubasznem, zmysło-
wém, wyższe z mieczem w ręku uganiające się z świeckimi panami, po
polach bitwy: — oto obraz Francyi w wieku IXym. Jednakże straszliwy
zamęt ten unoszący się nad ruinami Karlowego gmachu, jest tylko na
wpół konaniem, bo jest zarazem boleścią rodzenia: ze starego porządku rze-
czy wychyla się narodowość nowa, która choć wiele przyjęła z dawnych pier-
wiastków w istotę swoją, przecież niemi nie jest; części jej organiczne w wie-
ku X, jedna po drugiej z zamętu na jaw wychodzą i zrastają się w całość. —
Najprzód ustala się władza królewska, a choć pierwsi Ka-
petyngowie nie mają ani zasobów materyalnych, jakiemi rozporządzał
Karol i synowie jego, ani uroku bożkich pomazańców, gdyż zajęli miejsce
prawowitych swoich panów; przecież dając pomoc niejedną i pewną bezpie-
czeństwa rękojmię, stają się niby uosobioną sprawiedliwością, a więc
środkiem na około którego skupiają się wszyscy nieszczęśliwi, wszyscy
prześladowani. Obok tworzącej się władzy królewskiej, duchowieństwo,
którego niższe warstwy w X wieku tonęły w gminie, a wyższe w orszaku
barbarzyńskich panów, wyróżnia się także, odradza się, dzięki usiło-
waniom Grzegorza III; staje się coraz więcej świadomem zadania swe-
go i celów swoich; oświata wśród niego szerzy się coraz więcej, albowiem
nauka odtąd uważa się za najpierwszą drogę do kościelnych dostojeństw,
a nauczycielska działalność za najzaszczytniejsze do nich polecenie. Du-
chowieństwo posiadające obszerne włości, wystawianem jest na zatar-
gi z świeckimi panami, z butnem rycerstwem, które i króla niechętnie

słucha i nieraz krzywdzi duchownych dla widoków ziemskiej korzyści. Król i duchowieństwo razem zagrożeni, do wspólnej łączą się obrony i szukają sprzymierzeńców: opiekując się prześladowanymi i hamując popędliwość możnych, udzielają oni nowych sił żywotnych trzeciemu czynnikowi; gdyż pod ich opiekuńczą zasłoną napełniają się miasta ludem pracowitym, a od XII wieku, pod mądrą administracyą opata Sugera i w sprzyjającej im nieobecności rycerstwa, które walczy o grób Zbawiciela, dorabiają się zamożności i cieszą się niemałym dobrobytem. I tak z mechanicznie tylko zmieszanych żywiołów, których zamęt wypełnia wiek X, wydzielają się części społeczne, które się zrosną niebawem w organiczną całość; władza królewska, duchowieństwo, miasta, oto trzy wielkie czynniki, które po upadku Karolingów w X wieku nic nie znaczyły, a teraz już wiele ważą wobec feudalnego rycerstwa. A chociaż te składniki społeczne dopiero w ciągu XII wieku rozwiną działalność samowiedną, nie brak już w wieku XI młodzieńczych porywów, świadczących o sile nowego życia.

Każdemu bowiem przebudzeniu się społecznego rozwoju wtoruje polot duchowej pracy. Wiek X dla niej nic nie zrobił, ledwo tu i owdzie słabo tlały iskierki: po świetnych początkach Karolingów, po sławnych szkołach Alkuina i Rabana Maura, po filozofii Eryugeny i teologicznych spekulacyach Godeschalka i Paschazyusza Radberta, nastała straszna cisza; ale nowy rozwój społeczny w XI w. porywał i myśl ludzką z bezczynnej apatyi: powstają wszędzie szkoły, sławni nauczyciele zbierają naokoło siebie licznych słuchaczy, którzy ich pomysły dalej rozwijają i niebawem wszczął się prąd tak gwałtowny, że omało nie uniósł ze sobą kościół i chrześciaństwo, które mu dały początek. Berengar zakłada szkołę w Tours i zaczepia dogmat eucharystyi, ale zaraz stawa naprzeciw szkoła w klasztorze Bec i jej naczelnik Lanfranc wywraca herezyą Berengara. Niebawem podnosi się Roscellinus, a przenosząc wnioski jednostronnej filozofii do teologii, podkopuje dogmat Trójcy Ś.; ale i przeciw niemu stawa Kościołowi nowy obrońca: Anzelm Ś. go zwycięża, jak niegdyś mistrz jego Lanfranc zwyciężył Berengara. Walki te świadczą o gorliwości, z jaką rozbierano kwestye metafizyczne, o zapale i śmiałości, z jaką do nich przystępowano, albowiem chodziło o sam byt chrześciaństwa. Przecież walki te były wstępem tylko do większych jeszcze, były zapowiedzią tylko daleko szerszego i burzliwszego życia duchowego, które roztacza się w wieku XII. Uosobieniem tego życia, głównym jego punktem zbornym, z którego na wsze strony rozchodzą się najdzie-

niejsze promienie, jest Abelard, nieśmiertelny kochanek Heloizy.

## 2. Młodość Abelarda, studya filozoficzne i teologiczne, walka przeciw istniejącym szkołom.[1]

Piotr Abelard urodził się roku 1079 w pobliżu miasta Nantes, na samym krańcu Bretanii, we wsi Pallet (Palais), gdzie dzisiaj jeszcze obok starożytnego kościoła widać ślady obronnego zamku. Ojciec jego Berengar był panem zamku. Dziecko od pierwszych lat odznaczało się wielkiemi zdolnościami, łatwiem mianowicie pojęciem, co ani w familii jego, ani w kraju owym nie było niezwykłem zjawiskiem.[2] Ojciec

---

[1] Kreśląc żywot Abelarda opierałem się głównie na autobiografii, którą zostawił potomności pod tytułem: „Historia calamitatum mearum"; ponieważ nie obejmuje ostatnich lat jego, wypadało ją uzupełniać sławnemi listami kochanków, napisanemi cokolwiek później, oraz szczegółami, zawartemi w pismach św. Bernarda. Ostatnie chwile Abelarda opisuje list opata Piotra z Cluni do Heloizy, które to źródło, oraz wiele innych przełożonych na język francuzki przez p. Oddoul, przyłączono do studyum: Abailard et Héloïse, essai historique par M. et Mme Guizot. Paris 1864. Wspólna ta praca małżonków Guizot'ów obok wielkich zalet nie jest wolną od jednostronnych poglądów, które są niezbędnym wynikiem protestanckiego racyonalizmu. Najobszerniejszą monografię o filozofie, którym się obecnie zajmujemy, wydał Charles de Remusat pod tytułem: „Abélard" w dwóch sporych tomach w Paryżu 1845 r. Autor opisawszy żywot i przygody bohatera w najmniejszych szczegółach, rozbiera skrupulatnie wszelkie jego myśli filozoficzne, teologiczne, etyczne; wykład często rażący rozwlekłością swoją, myśli czasem dosyć powszednie, styl blady choć staranny, a tu i owdzie retoryczno-sentymentalny, jak wielu innych panów de l'institut. Z nowszych historyi filozofii wymieniamy znakomite dzieło Stöckl'a professora w Monasterze: „Geschichte der Philosophie des Mittelalters" w 3 tomach, w Moguncyi 1864-1867, w którem to dziele Abelard doczekał się obszernego, prawie bezstronnego w szczegółach dokładnego rozbioru. Z wszystkich prac tych, jako i z innych, skorzystałem bardzo wiele w zrozumieniu niejednej zawiłej myśli, niejednej zagadkowej subtelności, które napotyka czytelnik w pismach Abelarda, choć one tam mniej liczne niż w innych tegoż czasu pisarzy. Dawniej znaliśmy tylko jego prace teologiczne i etyczne, mianowicie „Introductio in theologiam", „Theologia christiana" i „Scito te ipsum s. ethica," co do

nie stawiał mu żadnych przeszkód w rozwoju umysłowym, gdyż stary wojak sam chętnie do książek zaglądał i w dzieciach to samo podniecał zamiłowanie. Nic dziwnego więc, że młody Piotr taką powziął chęć wiedzy, iż nie mając spełna lat szesnaście całe życie swoje oddać naukom postanowił; zrzekł-

---

filozoficznych przekonań autora byliśmy wskazani na relacye z drugiej ręki, znajdujące się czy to w pismach uczniów jego, lub też w polemikach przeciwników. Cousin nadzwyczajną wyświadczył miłośnikom filozofii przysługę, wydobywszy na jaw liczne rozprawy dyalektyczne sławnego myśliciela, a poprzedził je uczonym wstępem o rozwoju nominalizmu i realizmu podczas pierwszych wieków scholastyki, oraz o stosunku, w jakim Abelard do tych dwóch szkół pozostawał; wstęp ten odznaczający się trafnością sądów i jasnością stylu, pozostanie na zawsze wzorem dobrej expozycyi. Zob. Ouvrages inédits d'Abélard, publiés par M. Cousin, Paris 1836.

2). Żeby słów tych nie uważano za przesadne, przypominamy czytelnikom, że podówczas w Bretanii i kilku przyległych prowincyach szczep celtycki bardzo czystym się zachował; główną zaś cechą celtyckiego (galijskiego) rozumu było śmiałe, przed żadną ostatecznością nie wzdrygające się rozumowanie. Lub czyż to nic więcej, jeno przypadek ślepy, że tylu sławnych czy to herezyarchów odważnych, czy to subtelnych filozofów urodziło się w stronach, gdzie niegdyś przeważała celtycka narodowość?... Wymieniamy: Pelagiusza, Jana Szkota Erygenę, Berengara, Roscellina, Duns Szkota...., Descartes'a...., Renan'a...., a pamięć czytelnika uzupełni z łatwością ten szereg bystrych myślicieli.

3). Roscellinus, rodem z Bretanii, był kanonikiem w Compiègne i głową sławnej podówczas szkoły nominalistów. Abelard nie słuchał wykładów jego, gdy w pełnej chwale przewodniczył szkole swojej, gdyż miał zaledwo lat trzynaście, gdy niespokojny kanonik uległ polemice Świętego Anzelma i soborowi w Soissons r. 1092. Charakter to był dumny i uparty, jak Bretończycy wszyscy, Celt prawdziwy ze krwi i z natury, skory do zaczepki, a wszelkie zdanie doprowadzający odważnie do ostateczności. Potępiony w Soissons przenosi się do Anglii, ale główny przeciwnik jego, Anzelm Ś. za nim tam dołąd pośpieszył, z opata w Bec zostawszy arcybiskupem w Canterbury. Mimo groźnej jego powagi, Roscellinus uczy dalej, zaczepia nawet całe angielskie duchowieństwo, krytykując jego lekkomyślne, rozwiozłe obyczaje. Przed ogólnem oburzeniem chroni się napowrót do Francyi, gdzie coraz więcej z rokiem każdym tonie w zapomnieniu; poznał go wtedy Abe-

szy się więc na rzecz braci majątku i praw starszeństwa, opuścił dom ojcowski, ażeby poznać sławnych nauczycieli, ażeby pod nimi się kształcić a w danym razie mocować się z nimi w dyalektycznych zapasach. Były to czasy rozkwitającej rycerskości, tłumy wybierały się do Ziemi świętej, ażeby odzyskać grób Zbawiciela, ale wielu jechało tam, wiedzionych żądzą sławy, ażeby w niezwykłych przygodach dowieść hartu duszy, i silnej dłoni. Ta chęć wynajdywania niebezpieczeństw i sławnych przeciwników, z którymi warto było zmierzyć się w gorącej rozprawie, opanowała nie tylko rycerzy, uczeni także przenosili się z miejsca na miejsce, ażeby rozgłośnych słuchać mistrzów, a pokonać mniej zdolnych. Wśród tej wędrówki swojej spotkał się Abelard prawdopodobnie z Roscellinem, sławnym przewódzcą nominalistów, który strącony wtedy z świetnego stanowiska, jakie zajmował niegdyś w szkole w Compiègne, wyklęty przez Kościół za niebaczne innowacye, ukrywał się starannie i tylko potajemnie zasady swoje wygłaszał. Abelard zasad tych nie przyjął, zastanawiając się nad niemi, znalazł je niedorzecznemi, jednakże poznanie jednej odnogi scholastycznej filozofii wyrobiło w nim samodzielność sądu i wprawę dysput dyalektycznych.[3]. Tak przygotowany przybył do Paryża w dwudziestym roku życia, gdzie wtedy panował wyłącznie Wilhelm z Champeaux, naczelnik szkoły katedralnej przy Notre-Dame; uchodził za głowę, za ojca nawet realizmu i za pogromcę nominalizmu, którego uosobieniem był wspomniany Roscellinus. W poczet uczniów Wilhelmowych zapisał się Abelard, a dla bystrego rozumu i miłej powierzchowności z razu serdecznego doznał przyjęcia. Przecież Bretończycy nie znoszą długo jarzma powagi: Abelard chętnie wszczynał dysputy, z których mistrz nie zawsze wychodził zwycięzcą, w skutek czego stał się nieznośnym; a chociaż i nauczyciel i współuczniowie dawali mu jawne nieżyczliwości swojej dowody, nie poprawił się, lecz śmiałość swoję tak daleko posunął, że nie mając spełna lat dwudziestu dwóch[4], sam mimo wbrew Wilhelma, szkołę otworzył w Melun, podówczas królewskiej stolicy. Już po pierwszych wykładach powszechną na się

---

lard wraz z nauką jego i znalazł ją niedorzeczną, jak sam zapewnia. Cousin, Ouvrages inédits. str. 471. Zob. także § 3 naszej rozprawy.

4). Zob. Remusat, Abélard. tomu I go str 15 i przypisek.

zwrócił uwagę (r. 1102), coraz więcéj przybywało słuchaczy, a po kilku miesiącach urok imienia jego zagrażał nadobre sławie dawnego nauczyciela i dawnych jego współuczniów. Wtedy szałem zwycięztwa upojony, przenosi on szkołę do Corbeil, ażeby bliżéj Paryża, rywala skuteczniéj trapić; jednakże gdy go bezustanność pracy i gorączka dysput przyprawiły o chorobę, porzucił katedrę i do ojczystéj ziemi powrócił.—

Tymczasem rywal jego Wilhelm postanowił wstąpić do klasztoru, nad czém przyjaciele jego bardzo się smucili, przeciwnicy zaś, nie bez słusznéj przyczyny utrzymywali, że raczéj widok kościelnych dostojeństw, niż pragnienie chrześciańskiéj doskonałości do tego kroku go skłoniły. Poniekąd mieli racyą, gdyż większość ówczesnych prałatów pochodziła z klasztorów, jakby z doskonałéj przygotowawczéj szkoły: wielu papieży, więcéj jeszcze kardynałów i biskupów wstąpiło na najwyższe dostojeństwa wprost z cieniu klasztornych murów; fakt ten i na samym Wilhelmie się sprawdził. Oddawszy więc szkołę katedralną jednemu z uczniów swoich, zamieszkał pod samym Paryżem, obok staréj kaplicy, gdzie zawiązawszy nową kongregacyę dał początek słynnemu opactwu ś. Wiktora. Mimo to nie rozstał się z nauczycielskim zawodem, na usilne prośby licznych swoich przyjaciół wykładał daléj filozofią i teologią. Stało się to około r. 1108.

Wtedy pewnego dnia ujrzał na nowo Abelarda u stóp swoich siedzącego, który wrócił z ustaloną wiedzą i wytrwanemi myślami, gdyż nie na próżno przepędził lat kilka w samotności. Jeżeli niegdyś w dwudziestym roku życia mistrza swego niewczesnemi pytaniami wprowadzał w kłopot nie mały, dzisiaj ani zamiaru nie miał, ani chęci przysłuchiwać się w milczeniu frazesom świetnym, ale pozbawionym logicznéj podstawy. To téż dawne spory odżyły na nowo, ku rozpaczy nauczyciela a zdumieniu słuchaczy; ponieważ cała zaś sława Wilhelma polegała na jednostronnym realizmie, który wyrobił sobie w polemice przeciw również jednostronnéj nauce nominalistów; Abelard zaczepił najistotniejsze zasady realizmu, a z tąd walka na śmierć. Bo Wilhelm bez realizmu, niczém nie był; kilka jednostronnych przesadnych aksyomatów, przybranych w kwiaty pięknéj wymowy, kilka ognistych namiętnych wycieczek przeciw nominalistom, oto cała duma i sława jego. A tu nieznośny Abelard wykazywał z nieubłaganą jasnością, że cały realizm Wilhelma na sprzecznościach się opiera i nie zdoła wytrzymać sumiennéj krytyki. Wilhelm zrazu się bronił, widząc jednak, że obrona nie bardzo mu się wiedzie, że uczniowie coraz więcéj przychylają

się do Abelarda, zdobył się na ustępstwa: ale ustępstwa w filozofii to samo znaczą, co przegrana; Wilhelmowe zresztą nie były bardzo szczęśliwe, gdyż zdanie rażące fałszywością swoją, ale jasne, zastąpił mniej jasnem, prawie niezrozumiałem,[5] czem oczywiście sprawy swojej nie poprawił. Albowiem przesadna jednostronność, byle śmiało i pięknie wyrzeczona więcej popłaca, niż chwiejna, dwuznaczna oględność; nie dziwo więc, że młodzież ujrzawszy klęskę podziwianego dotąd mistrza, przeniosła się do jego pogromcy. Abelard po zwycięztwie opuścił klasztor św. Wiktora, ażeby osiąść w Paryżu, gdzie professurę dzierżył dawny uczeń Wilhelma; przeświadczony o niedołęztwie swojem odstępuje on Abelardowi katedrę, sam zostawszy jego słuchaczem, i tak młody filozof ujrzał się u celu życzeń swoich.

Ale zazdrość nie zasypia nigdy. Wilhelm nie mogąc się pogodzić z uciśnięcią, w którą wtrącił go Abelard, schwycił się środka bardzo pewnego: logiki nie miał za sobą, ale miał władzę i pomą

---

[5] Prace filozoficzne Wilhelma zaginęły, możemy więc tylko sądzić o mniemaniach jego podług słów Abelarda. Najprzód wykładał stanowczy realizm, że jednostki o tyle tylko istnieją, o ile udział mają w pojęciu ogólnem rodzaju, które to pojęcie jest ich wewnętrzną treścią, a wszystko co jednostkę stanowi i ją od drugiej wyróżnia, jest tylko przypadkowym dodatkiem – eandem essentialiter rem (t. j. universale, ogólne pojęcie rodzaju, gatunku i. t. p.) simul singulis suis inesse individuis; quorum quidem nulla esset in essentia diversitas, sed sola multitudine accidentium varietas – myśl fałszywa, ale jasna. Później myśl swoją w ten sposób odmienił, jakoby rodzaj lub gatunek (universale) nie stanowił wewnętrznej istoty i treści każdej jednostki, nie mieścił się w niej essentialiter, lecz tylko indifferenter. Tak bowiem Cousin i inni filolodzy czytają zamiast individualiter, która to warjanta byłaby w ustach Wilhelma czystym nonsensem. Tłumacząc zaś najwięcej słówko indifferenter, mamy myśl taką: człowiek pojedynczy, np. Sokrates, o ile jest Sokratesem, nie ma nic wspólnego z żadnym innym człowiekiem, zatem nie będzie w nim nic, coby również się mieściło w kimś innym, czyli, coby dla obudwóch było obojętnem (indifferenter); ale Sokrates jest także człowiekiem, a jako człowiek posiada on przymioty i cechy, które w innych także jednostkach indifferenter t. j. bez różnicy się mieszczą. Myśl ta ma tę niedogodność, że nie oznacza, co jest właściwem jednostce, a co należy do rodzaju całego, bo czémże Sokrates obrany z człowieczeństwa?

sięgnął. Posiadając jeszcze patent naczelnika szkół paryzkich, przybywa do miasta, składa uroczyście tego, który odstąpił katedrę swoją Abelardowi i miejsce jego obsadza jednym ze stronników swoich. Wtedy Abelard, ustępując przemocy, wyniósł się na nowo do Melun, gdzie na królewskim dworze liczył nie jednego opiekuna i gdzie go gorliwie popierano z niechęci ku sławnemu Wilhelmowi; na przesiedleniu tém nie ucierpiały ani sława, ani powodzenie nowej szkoły. Wilhelm przecież nie pozostał długo w Paryżu; nasłuchawszy się ostrych przymówek, że z uszczerbkiem klasztornych obowiązków, wciąż do świeckich sporów się miesza, wyjechał do odległego klasztoru, o czém dowiedziawszy się Abelard podsunął się ze szkołą swoją pod sam Paryż i stanął na górze św. Genowefy; ztamtąd niepokoił szkołę katedralną i przeciwników swoich, trzymając ich jakoby w oblężeniu, a szyki ich przerzedzały się z dniem każdym. Wilhelm dowiedziawszy się o bezustannych klęskach nauczyciela przezeń ustanowionego, wraca z ustroni swojéj do opactwa ś. Wiktora, ażeby powagą swoją ratować szkołę katedralną. Ale bliskość ta ją zgubiła. Katedralny nauczyciel miał obok licznych wad jedną zaletę, czytał bardzo pięknie, a ztąd miał zawsze kilkunastu słuchaczy, gdyż w owych czasach nielicznych manuskryptów, czytywano wspólnie rzadkie dzieła. Teraz i reszta, co przy nim wytrwała, przeniosła się do Wilhelma, który choć upadły, pozostał sławną i świetną ruiną; zamknięto więc szkołę katedralną, i odtąd dwa tylko stały naprzeciw sobie obozy: postępowi w długich nieprzejrzanych szykach na górze św. Genowefy pod sztandarem Abelarda, a mała garstka wiernych realizmu zwolenników zamknięta w murach św. Wiktora. Zwycięztwo od samego początku walki nie było wątpliwém, to też Abelard zbyt skromnie się wyraża, przytaczając wiersz Owidyusza: jeśli spytacie mnie o końcu walki, odpowiem wam jak Ajax, że mnie nie zwyciężył.

Przecież pochód Abelarda raz jeszcze został przerwanym. Ojciec jego przy schyłku życia wstąpił do klasztoru, a matka jak zwyczaj ówczesny wymagał, postanowiła iść za przykładem męża. Jednakże przed rozłączeniem się ze światem chciała raz jeszcze oglądać twarz syna swego, a ten do niéj pospieszył, żeby czule pożegnać ją na zawsze. Dopełniwszy smutnego obowiązku, nie wrócił do Paryża choć szkoły tam opustoszały i główny rywal się usunął; Wilhelm bowiem obrany biskupem w Châlons-sur-Marne, odjechał do swojéj dyecezyi [6]. Zdaje się, że

---

6). Wilhelm z Champeaux zarządzał biskupstwem Châlons-sur-Marne od r. 1113 aż do pierwszych miesięcy r. 1121, i położył znakomite zasłu-

przykład Wilhelma nie pozostał na dalszy los Abelarda. On dotąd był słynnym dyalektykiem, filozofem nawet, ale konieczność czasu czego innego wymagała. Filozofia była tylko wstępem, prawda że niezbędnym, ale wstępem tylko do teologii; tylko znajomość teologii zapewniała wpływ stały i rozległy na duchowieństwo, czyli na całą ówczesną inteligencyą, a co ważniejsza, ona otwierała drogę do kościelnych zaszczytów, dawała możność wszechstronnego działania. Abelard, który zawsze marzył o świetnej przyszłości, postanowił naukę tę sobie przyswoić i w tym celu oglądał się za przewodnikiem. Górował wtedy sławą i liczbą słuchaczy nad wszystkimi stary Anzelm z Laonu, uczeń św. Anzelma nieśmiertelnego prymasa z Kanterbury, a nauczyciel Abelardowego rywala Wilhelma, który sławę swoją teologiczną po części jemu zawdzięczał. Przybywa więc do Laon i z zadziwieniem słyszy starca mówiącego płynnie, ale bez treści, zastępującego oryginalność pomysłów długoletnią mozolnie nabytą rutyną. Podziwiany przez zwyczajnych słuchaczy, nie umiał sobie dać rady z nikim, co innego był zdania; ile razy uczeń zapukał do drzwi jego prosząc o wyjaśnienie zawiłości jakiej, wracał zwykle z ciemniejszem pojęciem, niż przyszedł. Zapóźno przekonał się Abelard, że starzec ten zdaleka tylko wydawał się drzewem z potężną koroną, ale wśród bujnych liści tej korony szukał przychodzień napróżno owoców. Cóż więc dziwnego, że znalazł wykłady jego zrazu nudnemi, później nieznośnemi, i że coraz rzadziej na nie uczęszczał. Współcześniowie którzy nie dzielili anty-

---

gi w dyecezyi swojej. Będąc umysłem raczej błyszczącym niż gruntownym, charakteru bardzo wątpliwego i samolubnego, odkupił on wszystko co zgrzeszył przeciw filozofii i przeciw ludziom, szczerem zajęciem się nowemi obowiązkami. Będąc oczytanym w księgach zakonu i ojcach św. wykładał, już będąc biskupem, teologię, którą znał lepiej od filozofii, a berło kościoła swego piastował on nawet ku zadowoleniu surowego św. Bernarda, z którym aż do śmierci łączyła go przyjaźń najściślejsza. Opatrzność dała mu wszystko, za czem zwykli śmiertelnicy wzdychają; miał wysokie dostojeństwo, względy u Papieża, sławę niemałą, a przyjaźń największego świętego z swego czasu. Przeciwnikom jego dostał się los inny: przez całe życie prześladowani, wszystkim podejrzani, umarli samotni, prawie w nędzy i prawie zapomnieni. A przecież mieli niesłychanie więcej odeń geniuszu, ale los kapryśnym jest, i dziwnem toczy się kołem.

pały jego do starego Anzelma, czynili mu przymówki, a gdy Abelard oświadczył, że nic łatwiejszego nad wykład teologiczny, ponieważ każdy rozsądny człowiek mając biblię przed sobą, takową tłumaczyć potrafi: schwycili go za słowo i chcąc ukarać jego zarozumiałość poprosili go o wykład proroctwa Ezechiela, które wówczas uchodziło za jeden z najtrudniejszych problemów exegetyki. A gdy mu chcieli czas dać na przygotowanie się należyte, oświadczył Abelard, że już na jutrz zaspokoi wszelkie ich życzenia. Następnego dnia zebrało się wistocie kilku ciekawych, a gdy Abelard wywiązał się najświetniej z obietnicy swojej, przybywało słuchaczy coraz więcej i tak młody filozof, który nigdy przedtem nie zajmował się teologią, objaśniał z wielkiem powodzeniem ciemne proroctwo Ezechiela.

Stary Anzelm, od dawna już nie bardzo łaskawa Abelarda, gdy o tem się dowiedział, obruszył się wielce, a podniecali oburzenie jego starsi Abelarda współcześniowie, którzy przed jego przybyciem uchodzili za genialnych teologów, a teraz niknęli zupełnie wobec nieteologa. Przedkładali więc Anzelmowi, że pokątne wykłady zarozumiałego przybysza pociągną za sobą wielkie niebezpieczeństwo; że łatwo omylić się może, on, co tak niedoświadczony w teologicznych kwestyach, że może Pismo Św. ciemnego wyczytać niż Kościół, a wtedy zarzut herezyi spadnie na mistrza, którego cieniem się zasłania. Anzelm, który i tak miał dosyć powodów nie lubienia Bretończyka, przestraszony na dobre, rozkazał mu zaprzestać wykładów. Wtedy wyjechał Abelard do Paryża, gdzie go oczekiwano od dawna: objąwszy professurę katedralną przy Notre-Dame panował odtąd sam jeden w mieście, które było już wówczas ogniskiem oświaty dla całego Zachodu. Abelard ciągnąc dalej objaśnienie teologiczne nad Ezechielem i wykładając filozofię, w której nie miał na on czas równego sobie, otoczony tysiącami słuchaczy, stał się niebawem ozdobą Paryża, dumą całego kraju.

## 3. Abelard professorem w Paryżu, działalność jego filozoficzna, obraz średniowiecznej filozofii za jego czasów.

Było to w roku 1113. Paryż był wtedy jeszcze mały, skupiony cały na wyspie, gdzie dzisiaj jeszcze sterczą ciemne mury starego zamku Kapetyngów, gdzie wznosi się Notre-Dame i pałac sprawiedliwości. Ale wrzące życie nie mogąc się już pomieścić na wyspie, wylewało się na przeciwległe brzegi Sekwany; na prawym,

wznosiły się domki kupców lombardzkich, zbawionych nadzieją zysku; na lewym zamieniły się obszerne błonie w prawdziwie łacińską krainę: pełno tam było uczonych zakładów. Na wzgórzu ś. Genowefy (Sainte-Geneviève) stanowe opactwo, gdzie Abelard podczas burzliwych sporów młodości nieraz doznał gościnnego przyjęcia; nie daleko z tamtąd klasztor ś. Wiktora ze szkołą swoją, założoną przez Wilhelma; tamże opactwo Saint-Germain des Près, a w cieniu i pobliżu tych poważnych zakładów wznosiły się biedne chaty, w których mieściły się tłumy młodych i starych przybyszy chciwej nauki. Trzeba było widzieć w święta i niedziele tę łacińską gminę, jak nad Sekwaną po szerokich łąkach rubasznie i ochoczo bawiła się pod dozorem starszych. Ten zaś którego słowa siłą magnesu przyciągały wszystkie te tłumy z odległych krajów, przebywał w ciemnych krużgankach starego budynku obok katedry. Tam on mieszkał i uczył. Poznawano go po wyniosłej postawie i pięknem obliczu, po dumnym chodzie i gustownym stroju; po milczącem rozstępowaniu się tłumów, gdy przechodził i po szeptach głośnych, które wznosiły się za nim. Miał wtedy lat trzydzieści kilka; myśli jego łączyły polot młodzieńczy z wytrwałym sądem męża, jego wymowa niezrównana, nawet w późniejszych czasach wspominano o niej z podziwem; jego wykłady wolne od wszelkiej szkolnej oschłości, gdyż najtrudniejsze dyalektyczne wywody uprzyjemniał obrazami rzeczywistości i światowym dowcipem lub też przeplatał je wyjątkami z najcelniejszych poetów Rzymu.

Dziś gdy tyle wieków nas dzieli od średniowiecznych myślicieli, dziwimy się ich sławie i często pojąć nie możemy, na czem ona właściwie polega: w ich dziełach pełno rzeczy niezwykłych, niezrozumiałych: pełno tam myśli dziwaczniej wykrzywionych niż ciosane twarze na ówczesnych katedrach, pełno tam dowodów więcej zawieszonych w powietrzu, niż gotyckich wieżyc ostrołuki, o których tak, że niesposób czasem wykazać na czem one zawisły. Gdy zajrzymy do księgi jakiej sławnej z owych czasów i śledzimy w niej długie, mozolne dedukcye, widzimy na pierwszy rzut oka mglistą pomrokę, w której nic zgoła nie można rozpoznać; tak samo rzeźby odkrywające wieżę gotycką, wydają się szarą, jednolitą massą, w której dla gołego oka nikną kształty szczegółowe.... Kto je pragnie zobaczyć, powinien wznieść się wysoko, a wtedy całą nieraz nagrodę mozolnego wdzierania się w górę stanowi twarz jaka uśmiechnięta rubasznie, lub kwiat jaki z kamienia o niezgrabnych

./.

liściach i dziwacznym kielichu.... a wtedy pytamy się z niechęcią: naco te mozoły, kiedy tak licha ich zapłata? gdzież słowa wychwalanych mistrzów, kiedy poza niezrozumiałym stylem ukrywają się zbyt często myśli zupełnie spaczone? przecie innych sławnych ludzi dzieła łatwo rozumiemy, choć nieraz o tysiące lat dalej od nas odległe!... Tak na pierwsze wejrzenie.... ale uważnie wpatrując się w ten świat dziwny gotyckich wieków, czujemy jak uprzedzenia nasze zwolna znikają, jak serce nasze coraz więcej lgnie do niego, choć zewnętrzność jego tak zimna.... Przecież nie staniemy dzisiaj w obronie średniowiecznego ducha, nie wykażemy jak rodzimy plon ten, dziwny kwiat ten, wykarmiony sokami grecko-rzymskiej przeszłości liczne wydał ziarna, z których większość zamieniła się w zieleń i dodała świeżości naszym czasom.... Łatwo nareszcie byłoby nam wykazać, że mądrość średnich wieków nie jest ani zatrzymaniem się, ani cofnięciem w byt ducha ludzkiego, lecz postępem i że postępowi temu zawdzięczamy więcej niż dumie naszej przyznać chcemy.... jednakże szczupłość ram w które wyjęliśmy przedmiot obecny, nie zezwala na taką apologię: dzisiaj tylko na jedno pytanie odpowiemy w krótkości. Abelard był sławnym, liczył uczniów swoich na tysiące, pokonał również sławnych i również wziętych przeciwników: jaka więc myśl główna była sercem jego systemu? i jakie obalił on zasady, zanim swoim zapewnił panowanie?

Wspomnieliśmy już kilka razy realistów i nominalistów oraz spór jaki między nimi się toczył; wspomnieliśmy także, że Abelard walczył przeciw jednym i drugim; wyjaśnienie więc dwóch tych nazwisk da nam odpowiedź na pytanie: czem była filozofia za czasów Abelarda? Po upadku państwa rzymskiego dostało się spadkobiercom jego bardzo mało naukowych zasobów; kilka encyklopedycznych zbiorów, w które wtłoczone naprędce najważniejsze wiadomości, ażeby coś przynajmniej ocalić przed nastającem barbarzyństwem, a z greckiej literatury kilka niezgrabnych tłumaczeń powstałych za ostatnich dni Rzymu. Mężem pośredniczącym najwięcej między starą klasyczną oświatą a barbarzyńcami, jest Boecyusz. On to za czasów Wielkiego Teodoryka, gdy coraz mniej było uczonych, a greckiego języka znajomość coraz więcej zacierała się na Zachodzie, przełożył kilka dzieł Arystotelesa i w uczone zaopatrzył komentarze. Na nieszczęście były to najelementarniejsze jego prace logiczne, a te szczęśliwie doszedłszy do czasów Karola W. były jedynym aż do końca XII wieku filozoficznym pokarmem. Oprócz nich miano książeczkę, którą napisał Porfiryusz w III wieku na-

szej ery, ażeby za wstęp służyła do Arystotelesowej logiki i ułatwiała czytelnikom pojęcie takowej. We wstępie tym rozbiera autor pięć kardynalnych pojęć, będących podstawą wszelkiego myślenia; dwa z nich, rodzaj i gatunek zwróciły na się wkrótce powszechną uwagę. Porfiryusz bowiem zadaje sobie mimochodem pytanie, czy w świecie istnieją rzeczywiście rodzaje i gatunki, czy też jednostki tylko: sam kwestyi nie rozwiązał, ale myśl przezeń poruszona stała się punktem wyjścia, a potem duszą nawet scholastycznej filozofii. Odpowiadano z razu na to trudne pytanie, oglądając się za powagą Boecyusza, ale ten nic stanowczego nie zawyrokował choć się przechylał do mniemania, które rodzajom i gatunkom przyznaje tylko istnienie w jednostkach. Umiarkowana jego odpowiedź mieściła w sobie różne niedostatki, które niebawem na jaw wyszły, a pewna znamionująca ją dwuznaczność dała początek dwom odrębnym szkołom, które rozwijając się jednostronnie i ze sobą walcząc, do wręcz sobie przeciwnych doszły ostateczności.[7] Przedmiot sporu ujęto mniej więcej w tę formę: czy rodzaj niczem nie

---

7) Możemy dzisiaj jasną zdać sprawę o filozoficznej bibliotece Abelarda; rzecz to zajmująca, dowiedzieć się, jakie książki najwięcej obczytani ludzie mieli pod ręką w wieku XII. Nie masz wątpliwości, że zupełnie te same, któremi posługiwały się wieki poprzednie, począwszy od Karola W. gdyż na końcu dopiero XII wieku naukowe zasoby znacznie się zwiększają. Abelard miał tylko Arystotelesa „o Kategoryach" i „o interpretacyi" oraz „wstęp" Porfiryusza, wszystkie trzy w przekładzie Boecyusza; obok nich cztery samodzielne prace logiczne tegoż Boecyusza (de devisionibus, de differentiis topicis, de syllogismo categorico i hypothetico). Z siedmiu tych książek czerpał wiek XII całą mądrość swoją logiczno-dyalektyczną i komentował je bezustannie. Sam zaś Boecyusz do pierwszych trzech zostawił komentarze, nie po jednym, lecz po kilka, dłuższe i krótsze. Porfiryusz zaś w swoim „Wstępie" do pism logicznych Arystotelesa rozbiera pięć pojęć zasadniczych wszelkiego myślenia: genus, differentia, species, proprium, accidens, a mimochodem rzuca pytanie: czy rodzaje i gatunki (nie zaś abstrakcyjne pojęcie „rodzaj, gatunek") istnieją rzeczywiście: mox de generibus et speciebus illud quidem sive subsistant sive in solis nudis intellectibus posita sint.... dicere recusabo. Spór o to toczył się już między platońską akademią a

jest nie abstrakcyą rozumu oderwaną od pewnej liczby podobnych do siebie jednostek czy też pojęciu temu odpowiada rzeczywistość jaka, istność jaka w sobie jedna obdarzona udzielną substancyą i dawniejsza od ziemskich jednostek, które tylko jéj znikomym, doczesnym obrazem. Pytano się np. co znaczy słowo „człowiek,” że ono cały rodzaj ludzki oznacza, o tém nikt nie wątpił, ale co do wewnętrznéj jego wartości i prawdziwości były zdania podzielone. Jedni twierdzili, że rodzaju ludzkiego wcale niema, że tylko ludzie pojedynczy istnieją, których my ku większéj wygodzie jednem oznaczamy słowem, nie mogąc każdego zwać po imieniu. - Pojęcie to powstało przez zesumowanie podobieństw znachodzących się w jednostkach, istnieje tylko w myśli naszéj, w świecie zewnętrznym nie odpowiada mu żadna rzeczywistość, tam jednostki tylko, jak Sokrates, Platon, Arystoteles. Na to odpierali przeciwnicy: rzecz się ma przeciwnie, gdyż od jednostki można odłączyć wszystko czém się

---

zwolennikami Arystotelesa i przeciągnął się aż do II wieku po Chr. Średnie wieki o sporze tym różniącym (z.) najznakomitszych greckich filozofów nie wiedziały, miały tylko frazes Porfiryuszowy, który był niejako jego zresumowaniem. Pierwszy na ważne pytanie odpowiedział Boecyusz: cogitantur universalia (: t.j. ogólne pojęcia rodzajów, gatunków i t. d.): nihilque aliud species esse putanda est nisi cogitatio collecta ex individuorum ... similitudine; genus vero cogitatio collecta ex specierum similitudine ... W innem miejscu mówi: genera et species subsistunt quidem alio modo, intelliguntur vero alio modo: et sunt incorporalia, sed sensibilibus juncta... Takie rozwiązanie kwestyi, dokonane w duchu Arystotelesowym, panowało powszechnie w IX i X wieku. Szkoła Rhabana Maura (w IX wieku) mówiła: nihil aliud est genus quam substantialis similitudo ex diversis speciebus in cogitatione collecta. Tak samo bezimienny glossator z Xgo wieku: genus est cogitatio collecta ex singularum similitudine specierum. Jednakże jednocześnie odzywali się tu i ówdzie zwolennicy platonizmu: universalia praeter individua subsistere. Dwa te przeciwne sobie mniemania starły się gwałtownie, gdy Roscellinus, najkonsekwentniejszy z nominalistów głosił: universales substantias (t.j. pojęcia ogólne) non esse nisi flatum vocis. S. Anzelm: de fide trin. Naprzeciw niemu broni Wilhelm z Champeaux jednostronnego realizmu: erat autem in ea sententia de communitate universalium, ut eandem essentialiter rem totam simul singulis suis inesse adstrueret individuis; quorum quidem nulla esset in essentia diversitas, sed sola multitudine acciden-

od innych odróżnia; można Platona np. lub Sokratesa pozbawiwszy wszystkich cech osobistych, które pierwszego czynią Platonem a drugiego Sokratesem a mimo to pozostanie jeden i drugi człowiekiem; nie jednostkowość lecz istność rodzajowa jest czemś rzeczywistem; ile razy do niej przyłączą się znamiona specyalne, powstanie nowa istota, nowy osobnik, ale osobniki giną, podczas gdy wewnętrzna treść ludzkości pozostaje ciągle ta sama, i w coraz nowych objawia się jednostkach. Rodzaj więc nie jest próżną rozumu abstrakcyą, marnem słowem, lecz realną, niezależną istnością, która w Boga była zanim był świat, i która wrzeczywistniając się w świecie przybiera się w niezliczone jednostki, niby w szatę doczesną. Taka mniej więcej myśl głowna dwóch szkół sobie przeciwnych; zgody nie mogło być między niemi: pierwsi uważając pojęcie za słowo tylko, za konwencyonalny dźwięk mowy, zwali się nominalistami a drudzy przekonani, że każdemu pojęciu odpowiada substancya jakaś, istność jakaś rzeczywista, niezależna, różniąca się od znikomych na świecie jednostek, zwali się realistami;

---

tiam varietas. (Abel. histor. calam). Przeciw dwom tym mniemaniom walczył Abelard. Pozytywne mniemanie jego najlepiej wydatnione w zdaniach: speciem dico esse non illam essentiam hominis solam, quae est in Socrate, vel quae est in aliquo alio individuorum sed totam illam collectionem ex singulis aliis hujus naturae conjunctam. Quae tota collectio, quamvis essentialiter multa sit, ab auctoritatibus tamen una species, unum universale, una natura appelatur, sicut populus, quamvis ex multis personis collectus sit, unus dicitur. Wyrzeczenie to trzeba uzupełnić wyciągami i sprawozdaniami p. Remusat, które daje z niewydanych dotąd rękopismów na nieszczęście tylko po francuzku. Abélard, tom II str. 105. Car ce n'est pas le mot, la voix, mais le discours, sermo, c'est-à-dire l'expression du mot, qui est attribuable à divers, et quoique les discours soient des mots, ce ne sont pas les mots, mais les discours qui sont universels. Tamże str. 107. Abélard attache donc un grand prix à distinguer le discours ou l'oraison, sermo, c'est-à-dire l'expression ou le mot en tant qu'expressif, de la simple voix et il croit dégager, une verité importante n'attribuant l'universalité qu'au discours. Or ici le discours étant surtout consideré comme expression de l'idée, il s'ensuit que la doctrine qui nous occupe, est plus encore le conceptualisme que

./.

gdyż obdarzali pojęcia realnością.—

Dwa te mniemania, które od czasów Platona i Arystotelesa zajmowały żywo starożytnych filozofów, byłyby obok siebie istniały długo ścierając się w dyalektycznych sprzeczkach, gdyby nominalizm nie był wystąpił z zacisza szkoły na widownię szerszą. Pierwszy, który na to się odważył w XI wieku, był wspomniany już Roscellinus kanonik z Compiègne; uchodzi on zwykle za ojca nominalizmu, choć go nie stworzył, tylko zasady jego otwarcie wypowiedział; pragnąc zasady swoje wprowadzić do teologii i uczynić je niejako probierczym kamieniem wiary chrześciańskiej, przystąpił do najtrudniejszego z dogmatów, aby go rozjaśnić światłem nominalizmu. Jeżeli istnieją tylko jednostki, a rodzaj niczém ino abstrakcyą myśli naszej, wtedy między słowem „Bóg" a trzema osobami Trójcy zachodzi ten sam stosunek, co między słowem „człowiek" a ludzkiemi jednostkami. Człowiek niczém ino rozumu abstrakcyą, rzeczywiście istnieją tylko ludzie, tak samo Bóg abstrakcyą tylko, a rzeczywistością trzy Boże osoby, które również mało mają ze sobą wspólnego jak osoby ludzkie. Są to konsekwencye nominalizmu, miejsce jednego Boga zajęły trzy Bogi; monoteizm rozwiązał się w tryteizm. Na to wielkie niebezpieczeństwo odpowiedział Kościół uroczystem potępieniem, wyrzeczoném na soborze w Soissons r. 1092 a Ś. Anzelm oskarżyciel Roscellina, dziełem De Trinitate, które było manifestem chrześcijaństwa naprzeciw innowacyi kanonika z Compiègne. Zresztą nie zaprzestano na tém;

---

le nominalisme. Tamże str. 109: les genres et les espèces subsistent en ce sens qu'ils se rapportent à des choses subsistantes, car c'est par métaphore seulement que les philosophes ont pu dire que ces universaux subsistent. Au sens propre, ce serait dire qu'ils sont substances et l'on veut exprimer seulement que les objets, qui donnent lieu aux universaux, subsistent. Warto także powtórzyć, co powiada uczeń Abelardowy, Jan z Salisbury, Metalogicus. Ks. II rozd. 17: Alius ergo consistit in vocibus (licet haec opinio cum Roscellino suo fere omnino jam evanuerit): alius sermones intuetur, et ad illos detorquet, quidquid alicubi de universalibus meminit scriptum. In hac autem opinione deprehensus est peripateticus Palatinus (rodem z Pallet czyli Palais). Abaelardus noster, qui multos reliquit et adhuc quidem aliquos habet professionis hujus sectatores et testes. Zobacz nareszcie znakomity pod każdym względem wstęp Cousin'a w „Ouvrages inédits d'Abélard."—

chciano podciąć korzenie nauki wiodącej do tak zgubnych wniosków. Ale walka przeciw jednostronności wyradza zwykle nową jednostronność, i tak Anzelm ś. w zbyt gorliwej polemice doszedł do skrajnego realizmu, że nie tylko rodzaje i gatunki, lecz wszelkie przymioty cielesne i duchowe, kolory nawet i znamiona materyi, cieszą się gdzieś za światem bytem odrębnym, niezależnym, tak on świat podwoił dodawszy do niego drugi, metafizyczny, mieszczący w sobie tyle istot i istotek, ile tu na ziemi nie tylko gatunków i rodzajów, lecz przymiotów i sił, czy to duchowych czy fizycznych. Przecież Anzelm ś. był lepszym teologiem, niż filozofem, toteż polemikę filozoficzną głównie prowadził wspominany już tak często Wilhelm z Champeaux, który wydzielił nominalizm z filozofii, jak Anzelm ś. go wykluczył z teologii. I tak na początku XII wieku mamy niedobitki tylko nominalizmu ukrywające się z zasadami swemi, a panuje realizm uosobiony w Wilhelmie. Abelard był dzieckiem duchowem obu szkół; poznał on Roscellina i naukę jego i znalazł ją niedorzeczną, a Wilhelma zmusił do znacznych ustępstw, do zupełnej modyfikacyi systemu. Sam zaś dał początek szkole nowej, która wystrzegając się zarówno i realistów i nominalistów jednostronności, szukała podstawy pewniejszej dla teologicznych spekulacyj. Nadano jej nazwę konceptualistów, a nazwa ta wskazuje jaka jej przewodniczyła myśl główna. Nie odmawiała ona gatunkom i rodzajom rzeczywistego istnienia, tylko zamiast przekazać takowe jakiemuś światu metafizycznemu, mieściła je po prostu w ludzkiej myśli uważając je za pojęcia, obejmujące wiele podobnych do siebie jednostek. Oczywiście nie różni się szkoła ta bardzo od nominalizmu, bo jakkolwiek nominalizm wołał, że rodzaj niczem, ino słowem, przecież samo słowo nic nie znaczy, jeżeli nie ukrywa w sobie pojęcia; dlatego współcześni nie bez słuszności uważali Abelarda za nominalistę, a szkołę jego za wyrośl nominalizmu. Jednakże mimo tych pokrewnych rysów ma nauka Abelardowa odrębne swoje cechy: prawda, że i dla niej jednostki tylko istnieją, ale rodzaj nie jest ich dowolnem ugrupowaniem ani słowo nie jest konwencyonalnym znakiem; lecz duch ludzki tworzy pojęcia z konieczności; idąc wiernie za wskazówką jednostek, a zatem pojęcie każde odpowiada układowi i naturze rzeczy przez nie oznaczonej. Jakkolwiek zarzucić można myślicielowi, że chwalebne zamiar-

–/.

kowanie które zatrzymało go w połowie drogi, nie jest uzasadnionem wobec surowej logiki, która ostatnich domaga się wniosków, jednakże zasługa jego wielką jest. Więcej krytycznym niż twórczym obdarzony umysłem, zmusił on istniejące szkoły przez szczęśliwą polemikę do znacznych modyfikacyi, a przez to nowe wlał w nie życie, sam zaś z nominalizmu który srogo naonczas prześladowano, ocalił wszystko na co ówczesny stan oświaty zezwalał. Bez niego byłby zwycięzki realizm Wilhelma, nie mając przeciwników popadł z czasem w letarg zabójczy; Abelarda zasługa, że nie dał zasnąć filozoficznej spekulacyi w wieku XII i że z ginącego nominalizmu wyniósł wszystko co było dobrem i pożądnem i przekazał następnym wiekom przez co nie mało przyczynił się do przeobrażenia scholastyki w wieku XIV i XV [8].

## 4. Abelard i Heloiza, miłość kochanków, rozwiązanie dramatu.

Dzisiaj zimno sądzimy o zasługach jego, ważymy obojętnie wszystko, co przemawia za i co przeciw; 700 lat temu, zasługi te były dotykalną rzeczywistością; wylewające się żywemi słowy porywały niezliczonych słuchaczy, którzy chciwi wiedzy co rok przybywali do Paryża. Szyki ich odnawiały się bezustannie, a ci, co wracali do siedzib swoich, roznosili sławę mistrza po najodleglejszych stronach: wkrótce imię jego stało się rozgłośnem, jak żadne podówczas, nie tylko we Francyi, lecz na Zachodzie całym. Cóż dziwnego, że młody mędrzec porwany wirem powodzeń, upojony sławą, której nie dzielił z nikim, mógł wtedy wyrzec dumnie, że on jedynym filozofem . . . . Ale ludzie wyżsi nie mogą nigdy stanąć w duchowym rozwoju swoim; chwała ledwo na-

---

[8] Nie chciałbym, żeby mnie źle zrozumiano. Scholastyka upadła przez odrodzenie się grecko-rzymskiej przeszłości, do tego ważnego faktu nie mogły się dzieła Abelarda w niczem przyczynić. Jednakże przed odrodzeniem się nauk i równocześnie z niem rozpoczyna się fermentacya gwałtowna w samem łonie scholastycyzmu, rozkładająca powagę św. Tomasza i „arabskiego" Arystotelesa. Głównym owocem tej fermentacyi nowy nominalizm Wilhelma z Occam, a nie masz wątpliwości, że dzieła Abelarda przyłożyły się znacznie do odnowienia nominalizmu tego w wieku XIV.

była, już ich nudzi i szukają nowej. Abelard przyrównywa się czasem do błędnych rycerzy, wyjeżdżających w dalekie strony, ażeby zmierzyć się z głośnymi bohaterami i zmógłszy ich sprzysporzyć sobie sławy. On także wyjeżdżał niegdyś niby rycerz na staczanie dysput, wiele odbył turniejów umysłowych, wielu przeciwników w piasek powalił. Ale rycerze, gdy już nie było godnych zapaśników, wracali do zamków swoich . . . po nagrodę, a znaną jest rycerska nagroda; Abelard także stanął u kresu wypraw swoich; przeciwników zabrakło: dzielniejsi ustąpili z pola, jak Wilhelm z Champeaux, lub zgnębieni starością zamilkli na zawsze, jak Anzelm z Laon; młodsi, choć niechętni, choć zazdrośni, nie odzywali się, na harc nie wyjeżdżali, woleli czekać chwili, gdy się poślizgnie noga filozofowi, gdy przeciwnemu będą mogli wezwać władzę kościelną lub świecką . . . walczyć z nim nie mieli ochoty. I zrobiło się Abelardowi tęskno i nudno, jak wojakowi, gdy rozpostarł się na około pokój głęboki . . . w oklaskach uczniów odkrył straszną jednostajność, w dysputach czczość niewymowną, bo nie było z kim dysputować, a oręż rdzewieje gdy nie ma potrzeby go wydobyć! Prawda, że miał środek skuteczny na nudy, lubił utwory piękna, czem chlubnie się odznacza przed spółczesnymi; w chwili tęsknoty układał pieśni i wygrywał je na flecie . . . ale nie wiedział, kogo opiewać ani dla kogo wiązać tony w smutne melodye . . . Trzydzieści kilka lat przeżył, raczej przemyślał . . . dotąd sam umysł władał całem jego jestestwem, a żadna burza nie zamąciła pogody tego umysłu.

Żyła wtedy w Paryżu młoda dziewczyna, imieniem Heloiza, siostrzenica kanonika Fulberta; stryj czule do niej przywiązany nie szczędził żadnych zabiegów, żeby jej dać najświetniejsze wychowanie. Przepędziwszy pierwsze lata w klasztorze, kształciła się w domu stryja, wiodąc życie samotne wśród nauczycieli i pargaminów. Wykształcenie jej było pod każdym względem znakomitem, a chociaż nie umiała ani po grecku ani po hebrejsku, jak głosili późniejsi panegirycy, gruntowna znajomość klassycznej starorzymskiej literatury, styl naiwny i wdzięczny, który dzisiaj jeszcze czytelnika dziwnie zachwyca, niepospolite wiadomości teologiczne i filozoficzne, głębokie uczucie piękna stawiały Heloizę tak wysoko ponad poziom duchowy kobiet owego czasu, które rzadko czytać a pi-

sać prawie nigdy nie umiały, że nie bez słuszności podziwiano ją niby cud jakiś. Miała wtedy najwięcej lat 18, rysy jej nie były rysami wykończonej piękności, ale pełne wyrazu i opromienione niewymowną dobrocią, obietnicą poświęcenia bez granic, podniecający dowcip i mowa żywa, namiętna, były główną cechą uroczej postaci, która już wtedy ukryta jeszcze w zaciszu była głośną po całem królestwie... Abelard ją widział... i nagle dziwna tęsknota, która od dawna nim owładła, stała się z niewytłumaczonej, nieokreślonej ściśle oznaczoną i świadomą siebie... Abelard znalazł przedmiot tęsknoty swojej a przedmiot ten był odtąd jego celem jedynym. Pod dyalektycznym i grammatycznym formalizmem, wśród którego Abelard przepędził najlepsze swoje lata, serce przycichło, ale nie wygasło... I zdjęła go miłość niezmierna, tem większa, im później się oderwała; odtąd tylko myśl jedna wypełniała całe jego jestestwo – myśl, jakby się zbliżyć do przedmiotu miłości swojej. –

Stary kanonik Fulbert kochał zarówno siostrzenicę i pieniądze, Abelard wiedząc o tem postanowił odpowiednie ducha jego poruszyć sprężyny, ażeby osiągnąć cel życzeń swoich. Za pośrednictwem wspólnych przyjaciół zrobił Fulbertowi propozycyę, ażeby go przyjął do domu swego, zasłaniając się tem, że ani czasu nie ma dosyć ani zmysłu praktycznego, żeby prowadzić własne gospodarstwo. Fulbert mając sobie zostawioną wolność oznaczenia ceny, rachując na nie małe stąd korzyści pieniężne, przekonany wreszcie, że Heloiza nie mało odniesie korzyści z obcowania z filozofem, większe, niż z płatnych nauczycieli, do tego stopnia dał się myśli tej opanować, że lękając się by czasem Abelard nie zaniechał zamiaru, sam począł usilnie na niego nalegać, ażeby zamieszkał w jego domu. „A tak, powiada Abelard, najprzód dach nas złączył, potem serce." Ciekawą jest dowiedzieć się z ust Heloizy, jakie pierwsze wrażenie na niej zrobił przyszły jej małżonek; wyspowiadała się z tego wiele lat później, gdy długie cierpienia i surowa abnegacya zakonnicy stanęły między nią a błogiemi chwilami młodości. Z wielkiem rozrzewnieniem wywołuje z pamięci rysy tego, który niegdyś był jej bogiem i światem: „Bo któż z królów, któż z filozofów dorównał twojej chwale? Który kraj, które miasto nie pragnęło ciebie zobaczyć? Któż nie spieszył na widok twój, gdyś wychodził z domu? Któż nie towarzyszył ci wytężonym wzrokiem, gdyś się oddalał z gło-

wą podniesioną? Która żona, która dziewica nie wzdychała za tobą nieobecnym, a nie płonęła w obecności twojej? Która królowa, księżniczka która nie zazdrościła mi szczęścia mego?... Dwa miałeś przedewszystkiem dary przyciągania dusz kobiecych, łatwość słowa i wdzięczność śpiewu, dwa dary, których nie posiadali inni filozofowie!... 9) Fulbert zaś mimowolnie pracował nad złączeniem dwóch serc dla siebie stworzonych: prosząc usilnie Abelarda, aby wszystkie wolne chwile swoje poświęcał Heloizie, powierzył mu zupełną nad nią władzę. Abelard mogąc dowolnie kierować jej studyami, mogąc się widzieć z nią o każdym czasie, wyznaje sam, że nie bardzo uczennicy swojej nudził teologią lub logiką, że ją więcej zajmował utworami własnej muzy, niż subtelnościami dyalektyki... że nareszcie więcej marzyli razem, niż czytali. Odtąd dziwna zaszła we filozofie zmiana; miłość do tego stopnia zajęła całe jestestwo jego, że powziął wstręt niewymowny do katedry i do wszelkich uczonych odczytów, nie miał zresztą czasu gotować się na nie lub nawet myśleć o nich, gdyż każdą godzinę przepędzaną zewnątrz szkoły, poświęcał Heloizie. Ztąd tylko od niechcenia mówił, ozięble i niedbale, przy braku nowych twórczych idei powtarzał stare pomysły, a nawet stare prelekcye odczytywać nie miał mocy, bo ile razy do nich zabierał się w zaciszu, mimowolnie słowa układały się w wiersze, w dźwięczne melodye, i zamiast filozoficznych problemów wypuszczał na świat zgrabne, czułe piosneczki, które niebawem zabrzmiały w ustach wszystkich, głosząc sławę Heloizy po mieście i po kraju. Uczniowie ubolewali głośno nad roztargnieniem filozofa, miasto całe mówiło o miłości jego, tylko poczciwy Fulbert nie wiedział o niczém, nawet uporczywie wiary nie dawał wieściom, jakich mu donosili usłużni przyjaciele. Abelard był dla niego człowiekiem wyższym nad wszelkie ludzkie słabostki, a Heloiza dzieckiem, zatopionem w książkach. Dopiero po kilku miesiącach dowiedział się o wszystkiem, a gniew jego dorównał dawniejszej dobroduszności... Abelard wyszedł z domu, Heloiza została zamknięta... Więcej niż nad rozłączeniem tém niespodzianem, ubolewali kochankowie nad nieświadomością, w jakiej pozostawali nawzajem co do losu swego. Abelard zapomniawszy o sobie martwił się położeniem Heloizy, a ona płakała tylko nad poniżeniem, jakie spotka-

9) Epistola prima Heloïsae.

To jej kochanka. Ale rozłączenie czyni tylko miłość gwałtowną do szaleństwa... Abelard odebrawszy list w którym mu kochanka donosi dumnie i radośnie, że się czuje matką, wykrada ją w nocy, z narażeniem życia i odsyła przebraną za mniszkę do Bretanii, do siostry swojej. Fulbert, którego przypadkiem w domu nie było, za powrotem odchodził od zmysłów i nie wiedział, co począć; byłby najchętniej się zemścił, ale lękał się o los Heloizy, pozostającej w odległym kraju, w rękach krewnych Abelarda, niby zakład jego bezpieczeństwa; był nareszcie otoczony przyjaciółmi i uczniami, którzy czuwali gorliwie nad nim. Jednakże rzeczy nie mogły pozostać takiemi nadal. Abelard znalazł położenie swoje nieznośnem a pragnąc i sobie i jej przywrócić spokój utracony, udał się w pokorze do Fulberta i oświadczył się gotowym Heloizę zaślubić. Starzec nie spodziewający się ani tak szczęśliwego ukończenia sprawy, ani tak świetnego dla siostrzenicy zamężcia, przystał z radością na jedyny przez Abelarda stawiony warunek, ażeby małżeństwo pozostało tajemnicą; przebaczywszy uroczyście Abelardowi wobec licznych świadków, odesłał go wśród czułych uścisków do Bretanii. Heloiza jednak nie chciała przyjąć ofiary, twierdząc, że ona nadaremna, gdyż stryj nie zapomni gniewu swego; że nie sprawia jej ta ofiara najmniejszej radości, gdyż uniweczy sławę Abelarda i zagradza mu drogę do kościelnych dostojeństw; nareszcie dowodzi ona obszernie jużto powagą ojców Kościoła, jużto cytatami z dawnych mędrców, że małżeństwo największym wrogiem nabywania mądrości i wszelkiej filozoficznej kontemplacyi; ona tytułu małżonki nie uważa wcale za zaszczyt, gdyż tylko sobie i miłości swojej chce ona zawdzięczać stałość kochanka, nie zaś więzom sakramentu... Ani płacz jej ani wywody uczone nie przekonały Abelarda; zostawiwszy syna, któremu na chrzcie nadali dziwne imię Astrolaba, w Bretanii, wrócili do Paryża a kilka dni potem przepędziwszy noc całą na modlitwach, nad ranem stanęli przed ołtarzem i wobec małej liczby przyjaciół zawarli śluby dozgonne, poczem Heloiza wróciła do domu stryja swego. Abelard zaś z dawnym zapałem oddał się na nowo naukom. Żonę widywał tylko rzadko i to ukradkiem, ażeby małżeństwo pozostało tajemnem; Fulbert zaś i rodzina jego rozgłaszali wbrew umowie wiadomość o takowem, a gdy Heloiza, dbała o przyszłość męża, stale i wytrwale wszelkim wieściom podobnym zaprzeczała, Fulbert coraz więcej się gniewał i coraz gorzej z nią się obchodził, aż zniecierpliwiony Abelard nie odesłał żony do opactwa Ar-

genteuil, gdzie dla większego bezpieczeństwa przykazał jej nosić suknię zakonną, z wyjątkiem welonu. Wtedy Fulbert przekonany, że Abelard pozbyć się chce Heloizy, ażeby nie mieć przeszkody w przyszłym duchownym swoim zawodzie, uniósł się gniewem niepohamowanym i krwawo na nim się zemścił[10]. Abelard pogrążony w dzikiej rozpaczy, zamknął się w klasztorze św. Dyonizego (Saint Denis) i tam, nie z przekonania, lecz jedynie ażeby ukryć się na zawsze przed światem, wyrzekł ślub zakonnika. Poprzednio jednak posłał Heloizie stosowny rozkaz, ażeby uczyniła to samo. Krewni i znajomi napróżno usiłowali odwieść ją od tego, za całą odpowiedź powtórzyła z Lukana słowa Cornelii, żony Pompejuszowej: „o największy mężu, o małżonku, którego nie godnem było moje łoże, czyż nawet nad taką gło-

---

10). Crudelissima et pudentissima ultione punierunt et quam summa admiratione mundus excepit; eis videlicet corporis mei partibus amputatis, quibus id quod plangebant, commiseram... powiada Abelard w Histor. calamit. Nazajutrz było położenie filozofa okropne, męczono go kondolencyami, przed innemi zaś młodzież okazywała mu żywe współczucie; mane autem facto tota ad me civitas congregata quanta stuperet admiratione, quanta se affligeret lamentatione, quanto me clamore vexarent, quanto planctu perturbarent, difficile immo impossibile est exprimi. Maxime vero clerici ac praecipue scholares nostri intolerabilibus me lamentis et ejulatibus cruciabant... pisze Abelard także. Kobiety wszystkie były w rozpaczy; quid singularum feminarum referam planctum, quae sic, hoc audito, lacrimis more femineo ora rigarunt propter te militem suum, quem amiserant, ac si singulae virum aut amicum sorte belli reperissent extinctum? tak pisze przeor Foulques, który to list umieszczony w dziełach Abelarda; był to list kondolencyjny, jakich po nieszczęściu zapewne niemało odebrał od przyjaciół; wątpimy mocno, czy następny ustęp pocieszył go bardzo: tantus omnium luctus extitit, ut melius mihi videaris te debere velle periisse, quam servasse, quod periit. Felix se nescit amari. Pene tota civitas in tuo dolore contabuit. Habes arrham verae dilectionis in te, quam si prius agnovisses, nullas meo judicio divitias illi comparabiles aestimares... Wykonawców zbrodni jako i głównego winowajcę Fulberta ukarano srogo; pisze o nich tu sam Foulques, przeor w Deuil, w tymże liście: duorum illorum, qui tibi nocuerunt, oculorum privatione et genitalium abissione mutilati sunt. Ille autem (t. j. Fulbert), qui per se factum abnegat, jam ab omni possessione sua bonorum comportatione exturbatus est...

wą miał los sobie władzę daną? Czemuż, ach czemuż, bezbożna ja zaślubiłam ciebie? kiedy miałam cię zgubić? Teraz przyjm karę moją, którą poniosę chętnie"... 11). Chociaż miała mniej jeszcze od Abelarda powołania do klasztornej abnegacyi, posłuszna jego woli, stanęła przed ołtarzem i z rąk samego biskupa przyjąwszy poświęcony welon, wyrzekła śluby, które na zawsze odgrodziły ją od świata. Jednakże rozkaz małżonka zostawił jej na zawsze bolesne wrażenie. Abelard widocznie się lękał, by czasem nie odmieniła myśli swojej i nie poszła za przykładem Lotowej żony, która uchodząc razem z mężem, jednak obejrzała się za miastem. W późniejszych latach, gdy z klasztorem swoim się zrosła, gdy dla niego wiele położyła poświęceń i wiele przecierpiała, nie mogła nigdy zapomnieć tej nieufności, jedynej zresztą, której doświadczyła od kochanka swego, twarz jej okrywa się rumieńcem na samo o niej wspomnienie. „Bóg mi świadkiem, pisze, że nie byłabym się wahała nawet do piekła skoczyć, za lub przed tobą, stosownie do twego rozkazu, bo nie ze mną lecz z tobą była dusza moja..." 12).

Abelard uspokojony co do przyszłości Heloizy wykonał ślub Benedyktyna w klasztorze Św. Dyonizego; opactwo to było pierwszem we Francyi; spoczywały tam relikwie patrona kraju św. Dyonizego, którego imię było hasłem w bitwach, były tam groby starych królów francuskich, począwszy od Dagoberta; niezmierne bogactwa i rozległe włości dawały mu wielki wpływ polityczny, podczas gdy grób męczennika otaczał klasztor urokiem narodowego przybytku; to też opaci jego zasiadali w rzędzie pierwszych panów, herb królestwa błyszczał na ich chorągwiach; jeszcze za życia Abelarda jeden z nich Suger, był rządcą państwa. Łatwo pojąć że dumny, sławą wykołysany filozof pragnął ustroni, ale świetnej; szukał zapomnienia, chciał obumrzeć dla świata, ale wybrał sobie grobowiec, godny wielkiej jego przeszłości. Klasztor św. Dyonizego wydawał mu się takim wspaniałym grobowcem, a zakonnicy przyjęli go skwapliwie, z wykwintną uprzejmością, ciesząc się, że sławny człowiek powiększy ich liczbę.–

---

11).

o maxime conjux,
O thalamis indigne meis, hoc juris habebat
In tantum fortunae caput? Cur impia nupsi,
Si miserum factura fui? Nunc accipe poenas
Sed quas sponte luam.

(Lucan. Phars. VIII. 94).

12). Epistola prima Heloïzae.

## 5. Losy Abelarda od wstąpienia do klasztoru aż do soboru w Soissons.

Obie strony zawiodły się gorzko: zakonnicy łudzili się nadzieją, że Abelard blask wymowy swojéj i skarby ducha swego odda na usługi klasztoru, podczas gdy ten żebrał spokoju, zapomnienia; Abelard zamiast świętéj ustroni ujrzał się w ognisku intryg światowych i wesołego, lekkomyślnego życia, w którém opat braciom wszystkim przodkował. Bernard święty mówił o nich z oburzeniem, że zamiast służyć Bogu, kłaniają się cesarzowi. Abelard przywykły być pierwszym i przewodniczyć otoczeniu swemu, napominał opata i całą brać duchowną, a ci znając jego przeszłe życie, nie bardzo chętnie słuchali jego uwag; nareszcie przekonawszy się, że nieznośny moralista nie poprawi się więcéj, postanowili go się pozbyć czém prędzéj. Nadarzyła się ku tego wygodna sposobność, gdyż uczniowie Abelarda dowiedziawszy się, że żyje i że zdrów, nawiedzali go tłumnie, prosząc o nowe wykłady. Abelard stanowczo się wzbraniał, ale opat i bracia korzystając z wybornéj sposobności, tak go błagali serdecznie, żeby nie zakopał nadzwyczajnych zdatności swoich, iż nareszcie, pozostając i nadal członkiem klasztoru, osiadł w Maisoncelle w dobrach hrabiego Szampanii i tam rozpoczął na nowo około r. 1120 wykłady swoje. Ledwo o tém wieść się rozeszła, zbiegały się jak niegdyś tłumy, każdy umieszczając się jak mógł w domkach i namiotach, w jamach nawet, obywając się lichą strawą, którą wynagradzały hojnie natchnione słowa mistrza. A chociaż dla stanu swego duchownego musiał więcéj zajmować się teologią, nie zaniedbywał filozofii, uważając ją nietylko za przyprawę teologii, lecz za klucz także zrozumienia dogmatów. Ideałem i wzorem jego był najgłębszy z chrześciańskich myślicieli, genialny Orygenes, z którym zresztą dzielił nie jedno podobieństwo, a który także światłem filozofii rozjaśnił tajemnice wiary; „dla Orygenesa, powiada św. Grzegorz Thaumaturgos, żadna nie istnieje tajemnica, on tłumaczy wszystko." Abelard także tłumaczył wszystko, co mu dawało wpływ niezmierny na młodzież, ale narażało go na wielkie niebezpieczeństwo. Albowiem szkoły francuzkie zaczęły się wyludniać, prąd jakiś tajemniczy unosił wszystkich do stóp samotnego filozofa; jednakże było wielu dawnych jego współuczniów, uważających mądrość swoją także za rzecz nie lada, ci widząc byt swój zagrożonym, spiknęli się szybko, ażeby odjąć na zawsze niebezpiecznego rywala.

Z razu zwracali uwagę dostojników Kościoła na przykład niebezpieczny, że zakonnik poza klasztorem bez dy-

planu i bez zezwolenia władzy otworzywszy szkołę, gromadził dokoła siebie tłu-
my słuchaczy, potém czytali bacznie pisma jego, czy nie uda się odkryć w nich
jakiéj herezyi; co nie było bardzo trudną rzeczą, gdyż Abelard opanowany wznio-
słością przedmiotu, czasem mniéj oględnie się wyrażał mimo najlepszéj chęci
swojéj. Wychodząc z zasady, że tylko w to godzi się wierzyć, co rozum zdoła po-
jąć, i że śmiesznem byłoby, gdyby ktoś rozprawiał o tém, czego ani on ani
słuchacze jego nie pojmują, ułożył on podręcznik dla uczniów swoich, w
którym starał się wyjaśnić najkardynalniejsze prawdy o Bogu i Tróycy
św. zdaniami filozofów i pewnikami doczesnych wiadomości. Dzieło
to „Introductio in theologiam" zrobiło głębokie wrażenie: unoszono
się nad bystrém rozumowaniem, nad jasnym wykładem najtrudniejszych
tajemnic wiary; przeciwnicy znowu oburzali się nad sprofanowaniem
teologii, nad zuchwalstwem dyalektyki, która imając się wszystkiego,
nie oszczędzała nawet wiary Chrystusowéj. Jakkolwiek zasady Abelar-
da, przeprowadzone konsekwentnie, dochodzą do wyników nie koniecz-
nie zgodnych z wiarą Kościoła; jakkolwiek rozumowanie nad ta-
jemnicami wiary jest rzeczą śliską, wiodącą nieraz na bezdroża dla
dwuznaczności słów i pojęć niedokładności— przecież Abelard nie do-
tąd nie wypowiedział, coby zasłużyło na bezwarunkowe potępienie;
filozoficzne zaś o wierze przeświadczenie, do którego sam dojść prag-
nął i uczniów swoich doprowadzić, nietylko nie jest przeciwnem
Duchowi Kościoła, lecz było zawsze uważane za niezbędne przez wszy-
stkich ojców Kościoła. Wiele lat później spotkały filozofa daleko
słuszniejsze zarzuty, i to od sędziów kompetentnych; obecnie chodziło
oskarżycielom jego tylko o zniweczenie go jakimbądź sposobem, by-
najmniéj zaś o obronę wiary. Na ich czele stanęło dwóch z jego daw-
nych współuczniów, Alberyk i Lotulf, którzy wymogli na remeńskim
arcybiskupie Raoul'u i na papiezkim legacie Conan'ie, że zwo-
łano sobór w ich dyecezyi do miasta Soissons, tam dotąd zawezwano
Abelarda wraz z księgą swoją, ażeby wytłumaczył się z zarzutów
jemu czynionych. Abelard choć jako członek opactwa Saint-Denis
pozostawał pod jurysdykcyą paryzkiego biskupa, przyjął przecież
ochoczo jak zawsze, wezwanie do boju. Ludność miasta przyjęła go
bardzo niechętnie, ale on ufny w niewinność swoją i w zwycięztwo
dobréj sprawy, udał się natychmiast do legata, później i do arcy-
biskupa, wyłożył zasady swoje, oddał im do rąk osławioną księ-
gę i oświadczył z głęboką pokorą, co zresztą powiedział już w przed-
mowie dzieła, że chętnie poprawi lub odwoła wszystko, co

ż

tylko okaże się niezgodnem z wiarą.

Sobór tymczasem zajmował się innemi sprawami; oskarżyciele przerzucali księgę, ażeby wynaleźć w niej jakąś podstawę dla zarzutów swoich, Abelard zaś niedbając więcej o sprawę, wykładał publicznie naukę swoją i wkrótce gorącą wymową i jasnością argumentów, zdobył sobie przychylność ludności, która zrazu bardzo niekorzystnie była o nim uprzedzoną. Tak nadszedł ostatni dzień soboru i nie wiedziano jeszcze, co zrobić z mniemanym heretykiem. Abelard miał w śród prałatów kilku zwolenników i przyjaciół, jego sprawa zresztą była nadzwyczaj prostą, gdyż należało albo wykazać w książce oskarżonej jakieś zdanie heretyczne i dozwolić autorowi obrony, albo też jak inni radzili, odesłać całą sprawę do opactwa Saint-Denis, ażeby Abelard tam wobec światłych mężów wytłumaczył się z zasad swoich. Przeciwnicy jednak na żadne z dwojga przystać nie chcieli, bojąc się wypuścić Abelarda z pod jurysdykcyi swojej, gdyż trudno było złożyć nowe forum, gdzieby oskarżyciel zasiadał jako sędzia, dysputować zaś także nie mieli ochoty, lękając się porażki. Uciekłszy się więc do intryg, nalegali póty na słabego, ambitnego swego arcybiskupa, a ten znowu na legata; legat zaś z wyższością rzymskiej tolerancyi zapatrywał się bardzo obojętnie na spory gallikańskiego duchowieństwa, które podówczas weszły w Rzymie prawie w przysłowie: nareszcie dokazali tyle, że postanowiono spalić książkę niezwłocznie bez sądu, autora zaś zamknąć w klasztorze jakim na wieczne czasy. Droga najdogodniejsza, żeby pozbyć się rywala. Abelard ze swej strony mógł uważać sobór za niebyły, mając za sobą prawo kanoniczne, które dozwala każdemu bronić się oskarżonemu o herezyę, miał także otwartą drogę appelacyi do biskupa swego – że mimo to przyjął upokarzającą propozycyę soboru, nie wymogły zaś pewne na nim prośby przyjaciela biskupa z Chartres, jak raczej nadzieja, którą się łudził niestety, że jeszcze w ostatniej chwili zdoła przemówić i sędziów swoich przekonać. I tak dumny mędrzec, który panował dotąd bez równego sobie nad szkołami Francyi, który zwyciężył wszystkich, co stanęli do walki przeciw niemu, który jaśniał nad całym Zachodem niby gwiazda pierwszego rzędu, staje z pochyloną głową przed sędziami swymi i usłyszawszy wyrok rzuca własnoręcznie książkę swoją w ogień. Żądano potem wyznania wiary. . . Abelard myślał, że nadeszła chwila upragniona, gdzie przemówi, ale oskarżyciele wołali z

+

wszystkiem, iż wystarczy dosłowne powtórzenie symbolu Atanazowego, ku większemu zaś upokorzeniu, jakoby nie umiał go na pamięć, podali mu egzemplarz. Przeczytał wśród łez i szlochań, poczem oddano go opatowi z Saint-Medard, który go odesłał pod strażą do swego klasztoru. Abelard wyszedł ze soboru w rozpaczy, prawie obłąkany. Wiele lat później, gdy pisze „historyą nieszczęść moich", rzuca pióro, nie znalazłszy słów na oddanie bolesnego wstydu i goryczy serca, które pożerały go wtedy. Wszystkie dawniejsze cierpienia swoje uważa za małe, za nic nieznaczące w porównaniu z duchowem poniżeniem, jakie spotkało go naonczas.-

Jego przyjaciel jednak biskup z Chartres, który wymógł na nim ze łzami, że się poddał soborowi, dobrze mu poradził, gdyż upokorzenie było chwilowem tylko, pozornem tylko, a spadło w całości na przeciwników jego. Zaledwo rozeszła się wiadomość o postanowieniu soboru, podniósł się okrzyk zgrozy. Legat ubolewał głośno nad obrotem sprawy, a zajęty więcej polityką, niżeli książkami, złorzeczył zapalczywym sporom dyalektyków, uwolnił czemprędzej Abelarda z więzienia i odesłał do Saint-Denis; najzabawniejszem zaś było, że nikt ze sędziów nie przyznawał się do wyroku, lecz każdy zwalał winę na wspólników swoich.

## 6. Abelard zakłada nową szkołę w klasztorze Parakleta, nowe powodzenie i nowe prześladowanie.-

W opactwie Saint-Denis nie bardzo tęskniono za Abelardem, to też odżyły niebawem spory i niesnaski, gorsze od dawniejszych. Abelard zresztą miał szczególny dar wynajdywania przedmiotów spornych. Wyczytał gdzieś w Bedzie, sławnym podówczas kompilatorze, że Dionizy, członek Areopagu, którego nawrócił Paweł ś. nie był ateńskim biskupem, lecz korynckim; we Francyi zaś wierzono, że założyciel klasztoru i patron królestwa był Areopagitą owym, nawróconym przez Pawła ś. i pierwszym ateńskim biskupem. Skoro więc Areopagita (podług Bedy) nie był biskupem w Atenach, nie mógł być założycielem klasztoru. Abelard udzielił śmiejąc się to odkrycie braciom swoim, ci zaś nic w tem nie widzieli śmiesznego, gdyż chodziło im nadzwyczaj o to, aby święty ich fundator nie był jakimś nieznanym człowiekiem, lecz członkiem sławnego Areopagu; popierali to żywotem świętego napisanym przez jednego z ich opatów Hilduina w wieku IX, który podob-

./.

dobno długo po Grecyi podróżował i mozolnie zebrał materyały do wspomnionéj biografii. Abelard odparł z uśmiechem, że nieznany Hilduin nie może się równać z Bedą, którego powagi uznaje Kościół cały; mnisi oświadczyli na to jednomyślnie, że czcigodny Beda albo się omylił albo skłamał, i z wielkim gniewem pobiegli do opata, powtórzyć mu obrazę, jakiéj się dopuścił złośliwy Abelard na pamięci ich założyciela. Opat widząc przez Abelarda sławę zakładu podkopaną, z czego na zewnątrz wyniknąć mogły skutki nieprzyjemne, cieszyli się zresztą z nadarzonéj pory, ażeby ukarać niewiernego krytyka, ogłosili go plagą klasztoru i nieprzyjacielem państwa. Ten dowodził na próżno, że sam nie nie zdecydował, w téj zawiłéj kwestyi, tylko czyjeś zdanie przytoczył, że zresztą obojętną zupełnie rzeczą, czy patron Francyi i klasztoru założyciel był członkiem Areopagu i ateńskim biskupem, lub nie, skoro i jemu dozwolił Pan Bóg osięgnąć palmę świętości; nic to nie pomogło, osadzono Abelarda w więzieniu, opat zaś pojechał ze skargą do Króla. Zanim jednakże wrócił, więzień szczęśliwie uszedłszy, nie bez pomocy kilku przyjaciół a zapewne ku wielkiéj radości całego zgromadzenia, schronił się do Szampanii, gdzie władał życzliwy mu hrabia Thibaud i tam zamieszkał u jakiegoś przeora, z którym go łączyła przyjaźń ścisła i dawna. Opat domagał się stanowczego powrotu, grożąc ekskommuniką, zmarł jednak na szczęście (19 Lutego r. 1122) a po nim objął berło opactwa sławny Suger, przyjaciel i doradca dwóch królów a rządca królestwa, gdy Ludwik VII. odbywał krucyatę. Do niego udawszy się jeden z wielkich panów dworskich, opiekujący się Abelardem, objawił mu swoje zadziwienie, że klasztor pragnie gwałtem zatrzymać tak nieznośnego czwora i złośliwego człowieka. – Stanęło więc na tém, że Abelardowi pozwolono zamieszkać, gdziekolwiek mu się podoba, byleby nie wstąpił do żadnéj innéj kongregacyi, ażeby honor opactwa był całym. Potwierdził tę umowę sam król i Abelard nareszcie odetchnął.

Podarowano mu niedaleko miasta Troyes nieco łąki i nie uprawnéj ziemi, gdzie osiadł za zezwoleniem biskupa i wystawiwszy Trójcy ś. kapliczkę z trzciny i gałęzi, wiódł życie pustelnicze, mając tylko jednego przy sobie towarzysza. Ustroń ta nie jest zbyt odległą od Paryża: skoro się dowiedziano tam o miejscu, gdzie przebywał filozof-pustelnik, rozpoczęła się nowa do niego piel-

grzymka. Wkrótce kilkaset młodzieży zaludniło ciszę i wzdłuż rzeczki wzniosły się szeregi chat, gdzie mieścili się przyjaciele prawdy. Część z nich uprawiała ziemię, inni poświęcali zapasy swoje na rzecz ogółu, ażeby mistrz kochany, pozbawiony wszelkich środków doczesnych, mógł oddać się swobodnie duchowej pracy. Abelard odżył na nowo, widząc na około siebie młode, zapalone pokolenie, jak opuściwszy miasto i wygody jego, mieścili się w chatach z ziemi, raczej do jam podobnych, jak twardy chleb wiejski i niesmaczne korzenie były im pokarmem a mech i liście posłaniem; wtedy przypominał sobie słowa Ś. Hieronima, gdy dla nauki osiadłszy w odludnym Betleem, powiada o uczniach proroka Elizeusza, że stawiali sobie chatki nad brzegiem Jordanu, a opuściwszy miasto i towarzystwo ludzi, żyli z ziarn tłuczonych i dzikich roślin. Ponieważ zaś nie mogła kapliczka pomieścić tłumów, wybudowano z drzewa i kamieni obszerniejszą świątynię, którą na pamiątkę, że tutaj przybył wygnanym i biednym, Abelard z wdzięczności za odzyskany spokój ducha poświęcił pocieszycielowi, Parakletowi. Zazdrość ożyła na nowo, tajemne donosienia zwracały na niego uwagę wyższego duchowieństwa; korzystano z każdego szczegółu, nawet z dedykacyi świątyni, w której upatrywano niebezpieczną innowacyę, zdaje się bowiem, że nie było wtedy zwyczaju poświęcać kościołów samemu Duchowi Ś. Abelard zrazu nie zważał na pokątne szepty, z dawnym zapałem i dawną genialnością oddawał się wykładom i zarządowi stowarzyszenia, które było jakby miastem filozofów; utrzymywał wśród młodych słuchaczy swoich wzorowy porządek i z niezłomną energią kierował ich pracami. Ale przekonał się niebawem boleśnie, że liczba przeciwników mnoży się z dniem każdym, że najwierniejsi przyjaciele, piastujący wysokie w kościele dostojeństwa, zamilkłszy smutnie, lękali się stawać w jego obronie, słowem, że opinia publiczna stawała się coraz więcej dla niego nieprzychylną.

Skądże przewrót ten nagły? Czyż smutną, nieuniknioną każdej wielkości dolą zestarzeć się z czasem? Abelard sam napomyka ostrożnie o przyczynie zwrotu w opinii publicznej, mówiąc, że dwóch nowych powstało proroków, w których uwierzył świat cały, i że ci go prześladowali. Byli to dwaj święci: Norbert, założyciel Premonstratensów, i nieśmiertelny Bernard z Clairveaux; wykształceni gruntownie, przejęci głęboką, prawdziwą pobożnością, obdarzeni siłą woli, podniesioną do najwyższej abnegacyi, pracowali obaj w jednym celu i na jednej niwie. Ubolewając nad rozwo-

złością życia klasztornego i nad powszechną oziębłością wiary, pragnęli oni wrócić chrześcijaństwu dawną moc i prostotę; głównie zaś zasługą św. Bernarda, że cel ten został osiągniętym. Spotkamy się jeszcze w ciągu opowiadania z tą wielką, wyniosłą postacią i wtedy zatrzymamy się przy niej dłużej; – W tych czasach, gdy Abelard zbierał nowe wieńce sławy, w pustelniczej ustroni swojej pod miastem Troyes, był już Bernard, młodszy od niego, opatem w Clairveaux. Klasztor ten był jego dziełem; albowiem zgorszony łagodnem i wygodnem pożyciem braci zakonnych w Citeaux, wyniósł się do dzikiej, nieuprawnej doliny i tam zawiązał z kilkoma tegoż co on przekonania towarzyszami nową kongregacyę, i tej nadzwyczaj surową przepisał regułę. Clairveaux otoczyło się w ciągu lat kilku sławą niezmierną; wszyscy co gardzili próżnością sporów doczesnych lub światowych nauk marnością, wszyscy co czuli zapał w sobie święty do surowej, przechodzącej prawie ludzkie siły abnegacyi, spieszyli do nowego klasztoru. Ale Clairveaux jest tylko o kilka mil odległem od świątyni Parakleta, gdzie panował Abelard: czyż podobna, żeby dwie tak przeciwne sobie instytucye istniały w zgodzie obok siebie? W Clairveaux ponure zastępy postem i umartwieniami wycieńczonych mnichów, którzy zerwali na zawsze z światem i z mądrością jego; w Paraklecie młodzież wesoła, wolnomyślna, wierząca w nieomylność nauki, pragnąca dochodzić wszystkiego rozumem, kierunek wręcz przeciwny mistycznej pobożności i natchnionym kazaniom Bernarda, który nie taił się wcale z niechęcią swoją do Parakleta. A ponieważ świątobliwy, surowy zakonnik rósł w znaczenie z dniem każdym i porywał coraz więcej tłumy, stał się on niechcący zmorą prawdziwą dla nieszczęśliwego filozofa. Abelard czuł, jak opinia publiczna stygnie coraz więcej dla niego, jak się od niego odwraca; może nie jeden z uczniów opuściwszy go poszedł do Clairveaux lub do paryzkich mistyków, przytem bezustanne szepty złowrogie, jakieś okropne posłuchy, że się gotuje sąd straszny, że Bernard pracuje nad jego upadkiem, nareszcie popadłszy w zupełne duchowe zmitrężenie uczuł się Abelard najnieszczęśliwszym z ludzi; gdziekolwiek zjechało się kilku duchownych, już widział siebie przed soborem, gdziekolwiek toczyła się sprawa kościelna, już myślał, że na niego wyrok zapada: dość, że przepędzał dnie i noce w bezustannym strachu i niewymownych cierpieniach.

./.

7. Abelard opatem w Bretanii, dalsze losy Heloizy; listy kochanków i rozbiór takowych.

W tych chwilach rozpaczy, gdy już zamierzał nawet wynieść się do krajów pogańskich, ażeby tam spokojnie zakończyć życie swoje daleko od chrześcian i od prześladowań, przybywa dziwne poselstwo od mnichów klasztoru Ruys-Saint-Gildas, w głębokiej Bretanii (w dyecezyi Vannes), którzy po śmierci swego opata (około r. 1125) obrali, za zezwoleniem księcia, Abelarda jego następcą. Godność opata była wtedy wielce poszukiwaną, dawała samodzielność i świetne w kościele stanowisko; Abelard w nadziei, że uśmiecha mu się nareszcie port spokojny, przyjął godność ofiarowaną i chcąc nie bez względu, byleby się wydostać z obrębu duszącej atmosfery klasztoru Clairveaux, wyjechał do Bretanii. Kraj ten, wyjąwszy część przytykającą do ujścia Loary, gdzie się urodził Abelard i gdzie przyjęło język i obyczaj romański, był jeszcze pogrążonym w zupełnem barbarzyństwie: języka romańskiego nie rozumiano tam wcale, łaciny także nie wiele, gadano jeszcze w najlepsze po celtycku, a nauki były tam czemś zupełnie nieznanem. Abelard z gruntownem wykształceniem i wykwintnemi zwyczajami przybywa ze środka cywilizacyi do odległego, nad samem morzem na urwisku skały zawieszonego klasztoru, zaludnionego przez trzodę grubiańskich, nieokrzesanych, na wszelką swawolę wyuzdanych mnichów, od samego początku stawiających opór złośliwy wszelkim jego zamiarom. Zakład cały w nędzy, dobra zagrabione przez możnego sąsiada, zakonnicy w poufałych stosunkach z mieszkańcami okolicy, równie dzikiemi, jak oni i również wątpliwej moralności. Zapóźno spostrzegł się Abelard, że niebacznie włożył zbyt wielkie brzemię na słabe barki swoje, i ogarnęła go większa rozpacz, niż przedtem. Wkrótce przekonawszy się, że pracuje na próżno nad przywróceniem porządku, cofnął się w głąb siebie i tylko przebywał z myślą swoją, gdyż nie miał nikogo, z kimby się nią dzielił; książki i pióro stały się jedyną jego pociechą.

Wtedy wśród ciemnej nocy, otaczającej go zewsząd, ukazała się smutna gwiazda, której blaskiem

cieszył się niegdyś za dni szczęścia i młodości swojéj; na wpół zapomniana Heloiza stanęła na nowo w drodze żywota jego, a choć nie mogła nieść mu pomocy, gdyż sama była w utrapieniu wielkiem, przecież wzywając pomocy, zajęła go swoją niedolą, tak iż zapomniał o sobie i o rozpaczy swojéj. Od chwili, gdy przygrodziła się świętym welonem od świata, żyła dla Boga, jak mniemali wszyscy a jak sama mówi, w rozpamiętywaniu ubiegłego szczęścia. — Wykształcenie nadzwyczajne, głęboka pobożność i wzorowe życie, szacunek powszechny który ją otaczał, nareszcie urok cierpienia, opromieniającej jéj przeszłość, wyniosły ją niebawem na matkę przełożoną tegoż klasztoru Argenteuil, gdzie odbyła swój nowicyat. Odtąd snuło się jéj życie nieprzerwaną nicią dobrych uczynków i wielkich poświęceń, ale nagle przerwaném zostało to ciche, anielskie, pełne zasług niewymownych działanie, gdy opat Suger, wyczytawszy gdzieś w starych pargaminach, że niegdyś należał klasztor Argenteuil do Saint-Denis, zabrał takowy przemocą i rozproszył zakonnice. Abelard dowiedział się o wszystkiem na wygnaniu swojém w bretońskiem opactwie. Zadrżał boleśnie, że Heloiza błąka się bez schronienia, i sam biedny, prześladowany, bez stosunków i wpływu, oddał jéj to, co posiadał. Z prawa należało do niego owo ustronie pod miastem Troyes i kościół Parakleta, teraz stał on opuszczony, owe chatki, które mieściły niegdyś w sobie gwarną, wesołą młodzież, zniknęły bez śladu i tylko jeden ubogi duchowny obsługiwał smutną świątynię. Abelard odstąpił ją, bo więcéj nic nie posiadał, wraz z przyległościami Heloizie a ta osiadła w niéj z małém gronem przywiązanych do niéj zakonnic. Papież Innocenty II, bawiąc podówczas we Francyi, potwierdził donacyę, wyniósł ją do godności opactwa, a Heloizę uczynił pierwszą jego matką przełożoną (Bulla tycząca się téj sprawy wygotowaną została 28 listopada r. 1131). Z początku żyły pobożne niewiasty w wielkiém ubóstwie, ale Pocieszyciel czuwający nad świątynią, nie zapomniał o służebnicach swoich. Niewymowna słodycz charakteru i ascetyczna świątobliwość wolna od wszelkiéj goryczy, uczyniły Heloizę wkrótce gwiazdą przewodnią całéj okolicy: lud garnął się zewsząd do niéj, niby do matki opiekuńczéj, wspierał chudobą swoją Pański przybytek, biskupi przychodzili w pomoc radą i czynem, nawet Bernard ś. Dla kłó,

/.

rego imię Parakleta mé miłe wzbudzało wspomnienia, okazywał jéj najserdeczniejsze współczucie i tak ledwo rok minął jeden, gdy samotny, ubogi kościół zamienił się niby cudem w bogate i sławne opactwo. Odtąd nie mógł się już Abelard odłączyć od kongregacyi, któréj los zabezpieczył; po długim wahaniu się, po gwałtownéj walce wewnętrznéj uległszy prośbom zakonnic i napomnieniom przyjaciół, przybywał od czasu do czasu z odległej Bretanii do Parakleta, ażeby udzielać kapłańskiéj pociechy pobożnym niewiastom. Wycieczki te, wśród których jednak rzadko widywał Heloizę i unikał samotnéj z nią rozmowy, stały się dla biednego wygnańca chwilami szczęścia, wśród których zapominał o troskach i zmartwieniach, jakie czekały nań w jego opactwie; spokój ducha wracał mu wśród tych zakonnic, tęskniących za jego słowami, słuchających go jak ojca; z rozmów serdecznych, jakie miewał z niemi, czerpał pociechę, a przedewszystkiem nowe siły, tak mu potrzebne do zadość czynienia trudnym obowiązkom. Ale nawet te krótkie chwile szczęścia, ta niewinna zażyłość zatrute zostały jadem złośliwéj obmowy. Wskutek tego zaprzestał Abelard odwiedzin swoich i pozostał sam wśród dzikich mnichów Bretanii: ostatni port, jaki mu się uśmiechnął, zamknął się przed nim na zawsze. Z rozpaczą woła, że dźwiga na sobie przekleństwo Kaina, gdyż jak on wskazany na wieczne tułactwo. Położenie jego stawało się coraz więcéj rozpaczliwém: mnichy jego buntowały się coraz więcéj... w klasztorze czychała na niego trucizna, wszędzie... w każdym pokarmie i napoju... nawet przy mszy ś. w kielichu... po drogach czatowali najemni mordercy... Na nic się zdała klątwa, którą rzucił na przewodników spisku... na nic opieka samego Ojca ś., którego legat umyślnie przysłany wypędził najburzliwszych: ci co zostali, okazali się jeszcze gorszymi... Wtedy nieszczęśliwy tułacz, otoczony zewsząd sztyletami zbójców uszedł z biedą wielką pod zasłoną hr. Nantes i więcéj już nie zobaczył rozbestwionéj zgrai; ci zresztą cieszyli się że uszedł i pozostawili mu godność opata, którą zachował aż do śmierci [13].

Z razu przyjął ofiarowaną sobie gościnność w

---

[13]. Że pozostał opatem aż do śmierci, o tém świadczy kronika klasztoru, w któréj zapisano pod r. 1141: „Piotr Abélard, opat de Saint-Gildas de Rhuys umiera. Po nim nastąpił opat Wilhelm". Zob. Remusat: Abélard, tom I str. 141 przyp. 1.

zamku hr. Nantesi sam pod wrażeniem gwałtownych wzruszeń, w swojej niepewności o przyszłość, napisał żywot swój, ażeby ulgę sprawić cierpieniom duszy [14]. Książce tej dał napis „historya nieszczęść moich": jest ona pasmem nieprzerwaném niewymownych boleści i udręczeń, przerażających obfitością i niezwykłością swoją, a gdy doszła do rąk Heloizy, stała się powodem listów, które uwieczniły pamięć dwóch kochanków. Listy te oceniono różnie; jeden z najznakomitszych historyków Francyi [15] zauważał, że Heloiza pisze jak kobieta, która kocha niewymownie... a Abelard jak zimny pedant, który wstydzi się przeszłości. Bo też ton listów Abelardowych inny jest od namiętnego stylu Heloizy... ale sądźmy je spokojnie, zimno, jeżeli można pozostać zimnym wobec tragedyi, w której dwa szlachetne serca ponoszą męczarnie, nad które trudno pomyśleć większe na tym świecie... Kilka uwag wstępnych ułatwi nam bolesną ocenę, do któréj, wyznaję szczerze, zabieram się niechętnie.

Kilkanaście lat przeszło, jak rozłączyli się małżonkowie, ażeby zapomnieć na zawsze o świecie; czyż i o sobie zapomnieli? Abelard włożywszy na się szatę zakonnika zerwał z przeszłością. Dłużéj z nią pozostać było niepodobieństwem, a więc wyrzekł się tego, co minęło bezpowrotnie. Ale razy stawa przed nim obraz ubiegłego szczęścia, cofa się przerażony, ażeby snać nie rozdarły się na nowo ledwo zagojone rany i nie pomnożyły cierpień duszy, których przybywało świeżych z dniem każdym. Bolesném jest przejście odżytkowanych uciech i dzikich pragnień do niczém nie zamąconej pogody myśliciela. Czyż tylko jeden Faust przebolał żywot ziemski? Każde stulecie wydało ich tysiące, jeżeli nie równie wielkich, to bez wątpienia równie nieszczęśliwych. Każdy myśliciel, każdy kapłan sztuk pięknych, zanim doszedł do krainy cichéj ideałów, musiał się odłupić ziemi, wspólnéj naszéj matce... zanim stanęli tam, gdzie przezroczéa objektywna kontemplacya ukoi wszelkie troski i wszelkie żądze doczesne, gdzie niewyraźnie tylko

---

[14] Jest to przypuszczenie p. Remusat, bardzo do prawdy podobne. Zob. jego Abélard, tom I. str. 141.

[15] Michelet. Zob. sąd jego o listach kochanków w II tomie str. 296 jego Histoire de France. (Wyd. z. r. 1833).

dochodzi stały, coraz słabszy odgłos ziemskich gwarów... zanim stanęli tam, gdzie stawa tak mało wybranych, musieli wychylić aż do dna kielich ziemskiéj rozkoszy i goryczy ziemskiéj. Słabi nie przebędą próby, zostaną tam, zkąd wzięli swój początek, silni wychodzą z próby odrodzonymi, z promienistém obliczem, ażeby nie upaść więcéj. Takie przeznaczenie wszystkich śmiertelników, i Abelard jemu uległ. Napił się do syta sławy ziemskiéj i ziemskiego szczęścia: był podziwianym jak mało kto, był kochanym jak żaden drugi. Ale był to szczyt doczesności jego; widzieliśmy że zerwał z nią, choć serce jego pękło. Odtąd zwrócił wzrok swój duchowy ku wyżynom idealnéj krainy, gdzie doczesność niczém, gdzie wieczna pogoda rozmyślań, gdzie Prawda najwyższa, niekwita. Ale krainę Prawdy dzieli od doczesności ciemny padół cierpień, w którym zmarniało tak wielu. Abelard przybył go bez szwanku: nie oglądając się za tem, co porzucił, co minęło na zawsze, wzierał się coraz wyżéj do dziedzin czystéj, spokojnéj myśli: boleści niewymowne jeżyły się przed nim na drodze, ale nie wróciły nigdy w tył kroków jego. Gdy zaczął pielgrzymkę, rozkazał Heloizie iść za sobą, ale czyż kobieta zdolną do pielgrzymki takiéj, czyż słabe jéj siły wystarczą na tak długą drogę?

Mężczyzna gdy porzuci świat ten, szuka ulgi w prawdzie, dążąc do Prawdy Najwyższéj; ta wynagrodzi go za ułudy, za fałsz, które mu zatruły doczesność. Kobieta także zdobywa się na tę wielką ofiarę, ona także zrywa z doczesnością, gdy miłość jéj poniosła ranę głęboką... ale jéj pierwiastkiem miłość, jéj prawdą Miłość Najwyższa Wiekuista. A chociaż Prawda Najwyższa i Miłość Najwyższa nie są dwie różne istoty, ino dwie twarze jednej i téj samej Najwyższéj Nieskończonéj Istoty, przecież drogi do nich różne są: ten, co pragnie zbliżyć się do Najwyższéj Prawdy, powinien zapomnieć o przeszłości, bo tam cząstkowe tylko prawdy, tam pełno fałszu i błędników; ale istota która tęskni za połączeniem się z Źródłem Wszelkiej Miłości, nie może wymazać przeszłości z pamięci swojéj, bo tam już miłość była, a chociaż miłość ta niedoskonała, bo ujęta w formę doczesną, przecież samo jéj wspomnienie dodaje sił nowych i dziwnéj wytrwałości. Abelard wielkim jest, że chciał zapomnieć!

na zawsze... bo w jego przeszłości nie było czystej prawdy, było tam wiele ułudy... Heloiza również wielką jest, jeśli nie większą, że pamiętała... bo po tem, co przeszło był przesmak połączenia się z Odwieczną Miłością... I tak szła ona sama, bez pomocy, bez rady... a ten, którego pomocy byłaby wezwała chętnie, był daleko od niej i nie odzywał się. Bo jaką pomoc miał jej nieść ten, który potrzebował wytężenia wszystkich sił bogatego ducha, ażeby zagoić rany serca swego i torować sobie drogę poprzez olbrzymie przeciwieństwa?... Zresztą widział ją przełożoną kwitnącego klasztoru, widział ją czczoną i na pozór niby spokojną; czyż mógł się domyślać, że potrzebuje pomocy od niego, złożonego niemocą ducha?... Ale gdy wygnana z klasztoru błąkała się bez przytułku z zakonnicami swemi, wtedy cała przeszłość stanęła przed oczami tego, który niegdyś był jej wszystkiem i wtedy zapomniał o własnych cierpieniach, ażeby jej los zabezpieczyć. Udało mu się to przedziwnie: klasztor Paraklet, zakwitnął pod rządami Heloizy, biskupi czcili ją, niby siostrę, opaci niby matkę, Abelard widział przyszłość zakładu zapewnioną, pracował zresztą gorliwie nad tą winnicą, udzielając pobożnym niewiastom pomocy kapłańskiej i skarbów wiedzy. Ale gdy zazdrość odżyła na nowo, gdy widział sławę Heloizy zagrożoną, wrócił smutnie ale mężnie do swego klasztoru i bolał w samotności; Heloiza jego nie potrzebowała, tak mniemał, a on już więcej nie mógł jej dopomódz. Stan duszy jego, który oddaliśmy w słabym zarysie, tłumaczy nam, czemu nigdy nie pisał przez lat tyle, do Heloizy, czemu jej unikał starannie i nawet goszcząc w Paraklecie widywał się z nią rzadko, prawie nigdy.

Ale nadaremne zabiegi... to czego unikał starannie przez lat kilkanaście, miało stanąć raz jeszcze przed jego duchem... wszystkie wspomnienia przeszłości miał on przeboleć raz jeszcze. Nieszczęśliwa książka, w której skreślił dzieje żywota swego, doszła do rąk Heloizy: ona przeczytała tę książkę, którą pisało pióro, maczane w żółci i piołunie... małżonek stanął przed nią, blady, zmęczony, z bojaźnią śmierci na czole,... jego krzyk rozpaczy /: którym kończy się księga :/ wstrząsnął całą jej istotą... zapomniała o Bogu i o ślubach swoich... zakonnica stała się kobietą ./.

kochającą... pierś jej nie zdołała tamować dłużej wrzących u-
czuć... milczenie stało się jej okropnem, niepodobnem... przeła-
mała je a owocem tego przerwanego milczenia jest pierwszy list
jej.... kto go przeczytał, nie zapomni go nigdy. Treść jego mniej więcej
taka: gdy przeczytała historyę jego żywota, dawna rozpacz ogar-
nęła ją na nowo, a więc prosi go, by zamówił rany, jakie zadał
jej niechcący.... milczał tak długo, nie pocieszył jej nigdy ani sło-
wem ani listem... powątpiewa więc o szczerości uczuć jego, sko-
ro słów nawet żałuje... a przecież ma prawo do listów jego, mi-
łość jej była zawsze niezmienną, bezwzględną, wypełniła wszyst-
kie jego rozkazy... jeżeli w nagrodę za to nie dostanie się jej
nawet słówko pociechy, to nadaremnem całe jej poświęcenie...
Któż ją wynagrodzi za umartwienia, za pokutę lat tylu?...
Czyż Bóg może? o nie! ona nie spodziewa się niczego od Bo-
ga, bo ona nic nie uczyniła z miłości ku Najwyższemu, tyl-
ko z przywiązania niewymownego do Abelarda... dlatego
zaklina go, by nie milczał dłużej, by jej wrócił obecność swo-
ją jakimbądź sposobem, by jej przesłał słówko pociechy, aby
pokrzepiona wytrwać mogła w służbie Bożej...

Abelard zadrżał boleśnie... przeszłość stanęła
przed nim, żywa, rzeczywista; list rozwinął przed jego wzro-
kiem przerażonym obraz ubiegłego szczęścia, zamglony łzami
Heloizy; tenże głos, co powtarzał niegdyś za dni szczęścia: „tyś
dla mnie wszystkiem," odezwał się na nowo... „tyś jedy-
nym istoty mojej i ducha mego panem," pisze strapiona
kobieta „duch mój, jeżeli z tobą nie jest, nigdzie nie jest, bo
on nie może istnieć bez ciebie!"... I tak wszystko, czem od-
dychał niegdyś, nadzieja i kochanie, szał radości i zniweczenie
szczęścia, a po nich krwawe cierpienia, które lat kilku-
nastu sączyło wielkiemi kroplami bezlitośnie do serca jego,
wszystko to przeżył on, wszystko odbolał na raz... w jednej
chwili... ale przetrwał tę chwilę, mieszczącą w sobie wię-
cej niż sto lat innych śmiertelników... a zmógłszy ją, dał
odpowiedź, spokojną i lśniącą, jak ostygła lawa... on
musiał być spokojnym, jeżeli nie chciał zniweczyć serca,
które żebrało ratunku. Jednakże pod wywalczonym spo-
kojem ukrywa on rzewne przywiązanie brata. Nieza-
pomniawszy, że on kapłanem, zwraca się do niej jako

do siostry swojéj w Chrystusie; powiada, że nie pisał nigdy do niéj, ponieważ uważał rady swoje za niepotrzebne, znając jéj mądrość i pobożność, jéj gorliwość z jaką czuwała nad klasztorem swoim; jeżeli jednak żąda jego pomocy duchownéj i nauki, ażeby lepiéj służyć Bogu, niech napisze, a on jéj nic nie odmówi... Tyle dla zakonnicy; ale nie zapomina o siostrze, niegdyś ukochanéj w świecie, teraz najukochańszéj w Chrystusie... posyła jéj psałterz i prosi o modlitwę... a jeżeli Bóg go odda w ręce nieprzyjaciół, niech każe przenieść jego zwłoki do Paraklety, niech nad grobem jego złączy westchnienie swoje z modlitwami zakonnic; albowiem Bóg nie opiera się nigdy modlitwom kobiety.

List ten nie pocieszył Heloizy: owe słowa, w których przewiduje śmierć swoją i prosi o złożenie zwłok swoich w Paraklecie, przyjęła ją boleśnie; odpycha daleko od siebie myśl tę okropną... „ja bym miała cię przeżyć, ciebie, który jesteś życiem mojem"?... potém wymawia mu gorzko, że on za wysoko ceni kobietę: kobiety były zawsze powodem największych nieszczęść dla rodzaju ludzkiego... on się myli zresztą, on niesłusznie ją chwali... ona nie jest ani dobrą, ani pobożną, ani roztropną, to pozory tylko, Bóg ją sądzi inaczéj... wtedy nieszczęśliwa rozpoczyna spowiedź, na jaką nie zdobyło się nigdy żadne serce niewieście: stylem natchnionym i plastycznym, malującym niekiedy rzeczywistość tak wiernie, że dzisiaj ani zwyczaj ani język nie zezwala na dosłowne poufałych zwierzeń tłumaczenie, odsłania wszystkie duszy swojéj tajniki, wyjawia najskrytsze i najcichsze drganie myśli swojéj... widzimy ją klęczącą przed ołtarzem, łączącą śpiew swój z chórami zakonnic, rozmyślającą nad księgami zakonu, płaczącą samotnie wśród bezsennych nocy... a wśród téj spowiedzi serce odsłania nam się tak wielkie, otwierają się w niém takie głębiny, że wzrok nasz ginie w téj niezmierności... a całą tę niezmierność wypełnia jedno uczucie... dla Boga nie masz tam miejsca, bo Abelard przebywa wszędzie, w najmniejszym zakątku... A jakie wydobywają się głosy z tego serca, jak rażące w wieku XII: mówi np.: więcéj się lękam ciebie obrazić, niż Boga, więcéj pragnę tobie się przypodobać niż Jemu... na twoje rozkazanie zostałam zakonnicą, a nie z miłości ku Niemu...

Odpowiedź Abelarda jest nauką kapłana

po usłyszanej spowiedzi: w tej, która uczyniła tę spowiedź, rozdzierającą serce czytelnika, widzi on tylko oblubienicę Chrystusa, a przemawia do niej jako sługa tegoż Chrystusa. Rozbiera systematycznie wszystkie jej żale, wykazuje ich bezzasadność, tłumaczy jej, że cierpienia zesłane przez Boga koniecznemi są do dostąpienia chrześcijańskiej doskonałości... tylko raz jeden zdradza się z boleścią swoją, błaganiem, by nie wspominała więcej o przeszłości. Heloiza usłuchała jego rozkazu i w trzecim liście po krótkiem oświadczeniu, że posłuszna jego woli nałoży hamulec słowom i nie wspomni nigdy o tém, co minęło bezpowrotnie, przechodzi do kwestyi czysto teologicznej: prosi go o dokładną historyę żeńskich zakonów, o wykład ich praw i przywilejów, nareszcie o nową regułę, lepiej przypadającą do potrzeb zakonnic Parakletu, niż surowe przepisy ś. Benedykta.-

Więcej listów Heloizy nie mamy, nie wiemy nawet, czy napisała więcej; te trzy które nas doszły, zrobiły jej sławę, a sława ta zmieści się w kilku słowach: tylko jedno nią włada uczucie, a tém uczuciem miłość; w niej żyje i nią przejęta się w takim stopniu, że nie zdołała więcej odłączyć siebie od miłości swojej; stożsamiła się z nią, wyrzekła się własnej indywidualności, ażeby zlać się zupełnie z przedmiotem kochania swego;- Potomność uznała to bezwzględne wyrzeczenie się własnej woli, tę wspaniałą bezinteresowność, dochodzącą do ostatnich granic zapomnienia o własnem jestestwie; dlatego wyryło się imię jej głęboko w pamięci narodowej, od sześciu wieków nie wygasła ani jedna z niego litera, jaśnieje dotąd w całości, otoczone aureolą poezyi, jak mało które... A jej małżonek? czyż wyniesiemy Heloizę z ujmą jego sławy?... ona sama odrzuciłaby z pogardą takie wyniesienie. Czyż on zimnym pedantem, jak twierdzi Michelet, że on, kapłan i mędrzec, wyrzekłszy się świata, zastąpił miłość kochanka przywiązaniem brata? czyż on nieczułym, że z jej zbolałego serca wyrywa jedno pociągiem, wszelkie doczesne wspomnienia? że odwraca miłość Heloizy od siebie, do Odwiecznego Oblubieńca, któremu zaślubiła żywot swój? Jeżeli nie zdołał wyleczyć zupełnie zbolałego serca, to mu zwrócił przynajmniej spokojność; jeżeli namiętność nie wygasły, to jednak przecichły na zawsze. Odtąd pozostaje on w najserdeczniejszych stosunkach z Paraklětem: na żądanie Heloizy posłał jej obszerną rozprawę o powstaniu żeńskich zakonów,

./.

oraz starannie wypracowaną regułę dla jéj klasztoru. Nie był to list ostatni: mamy jeszcze kilka późniejszych, już to w całości już to w ułamkach, z których przekonywamy się, że z bratérską troskliwością czuwał nad młodą kongregacyą; posyła tam książki, modlitwy własnego utworu, hymny i teologiczne rozprawy i tak pozostał i nadal duchową głową całego zakładu: zakonnice nazywały go ojcem swoim i panem.

## 8. Abelard na nowo professorem w Paryżu; nowe zatargi, mistycy i Bernard św.

Abelard porzuciwszy klasztor swój, doznawszy przez czas niejakiś gościnności hr. Nantes, udał się (około r. 1136) na nowo do Paryża i tam raz jeszcze wystąpił publicznie na górze s. Genowefy, gdzie niegdyś młodzieńcem będąc okrył się sławą[16]. Nastały

16). Zaświadcza fakt ten Jan z Salisbury, najdowcipniejszy i najwytworniejszy stylista XII stulecia. Ur. w Anglii około r. 1110 kształci się we Francyi, wraca do kraju r. 1151, gdzie trzech z kolei arcybiskupów w Canterbury jest sekretarzem, przyjacielem, i niejako prawą ręką; przy schyłku życia powołano go do Francyi na biskupią stolicę w Chartres, gdzie † 1180. Mistrza swego Abelarda wspomina zawsze z wielką wdzięcznością, mówi on więc w swoim Metalogicus ks. II rozd. 10: Cum primum, adolescens admodum, studiorum causa migrassem in Gallias, anno altero postquam illustris rex Anglorum Henricus, Leo justitiae, rebus excessit humanis, contuli me ad Peripateticum Palatinum, qui tunc in monte s. Genovefae clarus doctor et admirabilis omnibus praesidebat. Ibi ad pedes ejus prima artis hujus rudimenta accepi, et pro modulo ingenioli mei, quidquid excidebat ab ore ejus, tota mentis aviditate excipiebam. Deinde post discessum ejus, qui mihi praeproperus visus est, adhaesi magistro Alberico... Mowa tu o królu Henryku I, trzecim synu Wilhelma Zdobywcy, który panował od r. 1110–1135. Przybył więc Jan z Salisbury do Paryża r. 1136. Co zaś do słów „praeproperus discessus" nie rozumiemy, jakoby Abelard wkrótce potém szkołę swoją zamknął: jak je tłumaczy Charles Remusat w I tomie str. 171 swego „Abélard". Jesteśmy przekonani, że był to odjazd Abelarda na sobór Senoński r. 1140; że do tego czasu bez przerwy wykładał, inaczéj

/.

chwile najszczęśliwsze w jego późniejszem życiu; niebawem odzyskał dawną sławę, a z nią dawne siły: listy uczone do Heloizy i do zakonnic Parakleta, wykończenie obszernych dzieł filozoficznych i teologicznych, wypełniały czas jego i wróciły mu od lat wielu nieznaną swobodę. Była to pogoda zachodzącego słońca, ale już na przeciwległym horyzoncie piętrzą się ciemne chmury, które je zakryją na zawsze.

Wspomnieliśmy już dawniej, gdy w pobliżu miasta Troyes, w murach Parakleta odzyskiwał dawną władzę nad młodzieżą, że już wtedy silny prąd przeciwnej mu opinii nurtował Francyą, i że już wtedy byłby uległ, gdyby los nie był go zaniósł aż nad wybrzeże Bretanii. Opinia ta rosła w siłę, a walka z nią stawała się coraz mniej możliwą, gdyż walka z duchem czasu nadaremna jest. Wspomnieliśmy już, w kim duch ten się uosobił, przytoczyliśmy imiona Ś. Norberta i ś. Bernarda. Ś. Bernard już niegdyś wielce mu był nieprzychylnym, teraz gdy Abelard na nowo dobijał się berła idealnego nad oświatą kraju, Bernard stanowczo wystąpił i stał się głównym sprawcą jego upadku. Powiedziano ztąd wiele złego o Bernardzie i Kościele, który on przedstawiał: wołają, że prześladowano Abelarda i on sam to mówi, ale słowo to bardzo dwuznaczne. Prześladować kogo za mniemania, piękny to frazes, wystarcza żeby wywołać oburzenie i litość wszystkich; ale nie mieszajmy pojęć: co innego prześladować, a co innego pokonać w słusznej walce. Prześladowanie może tylko mieć miejsce przed walką, albo po niej, wśród walki ono nie istnieje. Abelarda prześladowano w istocie, ale niegdyś, gdy na nielegalnym soborze w Soissons uległ zawiści współzawodników; ale wtedy uczyniono mu zadość, całe wyższe duchowieństwo ujęło się za męczennikiem. Od owego czasu upłynęło lat kilkanaście, duch czasu się odmienił, a ci, którzy stawają przeciw niemu, muszą stoczyć bój zacięty, w którym zwykle ulegną, duch wieku przejdzie po nich, zgruchocze ich; nam wolno płakać nad ich losem, ale nie wolno złorzeczyć zwycięzcom. Abelard stoczył bój taki i uległ, czyż dla tego męczennikiem? Bernard Ś. go zwyciężył, czyż dla tego prześladowcą? Ci którzy zwycięztwo

---

trudno sobie wytłumaczyć i niechęć ś. Bernarda i zawziętość soboru, głównie z powodu jego nauczycielskiej działalności powstałą.

Bernarda uważają za straszną winę, zapomnieli snać, że on przebaczył po zwycięztwie.

Ś. Bernard jest najwznioślejszą postacią XII stulecia, jest on ideałem chrześcijańskiej abnegacyi; jego wątłe ciało, wycieńczone postami i bezustannością umartwień, nie istniało prawie, było tylko przejrzystą osłoną wielkiego ducha, który ciągle zewnątrz przybywał czyto w czynach czy w słowach. Wciąż działał albo mówił albo pisał: jego natchnione kazania wzniecały entuzyazm pokuty, namiętność klasztorną, żony ukrywały mężów, siostry braci swoich, gdy święty przechodził przez stolicę, aby nie porzuciwszy domów swoich nie udali się za nim.... Gdy Innocenty II uchodząc z Rzymu przed nieprawnym rywalem, współzawodnikiem, przybywa z małym orszakiem wiernych kardynałów do Francyi, gdy jeszcze nie pewnem, czy możni tego świata oświadczą się za nim lub za rywalem jego, Bernard spieszy sam na spotkanie dostojnego tułacza, wiedzie go w tryumfalnym pochodzie poprzez miasta francuzkie, a lud korząc się przed świętym, wita papieżem tego, którego on broni; potem cesarza i dwóch królów (francuzkiego i angielskiego) sprowadza Bernard do stóp Ojca ś. i nakłania ich do hołdu wierności, nareszcie uzbraja cesarza (Lotara) i razem z nim wiedzie Innocentego do Rzymu.... A później, gdy położenie chrześcian z Ziemi św. staje się z dniem każdym nieznośniejsze, dość jego ognistej wymowy... a dwaj najpotężniejsi mocarze zachodu, cesarz germański i król francuzki przypinają krzyż czerwony i z kwiatem swego rycerstwa idą na odsiecz grobowi świętemu. Na głos Bernarda zważał Zachód cały, jego wychowańcy siedzieli po biskupich stolicach i nawet na tronie papiezkim, z zacisza klasztoru swego kierował on polityką rządów, czuwał nad moralnością i przekonaniami duchowieństwa, nad sprawami i pożyciem wielkich panów, wszystkich ujmował sobie i do siebie przyciągał, najwyższe dostojeństwa odrzucał, kontentując się swojem opactwem i duchowiem berłem nad Zachodem całym. Otóż mąż ten stanął do walki z Abelardem, a walka ta była nieunikniona: Bernard Ś. pielęgnując w sobie skarb niezachwianej wiary, której zawdzięczał natchnienie swoje w mowie, a pewność siebie w czynie, bawił na pogodnych wyżynach wzniosłego mistycyzmu i zatopiony w intuicyi Prawdy Najwyższej spogląda z politowaniem na tych, którzy szukają bezustannie, często bez celu... Uosobieniem takich ludzi Abelard, on nie spoczywał nigdy, on szukał ciągle. Hasło jego brzmi: szukanie jedyną drogą do prawdy, po-

wątpienia jedynym do niej kluczem... Wspaniała maksyma, na niej oparta cała wielkość nasza, cała przyszłość rodzaju ludzkiego; jeżeli własną pracą nie przywłaszczymy sobie prawdy, nie ma ona dla nas wartości, wolimy drogę do niej mozolną, niż prawdę gotową. Szczytną myśl tę wypowiedział Abelard w XII wieku, ale nie była ona nowa, gdyż cały rozwój chrześcijaństwa na niej polega a najwymowniej świadczą długie zastępy Ojców Kościoła, że nie zapominano o niej nigdy. Ale bezwarunkowe szukanie nie zawsze jest na czasie, czasem dobrze, gdy się zatrzyma w szrankach pewnych, a zasługą Bernarda, że tego dokazał. Nie fanatyzm zresztą, lecz dokładna znajomość rzeczy skłoniły go do tego czynu. Posiadał to samo wykształcenie co Abelard, przyswoił sobie wszystko co wówczas przystępnem było dla ludzkiej wiedzy. Abelard był wyższym w dyalektyce, Bernard głębszym w pomysłach; pierwszy na kształt bystrej rzeki unosi wszystko, cokolwiek napotkał w biegu; drugi podobny do spokojnego jeziora, którego dna nikt nie zgłębił. Abelard w ciągłej walce, w ciągłych dysputach, wyrzucał na wsze strony nowe codzień dowody, niby błyszczące rakiety, a nazajutrz o nich zapomniawszy szukał innych. Znamy te walki scholastyków, cała polemika Abelarda wydobytą została na jaw staraniem Cousin'a... ale w tej polemice często chwytano się za słowa, często subtelnością ledwo zrozumiałych abstrakcyi odurzano raczej przeciwników, niż przekonywano.

Cóż więc dziwnego, że głęboki, kontemplacyjny duch Bernarda zbrzydził sobie tę szermierkę języków, że wolał rozpamiętywać prawdę, niżeli naprożno o niej rozprawiać. Dokąd zresztą miały doprowadzić te spory? Abelard szukał!... ale wybierającym się w drogę potrzeba zapasów, a gdy się wyczerpią, radzi ostrożność zaczekać, aż nie nadejdą świeże, inaczej pomrzemy marnie, nic nie zrobiwszy. A jakie to zapasy brali z sobą w drogę dyalektycy? Kilka stronnie wyrwanych z Arystotelesa, kilka logiczno-grammatycznych wiadomości: one miały starczyć na wszystko. Duch jeden znakomity wydobył z tych szczupłych zasobów świetną syntezę, syntezą tą jest system filozoficzno-teologiczny S. Anzelma; można było niektóre jego szczegóły zaczepić, inne obszerniej rozprowadzić lub głębiej wydrążyć, ale chcieć dalej zajść, jak zaszedł Anzelm S. ze zasobami XII wieku, było szaleństwem. To też Abelard mimo genialnego rwania się naprzód nie zdobył się na żadną nową syntezę, bo synteza jest składem czegoś, a tego „coś" nie było;

Zamiary jego wielkie, osobiste przymioty również wielkie, ale nie wsparty żadną realną, przedmiotową nauką, kusił się na próżno o urzeczywistnienie olbrzymich zamiarów. Czytamy np. w przedmowie jednego z jego dzieł, że tekst Pisma ś. zepsutym jest, że wiele dzieł apokryficznych podsunięto pierwszym chrześcijańskim myślicielom, że w Ojcach Kościoła pełno myśli, wziętych z pogańskich filozofów, nie zasługujących zatem na bezwzględną wiarę. Zaiste czyn wielki, rzucać w ciemnem barbarzyńskiem stuleciu problemy, które poruszają dzisiaj do głębi cały świat uczony, ale jest to wielkość szaleństwa. Dzisiaj gdy posiadamy Pismo ś. w oryginale a obok niego stosy źródeł tyczących się początków chrześcijaństwa; gdy mamy na zawołanie nasze wszelkie języki Wschodu, gdy wytężona praca historyków i archeologów przygotowała materyał nieprzejrzany, stoimy wobec tych samych problemów i wyznajemy smutnie, że wypadnie odkryć jeszcze wiele ogniw pośrednich, wiele dat pomocniczych i faktów, zanim choć w części rozwiążemy te zawiłe kwestye. A wtedy? gdy zamiast pierwowzoru miano tylko przekłady a pomocniczych zasobów prawie żadnych? Posługiwano się tylko jedną bronią, subtelną dyalektyką. Ale wystawmy sobie tę subtelną dyalektykę, jak bez żadnych dań objektywnych rzuca się na tekst, którego pierwowzoru wcale nie zna, a odgadniemy łatwo potworne kombinacye, dowolne przekręcenia, które musiały być takiego postępowania niechybnym wynikiem. Jest to więc Francyi chwała nie mała, że w wieku XII gdy szczupłe zasoby wiedzy zupełnie już były strawione, gdy już nie można było budować dalej, ino burzyć, powstała wielka szkoła paryzkich mistyków, która ze wstrętem odwróciwszy się od logicznych formalności, zastanawiając się nad wewnętrzną istotą człowieka i nad ideą Boga, przekazaną w chrześciańskiej tradycyi, chciała zdobyć się na system nowy, na nową syntezę coby zadowolniła ludzkość, zmęczoną bezustannem szukaniem. Prawda, że ta szkoła ś. Wiktora, jak zwykle się nazywa, nie jest wolną od błędnych jednostronności, wyznajemy to otwarcie, albowiem walka przeciw przesadnej jednostronności rodzi zwykle jednostronność nową i tak ubolewać można słusznie nad niektóremi zdaniami, co powstały w łonie tej szkoły, np. że rozum nie zdoła objąć prawdy bezwzględnej, że mistyczna kontemplacya wyżej stoi i więcej nam odsłania od rozumu; nie przeczymy nareszcie, że i Bernard ś. czasem jednostronny, bo któż nim nie był wtedy? w owej

./.

spoce stromych przeciwieństw? I tak twierdzi np., że wszelkie rozumowanie nie zmierzające do zbawienia duszy naszej, jest nie tylko niepotrzebnem, lecz nawet niebezpiecznem; ale jednostronne te mniemania zastarzywszy się dobrze w rozwoju chrześcijańskiej oświaty, zniknęły później bez szkody przy dalszym postępie ludzkości. 17).

---

17). Sąd nasz wyda się niejednemu bardzo dziwnym: zwykle mistyków nazywają zapaleńcami, którzy albo wprost szkodzili filozofii, albo pozostali zupełnie poza jej rozwojem. A przecież mistycyzm towarzyszy uporczywie dziejom filozofii, jest więc wynikiem naszych potrzeb duchowych. Ale razy szkół kilka również silnych ze sobą walczy a końca walki zdaje się nierozstrzygniętym, tyle razy mistycyzm i sceptycyzm domagają się nawzajem praw swoich. Gdy bowiem kilku również zdolnych myślicieli się sprzecza a załatwić swego sporu nie mogą, wtedy człowiek zwyczajny, któremu wszelka zawiłość wydaje się arcy-prostą wszelka trudność arcy-łatwą, zawyrokuje, że nic pewnego o całej rzeczy wiedzieć nie można; człowiek zaś wyższy, trawiony miłością prawdy, cofa się w siebie i szuka jej wewnątrz siebie; wtedy oderwawszy się od świata, zagrodziwszy sobie drogę zmysłów, ogranicza się nieraz na doświadczeniu wewnętrznem; drogę zaś do niego upatruje w kontemplacyi. — Dotychczas nie wynaleziono na tej drodze żadnej nowej prawdy, ale nieraz udało się mistykom za pomocą uporczywej kontemplacyi wdrożyć się głębiej w znane już prawdy i lepiej pojąć ich prawdziwą istotę; ponieważ zaś do ustawnej kontemplacyi łączyli ogień niezachwianej prawdy i siłę wyobraźni, nagromadzili oni w dziełach swoich wiele ożywczego ciepła, którem pokrzepił się niejeden z włoskich filozofów późniejszych. Z aleksandryjskich mistyków np. czerpali w IX wieku wielki Szkot Erygena a w XV i XVI stuleciu niejeden z włoskich platoników; z germańskich mistyków czerpała pełnemi dłońmi nowsza niemiecka filozofia, a przed innymi Szelling. Dla tego mają potomni dla mistyków szacunek niemały, a często nawet niewymowną sympatyę; dla wątpicieli zaś ex professo najczęściej nieograniczoną pogardę, gdyż zimno od nich wionące zmroziło wiele młodych kwiatów, wiele pięknych nadziei.... Szkoła paryzka Ś. Wiktora tak się nazywa od klasztoru pod Paryżem, gdzie uczył znany już czytelnikom Wilhelm z Champeaux. Głównym jej założycielem

./.

Mistycyzm więc panujący wtedy w szkole św. Wiktora w Paryżu i reforma Bernarda, przedsięwzięta w obrębie życia zakonnego, oparły się wspólnie dowolnym interpretacyom Pisma ś. i objaśnianiu teologii za pomocą Dyalektyki. Nie przeczymy, że do tych wspomnianych przeciwników przyłączyli się wszyscy ci, którzy trawieni zazdrością lub chęcią zysku, nie mogli znieść blasku Abelardowej sławy; ale każda najświętsza nawet sprawa liczy pośród żołnierzy swoich nie mały zastęp egoistów, popierających ją wyłącznie dla widoków osobistych. Ale wtedy nie spada wina na przewódzców, oni nie mogą znać skrytej intencyi każdego ze swoich walczących. Tak się i teraz stało. Ledwo zachodzące słońce Abelardowego imienia opromieniło raz jeszcze wzgórze św. Genofewy, powstali wszyscy lękający się zapomnienia i nicości obok potężnego Dyalektyka i spiknęli się na jego zgubę. Stosunki jego z ś. Bernardem były zimne, ale grzeczne; mniejsze nieporozumienia np. co do różnych odmian zaprowadzonych w liturgii Parakleta a których Bernard nie pochwalał, załatwiono uczonemi listami 18.) Heloiza zresztą, czuwała nad małżonkiem swoim a używając nad-

---

Hugo a S. Victore (1079–1141), przyjaciel ś. Bernarda. Powiada on w głównem swojim dziele „De sacramentis" lib I. po 10. c. 1. anima... acceperat oculum, quo extra se mundum videret, et ea quae in mundo erant: et hic erat oculus carnis. Alium oculum acceperat, quo se ipsam videret, et ea, quae in ipsa erant: hic est oculus rationis. Alium rursus oculum acceperat, quo intra se Deum videret et ea, quae i Deo erant: et hic est oculus contemplationis. Także de mod. dic. et medit. w rozdz. 8. Tres sunt animae rationalis visiones: cogitatio, meditatio et contemplatio... Contemplatio est vivacitas illa intelligentiae, quae cuncta in palam habens manifesta visione comprehendit, et ita quodammodo id, quod meditatio quaerit, contemplatio possidet... Po nim zarządzał szkołą Ryszard a s. Victore który †1173; cała ta szkoła badając wewnętrzny stan duszy, położyła, jak na owe czasy, niemałe zasługi o psychologię, w tem zaś ona wyższą od ówczesnych dyalektyków, że jakkolwiek treść swoich rozmyślań wydobywała w większej części z gorącej wyobraźni, zawsze rozporządzała treścią jakąś, podczas gdy dyalektycy, utkwiwszy w obumarłym formaliźmie, prawie żadnej nie mieli treści duchowej.–

18). Zob. Abelarda epist. V. do ś. Bernarda i jego sermon XIII. ś. Bernard przybywszy w odwiedziny do Parakleta, zadziwił się nie mało, że zakonnice odmawiając Modlitwę Pańską, proszą o „chleb nadistotny"; mającą tę

y.

zwyczajnego szacunku u ś. Bernarda, zaszczycana jego listami i odwiedzinami, łagodziła niechęć jego. Mimo to zbliżała się katastrofa szybkiemi kroki.

Abelard podawał metodę a uczniowie zastosowywali ją bezwzględnie; ale takie bezwarunkowe przeprowadzenie śmiałej nader metody musiało pociągnąć za sobą skutki niebezpieczne. Wolność i niezależność myśli, której bronił nauczyciel, stała się w uczniach samowolą niepopartą żadnemi naukowemi zasobami a samowola ta zagrażała wszystkiemu: jednym z uczniów Abelardowych był Arnold z Brescyi, który wichrzył po Włoszech przeciw władzy papieża i wpływowi duchowieństwa [19]; wygnany z Włoch wrócił do swego mistrza do Paryża, a zapaleńców takich

---

różnicę znachodzącą się już w Piśmie św. zaprowadził Abelard do liturgii klasztoru. W Wulgacie bowiem czytamy u Łukasza XI 3. panem quotidianum a u Mateusza VI 11. panem supersubstantialem. Abelard utrzymywał, że Mateusz zasługuje na większą wiarę, gdyż nauczył się modlitwy od samego Chrystusa Pana, podczas gdy Łukasz takową usłyszał od św. Pawła. Nie wiemy, co spowodowało św. Hieronima tłumaczyć ten sam wyraz grecki w dwojaki sposób. Możnaby twierdzić, że pochodzi od , istota, substancya, i że ukrywa w sobie głęboki sens metafizyczny; przecież wyraz ten greckiej filozofii zupełnie nieznany, jest prawdopodobnie płodem barbarzyńskich grecko-azyjskich narzeczy, w których jednem napisano Nowy Testament. Pochodzi wtedy od „dzień nadchodzący" i prawdopodobnie znaczy to samo, co rzymskie quotidianus.

19) Arnoldo di Brescia w 1100 r. powstawał przeciw bogactwom duchowieństwa a później i przeciw świeckiej władzy papieża; wywoławszy wielkie zaburzenie w północnych Włoszech, schronił się do Francyi i z tamtąd przeniósł się później do Szwajcaryi. Jakkolwiek potępiony r. 1139 na soborze lateraneńskim, opanował jednak Rzym już w r. 1144 i przywrócił starodawną rzecz pospolitą ze senatem i innemi klasycznemi formami, co było jego ulubioną utopią. Cień ten wywołanej z grobu rzymskiej rzeczypospolitej podtrzymywał z niezmiernym fanatyzmem i zaparciem się siebie przez lat 10, aż pokonany przez cesarza Fryderyka Rudobrodę, spalony został żywcem w zamku św. Anioła na rozkaz Adryana IV. Co do stosunków jego z Abelardem, bardzo zresztą niepewnych, jedyne prawie świadectwo stanowią listy św. Bernarda, trudno jednak nie dawać wiary znakomitemu ich i szlachetnemu autorowi.

było bezwątpienia więcej na górze ś. Genowefy; obecność ich i śmiałe prowokacye służyły za pretekst wyborny wszystkim tym, którzy prześladowali Abelarda dla celów osobistych, a zasmucały niemniej i niepokoiły Bernarda i mistyków, oraz wszystkich mężów szlachetnych, którzy pragnęli wrócić Kościołowi hart i świetność dawną. Przyjaciele zaś Abelardowi choć piastowali wysokie dostojeństwa w kościelnej hierarchii, bronić go nie mogli, nie chcąc narażać się Bernardowi; i tak nie mógł Abelard na nikogo liczyć w chwili niebezpieczeństwa, chyba na uczniów swoich młodych, krzykliwych, nie mających ani wpływu ani znaczenia.

## 9. Abelard potępiony powtórnie na soborze w Sens, jego tułactwo, schronienie się do Cluni i śmierć. Ostatnie chwile Heloizy. –

Przed burzą nastała cisza złowroga. Bernard odebrał od niejakiegoś Wilhelma, mnicha z Citeaux, list wytykający szkodliwe innowacye Abelarda i wykazujący aż trzynaście zdań heretyckich w dziełach jego. Bernard choć o wszystkich tych zarzutach wiedział od dawna, zajęty wówczas nie mało publicznemi sprawami Kościoła, nie mając zresztą żadnej ochoty rzecz całą uczynić nader głośną, odpisał pobożnemu donosicielowi bardzo sucho, że weźmie rzecz całą pod rozwagę [20]. Gdy jednak tenże bez wątpienia częściej nalegał, Bernard zobaczył się kilka razy z Abelardem pragnąc załatwić sprawę całą w sposób poufny i przyjacielski; on bowiem walczył tylko przeciw zasadom, osoby zaś chętnie oszczędzał. Gdy jednakże schadzki te nie doprowadziły do żadnych skutków stanowczych, a zapał uczniów coraz więcej działał nawet pozór zgody, gdy stronnicy obu obozów miotali coraz częściej i z coraz większą zapamiętałością na siebie obelgi, stary Abelard dał się porwać wojennej wrzawie. Dumny i niezłomny jak niegdyś za dni młodości, wystąpił sam do boju nazywając przeciwników swoich złośliwcami i ludźmi bez mózgu. Wtedy i Bernard zapłonął świętym gniewem i również cierpko odpowiadał.

Abelard nareszcie znudzony zarzutami i obelgami, które miotały na się obydwa obozy, a które nie załatwiając sprawy takową pogorszały, postanowił rzecz całą zakończyć po rycersku.

---

20). List Wilhelma ze Saint-Thierry, którego Bernard dosyć lubił, był wystosowany do Bernarda i do biskupa Geoffroi z Chartres, przyjaciela Abelardowego i obrońcy na soborze w Soissons. Biskup ten zdaje się nic nie odpisał i w całej sprawie zachował się neutralnym.

/.

Na Zielone Świątki r. 1140. Król Ludwik VII chciał pielgrzymkę odbyć do miasta Sens, ażeby pomodlić się u grobu męczenników, których tamże przechowywano relikwie. Gdy w skutek tego zaprosił arcybiskup Senonów do stolicy swojej nader liczne grono prałatów, ażeby uczcić obecność króla, Abelard podał do niego, jako do metropolity paryzkiej dyecezyi prośbę, ażeby zamienić przypadkowy zjazd duchowieństwa w sobór, przed którymby wyłożył mniemania swoje i oczyścił się z zarzutów, zewsząd jemu czynionych. Arcybiskup, któremu dostawał się zaszczyt niespodziany prezydowania soborowi, przyjął prośbę łaskawie i zaprosił opata z Clairvaux, ażeby z Abelardem rozprawił się przed soborem. Bernard z razu oświadczył, że nie świadomy dyalektyki nie może się mierzyć z Abelardem, który wprawiał się do niej od dzieciństwa, że nie godzi się wystawiać istoty wiary na szwank ludzkich rozumowań, że do potępienia Abelarda wystarczają dzieła jego, że nareszcie stanowić o dogmatach nie jest rzeczą zakonnika, lecz biskupów [21]. Jednakże równocześnie zachęcał biskupów, ażeby nie zaniedbali sprawy i stanęli w obronie wiary [22].

Abelard znowu rozgłaszał, że stanie w szrankach ze samym Bernardem, że walka z nim będzie niejako sądem Bożym, a wynik walki okaże po której stronie prawda. Wybierano się więc zewsząd na tak niezwykłe widowisko. Bernard także uległ przyjaciołom, choć niechętnie i pojechał, smutny i nieprzygotowany, jak sam powiada [23]. W obecności króla i dworu, w świetnej asystencyi znakomitych prałatów i pierwszych biskupów Francyi otworzył arcybiskup Senonów (miasta Sens) z nadzwyczajnym przepychem sobór 3 czerwca 1140 r. Wśród uroczystej ciszy, pełnej uczuć złowrogich, ukazał się Abelard: chód jego jak zawsze wspaniały, postawa wyniosła, na twarzy cierpienia długich lat nie zatarły jeszcze ostatnich śladów piękności:

---

21). Bernardi epistol. 189. Abnui, tum quia puer sum, et ille vir bellator ab adolescentia, tum quia judicarem indignum rationem fidei humanis committi ratiunculis agitandam... Dicebam sufficere scripta ejus ad accusandum eum.

22). Bernardi epist. 187 ad episcopos senonas convocandos.

23). Bernardi epist. 189. Zob. także żywot św. Bernarda napisany przez sekretarza jego, Geoffroj, zakonnika, który niegdyś sam był uczniem Abelarda.

tak stanął zamyślony w środku kościoła. Naprzeciw na kazalnicy Bernard ś. blady i chwiejny, oskarżał go przed soborem; w ręku trzymał dzieła jego i siedmnaście zdań z nich wyjętych, oznaczonych piętnem herezyi; gdy jednak na rozkaz jego przystąpiono do czytania tychże, Abelard oświadczył wbrew oczekiwaniu wszystkich, że nie uznaje powagi soboru i że apeluje do głowy kościoła, poczem wyszedł. — Nastało ogólne zdumienie; nikt nie spodziewał się takiego końca: nie wiedziano co począć. Co spowodowało Abelarda do takiego kroku, trudno dzisiaj odgadnąć; ponieważ akta soboru zaginęły, znamy przebieg jego tylko z listów ś. Bernarda i z relacyi biskupów posłanej do Rzymu. Najprawdopodobniej ulękł się Abelard zgromadzenia, gdyż je zastał innem niż się spodziewał; nie przybył jako oskarżony, gdyż go nie wzywano, lecz żeby dysputować; ale gdy w miejsce zwyczajnej dysputy usłyszał oskarżenie z ust świętego męża, któremu król i zgromadzenie podlegali bezwzględnie, przypomniał sobie chwilę owę, gdy przed laty dziewiętnastu stanął z głową spuszczoną, niby winowajca przed duchownym sądem i nawet do słowa go nie dopuszczono; przekonany więc, że mimo najświetniejszej obrony zapadnie wyrok po myśli Bernarda, że o zwycięztwie mowy być nie może, gdyż zamiast niewinnego pojedynku na słowa ujrzał się przed sądem, wolał uniknąć nowego upokorzenia i poddać się Rzymowi, gdzie się spodziewał sędziów łagodnych i bezstronnych.

Po długiem wahaniu się wydał sobor wyrok: Abelarda puszczono wolnym, gdyż należał odtąd do apostolskiej stolicy, ale zdania jego znane od dawna publicznie, potępiono jako heretyczne. O wszystkiem zaś spisano relacyę, którą przesłano Ojcu ś. z prośbą, aby potwierdził wyrok biskupów, zakazał Abelardowi nauczać publicznie a dzieła jego przeznaczył do zatracenia. Wyrok bardzo łagodny, jeżeli rozważymy straszne słowa, któremi potępiono jego naukę; bliżej jednak rozpatrując się w czternastu zdaniach, które z liczby siedmnastu oskarżonych potępiono, musimy wyznać, że wyrwane z wszelkiego związku wydają się daleko gorszemi niż w ciągu tekstu, że nie masz żadnego z pomiędzy nich, któreby nie dało się wytłumaczyć w jakiś sposób zgodny z wiarą, że nareszcie sam Abelard kilkakrotnie oświadczył, iż wszystko, co się okaże mylnem, chętnie poprawi; zważywszy dalej, że wśród członków soboru było wielu mu niechętnych: dochodzimy do wniosku, że jednym

chodziło więcej o szkołę, o nauczycielską działalność Abelarda, niż o naukę samą, a drugim więcej o jego znienawidzoną osobistość, niż o myśli jego; zdania prawie te same tolerowano chętnie w innych, wielkich doktorach Kościoła. Wyrok zaś dogodził i osobistym nieprzyjaciołom Abelarda i wszystkim tym, którzy lękali się dla Kościoła niebezpiecznych następstw z bezwarunkowego przeprowadzenia śmiałej jego metody. 24). Gdy osiągnięto jedno i drugie, więcej go nie prześladowano.

Abelard schwyciwszy za laskę pielgrzyma, rozpoczął mozolną do Włoch wędrówkę, ażeby szukać opieki w cieniu świętej stolicy; tymczasem stronnicy jego bronili go, choć w części bardzo niezgrabnie;

---

24). Różne zdania Abelarda, oskarżone o herezyę, znajdzie czytelnik w następnym §, gdzie zastanowi się nad ważniejszemi z nich nieco obszerniej. Sąd zaś, jaki wydaliśmy o powodach potępienia Abelarda, polega na następujących szczegółach: Abelard nie odwołał nigdy specyalnie zdań obydwu, wyłuszczonych w aktach oskarżenia; znajdują się w pismach jego, a wiemy, że pracował nad niemi aż do śmierci swojej i to pod okiem świętobliwych zakonników, którym zasady swoje rozwijał w rozmowach i kazaniach. Pogodził się także z św. Bernardem, a podstawą zgody była apologia, którą posiadamy jeszcze; otóż oświadcza w niej, że nie zboczył nigdy od nauki Kościoła, że zdania jego często tłumaczono fałszywie, często sądzono z przesadnej formy, nadanej im przez uczniów zbyt nieoględnych, w czem widzi złośliwy postęp przeciwników lub też lekkomyślną nieznajomość rzeczy. Każde zaś ze zdań swoich uważał za zgodne z prawdziwą nauką Kościoła. Bernard św. przeczytawszy apologię był z niej zadowolniony, pozostali odtąd w zgodzie aż do śmierci. Fakt ten świadczy najwymowniej, że Bernard św. uważał głównie metodę śmiałego dyalektyka za niebezpieczną a nawet za zgubną w ręku zapalonych niedoświadczonych uczniów. Zresztą światlejsi późniejszych czasów teologowie nie mają Abelarda za heretyka. Mabillon np. wydawca dzieł św. Bernarda powiada w przedmowie (§ 5): nolumus Abelardum haereticum; sufficit pro Bernardi causa, eum fuisse in quibusdam errantem; quod Abelardus non diffitetur. Wiemy że Abelard przez całe życie swoje nigdy nie zaprzeczył, że się często myli, bo któryż rozsądny człowiek postąpi sobie inaczej... Inny zwolennik św. Bernarda, ks. Ratisbonne, uznaje w Abelardzie un respect sincère pour l'église et une foi vive et docile; zob. jego Histoire de Saint Bernard, tom II str. 24. Nareszcie O. Alexander Noël powiada w Histor.

/.

jeden z nich, Berengar z Poitiers, napisał nawet pamflet dość obszerny, w którym miota rubaszne obelgi na ś. Bernarda i na sobór cały: przeciwnicy odpowiadali również rubasznie, również zjadliwie. Przecież cała ta polemika niepokojąca umysły, nie miała celu, gdyż wyrok ostateczny zależał od usposobienia rzymskiéj kuryi. Wszyscy wyglądali zarówno jéj decyzyi. Abelard miał przyjaciół kilku w gronie kardynałów, ale Bernard miał prawo do całkowitéj wdzięczności Rzymu za niezmiernych zasług oddanych chrześcianistwu i dla załatwienia schyzmy, powstałéj przez obór dwóch papieży. Chociaż zresztą stolica apostolska po zimniejszej rozwadze nie uważałaby nauk Abelardowych za nadzwyczaj niebezpieczne, nie mogła jednak poświęcić całego francuzkiego duchowieństwa ambicyi jednego człowieka. Odstraszały ją zresztą agitacye Arnolda wymierzone przeciw istniejącemu porządkowi politycznemu i społecznemu we Włoszech, a którego imię czytało się zawsze obok imienia Abelarda w listach św. Bernarda. Wszystko to rozważywszy przychyliła się kurya rzymska do decyzyi biskupów, zapadłéj na soborze w Sens i w skutek tego ukazał się reskrypt Innocentego II, datowany z Lateranu pod dniem 16 lipca tegoż roku, który ogłasza naukę Abelarda za niezgodną z wiarą, nakazuje mu na przyszłość milczenie a zwolennikom jego zagraża ekskomuniką. Forma reskryptu jest godną i umiarkowaną. Równocześnie nadszedł tajny rozkaz w kilku słowach na ręce ś. Bernarda, ażeby Abelarda i Arnolda z Brescyi zamknąć w oddzielnych klasztorach. Arnolda przenoszącego się z miejsca na miejsce było trudno dostać, czekało zresztą na niego smutne przeznaczenie, rozniecić w ojczyźnie wojnę domową i poświęcić spokojność Rzymu politycznym swoim utopiom; co do Abelarda nie miał wcale Bernard ś. zamiaru korzystać z tajnego pełnomocnictwa, które mu nadano, gdyż w anielskiéj swojéj dobroci walczył tylko przeciw zasadom, gdy je uważał za niebez-

---

Eccles. tom VI str. 787: non est censendus hereticus, nusquam errores suos pertinaciter propugnatio. Tak łagodnie sądzą o dogmatycznych mniemaniach Abelarda światli duchowni, po części gorący wielbiciele św. Bernarda; żeby więc pojąć zawziętość soboru przeciw nieszczęśliwemu myślicielowi, należy główny powód potępienia szukać w bojaźni prałatów, aby metoda Abelarda nie obróciła się z czasem na szkodę wiary, a poboczne powody w osobistéj zazdrości kilku rywalów, jak to wyżéj wskazaliśmy.

pieczne, a zasad wyznawców oszczędzał podług możności.—

Abelard nie wiedząc o tém, że wyrok jego już w rękach ś. Bernarda, odbywał dalej podróż do Rzymu; pewnego razu za zbliżeniem się nocy wstąpił do klasztoru nad drogą, było to sławne Cluni, z którém podanie łączy imię jednego z naszych królów. Bogaty zakład ten, obfitujący we wszelkie naukowe zasoby i wszelkie wygody życia, wystawiany nieraz na zaczepki ś. Bernarda i zwolenników surowszej zakonnej reguły, kwitnął wtedy pod opatem Piotrem, któremu przyznano za powszechną zgodą tytuł „czcigodnego" (venerabilis) 25). Był on uosobioną łagodnością; gdy Bernard ś. zbyt surowe stawiał żądania, on z dobrotliwym odpierał uśmiechem, że reguła ś. Benedykta powinna ustąpić powszechnej regule miłosierdzia. Mimo to dwaj ci świątobliwi mężowie, choć różnego charakteru i zasad różnych, żyli ze sobą w ścisłej przyjaźni opartej na niezmiennym wzajemnym szacunku. Do Cluni więc zapukał biedny tułacz, skołatany chorobą i latami, prosząc o noclegi posilenie. Na uprzejme prośby opata zatrzymał się dni kilka, aby pokrzepić się do trudów dalszej podróży: wtem przybył Rajnard opat z Citeaux, który w imieniu Bernarda ofiarował zgodę. Piotr połączył

---

25). Cluni (Cluny) opactwo Benedyktynów, założone w X wieku, o mil kilka od miasta Macon (nad Saoną); sławne Citeaux było jego córką, a Clairvaux, że tak powiem, jego wnuczką. Opat miał z razu „opata opatów" od r. 1126, kiedy na soborze w Rzymie przyznano ten tytuł naczelnikowi klasztoru Monte-Cassino, przełożony kluniacki zwał się względnie arcy-opatem, jak u nas tyniecki. W r. 1770 należało do opactwa tego 600 beneficyów i 2000 klasztorów w Europie. W roku 1790 zakon zniesiono. Piotr „Czcigodny" pochodzący z starożytnej i znacznej rodziny w Auvergne, odznaczył się również wielką nauką jak pobożnością. Zostawił różne rozprawy i listy teologiczne; podobno kazał sporządzić tłumaczenie Koranu. Z listów jego zajmują nas głównie trzy: jeden do Innocentego II, w którym prosi Ojca św., by dozwolił Abelardowi pozostać w Cluni; drugie dwa do Heloizy, z których pierwszy po bardzo długich i wyszukanych komplementach zawiera w końcu opis ostatnich chwil filozofa, drugi dołączony do absolucyi, przeznaczonej na grób Abelarda, jako tenże umarł pod błogosławieństwem Kościoła. Z listów Heloizy do Piotra mamy tylko

./.

prośby swoje z przedstawieniami pełnomocnika i Abelard się poddał. Dowiedział się zapewne od nich, że wyrok już zapadł w Rzymie, że już w ręku Bernarda, który z niego nie korzystał wspaniałomyślności swojéj, złamany zresztą cierpieniami ducha i chorobą ciała, znękany prześladowaniem, oczarowany poważną a przytém uroczą i wesołą ustronią opactwa Cluni i niewymowną łagodnością świątobliwego Piotra, oświadczył co już tyle razy uczynił, że odwołuje wszystkie zdania mylne i niezgodne z wiarą, poczem napisawszy apologią, lub raczej wyznanie wiary, pojechał do Clairvaux. S. Bernard nie stawiał żadnych trudności i zadowolnił się apologią [26]; Abelard znowu nigdy nie miał zamiaru wyłamać się z pod powagi Kościoła i tak zgoda doszła do skutku z łatwością. Postanowił potém Abelard przepędzić resztę dni swoich w Cluni, na co Innocenty II chętnie zezwolił; odtąd filozof porzuciwszy marne szkolne dysputy i wrzawę ambitnego świata, żył jedynie rozmyślaniom i naukom. Chociaż posiadał godność opata i miał prawo do pierwszego miejsca po zwierzchniku klasztoru, ukrywał się wśród ostatnich nie dbając już o żadne względy; czas swój dzielił między kazania dla braci zakonników i prace naukowe, wszystkie namiętności, wszystkie żądze i uczucia wygasły w nim i tylko umysł jeden pracował. Tymczasem ustawały siły jego coraz więcéj, choroba się zwiększała; opat Piotr myśląc, że odzyska może zdrowie za zmianą miejsca, posłał go do klasztoru S. Marcellego nad brzegiem Saony w Burgundii. W tém rozkosznem ustroniu znękany mędrzec ciągnął dalej ten sam sposób życia; cały dzień albo czytał, albo dyktował, albo rozmyślał; koniec jego zbliżał się widocznie; pojednany z Bogiem zasnął na zawsze, otoczony smutnym zastępem braci klasz„

---

jeden; dowiadujemy się z niego, że opat kluniacki kilka razy zawitał do Parakleta i że celem jego ostatniéj wizyty było przeniesienie zwłok Abelarda. Wszystkie te listy są niezmiernie ważne, gdyż bez nich nie wiedzielibyśmy nic zgoła o ostatnich chwilach filozofa. Piotr Venerabilis napisał także wierszem szumny nagrobek, z którego jednak tylko dwa ostatnie wiersze wyryto na późniejszym grobie w Saint-Marcel:

Est satis in titulo: Petrus hic jacet Abaelardus!
Huic soli patuit scibile quidquid erat.

26). Zob. cośmy powiedzieli w przypisku 24 tym.

pornych, którzy płakali nad stratą mędrca: miał lat 63, gdy umarł 21 kwietnia 1142 r. 27).

Pochowano go najpierw w klasztorze S. Marcellego; jednakże życzenie które wyjawił lat kilka przedtem, aby zwłoki jego złożono w Paraklecie, i pobożne niewiasty modliły się nad grobem jego, zostało spełnionem. Czcigodny opat kluniacki doniósł Heloizie o ostatnich chwilach jéj małżonka w kilka miesięcy później, w listopadzie tegoż roku przybył on sam do Parakleta, wiozący zwłoki filozofa potajemnie z klasztoru S. Marcellego. Heloiza złożyła ciało mistrza i pana swego w nowo zbudowanym grobie w kaplicy S. Trójcy a na grobie zawiesiła absolucyę opata Piotra. Jeszcze dwadzieścia jeden lat, otoczona sławą i przywiązaniem wszystkich, tęskniła smutnie za złączeniem się z małżonkiem, umarła dopiero r. 1164 d. 16 maja, mając także lat sześćdziesiąt trzy 28). Zwłoki jéj złożono w grobie męża, później obydwoch kochanków złączono w jednéj trumnie. Poezya ludowa ubarwiła to zdarzenie: gdy spuszczano drogie zwłoki, przebudził się małżonek ze snu wiecznego i przytulił do siebie długo oczekiwaną umarłą. Dotąd jeszcze spoczywają w téj samej trumnie: rewolucya francuzka, która zniszczyła tyle pamiątek narodowych, która zburzyła świątynie nawet, mury Parakleta, oszczędziła tę sławną trumnę; na rozkaz pierwszego konsula przeniesiono ją do Paryża, nareszcie w r. 1817 złożono ją w osobnéj wspaniałéj kaplicy na cmentarzu Père-Lachaise, na mauzoleum wyryto w greckim języku „zawsze połączeni" a jak niegdyś tak i dzisiaj czułe serca składają tam wieńce i kwiaty, ażeby uczcić pamięć nieśmiertelnych kochanków 29).

27 i 28). W starej kronice Parakleta (calendarium coenobii Paraclitensis) czytamy: Undecimo cal. maji, anniversarium M. Petri Abailardi, hujus loci fundatoris, nostraeque religionis institutoris... Cokolwiek dalej także: Decimo sexto cal. junii, mater nostrae religionis Heloiza, prima abbatissa, documentis et religione clarissima, spem bonam ejus nobis vita donante, feliciter migravit ad Dominum. —

29). Gdy w r. 1792 zniesiono klasztory we Francyi, kazały władze pobliskiego miasteczka Nogent-sur-Seine przenieść trumnę, mieszczącą w sobie doczesne resztki kochanków, do parafialnego koś-

## 10. Główne nauki Abelarda teologiczne i etyczne.–

Całość obrazu wymaga, abyśmy podali choć krótki zarys Abelardowej teologii; chociaż bowiem silnie władał dyalektyką i nawet dał nowej szkole początek, tak zwanym konceptualistom, zawdzięcza przecież wpływ swój na ówczesne duchowieństwo przedewszystkiem teologii: ona także stała się prześladowań przyczyną, które przeplatały żywot jego licznemi cierpieniami. Bacząc jednakże na proporcyą, jaką powinniśmy zachować w pojedyńczych częściach tej rozprawy, ograniczymy się na streszczeniu głównych punktów jego teologii i etyki opuszczając całą część polemiczną a podawając tylko syntezę dodatnich rezultatów: sądziliśmy że synteza ta nie będzie zupełnie obojętną dla czytelników, gdyż przecież to zawsze ciekawa wiedzieć jak zapatrywał się na główne prawdy chrześciaństwa mąż naj-

---

ciola ś. Wawrzyńca. W r. 1800 na rozkaz ministra Lucyana Bonapartego przewieziono zwłoki do Paryża, gdzie w ogrodzie ówczesnego Musée français p. Lenoir, twórca i zawiadowca zakładu, wystawił dla nich kaplicę, do której użyto szczątków Paracletu i opactwa Saint-Denis. Przed pochowaniem trumny otworzono takową 23 kwietnia tegoż r. i przekonano się, że blacha ołowiana dzieliła ją na dwie części. W połowie zawierającej resztki Abelardowe, znaleziono większą część czaszki i dolnej szczęki, prócz tego żebra, kość pacierzową i prawie całe uda i golenie. Po Heloizie zostały głowa i dolna szczęka w zupełnej całości; ramiona, uda i golenie także jak najlepiej zachowane. Po zbadaniu tych resztek doszli znawcy do następujących wniosków: Abelard był silnego i wysokiego wzrostu; Heloiza była także wysokiego wzrostu i proporcyonalnej budowy ciała. Głowa wykazuje rozmiary nadzwyczaj regularne, czoło mianowicie pięknie zaokrąglone, stanowiło całkowitą harmonią z resztą twarzy. Podług odlewu czaszek wykonał p. de Seine na początku tego wieku popiersia kochanków. Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w dziele p. Alexandra Lenoir, Musée des Monumens français. tom I str. 221 i nast. oraz w rozprawie jego: Notice historique sur la sépulture d'Héloïse et Abélard. Paris 1815. Gdy za czasów restauracyi rozproszono pomniki francuzkiego muzeum i sprzedano ogród jego, przeniesiono nadgrobową kaplicę na cmentarz Père-Lachaise i tam złożono trumnę na nowo 6 listopada 1817 r.

więcej oczytany w XII stuleciu, niepospolitym przytem obdarzony rozumem.

W pierwszych zdaje się czasach professorskiej swojej działalności napisał Abelard dzieło, którego tytuł obudzał podejrzenie niezwykłe, tytuł bowiem brzmiał: Tak i Nie, Sic et Non. Dzieło to pogrążone w zapomnieniu przez długie wieki odszukał szczęśliwie Cousin i wydał w „Ouvrages inédits d'Abélard;" przekonano się wtedy, że treść jego zupełnie niewinna, chociaż nie przeczymy, że niezwykła forma mogła w swoim czasie wzbudzać obawy wiernych. Najciekawszą zaś część jego stanowi przedmowa, w której autor wykłada metodę swoją, śmiałą i nawet niebezpieczną, jak na owe czasy; przytoczyliśmy już wyżej główne tej metody zasady, gdyśmy w § 8 opowiadali spór Abelarda z mistykami i ś. Bernardem a w przypisku umieściliśmy niektóre tej przedmowy ustępy po łacinie ku większej wygodzie czytelnika 30). Z tą metodą

---

Na zewnętrznym fryzie pod gzymsem wyryto słowa:

30). W dziele Sic et Non zestawił autor różnorodne, jużto ważne, jużto podrzędne kwestye teologiczne w liczbie sto kilkadziesiąt, a raczej je poruszył tym sposobem, że pod każdą kwestyą zebrał wszystkie miejsca Pisma ś. i Ojców, które jużto za, jużto przeciw przemawiają. N.p. Quaestio 6: quod sit Deus tripartitus et contra? Qu. 35: quod nihil fiat Deo nolente? et contra: Qu. 51 quod homo liberum arbitrium peccando amiserit? et contra: Żadnej kwestyi nie rozwiązał, zestawił tylko sumiennie wszystkie pro i wszystkie contra. Jest to więc zbiór miejsc, zbiór źródeł, jakie professorowie niemieccy sobie sporządzają, (Quellensammlung), którym posługiwał się podczas wykładów i prac literackich. Powiedzieliśmy że treść zupełnie niewinna, gdyż autor zestawił tylko miejsca Pisma ś. i Ojców, a własnego nic nie dorzucił, forma jednak mogła razić, gdyż uwydatniła jaskrawo sprzeczne mniemania, jakie co do tych samych przedmiotów panowały w łonie pierwotnej teologii. Co do metody samej dajemy kilka wyjątków z przedmowy: Cum in tanta verborum multitudine nonnulla etiam sanctorum dicta non solum ab invicem diversa, verum etiam invicem adversa videantur, non est temere de eis judicandum. ... Pleraque apocrypha ex sanctorum nominibus ut auctoritatem haberent, intitulata sunt, et nonnulla in ipsis etiam divinorum testamentorum scriptis, scrip-

zabrał się autor do tłumaczenia artykułów wiary; tłumaczenie to złożył w dwóch dziełach: Introductio ad theologiam i Theologia christiana, oraz w obszernym komentarzu do listu ś. Pawła do Rzymian.

Twierdzi że wiara nie powinna pozostać jakąś nagą, skądsiś nam przekazaną, i w milczeniu przyjmowaną treścią; treść taka, choćby zapewniano, że wprost pochodzi od Boga, nie ma dla nas żadnej wartości, gdyż brak jéj rozumnego przeświadczenia; dopiero wtedy wierzyć się godzi, gdyśmy się przekonali, że rzecz się ma tak, a nie inaczéj.[31] Zachodzi jednak pytanie, czy rozum, owa niezbędna wiary podstawa, jest w ogóle zdolnym do obejmowania tajemnic wiary? czyż potrafi zgłębić, a zgłębiwszy zrozumieć istotę Najwyższego? Na to pytanie sam rozum odpowiada; przecie istota jego na tém polega, że się wyrywa bezustannie po za granice doczesnego świata, że ściga za tém niezmiernem, czego zmysły nigdy nie mogą dosięgnąć; im więcéj zatém przedmiot jaki przekracza granice doczesności, im daléj on pozostaje poza dziedziną zmysłów, im nareszcie wyższy i doskonalszy, tém godniejszą on będzie rozumu zdobyczą. Przecie człowiek obrazem i podobieństwem Najwyższego, a rozum głównem tego podobieństwa znamieniem, to też niczém nie zajmuje się chętniéj jak przedmiotem, do którego on sam podobien: wystarcza

---

torum vitio corrupta sunt... Beato quoque attestante Hieronymo novimus morem catholicorum doctorum hunc fuisse, ut in commentariis suis nonnullas haereticorum pessimas opiniones suis insererent sententiis, dum perfectioni studentes nulla antiquarum praeteriisse gauderent... Beatus quoque Augustinus pleraque ex operibus suis retractando ac corrigendo, multa se ibi ex opinione magis aliorum, quam ex propria posuisse sententia profitetur. Nonnulla etiam in Evangelio juxta opinionem hominum magis quam secundum veritatem rerum dici videntur... Haec quippe prima sapientiae clavis definitur: assidua scilicet seu frequens interrogatio: ... Dubitando ad inquisitionem venimus, inquirendo veritatem percipimus, juxta quod et Veritas ipsa: quaerite, inquit, et invenietis, pulsate et aperietur vobis.

31). – Introductio ad theol. strona 1060 (wydanie Migne). Nec quia Deus id dixerat, creditur, sed quia hoc sic esse convincitur, recipitur.

./.

więc zupełnie, żeby objąć Boga, czego już dowiedli pogańscy myśliciele, którzy przypatrując się bacznie światu doczesnemu, zeń nie tylko wznieśli się do prawdy, iż istnieje Bóg jeden, lecz nawet odgadli wewnętrzną tegoż Boga istotę czyli tajemnicę Trójcy Ś. Dogmat ten nasuwa pytanie: czyż możliwem jest rozróżnianie aż trzech osób w jednej i tej samej bożej istocie i czyż da się troistość osób pogodzić z nierozdzielną jednością ich substancyi? Filozof odpowiada, że pojęcie Trójcy wypływa z pojęcia „najwyższego dobra" albowiem rozróżniamy w takowem trzy niezbędne pierwiastki: istota mająca być najwyższego dobra całkowitem uosobieniem, powinna być wszechmocną, gdyż bez tego przymiotu nie będzie mogła wszędzie i zawsze okazywać dobroci swojej; powtóre powinna być wszechwiedną, by nigdy nie myliła się w działaniu swojem; nareszcie nie może nie być wszechdobrą, skoro czyny jej mają być zawsze najlepsze. Upatrujemy więc słusznie w Najwyższej Istocie potrójne źródło wszechmocy, wszechwiedzy, wszechdobroci, a oznaczając każdy z tych trzech jednej i tej samej Istoty objawów osobną nazwą, powiemy że Ojciec uosobioną potęgą, Syn mądrością, nareszcie Duch Ś. miłością.

Nie trzeba przecież mniemać, jakoby każdy z trzech wymienionych przymiotów był wyłącznie innej właściwym osobie, gdyż w takim razie rozpadłaby się boża jedność, a miejsce jej zajęłyby trzy niezależne od siebie jednostki, tak mało ze sobą związane, jak trzy np. ludzkie osobniki; przeciwnie Trójca Ś. jest w sobie jedną i każda z jej trzech osób zupełnie równą dwom drugim. Jednakże nie trzeba w przestrzeganiu jedności posuwać się za daleko, poświęcając zupełnie osobowość: skoro mają w Trójcy Św., istnieć obok siebie pojedyncze osoby, winna każda mieć cechę sobie właściwą, inaczej zleją się w całość niewyraźną. Dla tego powiedzieliśmy słusznie, że chociaż każdy z trzech owych przymiotów, służy zarówno wszystkim trzem osobom, przecież w szczególności uwydatnia się głównie w jednej osobie i ją od innych wyróżnia, podczas dwa pozostałe charaktery mają w tejże osobie słabsze, niejako podrzędne znaczenie. Powiemy więc, że Ojciec przedewszystkiem (Wszechmocny, nie jakobyśmy odmawiali wszechmocności dwom innym osobom, lecz Ojciec,

o ile oddzielną jest osobą, także oddzielną wszechmoc posiada, na tém polegającą, że On tylko pochodzi ze siebie i sobie zawdzięcza istnienie swoje, podczas gdy Duch św. i Syn, mają dopiero z niego swój początek [32]. (Wszechmocność jednakże pierwszej osoby nie będzie bezwzględną, absolutną, gdyż wtedy nie byłoby spójni żadnej między Ojcem a resztą osób, wszystko bowiem, co jest bezwzględnem, nie zostaje w żadnym do innych stosunku, w żadnej styczności. Pierwsza więc osoba, o ile osobą jest tejże co Syn i Duch św. istoty, powinna podlegać warunkom wynikającym z natury istoty, przybywającej wspólnie w trzech osobach. Otóż same imię oznacza te warunki: pierwsza osoba zowie się Ojcem, nie będzie więc wobec i dla drugiej osoby nieoznaczoną, bezwarunkową, jakąś potęgą, lecz wszechmocnością rodzącą, generans. Tak samo i Syn nie będzie bezwzględną mądrością, ani Duch św. bezwzględną dobrocią, gdyż nieoznaczona bezwzględność taka znosiłaby wszelką między nimi a Ojcem wspólność stosunków; stąd Syn będzie wprawdzie mądrością, ale zrodzoną, sapientia genita; Duch św. nareszcie będzie dobrocią, nie ogólną, bezwarunkową, lecz pochodzącą zarówno z Ojca i Syna, bonitas procedens.)

Zasada jedności i równości osób wymaga, ażeby przymiot wszechmocności, uważanej przez nas za główną cechę Ojca, służył także dwom innym osobom, wtedy przymiot ten rozdzielimy w sposób następny między trzy Osoby: Ojciec będzie najdokładniejszém niejako uosobieniem wszechmocy, omnipotentia, Syn zatém jako mądrość Ojca, nie będzie już tą samą wszechmocnością, lecz tylko częścią takowej, aliqua potentia, gdyż mądrość, wszechwiedza, jest tylko częścią ogólnej wszechmocy, jest to władza rozróżniania wszystkiego i wystrzegania się omyłek. Powiemy więc, że z bezwzględnej, absolutnej wszechmocy Ojca wychodzi mądrość Syna, jako moc szczególna, partykularna, czyli krócej mówiąc, że Syn jest odłamem potęgi Ojca.

---

32). Introductio ad theol. ks. I. rozd. 10. Quaedam Patri secundum substantiae modum propria manet potentia, et cum videlicet ipse Pater omnia facere possit, quae Filius et Spiritus s. hoc insuper habeat, ut a se ipso solus ipse queat existere, nec necesse habeat ab alio esse.

×

Nareszcie Duch św., którego nazwaliśmy uosobioną dobrocią, nie zawiera w sobie wcale pierwiastku wszechmocności, gdyż on jest wynikiem takowej jako i mądrości, które razem są niejako jego przesłankami; zanim bowiem wola Najwyższego objawi się w czynach dobrych, powinien mieć najprzód moc, potem świadomość takowych. I tak Duch św. zarówno od Ojca i Syna pochodzi i bez nich istnieć nie może; nie pochodzi on przecież z istoty Ojca, gdyż wtedy byłby jak Syn zrodzonym, i miałby jak on moc jakąś, bo z mocy rodzi się moc nowa. Duch św. jest tylko stosunkiem, w jakim Bóg zostaje do stworzeń swoich, gdyż dobroć Boża nie jest bezwzględną, lecz objawia się względem stworzeń 33).

33). Na około tej nauki o Trójcy św. grupują się główne punkta oskarżenia. Bernard św. wyrzekł z oburzeniem, że Trójca Abelardowa brzmi omnipotentia, semipotentia, nulla potentia (De error. Abel), co jest bardzo dowcipnem wyrzeczeniem. Na innem miejscu tenże święty mąż twierdzi, jakoby Abelard niby Aryusz nowy, zniósłszy równość osób, rozróżniał w Trójcy stopnie i odcienie; theologus noster cum Ario gradus et scalas in Trinitate disponit, (epist. 330). Wyłożoną przez nas naukę Abelarda o Trójcy ujęto w dwóch głównych punktach aktu oskarżenia na soborze w Sens: 1) quod Pater sit plena potentia, Filius quaedam potentia, Spiritus s. nulla potentia. 2). Quod Spiritus s. non sit de substantia Patris. Zob. Otto Frisengensis de rebus gest. Friderici I. w. ks. I. rozd. 49. Przypatrzmy się obydwom zarzutom.
1. Co do pierwszego oświadczył Abelard na wstępie apologii, która w zbiorze listów jego jest oznaczona nr 22. że zarzut niesłuszny i że podsuwane mu wyrzeczenie wcale wcale się nie znajduje w jego pismach. Nie przeczymy, że możnaby z złą wolą dedukować coś podobnego z różnych miejsc w teologii Abelarda, pamiętajmy przecież, że autor obdarzając każdą z trzech Trójcy osób innym przymiotem, postąpił za przykładem Ojców Kościoła, którzy tych samych słów rzeszą używali. Pierwsza Osoba Trójcy zowie się w składzie apostolskim „Omnipotens," Syn ma przydomek „Słowa" lub „Mądrości" prawie w wszystkich z pierwszych wieków pisarzy chrześciańskich; Duch św. nazywa się „Miłością." Żeby pominąć dalsze przykłady przytoczymy tylko jednego z najbliższych Abelarda poprzedników, Bedę Czcigodnego, który mówi; potentia dicitur pater.... sapientia dicitur filius; pater genuit filium, i. e. divina potentia sapientiam.. Voluntas vero divina dicitur

Omijamy usiłowania Abelarda, ażeby wykazać prawdziwość Dogmatu Trójcy, jużto za pomocą ksiąg świętych, jużto dawnych

---

spiritus. Spiritus iste a patre et filio procedit, quia voluntas divina bonitas. Zob. Beda Venerab: Opera. tom II str. 207. Otóż mniemanie Bedy w niczém się nie różni od mniemanej „herezyi" naszego filozofa; było ono zresztą bez wątpienia Abelardowi znaném i tém śmielej mógł się Abelard na niém oprzeć, im większej autor jego używał czci w teologii. Po Abelardzie uczeń jego Piotr Lombardczyk to samo uczył, a ś. Tomasz także nie odrzucił tego sposobu tłumaczenia. Kościół wprawdzie uznawając tylko trzy kardynalne przymioty osobowe w Trójcy ś.: ingenitus, unigenitus, procedens, nie przyjął nigdy wyliczonych przez nas atrybutów za wyłączne cechy osobowe, przecież tolerował różnicę za pomocą nich ustanowioną. Trudno więc Abelardowi zarzucać herezyę, jeżeli Syna nazywa Mądrością lub Mądrość, jako zrodzoną z Ojca Wszechmogącego, ogłasza za część ojcowskiej wszechmocy, za pewną taką formę i określenie; podobnych obrazów i przenośni używano przed nim i ponim w teologii bardzo często bez żadnych szkodliwych dla wiary następstw.

II. Drugi główny zarzut tyczy się Ducha św. jakoby Abelard nie przyznawał mu tej samej substancyi, co Ojcu. Abelard nazywał bowiem Ducha wprawdzie ejusdem substantiae, w Ojcem ale nie ex substantia Patri. Subtelność prawdziwie scholastyczna i trudna do zrozumienia, przecież wiele przyczyn ją usprawiedliwia. Kościół bowiem odróżnia rodzenie się Syna od powstania Ducha ś. Syn rodzący się z Ojca jest tej samej co On substancyi, jak to Jan ś. mówi: co się narodziło z ciała ciało jest, a co się narodziło z ducha Duch jest (ewang. rozd. III - 6): Ale Duch ś. nie rodzi się, on jest niejako wylewaniem się Bóstwa na zewnątrz; trudno wtedy pojąć, czemu nie ma być tejże istoty co Ojciec. Abelardowa subtelność jakoby Syn był ex substantia Patris, a Duch tylko ejusdem substantiae, nic nie tłumaczy, przeciwnie zaciemnia jeszcze Dogmat i tak już niepojęty. Abelard mógł powiedzieć, że trzy osoby Trójcy mają udział w tej samej substancyi, że są consubstantiales, chociaż nie w tym samym stopniu, gdyż Syn rodzący się z Ojca zostaje bez wątpienia w innym do nie-

/.

filozofów, przed innemi zaś Platona [34]. Jednakże wszystkie te dowody, które zresztą nie zawierają nic nowego, wydały się Abelardowi niedostatecznemi; chciał także udowodnić dyalektycznie, że treść Dogmatu nie sprzeciwia się rozumowi, że rzeczywiście pomyśleć można jedność istoty z troistością osób. Abelard ocenił

---

go stosunku niż Duch ś. od obu wychodzący. Przecież jeżeli subtelność Abelardowa nie udała się, czyż oskarżyciel jego był szczęśliwszy? Bernard ś. twierdzi, że Duch może być z tej samej substancyi co Ojciec, choć nie będzie jego synem i rozumuje tak: czyż to, co jest z jakiej substancyi, musi być koniecznie synem tej substancyi?... Robaki wylęgłe w zgniłem drzewie, czyż nie są tej samej substancyi co drzewo, a przecież nie są synami drzewa?... Zob. Remusat. „Abélard" tom III str. 318 i 323. Nieszczęśliwy przykład świątobliwego męża pokazuje naocznie, że rozum nasz nie zdoła zgłębić tajemnic Dogmatu, przechodzącego wszelkie pojęcie, a największą właśnie z tych tajemnic stosunek Ducha ś. do drugich dwóch osób. Stosunek Syna do Ojca można za pomocą zmysłowego obrazu choć w części wyjaśnić, ale który obraz odda mistyczny początek Ducha, który pochodzi z Ojca i Syna, a jednak z nich się nie rodzi. — To też kościół użył po kolei najdelikatniejszych greckiej terminologii wyrażeń, przecież naprożno. Cóż bowiem zyska jasność Dogmatu, że Ducha nazwiemy wypływem Ojca lub , wychodzeniem lub wysłaniem lub wyroślą? To też ś. Augustyn wyznał w pokorze, że nie wiedział jak odróżnić rodzenie się Syna od pochodzenia Ducha. Zob. Contra Maxim. ks. II rozd. 14. A Bossuet słusznie powiada: Dieu a voulu expliquer que la procession de son Verbe était une véritable et parfaite génération: ce que c'était que la procession de son Saint-Esprit, il n'a pas voulu le dire, ni qu'il y eût rien dans la nature qui représentât une action si substantielle et tout ensemble si singulière. C'est un secret réservé à la vision bienheureuse. (Elévat. sur les Myst. 2. sem V). Jesteśmy tegoż przekonania; Abelardową zaś definicyę można uważać za niedostateczną, za niewłaściwą nawet, ale bynajmniej za heretyczną.

34). Introductio ad theol. ks. I rozd. 17. Bene autem Spiritus s. animam mundi quasi vitam universitatis Plato posuit, cum in bonitate Dei omnia quodammodo vivere habeant et universa tamquam viva sint apud Deum.... Usiłowania te, żeby z Platona dowieść Trójcy ś. dały powód

y.

trudność tego zadania: Bóg zbyt wzniosły a pojęcia nasze zbyt ograniczone, aby całkowicie mogły się zbliżyć do siebie. Toteż, powiada nasz filozof, nie zdobyli się myśliciele prawie nigdy na dokładną definicyą Boga, słusznie tem się zasłaniając, że rozum nasz nie zdoła objąć Bożej istoty, ani objętej wysłowić w sposób dostateczny. Nic w tem dziwnego, gdyż zasadnicze pojęcia i prawa ludzkiego myślenia niełatwo imają się Boga; przenosząc więc do niego słowa i kategorye, zapożyczane od stosunków doczesnych, nie trzeba nigdy zapominać, że takowe wtedy tylko przenośnią, tylko obrazem, przypominającym bardzo niedostatecznie Boże podobieństwo. Obrazów takich wziął Abelard kilka, ażeby lepiej wyłożyć istotę Trójcy św. i wzajemny stosunek, zachodzący między jej osobami; obrazy te wywołały oburzenie przeciwników, powtarzamy więc raz jeszcze, że to obrazy tylko, że Abelard za takie je podawał i że sam był aż nazbyt przekonany o ich niedokładności. Przytoczymy kilka z Abelardowych przyrównań.

Rozróżniamy w grammatyce trzy osoby: ja, ty, on, każdy podmiot może być naprzemian jedną z nich, gdyż każdy albo sam mówi, albo jest osobą do której się mówi, lub nareszcie osobą o której się mówi. Pierwsza przecież osoba jest niejako warunkiem bytu dla dwóch drugich, bo gdy ona nie mówi, nie ma ani drugiej, do której mowa się zwraca, ani trzeciej, o której mowa się toczy. Stosunek ten grammatyczny można w przenośni zastosować do Trójcy św.: i tam syn nie może być bez Ojca, ani Duch św. bez dwóch pierwszych. Jak zaś jeden i ten sam człowiek może być po kolei każdą z trzech osób grammatycznych, a przecież z tąd w mowie pierwsza osoba nie jest drugą, ani druga trzecią, tak i w Trójcy św., gdzie w prawdzie każda z trzech osób jest tą samą bożą istnością, a przecież pierwsza osoba nie jest tą samą,

---

innemu punktowi oskarżenia: quod Spiritus S. sit anima mundi. Zob. Otto Frisengensis, De rebus gest. Friderici I w. ks. I. rozd. 49. Bernard tak, że powstawał gwałtownie przeciw czerpaniu dowodów z pogańskiej filozofii: mówi bowiem o Abelardzie: dum multum sudat, quomodo Platonem faciat Christianum, se probat ethnicum, w liście do papieża Innocentego II. Jakkolwiek opieranie dogmatów chrześcijańskich na powadze mędrców starożytnych, niczem nie jest uzasadnione, a często bardzo szkodliwe, przecież mógł się Abelard tem uniewinnić, że większość ojców kościoła czyniła to samo.

co druga, ani druga tą samą, co trzecia.

Możemy także Trójcę św. uważać na podobną, do metalowej pieczątki; pieczątka taka w sobie jedną jest, a przecież rozróżniamy w niej bez trudności dwoistość pewną, treść i formę: treścią będzie metal, z którego ulano pieczątkę, a formą będzie herb, w tejże pieczątce wyryty. Dwa te pierwiastki różnią się od siebie; metal jest podstawą pieczątki, gdyż pieczątka z niego a nie on z pieczęci; przecież bez formy owej także nie byłoby pieczęci, nie byłaby zdatną do pieczętowania. Gdy zaś pieczęć wyciśniemy na wosku, przybywa trzeci szczegół, gdyż pieczęć staje się pieczętującą; i tak trzy mamy pieczęci właściwości: metal stanowiący treść jej, aes ipsum, zdatność pieczętowania, sigillabile, i nareszcie akt pieczętowania, sigillans. Trzy te właściwości składają się na jedną i tę samą pieczęć, a mimo jedności swojej zachowują niezależność pewną i to w ten sposób, że metal, treść pieczęci, będzie warunkiem jej formy i zdatności jej do pieczętowania, a obydwie razem, treść pieczęci i forma, są niezbędnym warunkiem, poprzedzającym i umożebniającym sam akt pieczętowania. Tak i w Trójcy św. 35)

35) Zob. Introductio ad theol. ks. II rozd. 13. Sicut enim ex aere sigillum est aereum, et ex ipso quodammodo generatur, ita ex ipsa Patris substantia Filius habet esse, et secundum hoc ex ipso dicitur genitus. Specialiter enim nomine Patris divina potentia declaratur, sicut nomine Filii divina sapientia significatur.... Tamże, rozd. 14. Sicut igitur ex aere sigillum aereum habet esse, sic ex Patre solo Filius habet esse, et ex Patre et Filio Spiritus S.... Sicut autem aes et sigillum seu sigillans in suis proprietatibus diversa sunt, secundum modos existentiae, quos ad invicem habent, ita scilicet, ut nullus ipsorum proprietatem alterius communicet, sic et Pater et Filius et Spiritus Sanctus.... Te i podobne inne porównania powięks[z]yły akt oskarżenia i mianowicie Bernard św. na nie nastawał; trudno jednakże zabronić używania porównań, byleby za takie podawane były, otóż Abelard często powtarza, że to porównanie tylko i że za takie brać je należy. Zresztą obrazy przezeń użyte nie są ani gorsze ani niebezpieczniejsze od przenośni, jakie napotykamy w innych pisarzy. Augustyn św. np. przyrów-

Ale dosyć tych porównań; przytoczone przez nas wystarczą, aby uwydatnić Abelardowe zapatrywanie się na dogmat Trójcy; zapatrywanie to nie jest zupełnie nowem, przypomina często Ojców Kościoła, przed innemi zaś św. Augustyna, którego wpływ na Abelarda był niemały. To też dyalektyk XII stulecia rozwija dalej poglądy wielkiego Ojca zachodniego Kościoła i jak on przejęty duchem Platona, choć pośrednio tylko, starał się tajniki chrześcijańskiego misteryum rozjaśnić pochodnią filozofii. Może mu się to nie udało, może przez śmiałość obrazów i niedokładność wyrażeń dał powód do niejednego zarzutu, do którego w duszy nie poczuwał się; tyle pewna, że cała jego o Trójcy nauka nie zawiera nie wręcz przeciwnego Kościelnej wierze, a w każdym razie pozostanie chlubnem świadectwem usiłowań filozofa, miotanego żądzą prawdy, ażeby najdelikatniejszą treść wiary strawić duchowo, a strawioną przekształcić w świadomy nabytek jestestwa swego.

Daleko oryginalniejszym jest Abelard w etyce: wyłożył ją w osobnem dziele n. p. „Znaj siebie samego" Scito te ipsum, która to praca wywołała również wielkie oburzenie, jak pisma jego teologiczne, tak iż sama dostarczyła aż sześć zdań dowodych czternastu, oznaczonych mianem herezyi na soborze w Sens. Filozof miał tutaj swobodniejsze nieco pole niż w teologii i z większą się nieraz wyrazić śmiałością; ograniczymy się przecież na bardzo pobieżnym zarysie.

Człowiek z natury nie jest grzesznym, wprawdzie mieszczą się

---

nywa Trójcę do trzech jestestwa naszego pierwiastków: bytu, wiedzy i miłości lub też do pamięci, myślenia i woli. Anzelm św. znowu powiada, że Trójca św. jest jakby Nil, który choć w sobie jedną jest rzeką, przecież i źródłem jest i rzeką i jeziorem. Z nowszych nareszcie powiada Bossuet: entendre et vouloir, connaître et aimer sont actes très distingués, mais les sont-ils réellement?... Tout cela au fond n'est autre chose que ma substance affectée, diversifiée, modifiée de différentes manières, mais dans son fond toujours la même... Une bonité créée que Dieu fait dans nos âmes, nous représente la Trinité incréée. Élévat. sur les Mystères, sec. sem. III i nast. Zaiste przenośnia bardzo niebezpieczna, możnaby i owszem powiedzieć, że zaciera samodzielność osób na rzecz jedności, a jednak Bossuet o tem nie myślał; ale to ułomność wspólna wszystkim dorzecznym obrazom, to samo powiemy o obrazach Abelarda.

1.

w nim różne żądze i skłonności, które go pobudzić mogą do złego, ale złe właści-
wie nigdzie nieistnieje, jest ono tylko zaprzeczeniem, nieobecnością dobrego, jak
uczył niegdyś Augustyn św. Dopiero gdy się damy porwać namiętnościom na-
szym, dopiero wtedy czynimy złe: nie jest więc złe niczem inno zezwole-
niem na pobudki żądz, usłuchaniem ich głosu zwodniczego. W tym ak-
cie czysto podmiotowym mieści się całe złe, gdyż następstwa tegoż ak-
tu złemi nie są; czyn sam przez się nie jest ani dobrym ani złym, sta-
je się zaś jednym lub drugim w skutek zamiaru, w jakim się po-
pełnia, a zamiar wewnętrznym aktem działającego podmiotu.
To też sam zamiar wystarcza, żeby nas potępić, czyn mu towarzyszy
czy lub nie, rzecz to zupełnie obojętna. Najlepszym przykładem na in-
dyferencyę czynu, na jego moralną bezbarwność jest męczeństwo Chry-
stusa, męczeństwo to wypływa z trzech zupełnie różnych czyn-
ków, Boga Ojca, Chrystusa, Judasza. Bóg Ojciec oddał Syna swe-
go na męczeństwo, Syn siebie samego, a Judasz pana swego;
jakże różny jednak charakter czynu Judaszowego od dwóch innych,
które materyalnie wcale doń podobne — złe więc w zamiarze, nie
w czynie [36]. Są więc zamiary złe i dobre, ale któż je osądzi, któż
odróżni złe od dobrych? Na to odpowiada filozof, że sumienie;
co się z niem zgadza jest dobrem, a złem, co się jemu sprzeciwia.
Ale czemże jest to sumienie? oczywiście moralnem samowied-
nem przekonaniem. Jednakże samowiedza przekonania może
być zamgloną lub nawet nieobecną, wtedy i czyny w takim sta-
nie duszy popełniane będą wolne od winy, gdyż tylko czyny, któ-
rym towarzyszy zupełna działającego podmiotu świadomość, pod-
legają ocenie, wszystkie inne są zupełnie obojętne; lub też samo-
wiedne owe przekonanie może się mylić w skutek błędnych nań

---

36.) Cała etyczna teorya filozofa zawarta w dwóch następnych
zdaniach: Ethica seu Scito te ipsum, rozdz. 3. Non enim quae fiunt,
sed quo animo fiant, pensat Deus, nec in opere, sed in intentione me-
ritum operantis vel laus consistit.... rozdz. 7. Opera omnia in se indiffe-
rentia, nec nisi pro intentione agentis bona vel mala dicenda sunt,
non videlicet, quia bonum vel malum sit, ea fieri, sed quia bene vel ma-
le fiunt, hoc est, ea intentione, qua convenit fieri aut minime. Zob. Com-
ment. in epist. ad Rom. ks. I. rozd. 2. Opera sunt indifferentia in se, scilicet
nec bona nec mala, nisi secundum radicem intentionis, quae est ar-
bor bonum vel malum proferens fructum.

wpływających czynników, a wtedy także czyny jego złemi nie będą. Żydzi np. prześladując Chrystusa i uczniów Jego, dopuścili się czynów w naszych oczach przewrotnych i karygodnych, ale jest to osobistem złudzeniem, gdyż Żydzi działali w zgodzie ze swojem sumieniem, a z tąd czyny ich złemi być nie mogą, skoro im nie towarzyszyła zła intencya. Można twierdzić, że ich przekonanie fałszywem było, że się mylili, ale bynajmniej, że zgrzeszyli; tylko wtedy byliby ciężko zawinili, gdyby wbrew przekonaniu byli oszczędzili Chrystusa, oraz wyznawców Jego[37].

Taka mniej więcej główna myśl Abelardowej etyki; podług niej to tylko jest złem, co z całą świadomością popełniamy wbrew głosowi sumienia; myśl ta bezstronnie na nią zapatrującemu się nie wyda się ani fałszywą, ani pozbawioną logicznej podstawy, przecież mieści ona w sobie drugą, zupełnie innego rodzaju. Czem bowiem owo sumienie mające być sędzią najwyższym naszych zamiarów, normą niezachwianą czynów naszych? czyż ono głosem wewnętrznym, powtarzającym niezmiennie jedno i to samo prawo moralne? Słowa Abelardowe nie przymawiają za tem, owszem można z nich wyprowadzić sens zupełnie przeciwny. Przynajmniej przykłady przezeń przytoczone do tego skłaniają. Bierzmy prześladowanie jakie wymierzyli Żydzi przeciw Założycielowi naszej religii; Abelard nie tylko ich uwalnia od winy, lecz nawet twierdzi, że byliby takową popełnili, oszczędzając Chrystusa. To znaczy, że czyn ich był w zgodzie z ich sumieniem, że zatem był cnotą; ale czemu ten sam czyn wydaje nam się zbrodnią? Prawdopodobnie dla tego, że nasze sumienie innem jest od sumienia ówczesnych ludzi, ale wtedy sumienie pojęciem zupełnie warunkowem, gdyż zamienia się w iloczyn rozmaitych wpływów moralnych i umysłowych, w których atmosferze jednostka się obraca i żyje; ponieważ zaś wpły„

37). Ethica. rozd. 14. Sic et illos qui persequantur Christum vel suos, quos persequendos credebant, per operationem peccasse dicimus, qui tamen gravius culpam peccassent, si contra conscientiam eis parcerent. Niech czytelnika nie zwodzą słowa per operationem peccasse, jest to ustępstwo dla opinii publicznej, właściwie zaś eufemizm lub raczej kakofemizm za cnotę, gdyż w rozd. 13. mówi autor: non est peccatum nisi contra conscientiam.

wy te zmieniają się z każdem stuleciem, przeto i sumienie i pojęcie dobrego z niem związane, ulegają razem z niemi bezustannym przeobrażeniom. Ale wtedy zniknęła absolutna idea dobrego, owa bezwarunkowa norma i zasada moralności, a zostało się tylko chwiejne, wciąż w inną formę przelewające się widmo, przypominające wyrzeczenie starego Protagorasa, że człowiek miarą wszystkiego.

Mniemanie to wprowadzone do etyki zgadza się przedziwnie z teoryą dzisiejszych relatywistów, powinniśmy więc przyznać Abelardowej etyce sławę pierszeństwa.

Jednakże to mniemanie jest konsekwencyą, na którą nie byłby się zgodził autor systemu; nie jest to zresztą jedyna, lecz wiele innych również jak ona niebezpiecznych; spoczywa w pierwszem mniemaniu jakby w zarodku, cała kazuistyka Jezuitów, cała okropność teoryi, jakoby cel uświęcał środki, drzemią tam niby w żyznej roli, z której za nastaniem dogodnych warunków rozrosną się bujnym chwastem. Przecież Abelard dalekim był od tych wniosków, on obstawał za bezwarunkową ideą dobrego, żeby ją jednak osięgnąć i zespolić ze swoją nauką, musiał popełnić niekonsekwencyą, zdobiącą jego serce, chociaż nie uzasadnioną w obec logiki. Nie chcąc bowiem czynów pozbawić wszelkiego znaczenia, zostawił im zasługę jedną – zasługę posłuszeństwa. Bóg uwzględni uczynki nasze, o ile są wyrazem posłuszeństwa, pobudką zaś posłuszeństwa powinna być miłość niewymowna Najwyższego. I tak: miłość stawa się strażniczką porządku moralnego i zajmuje miejsce zimnego, abstrakcyjnego prawa. Zwykle zarzucają Abelardowi, że nie uczynił prawa bożego zasadą postępowania; nie pojmujemy zarzutu tego, gdyż miłość jest wyższym szczeblem, ona siłą dodatnią, podczas gdy prawo formą ujemną. Ale zarzut niekonsekwencyi zostaje się na całym systemie, i osłabia ostatnie wnioski; cóż znaczą najwspanialsze maksymy, oparte na ruchliwym piasku?

## 11. Znaczenie historyczne Abelarda, epilog Heloizy.–

Opowiedziałem pobieżnie żywot myśliciela, cały rozwój ducha jego od pierwszych młodocianych początków aż do sławnych dni męża i rozpaczliwych walk starca;

y.

wyłożyłem wszystko co myślał, co czuł, co przebolał przez lat tyle, co zdziałał energią słowa i bystrością rozumu; nie pominąłem żadnego ważnego szczegółu. Ale droga nasza ma się ku końcowi, a chociaż nie była ani długą ani mozolną, pragniemy, zanim rozstaniemy się z smutnym myślicielem na zawsze, a z czytelnikiem na długo, zebrać raz jeszcze wszystkie szczegóły duchowej jego istności, połączyć główne rysy jego myślenia i działania, ażeby stanął przed nami takim, jakim był niegdyś przed wiekami.

Dzisiaj mało kto go czyta, chyba uczony jaki w samotnej bibliotece; człowiek światowy przerzuci może listy jego do Heloizy, i powie, że to była miłość, jak tyle innych... że nic nowego pod słońcem. Potrzeba więc usprawiedliwienia, żeśmy zajęli publiczność przedmiotem tak odległym, z którego nie można wydobyć nic, coby się zdało naszym czasom. Tak mówią ludzie praktyczni a mają poniekąd racyę. Liczba książek wzrasta z dniem każdym, możemy więc z dawniejszych tylko te czytać, co się nigdy nie starzeją; liczba faktów i wypadków tak samo olbrzymieje z każdym rokiem, możemy więc tylko najważniejsze przywodzić sobie na pamięć, bo czasu mało, coraz mniej... Otóż z Abelardem nie łączy się żaden wielki fakt dziejowy... w historyi politycznej imię jego zupełnie jest nieznanem; ani też nie był on wielkim pisarzem... styl jego suchy, czasem cokolwiek mniej barbarzyński od współczesnych mu literatów, ale myśli ujęte zawsze w tę samą dyalektyczną sznurówkę: najgenialniejsze więc porywy, najoryginalniejsze pomysły, skrępowane nienaturalną logiką i językiem umarłym, musiały pozostać w powiciu... Na cóż go więc czytać! tylu innych sławnych w swoim czasie teologów przebrzmiało bezpowrotnie: nikt do nich nie zagląda.

Prawda to wszystko... a przecież po dłuższej rozwadze, zmniejszywszy nawet, ile się dało, wartość średniowiecznego mędrca, uznajemy go jeszcze wielkim i ważnym.... może to złudzenie tylko, sprawione dziwnym jego osoby urokiem... nie wiem, ale zdaje mi się, że imię jego należy do tej małej liczby imion wybranych, których brak zaraz uczuć się daje w rozwoju ludzkości, gdyż po ich wymazaniu nastaje próżnia rażąca. Czyż to złudzenie tylko? Uczniowie Abelardowi świadczą wymownie, że to prawdziwa rzeczywistość; kto ich miał tylu jak on, wywarł bez wątpienia wpływ

sięgający daleko... Jeden papież, dziewiętnastu kardynałów, kilkadziesiąt biskupów i prałatów, tysiące niższego duchowieństwa wyszło wprost z jego szkoły, całe światłe i niezależne świeckie duchowieństwo Francyi, Anglii, Włoch i Niemiec znało jego zasady a w części je wyznawało skrycie lub otwarcie.— Jeden zaś przykład wpływu jego wymowniejszy od innych. Uczniem jego jest Piotr Lombardczyk, ów sławny biskup paryzki, którego liber sententiarum stał się nietylko podręcznikiem teologów, lecz nawet wzorem wszystkich następnych dogmatyk aż do XVI wieku, nie wyjmując wielkiej „Summy" św. Tomasza. Otóż Piotr Lombardczyk nietylko rozwija zasady mistrza swego, lecz pracował mając dosłownie pod ręką Abelardowe „Sic et Non", ów zbiór zestawiony teologicznych sprzeczności. Zważywszy więc, że metoda ta zrazu prześladowana, już w kilkadziesiąt lat po śmierci jéj autora wydała system racyonalny dogmatyki, który wciąż doskonalony panował aż do wieku XVI bezwzględnie po szkołach teologicznych, trudno nie uznać wielkości tego, który powołał metodę tego do życia. To też żaden ze scholastyków, nie wyjmując „anielskiego doktora" nie doczekał się ani tak długiej ani tak popularnej sławy; współcześni, nawet ci, co nie dzielili zasad jego, i co przeciw niemu walczyli, nazywają go zawsze „cudownym filozofem" lub „najsławniejszym mistrzem nauki." „Nasze wieki, mówi kronikarz z owych czasów, nie widziały równego jemu, ani dawniejsze drugiego." Inny znów śpiewa: „Piotr Abelard, wielki z największych, nad którego Francya nie miała ani większego ani sławniejszego"... Inni nareszcie stawiają go na równi z Arystotelesem i Platonem, z Cyceronem, a co dziwniejsza, nawet z Homerem.... I takich wzmianek nie napotykamy kilka, lecz kilkaset. Kult ten dziwny, który w nowszych czasach jednego Hegla otaczał, a którego w średnich wiekach nie doznał nikt w podobnych rozmiarach, tłumaczy się w części urokiem jego słowa, które było bez wątpienia swobodniejszem od jego pióra, w części zabobonną przesadą, z jaką wynoszono każdy dzielniejszy objaw myśli pod niebiosa same, ale w części także instynktownem przeczuciem, że od niego zaczyna się nowy zwrot duchowy. Zwrot ten nastąpił rzeczywiście i dziwne losu zrządzenie postawiło Abelarda niejako na świcie tego zwrotu nowego.

Powiedzieliśmy że nie bez przyczyny powstawali gorliwi obrońcy wiary przeciw metodzie Abelarda; tak z każdą nową bywa metodą; gdyż nie ma w pierwszych powstania swego chwilach odpowiedniego materyału, to też z razu doświadcza sił swoich

na starym materyale i tworzy go, z kąd niechęć i oburzenie, ale w dalszym rozwoju nowa metoda przygotowawszy sobie nowy materyał, z nim się zrasta, i z twórczej staje się ożywczą. Materyał naukowy średnich wieków aż do czasów Abelarda znany nam, wszystko co zeń można było wydobyć, ułożył Anzelm Św. w rodzaj systemu; do starego szczupłego materyału przystąpił Abelard z nową metodą, ale metoda była w zbyt rażącej sprzeczności z swojém polem działania i lękali się wszyscy ogólnego zniszczenia. Przecież obawy wkrótce przeminęły. Abelard i przeciwnicy jego ledwo spoczęli w grobie, a już cały Arystoteles przybywa na Zachód i stawa przed olśnionym wzrokiem scholastyków – prawda, że zrazu w arabskiej szacie i z dodatkami Wschodu, ale w porównaniu z tém, co się o nim wiedziało i co się po nim miało za pośrednictwem Boecyusza, był to materyał tak nowy i olbrzymi, że zerwano z przeszłością zupełnie. To też dzieła pisane przed wiekiem XII i w czasach Abelarda nie wywarły prawie żadnego wpływu na wielki wiek XIII, a treść Abelardowych dzieł również utonęła w zapomnieniu, jak pisma jego przeciwników. Ale dziwna rzecz – owa metoda Abelarda za silna, a z kąd niebezpieczna, póki zespolona ze starym, przetrawionym materyałem, odłącza się od treści swojéj i przystępuje do nowych zasobów naukowych, przetwarzając je w system, który w części dzisiaj jeszcze panuje w teologii. Prawdziwa scholastyka zaczyna się z wiekiem XIII, a forma jéj jest urzeczywistnieniem dyalektycznéj metody Abelarda.–

Przytaczamy słowa Cousin'a, jakie umieścił w przedmowie do niewydanych dzieł Abelarda, gdyż słowa te bardzo szczęśliwie oznaczają wpływ Abelarda na rozwój duchowy średnich wieków. V. Cousin mówi: „od czasów Karola W. i dawniéj jeszcze, wykładano w wielu miejscach trochę grammatyki i logiki; także rodzaj teologii wykładano, ale teologia ta nie była niczem, jno wierną ekspozycyą uświęconych dogmatów, wystarczało dla wiary ale była bezpłodną dla rozumu. Tylko wprowadzenie dyalektyki do teologii mogło stworzyć ducha kontrowersy, który jest i wadą i sławą scholastyki. Abelard głównie uskutecznił to wprowadzenie, on więc jest głównym twórcą średniowiecznéj filozofii, tak iż Francya dała Europie i scholastykę w wieku XII w osobie Abelarda, na początku XVII wieku w Deskarcie pogromcę téj samej scholastyki i ojca filozofii nowożytnéj.–

Zaprawdę, sława to nie mała, nakreślić kilku wiekom bieg i metodę myślenia... sławy téj nikt nie pozbawi Abelarda... A Heloiza? którą dała mu Opatrzność za towarzyszkę w ziemskiéj niedoli, która wytrwała wiernie przy nim w dniach szczęścia i dniach niedoli? Trudno znaleść w dziejach chrześciańskich dwa imiona, równie zespolone pamięcią wieków... Miłosne połączenie którego rozerwać nie można, niechcąc obudwóch imion wskazać na zamarcie... ona dostąpiła przezeń sławy, jakiéj mało która z niewiast nowożytnych, a on jéj zawdzięcza żywe wspomnienie, żyjące dotąd w tradycyi narodu. Bez niéj byłoby imię jego zapisaném w katalogu świątobliwych doktorów, głęboko uczonych teologów, o których chyba uczeni coś wiedzą... dla narodu byłby umarłym; jéj imię nie przylnęte do pamięci nieszczęśliwego mędrca, byłoby poszło tam gdzie tyle innych powędrowało imion kobiecych... w wieczne zapomnienie.... razem złączone wyrwały się dwa te wyrazy z toni wieków i dotąd tkwiąc głęboko w sercu swego narodu wywołują jużto dźwięczny głos podziwu, jużto ciche westchnienie współczucia. . . . Miłość cud ten sprawiła, ona im dała życie wieczne.

Warszawa, w Kwietniu r. 1867.

# Wiktor Cousin.[1]

Dziwna to rzecz ta sława, a dziwniejsza jeszcze rozmaitość jéj odmian; czasem płocha niby motyl i jak on ciesząca się bytem kilkodniowym, siada na skroni czyjéjś, aby rozlawszy po niéj kilka kropli blasku, odlecieć potém na długo, czasem na zawsze.... To znowu podobna do kochanki-niewolnicy, towarzyszącéj panu swemu od pierwszych lat młodości, nie rzuca go nawet po śmierci, lecz uklęknąwszy na jego grobowcu, samotnym płacze bezustannie, dopóki bogowie nie zamienią jéj w posąg kamienny, niby za karę, jak niegdyś Niobę, także nieutuloną w smutku swoim. A posąg ten stoi przez wieki: pomnik nieśmiertelnéj sławy dla przyszłych pokoleń.... Ale sławy takiéj nie napotkasz często, nie częściéj od prawdziwéj miłości; każde stulecie zdobędzie się zaledwo na kilka przykładów. Zwyczajni śmiertelnicy ani nie spodziewamy się, ani pragniemy takiéj sławy: jesteśmy zadowolnieni zupełnie, gdy nam towarzyszy aż do grobu, a nie gniewamy się wcale, gdy potém wróciwszy do domu, zawiera nowe śluby po krótkiéj żałobie; doskonaląc się w praktyczności, żądamy by każdy radził o sobie.... Wszakże nie tu koniec rodzajom sławy, ale na cóż zda się wyliczyć wszystkie? Miłość wciąż jedna, choć w głowach poetów ukazuje się w formach coraz innych; tak i sława z istoty swojéj jedną, chociaż się wydaje na każdym inaczéj: śliczna to toga, którą zarzuca każdy w inny sposób, a nawet ci, którzy nosić jéj nie umieją, wleczą ją niemniéj za sobą.... Nie wiemy nawet czasem, że ktoś sławnym, dopiero gdy umarł, odgadujemy czém był właściwie; inni znowu wmawiają we wszystkich wielkość swoją tak głośno i uporczywie, że nikt o niéj nie wątpi.... Dopiero wtedy zdobywamy się na sąd bezstronny, gdy już przebrzmiał głos samowielbiciela.

Uwagi te wydadzą się niejednemu zbytecznemi, ale mając zamiar mówić dzisiaj o człowieku „sławnym", nasunęły nam się mimo woli pod pióro. Nie masz wątpliwości, że Cousin był człowiekiem sławnym: cała Francya wierzyła w jego sławę przez lat czterdzieści; również długo panują jego dzieła po szkołach i na katedrach, kilka generacyi wielkiego narodu wykarmiło się niemi, powtarzając imię autora z niewymownem uwielbieniem. Zobaczmy więc co zostanie z téj wielkiéj sławy, któréj poświęcamy naszą wzmiankę: czytelnicy Biblioteki przypominają sobie jeszcze dowcipne nad Cousin'em uwagi, umieszczone w majowéj kronice paryzkiéj, otóż niech uważają wzmiankę naszą na uzupełnienie takowych.

Wiktor Cousin urodził się w Paryżu r. 1791 z ubogiéj

/.

rodziców i nie zaglądał do książek aż do dwunastego roku życia swego. Zwróciwszy na się przypadkiem uwagę pewnej majętnej rodziny, został umieszczonym na pensyi i odtąd przez pracę i wytrwałość wywalczył sobie świetną przyszłość, oraz utorował drogę do najwyższych dostojeństw. Szkoły przebył wśród nagród i pochwał, będąc co to zowią „un élève de concours général"; do każdego stawał popisu i zwyciężył zawsze. Zapisany w poczet uczniów ówczesnéj „école normale" słuchał filozofii u professorów Laromiguière i Royer-Collard; już w r. 1815 został następcą Royer-Collard'a, a przez pięć lat dzierżył katedrę swoją z nadzwyczajném powodzeniem. Wtedy zwrot reakcyjny w polityce wewnętrznéj Burbonów zmusił kilku liberalnych proffessorów do bezczynności. Cousin'owa trwała długo, bo aż do roku 1828; wtedy równocześnie z Guizotem, także suspendowanym od lat kilku, na nowo rozpocząwszy wykłady, dociągnął takowe aż do rewolucyi lipcowéj. Odtąd aż do roku 1840 miewał już to filozoficzne konferencye w „école normale" już to pracował w ministerstwie oświecenia, już to zasiadał w izbie poselskiéj. W nowo utworzonem ministerstwie Thiers'a objął roku 1840 tekę publicznego oświecenia, którą zachował aż do października tegoż roku; późniéj został członkiem izby parów, a po rewolucyi r. 1848 usunął się zupełnie od życia publicznego i stawał się coraz więcéj konserwatystą. Tak mówiono, chociaż właściwie jego przekonanie pozostało nazawsze tajemnicą nawet dla przyjaciół; tyle pewna, że w polityce zmieniał się jak chameleon na gałęzi i że żeglował zawsze z opinią większości, z czém mu zwykle było bardzo wygodnie. Za młodu był konstytucyonalistą, suspendowany w professurze przeszedł do skrajnéj opozycyi; za ministeryum Martignac'a przywrócony do urzędu, popierał royalistów; za Ludwika Filipa głosował w izbie z lewicą a należał skrycie do prawicy; po roku 1848 kokietował z reakcyą, a w chwili śmierci nikt nie wiedział, czy umierał orleanistą czy stronnikiem cesarza.

Polityczne te ewolucye nie przeszkodziły, że był zawsze dla dawnych współuczniów dobrym kolegą a dla uczniów niezmordowanym protektorem, byleby pozostali zawsze o krok jeden za nim i uznawali w nim głowę szkoły. Gdy zaś zbyt szybkie robili postępy i przysuwali się zbyt blisko do niego, stawał się nieznośnym, i wtedy zazdrośna jego ambicya nie znała granic żadnych. Tak np. uczniów swoich

/.

i zarazem dawnych współuczniów Jouffroy'a i Damiron'a wprowadził do „Akademii nauk", wtedy gdy już sam był zasiadł na fotelu nieśmiertelnych w „Akademii francuzkiéj". Wkrótce dowiaduje się pewnego razu, że Jouffroy ma chęć niemało zasiąść obok niego i także należeć do „nieśmiertelnych"; od dawna już go nie lubił, raz że zbyt szybko rósł w sławę, potém że przyjął mandat poselski do parlamentu, a przez to kolegował z nim bezpośrednio. Nie był więc wcale Cousin dla niego życzliwie usposobionym, gdy mu Juliusz Simon podsunął podczas obiadu myśl niewinną, żeby „starego" Jouffroy przyjąć do grona „czterdziestu nieśmiertelnych". Wakował bowiem właśnie jeden fotel, gdyż nieśmiertelny jego właściciel był się przeniósł niedawno przedtém do wieczności, a cała akademia była w kłopocie o wynalezienie mu godnego następcy. Cousin niezmiernie się oburzył na propozycyę Simon'a i zawołał z ironicznym uśmiechem: biedny Jouffroy! on do akademii francuzkiéj? za co? za trochę psychologii?... Otóż Jouffroy należał już wtedy do głębszych francuzkich myślicieli i używał sławy zasłużonej; dla Cousin'a było to mało, w żadnym zaś razie nie chciał mieć ucznia kolegą w nieśmiertelności i zamiast niego przeprowadził kandydaturę Pasquier'a. Zasługi Pasquier'a musiały być prawdopodobnie bardzo wielkie w oczach Cousin'a, skoro się mu zajmował gorliwie: był księciem, piastował wysokie dostojeństwa za Napoleona I, za restauracyi i nawet za Ludwika Filipa; mówił w parlamencie gładko i przyjemnie, a odznaczał się podobno wielkim taktem w kwestyach konstytucyjnych... zaprawdę dosyć zasługi, żeby zostać „nieśmiertelnym"! Mało to, ale wymowna próbka stronniczej ambicyi, jaką powodował się Cousin, ilekroć uczniowie pragnęli zbyt blizko przysuwać się do niego. Sam zaś Juliusz Simon, z którym miał rozmowę przez nas wspomnioną o biednym Jouffroy w r. 1842, doznał téj samej stronnej zazdrości. Z razu Cousin mu sprzyjał, zrobił go nawet następcą swoim na katedrze w Sorbonie, ale im więcéj rósł w sławę, tém Cousin stawał się chłodniejszym, a gdy także ubiegał się o mandat poselski, otwarcie intrygował przeciw niemu.-

Człowiek więc ambitny nie mógł mieć wiele przyjaciół: jednych odstraszała olbrzymia próżność, innych polityczna niestałość; ale mniejsza o jego polityczne przekonania, wspomnieliśmy o nich dlatego, że im towarzyszy również wielka niestałość w filozofii: z razu był sensualistą, potém był zwolennikiem „zdrowego rozsądku" szkockiéj filozofii, później przysięgał na panteizm; później im więcéj stawał się figurą rządową, tém więcéj filozofia jego stawała się

spirytualną, a na schyłku życia doczekał się były panteista mieszchanej rzeczy, że biskupi zalecali w współnikach jego dzieło „Du vrai, du beau et du bien", chociaż przyjaciele potrząsali niedowierzająco głową, nie wiedząc czy Cousin mimo dziwięcznych frazesów jest ateuszem, a czy dobrym katolikiem. Zmienność taka w filozofii jest dosyć ciekawą, opowiemy więc cały jej przebieg, choć to długie dzieje.

Że Cousin najprzód się spotkał z sensualizmem, nie ma w tem dziwnego; był to jedyny prawie owoc, jaki Francya XVIII wieku przekazała pokoleniom porepublikańskim. Sensualizm Condillac'a był najwierniejszym obrazem czasów w których powstał. W XVIII wieku przepełniona była Francya ludźmi porządnymi, którzy zgrabnie i dowcipnie tłumaczyli wszystko nie cofając się przed żadną tajemnicą, przed żadną powagą dawnych wieków... Bawiono się bezustannie, dosyć nawet wykwintnie, ale nie było już ani wystawności, ani wspaniałego gustu Ludwika XIV; wszystko zmalało jakoś, rząd i jednostki zmalały, a wszystkim było z tem dobrze. Wiara skostniała, nadzieja wygasła: religią zastępowano rodzajem kościelnej etykiety a wszelki samorodny twórczy zapał ujęto w drobiazgowe prawidła techniki, która siostrą przyrodnią etykiety. Wierzono w jedno tylko, w zmysły, dbano o jedno tylko, o własne jestestwo, stąd dziwnie gustowano w Helwecyuszu i jego teoryi szczęśliwości, będącej idealną egoizmu apoteozą; zachwycano się Condillak'iem i jego teoryą poznawania, sprowadzającą najszczytniejsze prawdy wiedzy do zwyczajnych wrażeń zmysłowych. O Helwecyuszu powiedziała wówczas jedna pani dowcipna, że popularny, bo wygłosił tajemnicę wszystkich; o Condillak'u powiemy to samo; w nim także odkrywał każdy własne swoje przekonanie, stąd nie dziw, że jego filozofia, tłumacząc się wszędzie jasno, zgrabnie, niby to logicznie, rozprawiając o każdej rzeczy w swoim czasie i na miejscu właściwem, zapanowała szeroko, choć zimna i martwa, jak człowiek-posąg, który w niej figurując pod wpływem systematycznie po sobie następujących wrażeń, przemienia się w istotę czującą, w ducha nawet przeświadczonego o własnem jestestwie. Filozofia ta była wiernym obrazem i zarazem ostatnim wyrazem na jakie się zdobyło społeczeństwo sztywne, przeżyte zupełnie, które sztywnie nawet umierało; wiemy jak ono skonało jak uragan r. 1789 po niem przeszedłszy ani śladu nie zostawił stosunków daw-

/.

nych: jedna tylko z nich rzecz ocalała dzieło Condillack'a. Nastały czasy Rzeczypospolitej, kipiące życiem, nastało cesarstwo, brzemienne w czyny, ale w dziedzinie ducha nie stworzono prawie nic wtedy, gdyż uwaga narodu była zwróconą gdzie indziej; tak wytłumaczym sobie łatwo, że zmysłowa filozofia Condillack'a przetrwała społeczeństwo, którego była wyrazem, że krzewiła się dalej, choć dokoła niej ludzie i stosunki odmieniły się zupełnie. W r. 1810 kwitnął sensualizm w Paryżu jeszcze w najlepsze, słynny podówczas Laromiguière wabiący młodzież urokiem słowa był jego najwymowniejszym a zarazem i ostatnim wielkim tłumaczem. Było to w r. 1810, jak Cousin udał się po raz pierwszy na wykład sławnego professora; wrócił zeń zmienionym, jak niegdyś Malebranche, który także po przeczytaniu jednej Deskarta rozprawy, odrodził się niejako w duchu i zerwawszy z dawniejszym trybem myślenia, zaciągnął się na zawsze do szeregów filozofii. A przecież sama treść Laromiguière'owych wykładów nie była zbyt ponętną, był to sensualizm XVIII wieku, prawda, że ubrany w jasną, przyjemną formę i ubarwiony trafnym, delikatnym dowcipem.

Jednakże już w roku następnym wystąpił rywal, który rozpoczął walkę z sensualizmem. Był nim Royer-Collard, który wywrócił panujący system Condillack'a choć nie własną bronią, gdyż przeciw materyalizmowi zawezwał na pomoc tak zwaną szkocką filozofię i na jej zasadach oparł rodzaj spirytualizmu, który choć w sobie nie wiele wart i choć nie może ostać się wobec wymagań surowej, umiejętnej spekulacyi, przecież wyświadczył ówczesnemu społeczeństwu nie małą przysługę, przygotowując je do idealniejszego poglądu na świat i rzeczy jego. Sprawcą tego zwrotu, jak wspomniano, Royer-Collard, który równocześnie wykładając z Laromiguière'em nie mniej przyciągał młodzież niepospolitą swoją wymową, oraz potężném gromieniem sensualizmu w imię zdrowego rozsądku. Wystawmy sobie nieprzyjemne położenie niedoświadczonego młodzieńca, ciągnionego przez dwóch również wymownych przewodników w dwie przeciwne strony. Boleśne to wrażenie, którego pamięć nie zaciera się nigdy zupełnie, a pewna chwiejność nieodzownym jego wynikiem. Młody Cousin był w tém położeniu i zdaje się, że jemu zawdzięcza zaród późniejszy skłonności do eklektyzmu. Ale nie na tém koniec: nie tylko dwóch professorów wyrywało sobie młodego człowieka, lecz trzeci jeszcze wpływał na niego myśliciel, używający już podówczas wielkiej sławy, Maine de Biran, który był o sobie przekonanym, że jest głębokim metafizykiem. Ale dwaj pierwsi Cousin'a mistrzowie odzna-

/.

czają się stylem jasnym i pewnym, o tyle trzeciego mowa ciemna, zagadkowa: są nawet w dziełach jego tu i owdzie ustępy, nad któremi by Hegel suszył sobie głowę nadaremnie. Mimo to duch ten mętny i Dziwny, o którym jeszcze w roku 1833 twierdził Cousin, że nie miał równego sobie w delikatnych, metafizycznych odcieniach i głębokich psychologicznych badaniach, wywarł na zapalonego młodzieńca wpływ bardzo zbawienny; pierwszy bowiem Maine de Biran wywołał z zapomnienia wielkie imię Dekarta, o którym mało co wiedziano podówczas we Francyi; odtąd imię to nie opuszcza nigdy Cousin'a zupełnie: z wszystkich gwiazd filozoficznych, których światłem miarkował swoją drogę, gwiazda Dekarta przyświecała mu najjaśniej i najdłużej, może dlatego, że najwięcej czuł pokrewieństwa w sobie z własnym rodakiem XVII wieku i lepiej go rozumiał niż innych.—

Tacy to mistrzowie przewodniczyli pierwszym studyom Cousin'a, przecież to, czego od nich się nauczył, nie starczyło na długo. Gdy w r. 1815 z ucznia miał zostać professorem, z ławki słuchacza wystąpić na katedrę, przejrzał zapewne raz jeszcze zasoby, jakie mu dali na drogę trzej mistrzowie; były one dość szczupłe: dokładna znajomość sensualizmu XVIII wieku, również obszerna znajomość tak zwanej szkockiej filozofii i bardzo niejasne wiadomości psychologiczne, oto wszystko, z czém miał rozpocząć pielgrzymkę filozofa. To też zasoby te wyczerpnęły się wkrótce, i wtedy młody, żywy, za nowościami uganiający się professor począł szukać świeżych: nauczył się po niemiecku i z słownikiem w ręku czytał mozolnie Kanta. Praca ta olbrzymia i nużąca, odsłoniła mu widnokrąg nowy, szeroki, o jakim nie śniło się nawet jego rodakom dawniej i na którym zmalały niezmiernie i teorya Locke'go i kłótnie sensualizmu i Bonnet'a dziwaczne peryody i sarkazmy Woltera, w ogóle wszystko co zajmowało dawniej uwagę francuzkich myślicieli. Cousin tymczasem przyswoiwszy sobie jako tako myśl Kanta, pośpieszył do jego ojczyzny po chrzest filozoficzny. Było to ku końcowi roku 1817, gdy po raz pierwszy zawitał do niemieckiej krainy: celem jego podróży był Heidelberg gdzie szukał Szellinga; Szelling przecież wtedy był wyjechał i zamiast niego spotkał się z Heglem. Nie był on wtedy jeszcze późniejszą berlińską wyrocznią, mówiono o nim jako o wielu obiecującym uczniu Szellinga, chwalono nawet jego

./.

dzieła, chociaż mało kto je czytał, dla niezrozumiałego, ciężko uczonego języka. I tak zeszli się, młody nieznany jeszcze Francuz, o gorącéj wyobraźni i płynnéj poetycznéj wymowie, z małomównym, flegmatycznym, nieosobliwie wysłowiającym się Niemcem; każdy z nich władał bardzo niedostatecznie językiem drugiego, mimo to jednogodzinna wizyta zbliżyła dwóch tych ludzi tak mało do siebie podobnych, i Cousin opuścił Heidelberg z przekonaniem, że poznał znakomitego myśliciela. Wróciwszy do Francyi rozpowiadał dziwy o wielkim geniuszu, którego niby odkrył za Renem, a współziomkowie słuchali go z zadziwieniem, bo mało wtedy wiedzieli o Niemcach.

Następnego roku zdobył się na wycieczkę dłuższą, wśród któréj odnowił swoję znajomość z Heglem, a zaprzyjaźnił się z Schellingiem i Jacobi'm. Znane są powszechnie ówczesne stosunki niemieckie, dzisiaj wydają się dziwnym snem złotym, który rozkołysawszy się przez lat kilka nad głowami jasnowłosych synów Germanii, odleciał potém nagle na zawsze. Wiadomo, jaki zapał wznieciła walka o „niepodległość" z jaką energią porwano za broń, aby uwolnić się od francuzkiéj inwazyi. Cała prawie młoda intelligencya kraju wzięła udział w téj wojnie, a gdy wróciła do domu i zawiesiła oręż na ścianie, wzięła się z niemniejszym zapałem do pracy duchowéj. Wiadomo powszechnie, jak rozkwitły poezya, nauki i sztuki piękne wszelkiego rodzaju, jak wszędzie zjawiali się mistrzowie, a naokoło nich grupowały się szkoły, które wspólnemi siłami dokazały wiele pięknych rzeczy. Wśród tego kipiącego życia duchowego zajęła filozofia miejsce najpierwsze, bo jakże mogło być inaczéj? Niemiecka intelligencya, wykarmiona wzorami heleńskiéj przeszłości, wiedziała, jakiéj czci doznawała niegdyś królowa nauk za pięknych dni Hellady, a filozofia ze swéj strony zasłużyła sobie na tę cześć i nieograniczone zaufanie. W dniach smutnéj niedoli, jakie nastały dla Niemców po abdykacyi ostatniego rzymskiego cesarza i po bitwie pod Jeną, pracowała gorliwie nad pokrzepieniem ducha narodowego; wymowny Fichte piórem i słowem zagrzewał naród do walki przeciw obcéj inwazyi.... Ale znany także ogólny charakter téj filozofii: był to jawny panteizm, którego zgubne następstwa zasłaniał urok poezyi. A niemiecki panteizm nie od Fichtego datuje, ojcem jego prawdziwym Spinoza, o którym przez całe jedno stulecie zapomniano zupełnie. Dopiéro stary Lessing odnowił pamięć samotnego żyda banity, i odtąd całe Niemcy przysięgają na Spinozę. Zapomniany tak długo myśliciel, wzięła

dowszystkich umysłów, ogarnia potęgą logiki swojéj wszystkie gałęzie duchowego życia. Poeci i myśliciele wszelkich odcieni, teologowie nawet ubiegają się zarówno w oddawaniu czci zmarłemu, chcąc mu niejako wynagrodzić długie zapomnienie... Lessing w nim zakochany, Novalis rozkoszuje się w jego Bogu, który miota się w falach i w burzy, który drzemie w roślinie, przebudza się w zwierzęciu, myśli w człowieku, którego czynność wypełnia wszystko, a przecież nie wyczerpuje się nigdy... Göte ucieka się wciąż do dzieł Spinozy, które „dawnym jego azylem" a bogobojny Herder ubolewa nad nim, że wciąż zatopiony w „Etyce" Spinozy... Tak poeci. Teolog zaś Schleiermacher woła w świętem uniesieniu: poświęćcie razem ze mną pukiel włosów pamięci świętego wygnańca Spinozy. Wspaniały duch świata przeniknął go, nieskończoność była mu początkiem i końcem, wszechświat jego jedyną wieczną miłością; żyjąc w świętéj niewinności i głębokiéj pokorze, przeglądał się w świecie odwiecznym i widział, że nawzajem sam był dla świata zwierciadłem godnéj miłości; pełen był religii i ducha Ś. Dlatego też stoi on samotnie, niezrównany mistrz swojéj sztuki, wywyższony nad tłum robotników, bez uczniów i obywatelstwa..... Cóż dopiero filozofowie? Jacobi wręcz mu przeciwny, uważa go za wyraz ostatni i najwyższy wszelkiéj filozofii, a gdzieś nawet mówi: (Witaj mi, wielki, święty mężu: w jakikolwiek sposób rozumowałeś nad istotą Najwyższego, i jakkolwiek błądziłeś w słowach, zawsze przebywała prawda Jego w twojéj duszy, a miłość Jego była życiem twoim. Drugi filozof Szelling przejęty również wielkim dla niego podziwem; ale lękamy się żeśmy znużyli czytelnika na dobre; dość że duch Spinozy unosił się nad ówczesną filozofią niemiecką, a panteizm był jéj treścią istotną; od r. 1818 wygłaszany publicznie w Berlinie przez usta Hegla, o mało nie stał się religią państwową, dzięki protekcyi ministrów pruskich... Cóż zatem dziwnego, że i młody Cousin wrócił do ojczyzny zagorzałym panteistą, że z uniesieniem roztaczał przed osłupiałym wzrokiem rodaków lśniące skarby nieznanych im dogmatów, przywiezionych z zareńskiego filozoficznego Eldorado? Urok panteizmu do tego stopnia owładnął wyobraźnią Cousin'a, że jeszcze w roku 1833, a zatem w czasie, gdy już przebył nie jedno polityczne i biurokratyczne doświadczenie, nie waha się oświadczyć: ce systême est le vrai – mowa zaś o systemie Szellinga. Krótkie to, straszliwe zdanie czytamy w przedmowie do 2giego wydania „filozo-

./.

ficznych fragmentów"; w następnych wydaniach zgrabnie je wymazano, a w późniejszych latach byłby autor bez wątpienia okupił niewypowiedzenie jego nawet krwią własną.

Ale na cóż zdało się wymazać te biedne słowa, i kilku ustępów do nich podobnych! Panteizm ówczesny odzywa się wszędzie w jego dziełach, gdziekolwiek je otworzymy. N. p. w przedmowie tego wydania „fragmentów filozoficznych" sławnej owej przedmowie, która zwróciła na się całych Niemiec uwagę, dowiadujemy się, że Bóg jest „jednością i wielością, wiecznością i czasem, przestrzenią i liczbą, istnością i życiem"... dalej że jest „początkiem, końcem i środkiem wszego istnienia, że jest zarówno na szczycie wszelkiego bytu jako i najniższego jego szczebla... że Bóg jeżeli nie jest w każdej rzeczy, nigdzie nie jest... gdyby zaś był dla nas zgoła niedostępnym, byłby i niepojętym, a jego niepojętość równałaby się jego nicości (czyli innemi słowy: tylko taki Bóg dla nas istnieje, którego objąć możemy rozumem)... Bóg widoczny w świecie, który jego objawieniem.... wszędzie obecny wraca niejako do siebie, podniósłszy się aż do świadomości człowieka, który jest najdoskonalszym wyrazem jego przymiotów!... Czyż zdania te nie przypominają panteizmu niemieckiego nie tylko z treści, lecz nawet z formy? że autor weń uwierzył, chętnie wybaczymy: tylu innych lepszych uległo zgubnemu czarowi. Zapisujemy tylko, jakie było niegdyś przekonanie Cousin'a i jaka jego wiara. Ale nie tylko teologia jego przybrała barwę panteistyczną, którą zawdzięcza widocznie Niemcom: cała jego metoda stała się niemiecką. Ten sam pisarz, który później wynosi bezustannie doświadczalną psychologię jako pierwszą i najpewniejszą wszelkiej filozofii podstawę, który zarówno swoją sławę jak i sławę Dekarta na tem opiera, że nie opuścili nigdy pola doświadczeń, że więc a posteriori, jak mówiono za czasów Kanta, dochodzili do wszystkich swoich pewników, ten sam pisarz szedł niegdyś ślepo drogą „przyjaciół swoich i mistrzów, naczelników i filozofii tego wieku" i jak oni a priori, t. j. wprost przez intuicyę, niepopartą żadnem doświadczeniem, odgadywał losy ludów i filozofii. Tak samo jak Hegel, i on rozróżnia trzy epoki w dziejach ludzkości, ochrzciwszy je tylko nieco odmiennem nazwiskiem: epokę: 1) nieskończoności, 2) skończoności, a 3) epokę wzajemnego stosunku dwóch pierwszych, w tej trzeciej epoce niby my żyjemy obecnie. Wiele zapewne nie myślał, podczas gdy słowa te pisał, bo też dziwne czasem przychodzą a priori myśli,

/.

które tém milcze, gdy sfinksową zagadkowością odurzają czytelnika.
Hegel, mistrz sfinksowych zagadek, przeczytawszy te elukubracye
„przyjaciela," wyrzekł podobno: „pan Cousin zabrał mi parę rybek,
ale utopił je w swoim sosie." Słowa te malują trafnie Cou-
sin'a w pierwszym lat dziesiątku jego sławy, t. j. mniej wię-
cej od r. 1820–1833, takim był rzeczywiście wtedy, ale potém
dziwnie się odmienił.–

Później nie miała filozofia niemiecka gorszego odeń
nieprzyjaciela, a rozwinął tém większą przeciw niej zawziętość, im
więcej posądzano go niegdyś o jawne dla niej sympatye. Czytelnicy prze-
cież, słysząc, że rozprawiamy ciągle o Cousin'ie jako o filozofie, zapy-
tają się o system jego... Dotąd przytoczyliśmy same ułamki, roz-
proszone tu i tam po jego kursach historyi filozofii. Z kursów tych wy-
dobył za pomocą eklektyzmu rodzaj essencyi którą podawał uczniom
za własny system; stanowi on szereg odczytów, które ułożyły się póź-
niej w sławną książkę du Vrai, du Beau et du Bien. Cousin za-
pewnia, że ona datuje aż z r. 1817, ale niech czytelnicy temu nie
wierzą, widzieliśmy jakiemi były podówczas jego mniemania; z
nich zapewne nie wiele się ostało w ostatecznej redakcyi, skoro
świątli biskupi zalecali ją usilnie wiernym. Przerobił ją istot-
nie kilka razy, zostawiwszy tylko formę odczytów, a w nią wło-
żył wszystko, cokolwiek kiedy myślał.... jeżeli więc gdzie powi-
nien się filozof odsłonić, to właśnie w tej książce. Z pochwał bis-
kupich widać, że pozostawał z kościołem w dobrej zgodzie, stało się
to zaś w r. 1853, gdy go posądzano o sprzyjanie ultrareakcyjnym
tendencyom. To też rzecz ciekawa, jak pojmuje stosunek filozofii
do religii, bo największe między niemi braterstwo nie powinno
nigdy dochodzić do zupełnego komunizmu: potrzeba, by każda
strona zachowała niezależność swoją i wiedziała, co do niej na-
leży. Cousin więc oświadcza w przedmowie 3go wydania „pierw-
szych prób filozoficznych" pisanej w r. 1855, że między filozofią
spirytualistyczną a chrześciaństwem sojusz bardzo łatwy, że oj-
cowie kościoła a po nich Malebranche, Bossuet, Fenelon, zosta-
wili sojuszu takiego przykład wymowny. W słowach tych skre-
ślił autor jasno swoje stanowisko, odtąd wypisał na chorągwi
swojej hasło spirytualizmu, a dogmata kościoła obrał sobie pe-
wnikami badań. Jesteśmy głęboko przekonani, że religia i fi-
lozofia zawierają treść jedną i tę samą, że ściste braterstwo ula-

./.

twi im wywiązanie się z wspaniałej świętej misyi, jaka im się dostała z woli Najwyższego, ale żądamy stanowczo, aby to braterstwo i sojusz na niem oparty nastały na końcu, a nie od początku drogi, żeby były wyni-kiem mozolnej pracy, a nie daniną niezasłużoną, udzielaną za darmo z góry, żądamy w ogóle żeby dwa te wielkie ducha ludzkiego kierunki zeszły się u końca drogi, niby przypadkiem, niby od niechcenia, a potem poko-chały się na zawsze, nie zaś zaczynały wspólnie tę samą drogę, gdyż słusznie wtedy należy się lękać, aby jeden nie chciał przewodniczyć dru-giemu a przez to nie odwodził go od celu. Prawda, że Cousin starał się usunąć powody takiej słusznej bojaźni, oświadczywszy także, że fi-lozofia nie jest religią, i że pomieszać dwa te pojęcia znaczyło to samo, co je nadwerężyć; twierdzi nawet, że filozofia powinna zamknąć się w dziedzinie prawd przyrodzonych i posługiwać się wyłącznie świat-łem przyrodzonego rozumu.... Cudowne zdanie, wiele ojców Kościoła postąpiło sobie tak samo, zapomniawszy niejako umyślnie o praw-dach objawienia i o świetle nadprzyrodzonem, ażeby tylko rozumem ludzkim, doczesnym, dosięgnąć prawdy. Czyż Cousin poszedł za ich przykładem? na to odpowie nam przedmowa książki wspomnia-nej już „Du Vrai, du Beau et du Bien,” która o tyle zabawną, o ile sama książka jest szczerą i nudną. Prawda i to, że stała się tylko zabawną wbrew woli piszącego.

Otóż odpiera w niej autor najprzód zarzut eklektyzmu, twierdząc, że kocha takowy, ale tylko jako środek, nie zaś jako cel ostateczny. Prawdziwym zaś eklektyzmu celem, zatem i autora teoryą istotną jest spirytualizm; o nim to mówi, że również trwały i szlachetny zaczął się z Sokratesem i Platonem, później rozszedł-szy się po świecie pod egidą ewanielii, nareszcie ujętym został przez Dekarta w poważne formy nowożytnego ducha; Royer-Collard wskrzesił go na nowo w szkole, a Chateaubriand, pani Staël i Quatremère de Quincy przynieśli go piśmiennictwu i do sztuk pięk-nych.... Takie przekonanie autora o powstaniu i przebiegu spirytualizmu, co zaś do treści jego, uważa, iż to jedyna filo-zofia, która broni zaszczytnych prawd chrześcijaństwa: nieś-miertelność duszy i istnienie Boga, wolność człowieka i od-powiedzialność osobista za czyny, moralność obowiązków i bez-interesowność cnoty, wszystko to jedynie spirytualizmu dzie-łem... Otóż przekonanie ostateczne, do jakiego doszedł autor przy schyłku życia, otóż essencya cała, jaką wydobył z roz-

licznych systemów po wieloletniem duchowem ich przeżuwaniu; oto dusza książki, która stać się miała filozoficznym katechizmem dla uczącej się młodzieży... Gdy się przypatrzymy jej treści, okaże się, że zarazem i wiele i mało warta: wiele, ponieważ błyszcząca łusiną retoryka ukrywa w sobie prawdy ogromne, mało zaś warta, że autor nigdzie nie uzasadnił prawd tak ogromnych, a przecież zadaniem filozofii niezbędnem uzasadnić każdą prawdę jasno i dobitnie, poprzeć twierdzenie każde szeregiem niezłomnych dowodów. Gdy więc przypomnimy sobie, co uczynił Kościół i ojcowie jego oraz średniowieczni myśliciele, ażeby prawdy te wyjaśnić i ustalić, jak głębokie przybyli ci mężowie rozmyślania i jak krwawszej podjęli się pracy duchowej, aby cel ten osiągnąć choć w części: zaiste ubolewamy niewymownie, że wielkie, święte tajemnice, nad zgłębieniem których strawili geniusze całe życie swoje, stały się igraszką dźwięcznych a pustych frazesów zgrzybiałego retora.

Nie przesadzamy, nie unosimy się wcale, gdyż niemamy do tego dzisiaj żadnego powodu. Otwórzmy książkę, spytajmy się autora o które z licznych a wielkich zagadnień, których rozwiązanie szumnie zapowiada. Zapytajmy go się np. czy Bóg istnieje? Odpowie gładko i zgrabnie: „Prawda wymaga koniecznie, aby istniała w jakiej rzeczy; każdy bowiem fenomen tkwi w jakim podmiocie, wszelkie władze nasze, myśli, objawy woli i zmysłów wrażenia istnieją tylko w naszem jestestwie; tak samo więc prawda mieścić się powinna w istocie jakiej, a prawdy bezwzględne wymagają istoty bezwzględnej jak one, któraby im była niejako podmiotem i zasadą. Tym sposobem dojdziemy do podmiotu bezwzględnego, absolutnego, który nie będzie zawieszony w jakiemś oderwaniu niewyraźnem, lecz będzie istotą rzeczywiście istniejącą. Tę istotę bezwzględną i konieczną, ponieważ jest prawd koniecznych i bezwzględnych podmiotem, tę istotę stanowiącą zasadę a więc i treść prawdy, nazywamy Bogiem.... Nawet nie bardzo do filozoficznych argumentów przyzwyczajony czytelnik osądzi, zdrowym tylko kierując się rozsądkiem, że dowód taki jest czczym i pozornym: z kilku takich frazesów nie odniesie religia korzyści najmniejszej, a poparcia żadnego. Filozof zaś stawiający dzisiaj takie dowody okrywa się śmiesznością. Wielcy bowiem myśliciele łamali się z tym samym przedmiotem: od ś. Augustyna aż do Leibnitza silili się na coraz lepsze za istnieniem Boga dowody, na-

coraz głębsze w prawdziwą Jego istotę wnikanie; potem Kant przyszedł i wykazał niedostateczność wszystkich dotychczasowych usiłowań przez co, choć w innej zupełnie formie i z innych powodów wyraził myśl, przez niejednego ojca Kościoła nie raz wypowiedzianą, że dowody za istnieniem Boga, czerpane wyłącznie z porządku doczesnego, zawsze będą ułomnemi, bo jakże z doczesności odgadnąć Odwiecznego, ze świata stworzeń niczem do nich niepodobnego Stwórcę. Dowód zaś ułomny dla filozofii żadnym nie jest, ona jasne tylko stawia, niezłomne; gdy zaś słabemi siłami nie zdoła ani dosięgnąć, ani objąć prawdy jakiej, wtedy przejęta skromnością, która cechą geniusza, schyliwszy czoło w pokorze, przekazuje badanie tej prawdy siostrze swojej teologii, szafarce objawienia i prawd odwiecznych niem objętych. Uważamy za czyn największy Kanta, o którym sam może nie był przeświadczony zupełnie, że oddzielił prawdy nadprzyrodzone od prawd rozumowi dostępnych. Prawdy nadprzyrodzone stały się odtąd wyłączną teologii dzielnicą, jej tylko godzi się podnosić tajemniczą zasłonę, filozofia zaś stawa przed nią ze spuszczonym wzrokiem i po świętem zdumieniu, jak niegdyś młodzież chciwa prawdy przed posągiem Izydy, ale śmiertelna i doczesna, ujęta w granice doczesnego rozumu, nie dotknie się przybytku nadprzyrodzonych, rozumem nie pojętych tajemnic. Cousin jednak, w kilkadziesiąt lat po Kancie, jak gdyby nic nie było zaszło w świecie, stawia z zadziwiającą naiwnością wyż zacytowany frazes, pięknie zaokrąglony, za ostatni wynik rozumu. Podobnych zresztą myśli pełno w książce. „Du vrai, du beau et du bien", wszędzie zastąpiono ścisłość dowodów blaskiem retorycznym obrazów; żeby je rozbierać po kolei, na to nie mamy ani czasu, ani chęci, wskażemy tylko przyczynę duchowego upadku, jakiemu uległ autor na końcu życia swego.

Cousin rzeczy tych nie uczy dlatego, że prawdziwe, lecz że dobre i korzystne; nie mając nadziei trafić do przekonania treścią filozofii swojej, zawezwał na pomoc doczesne korzyści, towarzyszące jej podobno. Spirytualizm, tak zaczyna autor, jest sprzymierzeńcem każdej dobrej sprawy, podporą religii, opiekunem sztuk pięknych i poezyi, przestrzegaczem prawa; spirytualizm odpiera dalej zarówno i demagogię i pretensye samowładztwa, obudza w każdym szacunek i miłość bliźniego, doprowadza nareszcie społeczeństwo do prawdziwej rzeczypospolitej, do ideału dusz szlachetnych, który to ideał urzeczywistniony w monarchii konstytucyjnej... Takie

./.

głosi obietnice spirytualizm przez usta p. Cousin'a, czyż nie piękne? jakże nie pokochać tego, który tyle rozdziela darów, jakże nie iść z nim na przebój przez życie całe? Ale te obietnice powinny zastanowić nas nieco, powinny wstrzymać nieco zapał naszych kroków; wielcy myśliciele nigdy nie obiecywali nic prócz prawdy, a prawda obojętną na doczesne korzyści. Otóż ustęp ten pełen obietnic dowodzi snadnie, że Cousin nie jest filozofem, tak samo jak dawniejsze o Bogu wykazały, że nie jest myślicielem. Tak z wszystkich przymiotów jego młodości nie ostał się żaden, tylko styl dźwięczny i piękny pozostał mu wiernym do końca, zkąd nazwiemy go retorem, gdyż własność ta przeważa w nim ciągle.

Gdyby Cousin nie napisał nic więcej jak książkę „Du vrai, du beau et du bien" i kilka do niej podobnych, nie mówilibyśmy już dzisiaj o nim tak, jak nie mówię o innych spirytualistach, których tak wielu jeszcze wegetuje we Francyi. Ale Cousin zrobił kilka rzeczy dobrych, powiedziawszy więc o nim wiele złego, słuszna, byśmy wspomnieli także o zasługach jego. Zajmował się bowiem gorliwie historyą filozofii i na jej polu dokonał nie jednej wielkiej pracy. Trzeba jednak zrazu odpowiedzieć na pytanie: czy Cousin był w istocie historykiem filozofii? jak wielu mniemało; czy rodakom swoim zostawił dobrą jaką historyę filozofii? Odpowiedzą na to jego odczyty o historyi filozofii, których ogłosił szereg nie mały. Pierwsza i druga ich serya pochodząca z r. 1828 rozpoczyna się tomem wiele obiecującym, zawiera bowiem wstęp do dziejów filozofii, a choć w nim wiele pomysłów aprioristycznych, których nie potwierdziło żadne doświadczenie historyczne, np. sławna systemów filozoficznych czworakość, powtarzająca się podobnie w każdej dziejów ludzkich epoce czyli innemi słowy, że każde stulecie musi zarówno mieć reprezentantów idealizmu i materyalizmu, skeptycyzmu i mistycyzmu... pominąwszy więc wszystko to, nie można odmówić „wstępowi" wielu pięknych, prawdziwie filozoficznych myśli i słusznie spodziewano się po nim historyi filozofii, opartej na dokładnej znajomości stosunków politycznych i społecznych. Prawda że autor dał nam później krótki zarys całej historyi filozofii, który następnie licznych doczekał się wydań, ale pozostanie on zawsze nie tylko szczupłym, lecz nader ułomnym, gdyż filozofia np. Ojców Kościoła oraz średnie wieki ledwo niczem nie zbyte. Kilka

tylko historyi filozofii ustępów rozwinął w kursach swoich obszerniej; t. j. filozofię Locke'go i szkocką, materyalizm XVIII wieku i teoryę Kanta; a nawet do tych prac niby specyalniejszych, cierpiących z powodu formy odczytów na pewną luźność i niegruntowność: nie przyłożymy nigdy miary doskonałych monografij. Porównywając więc ich autora do wielkich, prawdziwych historyków filozofii, n. p. Brucker'a, Tiedemann'a, Tennemann'a, Ritter'a i innych, którzy starali się wydobyć ze źródeł całe duchowe jestestwo minionych myślicieli i takowe roztoczyć w mniéj lub więcéj wiernym obrazie. . . . powiemy chyba na pochwałę Cousin'a, że niektóre z historyi filozofii ustępy popularną opowiadania formą rozpowszechnił między większą publicznością. Pochwała ta bardzo przyjemna, ale innéj dać mu nie możemy, póki mowa o historyku; widząc zaś w nim zbieracza materyałów, przyznamy mu zasługi wielkie i dodatnie. W istocie wszystkie jego wielkie prace, które mu zajęły lepszą część żywota, są zbiorami materyałów. On bowiem pierwszy przełożył całego Platona i wydał z uwagami objaśnieniami i wstępami w 13 tomach (r. 1822-1840); nieznane przed tem pisma neoplatończyka Proklosa ogłosił w 6 tomach (1819-1827 r. a po raz drugi w r. 1864); całego Dekarta wydał w 11 tomach; dodajmy nieznane dawniéj rękopisma Abelarda ogłoszone w jednym wielkim tomie, dzieła O. Andrzeja (P. André) i dzieła Maine de Biran'a w kilku tomach, a każdy przyzna, że pięćdziesiąt kilka tomów zebranych materyałów świadczy chlubnie o pilności niezmordowanego zbieracza. Wreszcie ten zapał zdradza brak oryginalnéj twórczości, bo któryż myśliciel samodzielny byłby chciał strawić cały czas życia swego na pracy trzydziestotomowéj, wymagającéj tak specyalnych filologicznych, historycznych, antykwaryuszowskich wiadomości i wiadomostek, iż piszący, przywalony bezustannie olbrzymim ciężarem komentarzów, ekscerptów, waryantów, i. t. d. prawie nigdy zdobyć się nie może na jakąś myśl samodzielną. Cousin przecież garnął się do prac takich z niezwykłą (robotą) ochotą a zapał jego trwał zawsze do ostatniéj stronnicy; wśród rękopismów starych i foliantów obraca się lekko i wesoło, niby wśród dawnych znajomych i poufałych przyjaciół. Gdyby był chciał zostać przy nich zawsze, gdyby był chciał uwierzyć, co powiedział o nim Taine, że on stworzony na mularza a nie na architekta, byłby bez wątpienia używał mniejszéj popularności, ale w zamian pozyskałby sławę gruntowniejszą.

Dręczony jednak manią nieszczęśliwą zostania /.

historykiem, przekonany, że dosyć na to licznych wiadomości i dzielnej retoryki, pisał historyą nie tylko filozofów lecz nawet sławnych kobiet. Cóż byśmy powiedzieli o Tacycie, gdyby roztoczywszy obraz wspaniały bitwy pod Kremoną, kontynuował opowiadanie swoje w ten sposób: „Dokumenta bardzo ciekawe, tyczące się bitwy, przechowują się w palatyńskiej bibliotece; tamże spoczywają pamiętniki dowódzcy legionu N. N. i list naczelnego wodza wojsk Wespazyanowych, pisany do przyjaciela nazajutrz po bitwie; dwa te arcyważne źródła mieszczą się w osobnych rękopismach.. pierwszy wygląda tak... a drugi tak... stronnic mają tyle... okładkę purpurową... i. t. d! Najzagorzalszy nawet antykwaryusz uważałby podobne postępowanie za zupełnie barbarzyńskie; Cousin jednak nigdy zwyczaju tego nie zaniechał. Miał np. sposobność utworzenia wielkiej historycznej monografii, kreśląc wstęp do niewydanych dzieł Abelarda, ale na każdej prawie stronnicy, wśród ślicznych, pełnych nieraz ognia ustępów o rozwoju duchowym średniowiecznych myślicieli, czytamy paleograficzne i antykwaryuszowskie elukubracye, które całości nie dozwoliły ani powstać ani ułożyć się w obraz jednolity. Jeżeli zaś niegustowne takie popisywanie się erudycyą mniej razi póki mowa o średniowiecznych dyalektykach lub o pisarzach starożytnych, których imiona przyprószone od dawna pyłem ciężko uczonych komentarzy, to predylekcya podobna staje się po prostu nieznośną, ile razy zbliżamy się do świata, nie zasypanego jeszcze uczonym materyałem. Wszystkie też niedostatki Cousin'a, przed innemi zaś brak zupełny twórczego umysłu, wystąpiły w świetle jaskrawém, gdy zapragnął stać się kronikarzem sławnych francuzkich kobiet z XVII stulecia, mianowicie gdy rozgorzał mistyczną miłością do pięknej księżnej Longueville, siostry Wielkiego Kondeusza. Któż skreślił jéj postać idealną w dwóch sporych tomach, ale arcydziwnem się wydaje jako pogrobowy kochanek pani Longueville, którego zdobyła sobie tylko dwieście lat po śmierci, dowodzi że ubóstwiana przezeń istota była w istocie piękną i celem tego porównywa nieczytelne rękopisma, stare sztychy i wyblakłe portrety, najchętniej zaś odczytuje jéj listy. Donosząc zawsze sumiennie w której rubryce, pod którym numerem, w której bibliotece znajduje się przedmiot przezeń przytoczony. Nie mamy zamiaru żadnego wdawać się w szczegóły, ludzie niesłychanie od nas dowcipniejsi, przed innymi zaś p. Taine, rozebrali kwestyą tę gruntownie i osądzili całą Cousin'a czynność dziejopisarską. Zgodzono się powszechnie na jedno, że autor nie jest historykiem, lecz archeologiem, powlekającym mozolnie zebrane

szczegóły pokostem błyszczącej retoryki.

Przecież mowa o umarłym, zapomnijmy więc w końcu o jego błędach. De mortuis nil nisi bene. Jego biografia „pani Longueville" i jego księga „Du vrai, du beau et du bien" pójdą w zapomnienie, za lat dziesiątek nikt do nich nie zajrzy więcej; jego „fragmenta filozoficzne" i „prelekcye" zastąpione będą lepszemi; jego materyały do historyi filozofii potrwają nieco dłużej, ktokolwiek pracować będzie na tém polu, nie ominie się z niemi, jednakże jakkolwiekbądź, i ich sława przebrzmi, zamieni się z żywej w biblioteczną, pewnego dnia staną tomy Cousin'a obok kwartantów Fabrycyusza, Brucker'a, Thomasiusza i tylu innych, niegdyś sławnych i wielkich, których chodzimy podziwiać po bibliotekach, ile razy nam potrzebni do załatwienia uczonego sporu. Smutna to sława, przecież Cousin'a obok niej oczekuje lepsza: Francya będzie długo, prawie zawsze wspominała jego imię, ponieważ jemu właśnie zawdzięcza swój entuzyazm do filozofii, który wzrastając w siły bezustannie, rywalizuje już dzisiaj z Niemcami w najlepsze. Pismo Cousin'a pył pokryje, ale żywe, natchnione niegdyś słowa, które wywołały liczny zastęp myślicieli, żyć będą w czynach i wydadzą owoce po przez wiele generacyi. Przedewszystkiem był on professorem i wykładami swemi wywarł wpływ ogromny na młodzież: kilka już generacyi wyszło lub bezpośrednio z pod niego, lub z pod jego uczniów, a uczniowie, jak Damiron, Jouffroy, Juliusz Simon, Vacherot, Renan, nawet złośliwy niewdzięcznik Taine a oprócz nich tylu innych zawdzięcza mu ocknienie ducha swego. Zaiste nie mała to sława i rozkosz nie lada, żyć w wdzięcznej pamięci prawie wszystkich gwiazd teraźniejszej Francyi.

Warszawa, w maju. [1867]

# Współczesna Abissynia i Cesarz Teodor II.

Wiadomo czytelnikom z gazet, że rząd angielski, po długich a nadaremnych układach, postanowił z mieczem w ręku uwolnić obywateli swoich, konsulów i missyonarzy, więzionych bezprawnie przez cesarza Abisynii; w tym celu odpłynęła armia do dalekiego kraju. – Trudno naprzód wiedzieć koniec wyprawy, bo chociaż doskonała broń i zimna odwaga rokują Anglikom zwycięztwo, jednak pamiętać także należy, że weszli do kraju, obszernego jak Francya, najeżonego górami, przeciętego labiryntem niezliczonych wąwozów, wystawionego nareszcie przez większą część roku na wszelkie okropności pory deszczów zwrotnikowych. A gdy nawet uda się pobić dumnego mocarza Abisynii, to bynajmniej nie koniec wyprawy, ale raczej jej początek; plemiona abissyńskie, żyjące między sobą w wiecznej niezgodzie i wojnie, zbuntowane wiecznie przeciw swemu cesarzowi, zapomniały już nieraz domowych niesnasek, aby wspólną nienawiść zwrócić przeciw obcym. Wtedy z nieporównanym fanatyzmem bronią gór swoich, dowiedli nieraz, że do Abissynii wnijść łatwo, ale trudno z niej wrócić. Łatwo ją podbić, ale trudno się przy podboju utrzymać. (Zapomnijmy przecież na chwilę o małej armii angielskiej, która uzbrojona w gwintowane działa i z tyłu nabijane karabiny, posuwa się odważnie naprzód, z wąwozu w wąwóz, z doliny w dolinę, nie napotykając nigdzie nieprzyjaciół, tylko tu i owdzie gromadkę zdziwionych górali; podczas gdy się zapuszcza coraz dalej w nieznane odwieczne lasy, wśród stromych skał i niebotycznych gór, a przenieśmy się choć myślą, do dalekiego kraju aby przypatrzyć się jemu i zapoznać się z ludem, który tak niespodzianie zwrócił na siebie uwagę wszystkich europejskich dzienników. Sądzę, że czytelnicy chętnie towarzyszyć nam będą, w tej geograficznej wycieczce, do mało znanych, a tak odległych stron.

— • —

Równolegle z morzem Czerwonem, ściśnięty wązką doliną, toczy odwieczny Nil spokojne swoje wody; gdy czytelnik rozpo-

czniе od ujścia jego, w górę rzeki, małą wędrówkę, rozumie się na mapie, to przesunie się palec jego najprzód przez płaski Egipt, potem przez górzystą Nubię, aż nareszcie w południowej Nubii rzeka, wzdłuż której odbywamy naszą geograficzną wędrówkę, rozdziela się na dwa, prawie równo silne, ramiona, z których jedno płynie od południowo-wschodniej, drugie od strony południowo-zachodniej; łączą się zaś oba ramiona pod miastem Chartum, w Nubii, jak wspomniano, aby odtąd we wspólnym, braterskim uścisku pospieszyć do morza. Prawda, że nie bardzo się śpieszą, bo od Chartum do Alexandryi, nad ujściem rzeki, mil dwieście kilkadziesiąt, a Nil tak płynie powoli. Nie staniemy przecież w Chartum; siadamy na łódkę i jedziemy w górę, ramieniem rzeki, które płynie od wschodnio-południowej strony. Im dalej jedziemy, tem dziksze, tem więcej malownicze kraje; jeszcze mil kilkadziesiąt a jesteśmy w granicach Abissynii; gdybyśmy szli dalej, dostalibyśmy się niechybnie do mało znanych źródeł rzeki, ale podróż wodą staje się niemożliwą, bo coraz więcej skał, coraz więcej wodospadów. Otóż więc i Abissynia. Stanowi ona całość w sobie zamkniętą, jak Szwajcarya, do której z powierzchni swojej bardzo podobna. Do morza Czerwonego nie dochodzi, przedzielona piaszczystą płaszczyzną, w której mieszkają napół dzikie, czarne plemiona, wierzące w Mahometa i słuchające tureckiego sułtana; prawda, że ich poddaństwo dosyć jest wątpliwem. Od północy otacza Abissynię wspomniana już Nubia, od zachodu zaś i południa kraje bardzo mało znane, które jednak nie tak straszne i smutne w naturze, jak wyglądają dotąd na mapie, jeśli wierzyć dawnym rzadkim podróżnym, co je zwiedzali. I tak sterczy sobie Abissynia, uwieńczona niebotycznemi górami, zamknięta w sobie, nie dająca nigdzie łatwego przystępu; sterczy sobie, jak niezachwiana skała, o którą uderzają od lat przeszło tysiąca wezbrane mahometanizmu fale, bo trzeba wiedzieć, że Abissynia jest od XV wieków krajem chrześciańskim, odciętym od wszelkiej styczności z resztą ludów Chrystusa, okolonym zewsząd wyznawcami pół-księżyca. Prawda, że dosyć dziwne tam wegetuje chrześciaństwo, ale o tem później.

——— - ———

Na oko Abissynia jest bardzo uroczym krajem: płaszczyzna przegradzająca ją od morza Czerwonego jest nieurodzajną, nudną, przykrą i niezdrową, ona zaś urozmaicona, żyzna, obdarzona powietrzem czystem i ożywczem, choć większa część kraju nawet

-/-

10° nie jest oddalona od równika. Odróżniać jednak trzeba doliny od gór i wyżyn: w dolinach klimat duszący, zwrotnikowy, ale na górach powietrze prawdziwie szwajcarskie; słusznie też kraj ten przezwano afrykańską Szwajcaryą. Ogromne wyżyny piętrzą się jedna nad drugą, a na ostatnich sterczą wierzchołki gór, przechodzące zwykle 10000'. Wyżyny te, wyniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, odgrodzone są od siebie niezliczonemi jarami i wązkiemi dolinami, których dna często nie dojrzysz z góry, a każda z tych dolin, gdy nastaje pora deszczów, zamienia się w koryto olbrzymiej rzeki. Wreszcie, szamocące się fale nie długo panują, znikają bez śladu razem z deszczami, a wtedy zwrotnikowa wegetacya, o której bujności i żywych kolorach trudno na Północy nabyć dokładnego wyobrażenia, odkrywa owe doliny i jary i wszystkie podnóża stromych gór. Przypatrzmy się tym dolinom, przez które teraz przedziera się armia angielska. Dolina czasem tak wązka, tak ściśnięta z obu stron niebotycznemi granitami, że zrazu nie wiesz, czy to dolina, czy tylko rozpadlina wśród skał, i z bojaźnią zapuszczasz się w ciasny wąwóz, w którym zdaje ci się co chwila, że skaliste ściany ścisną cię jak w kleszczach i więcej nie wypuszczą. W tych wąwozach, a liczą się one na tysiące, panuje cisza grobowa; żaden ptak tam nie zagości, bo mu zaduszno i ciemno, tylko małpa czasem, wspinając się na skałę, zakrzyczy z przestrachu i krzyk ten jeden przerywa straszne milczenie. A gdy się burza zbliża i jesteś właśnie w takim wąwozie, wtedy nie namyślaj się: uciekaj co prędzej, abyś się wydostał z niego, bo dosyć jednej godziny lub dwóch, aby zapełnił się huczącemi falami, które pochłonęły już nie jedną karawanę. I znowu za kilka godzin ani śladu powodzi, ta sama cisza co przedtem, i chyba strumyczek mały wije się leniwie wśród miałkiego koryta.

Z wąwozu wjedziesz w nieco szerszą dolinę, ale tam podróż także nie bardzo bezpieczna. W gęstych, nieprzeniknionych krzakach i zaroślach wije się straszny boa, czyhają lwy, grasują stada dzikich słoni, a gdy znużony przepędzisz noc pod gołem niebem, napadnie cię febra niebezpieczna. Śmierć towarzyszy ci we dnie i w nocy, na każdym kroku, pod wszelką formą. Ale z wielką ciemnością sąsiaduje zawsze wielkie światło, z silną śmiercią silne życie. A jakie tam życie olbrzymie! Przed tobą trawa potężna jak trzcina, a gdy w nią wjedziesz, nie widać ani ciebie ani konia; nie przejedziesz zgoła, jeżeli nie znajdziesz drogi wydeptanej przez słonie. A z takiej

/.

Dziewiczej łąki ujedziesz niebawem w również dziewicze lasy: rozłożyste odwieczne sykomory o szerokich liściach i niezmiernych konarach roztaczają cień, przez który nie przedarły się nigdy promienie słońca; droga staje się niemożliwą, bo wszędzie przed nogami twemi olbrzymie drzewa, wiekiem lub wichrem powalone, które runąwszy gniją od wieków, rozkładają się w atomy, co prawie pod okiem przechodnia zamieniają się w nowe rośliny. Wszystko tam bezustannie rośnie, rozwija się, kwitnie, tryska życiem na wszystkie strony.

Ale to doliny, obdarzone wszystkiemi cudami i klątwami zwrotnikowego nieba, nie stanowią jeszcze prawdziwej Abisynii; chcesz ją poznać, to wstąp na szerokie wyżyny, wzniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, rozpostarte u podnóża gór jeszcze wyższych. Tam klimat zupełnie odmienny: powietrze jędrne, wiatr zimny, mało drzew, zwierzyny żadnej. Trawa tam wiecznie zielona, choć skromniejsza, jak w dolinach, to też pasą się wszędzie nieprzejrzane stada owiec i wołów; ziemia żyzna i czarna, wymagająca wprawdzie pracy, ale też chłodny wiatr osusza pot na czole znużonego oracza. Gorąco nie ubezwładniło człowieka jak w dolinach: lud silny i rosły, pilny gdy potrzeba; wieś graniczy ze wsią; dziki zwierz ustąpił do dolin, przyroda poddała się zupełnie uprawie.

Z krótkiej tej charakterystyki widać, że natura wyposażyła Abisynię i najlepiej i najgorzej z pomiędzy dzielnic Afryki. Doliny są niezdrowe nawet dla krajowców, a mimo żyznej gleby, prawie zupełnie zaniedbane; przy jakiej takiej uprawie mogłyby wydawać wszystkie płody krajów gorących, mianowicie dobrą bawełnę. Za to wyżyny obdarzone klimatem zdrowym i umiarkowanym, sprzyjają osiedleniu się Europejczyków: rodzi się tam wyborna pszenica i jęczmień, wino i kukurydza, nawet kawa. Również sprzyja klimat hodowaniu bydła: wielbłąd i koń, muł i osioł udają się wybornie; krów i wołów co nie miara, owiec również wielka obfitość. Świnie, gołębie, kaczki i gęsi uchodzą za nieczyste i nie są hodowane, za to mają mieszkańcy szczególne upodobanie w kurach, mianowicie w kogutach, które żywione w każdym kościele służą zamiast zegarów: pianie ich wzywa do rannej modlitwy. Miód i wosk bardzo są poszukiwane, przecież tylko dzikie pszczoły ich dostarczają, ponieważ pszczelnictwo zupełnie jest nieznaném. Soli kamiennej nigdzie nie

/.

brak; wspominam dlatego o niéj, że stanowi ona jeden z głównych towarów handlu z zagranicą; wywożą ją na południe i zachód do Murzynów, którzy cenią ją na równi ze złotem; kawały soli ważące w przecięciu 30 kilka łutów, są najpowszechniejszą monetą, można za jeden taki kawał kupić nieraz u Murzynów niewolnika. Mimo téj obfitości wszystkiego i wybornego klimatu na wyżynach, została Abissynia upośledzoną od natury; kraj to bowiem zupełnie zamknięty w sobie, nie dochodzi ani do morza i nie ma żadnéj rzeki spławnéj, któraby go łączyła z resztą świata: za tém idzie brak kommunikacyi i mały rozwój handlu. Góry graniczne spadające wszędzie dosyć stromo przepuszczają tylko tu i owdzie handlowe karawany; gdy się zaczyna pora deszczów, ustają wszelkie podróże, dla braku mostów i dróg, bo rząd tam od wielu wieków nie osobliwy.

Mieszkańcy jednak radzą sobie jak mogą; ziemia ich żywi, chociaż uprawa roli jeszcze na téj samej stopie, na jakiéj była przed tysiącem lat u starych Egipcyan. Pługi drewniane, a forma ich prawdziwie przedpotopowa; niezgrabne sierpy jedynym sprzętem żniwiarskim, sposób młócenia bardzo pierwiastkowy. Jeżeli rolnictwo stoi tak nisko, naturalnie rzemiosła nie podniosły się wiele wyżéj; mimoto wystarczają krajowe wyroby na wszystkie potrzeby życia. Ubiór nie wykwintny, ale ciepły i trwały. Złotnicy, malarze, kowale i tokarze, po większéj części żydowskiéj narodowości, nie wiele gorsi od naszych; gdyby zresztą powstała jaka taka konkurencya, obudziłoby się tysiące zdolności, które dzisiaj drzemią zupełnie; bo lud zdatny do wszystkiego, ale od kilku wieków stan żołnierski, żywiący się kosztem kraju, pochłania najlepsze siły i szerzy dokoła niechęć do pracy. Miasta, główny warunek postępu i oświaty, podupadły w sposób niesłychany; żeby mieć o nich wyobrażenie, dość przypatrzyć się największemu. Jest to stolica Gondar, w części zachodniéj kraju. Stolica ta licząca niegdyś 80.000 mieszkańców, ma ich dzisiaj ledwo 7000, wszystkie lepsze budynki i znaczniejsze ruiny pochodzą z wieku XVI, gdy wielu Portugalczyków wstępowało do służby abissyńskiéj. Oni to pobudowali wszystkie zamki i drogi, po których zostały się tu i owdzie smutne zwaliska. Sam zamek cesarski w Gondarze składający się z wielu gmachów, o licznych wieżach i kopułach, dzisiaj jest niezamieszkałą ruiną; jego mury i baszty rozpadły się oddawna, dziedziniec zamkowy obrócono w targowisko, park zamienił się w nieprzebytą gęstwinę. Naokoło

zamku, w dalekich odstępach, rozłożyły się pojedyncze dzielnice miasta, o wązkich, krzywych uliczkach: żydzi mieszkają osobno, mahometanie osobno, a chrześcianie także osobno. Kościołów chrześciańskich aż 44, pochodzą naturalnie wszystkie z lepszych czasów. Kształt wszystkich jeden i ten sam: nad zupełnie okrągłym gmachem wznosi się wysoki, śpiczasty dach słomiany; dokoła zaś kościoła otwarty krużganek o niezgrabnych filarach, przykryty także słomą. Niektóre kościoły opatrzone w dzwony, a wszystkie bez wyjątku otoczone gajami starych jałowców lub drzew oliwnych. Do kościoła wchodzą tylko mężczyźni; płeć żeńska odprawia swoje modlitwy we wspomnianym krużganku. W samym środku kościoła miejsce czworograniaste ogrodzone, rodzaj jakiegoś sanctuarium, w którem przechowują się arka przymierza i dziesięcioro przykazań. Domy prywatne, tak samo jak kościoły, okryte słomą i zwykle kształtu okrągłego: dom każdy otoczony gęstym żywem płotem, bo hieny i lamparty zaglądają teraz aż na rynek miasta. Po tym małym obrazie stolicy, wystawi sobie czytelnik łatwo, czem są miasta prowincyonalne; niektóre z nich liczą ledwo kilkaset mieszkańców.

Wspomnieliśmy o licznych kościołach i klasztorach w Gondarze, nigdzie ich nie brak, można powiedzieć, że kraj cały zasiany niemi; ale czas wspomnieć o religii, która je dźwignęła. Wspomniałem na wstępie, że Abisynia jest krajem chrześciańskim i to od wieków piętnastu; powiedzmy więc, jak nim została. Krajowcy przeplatają pierwsze swoje dzieje takiem mnóstwem bajek, że trudno odróżnić fałsz od prawdy; takie bajki otaczają także wprowadzenie chrześciaństwa. Czytelnicy przypominają sobie z dziejów apostolskich, że św. Filip, wyszedłszy pewnego dnia z Jerozolimy spotkał się z rzezańcem królowej Kandaki i ochrzcił go. Ten wróciwszy do domu, do Etyopii, tak bowiem niegdyś zwała się Abisynia, nawrócił podobno królowę i cały dwór, i stał się tym sposobem rozkrzewicielem chrześciaństwa w pogańskim dotąd kraju. Jakkolwiek nawrócenie podskarbiego królowej Kandaki nie ulega żadnej wątpliwości, nie wiemy jednak z pewnością czy królowa panowała w samej Abisynii lub innym jakim kraju południowym, gdyż granice starożytnej Etyopii bardzo były niepewne, nie ma zaś najmniejszego dowodu, że nawrócony rzezaniec rzeczywiście apostołował za nową wiarą. Tyle pewna, że dopiero w IV stuleciu naszej ery. ./.

dwóch braci, Frumencyusz i Edezyusz wygłaszali słowo Boże w późniejszej Abisynii; nauka ich jednak, jakkolwiek ogarnęła kraj cały, wkrótce odcięta zupełnie od źródła prawdy, stała się dziwnym amalgamem chrześcijańskich dogmatów i żydowskich zabobonów. Wiele mianowicie zachowało się obrządków żydowskich, co nie zadziwia wcale, gdyż już przed wprowadzeniem chrześcijaństwa istniały w kraju liczne żydowskie osady, a wielu krajowców przystało było na ich wiarę. I tak, chrześcijanie abisyńscy święcą sobotę zamiast niedzieli, uważają obok chrztu obrzezanie za niezbędne i praktykują takowe nie tylko na chłopcach, lecz i na dziewczętach; odróżniają jak żydzi zwierzęta czyste od nieczystych, uważają jak oni wiele czynności jako zanieczyszczające, po których powinno nastąpić obmycie, zanim zanieczyszczony przestąpi próg kościoła. To też nie dziwi wcale, że psalmy Dawidowe i księgi Mojżesza używają prawie większego znaczenia od Nowego Testamentu. A to, co się zostało z chrześcijańskich nauk, także bardzo jest mylnem, jak wszystkie sekty, które się odłączyły od prawdziwego Kościoła. Co do istoty Chrystusa hołdują mieszkańcy heretycznym wyobrażeniom Monofizytów; jeżeli Najświętszą Pannę otaczają słusznie czcią nadzwyczajną, to w zabobonie swoim oddają podobnąż cześć św. Jerzemu i Michałowi. Wszystko przesadzając utworzyli z chrześcijaństwa dziwną karykaturę. Utkwili w formalnościach, więcej dbając o nie, niż o treść duchową: i tak posty, np. 10 miesięcy na rok, przestrzegają z największą skrupulatnością, aby nie zjedli zakazanego zwierzęcia i t. p. Do kościoła chodzą tylko w niedzielę, gdzie podczas mszy kapłan wszystkim podaje komunię. Nie wiem jednak, czy nabożeństwo ich można nazwać mszą, bo prócz odśpiewania psalmów i odczytania kilku ustępów z Pisma św. innej ceremonii dojrzeć nie można. Duchownych świeckich i zakonnych mnóstwo niesłychane; stan ich jednak dosyć opłakany, bo wyjąwszy kilka klasztorów, odznaczających się wielkiem bogactwem, reszta księży, mianowicie świeckich, żyje w nędzy i próżniactwie. Na czele abisyńskiego duchowieństwa stoi niby prymas, zowiący się abuna, przysyłany za każdym razem przez koptyjskiego patryarchę rezydującego w Aleksandryi, gdyż starodawna ustawa wyklucza krajowców od tej najwyższej posady. Świeckie duchowieństwo żyje w małżeństwie; zakonnicy zachowują ścisły celibat, mają zresztą osobnego naczelnika, rzekłbym generała, który obok abuny, jest najwyższą figurą w kościelnej hierarchii. Naturalnie że w takich stosunkach jakie opisaliśmy, duchowieństwo wywiera wpływ nadzwyczajny, mianowicie na niższe warstwy, co o ile w zasadzie, rzeczą jest dobroczynną, o tyle

./.

w Abisynii szkodliwą, gdyż wykształcenie duchownych, świeckich i zakonnych, równa się prawie zeru. Jakkolwiekbądź, te smutne resztki chrześciaństwa, dają jeszcze mieszkańcom Abisynii duchową pewną wyższość nad sąsiadami, którzy albo hołdują przesądom Mahometa, albo kłaniają się dzikim fetyszom. Skutki chrześciaństwa widoczne są na każdym kroku: pojedyncze np. plemiona wojują między sobą bezustannie, ale podczas gdy w sąsiednich mahometańskich lub pogańskich murzynów kończy się wojna zupełnem wytępieniem pobitego nieprzyjaciela, u Abisyńczyków żony i dzieci nieprzyjaciół zawsze są szanowane. Prawo bowiem zakazuje surowo, sprzedawać abisyńskiego obywatela w niewolę; można bezwątpienia napotkać tu i owdzie niewolników, ale nie są to nigdy krajowcy, lecz z zewnątrz importowani murzyni. Chrześcianinowi nie wolno się trudnić handlem niewolników, pod karą śmierci. Kobieta nie jest towarem, jak u Turków, Arabów i Murzynów; używa ona wielkiej swobody i zostaje pod opieką prawa. Jeżeli zaś Abisyńczycy dla Europejczyków nader są gościnni, to i tą okoliczność tłumaczy się pewnem duchowem pokrewieństwem istniejącem między nami a nimi. Otóż dotykalne skutki wiary Chrystusowej. Chrześcijaństwu też zawdzięcza Abisynia rodzaj literatury, która jakkolwiek szczupła i uboga, jednak stanowi pewną karmę duchową. Literatura ta pisaną jest i pisze się w staro-etyopskim języku, który oddawna umarł, lub raczej przeobraził się w szereg nowożytnych narzeczy, które mają się do niego jak romańskie języki do łaciny. Znaczenie umarłego języka takie samo, jak niegdyś u nas łaciny: stał się on wyłącznym językiem literatury i liturgii. Spokrewniony z innymi semickiemi językami, mianowicie z hebrajskim i arabskim, jest jednak daleko od nich trudniejszy dla skomplikowanego alfabetu, liczącego głosek około 200; kształt bowiem każdej spółgłoski zależy od towarzyszącej jej samogłoski, i tak: pisze się b inaczej przed a, inaczej przed o, inaczej przed u, i t.d. Totéż księża tylko i uczeni, którzy wychodzą z akademii w Gondarze, władają trudnym alfabetem, ogół nie umie ani czytać, ani pisać. Literatura zresztą narodowa nie bardzo bogata; oprócz Pisma Św. składa się w znacznej części z tłumaczeń teologicznych dzieł greckich, z jałowych kronik i nieosobliwych utworów poetycznych. Literatura więc jest przeważnie teologiczną, i stąd zapewne pochodzi zapał Abisyńczyków do dysput teologicznych; nie masz narodu, któryby ich przewyższał

/.

w tej mierze. Ponieważ ćwiczenie pamięci stanowi ich ulubioną pedagogiczną metodę, przeto można napotkać mnóstwo ludzi, rozumie się uczonych, umiejących na pamięć jeżeli nie całą biblię, to przynajmniej trzy czwarte lub połowę. Każdy więc ma gotowy materyał do dysput pod ręką, bo potrzeba tylko cytować ustępy z Pisma Św., i ciskać niemi na przeciwnika, co Abissyńczycy czynią w strasznych rozmiarach. Czasem podróżny myśli że jest w starem, zniedołężniałem Byzancyum, gdzie także dysputowano o dogmatach, gdy już Turcy byli pod murami; tak samo dzieje się w Abissynii: kupcy i żołnierze, możni i kobiety, dygnitarze i właściciele dóbr, wszyscy, nie wyjmując wcale ludzi niepiśmiennych, byleby się nadarzyła sposobność, potrafią dysputować całemi dniami: czy np. w Chrystusie jedna była natura lub dwie, czy Duch Św. tylko od Ojca pochodzi, lub też zarazem od Ojca i Syna, i t. d. Czasem dysputy te kończą się w sposób przykry, gdyż w braku argumentów logicznych uciekają się często przeciwnicy do argumentów dotykalnych. Ale widać z tego wszystkiego, że to lud rozbudzony i pojętny, a podróżni zaręczają, że wcale nie stroni od nauki, że chętnie przeczyta książkę, gdy się do niej dorwie, a gdy sobie wytknie jaki cel naukowy, to i lata całe potrafi wytrwać przy nim.

Krótki, ale wierny obraz religijnego i duchowego życia Abissyńczyków nie wyda się czytelnikom bardzo ponętnym, ale pamiętajmy, że od wielu wieków kraj się cofa bezustannie, a z nim i jego religia. W pierwszych wiekach chrześciańskich utrzymywał jeszcze rozliczne stosunki z światem rzymskim i z niego czerpał zarodki własnej cywilizacyi; odkąd jednakże dziki Islam wytępił do szczętu rzymską-chrześciańską oświatę w Egipcie, i na północnych wybrzeżach Afryki, a potem zagarnął nawet większą część Murzynów, sąsiadujących z Abissynią: odkąd ustały wszelkie stosunki między nią a źródłem chrześciaństwa, kraj zatrzymał się w rozwoju, a wszystko co się zatrzyma w drodze postępu, zmarnieje niechybnie; to też zmarniała Abissynia. Prawda, że jeszcze dzisiaj, jak przed wiekami, ciągną liczni pielgrzymi do grobu Zbawiciela; ale czynią to bez skruchy i bez przekonania, jedynie dla świeckich widoków, aby odznaczyć się między swymi. Wiele zaś z tych pielgrzymów wraca z Jerozolimy przez Mekkę i tam przyjmuje Islam, także bez przekonania, jedynie żeby zarobić summę, wypłacaną biednym neofitom przez tureckiego paszę, aby mieć czem pokryć koszta powrotu. Naturalnie, że tacy pielgrzymi, po-

wróciwszy do ojczyzny, nie podnoszą w niczem ducha religijnego, to też zdaje nam się, że chrześciaństwo abissyńskie, jako sekta odrębna, wskazanem jest na zagubę, bo oderwane od pnia chrześciaństwa, pozbawionem zostało soków żywotnych. Jest to gałęź niegdyś świeża, którą burze dziejowe rzuciły daleko od drzewa i która zasycha coraz więcej. Islam z dniem każdym zyskuje więcej prozelitów wśród ludów murzyńskich okalających Abissynię, coraz węższemi sploty otacza on jéj góry; już się do nich wdziera wszystkiemi wąwozami: jeszcze wiek jeden lub dwa, a udusi zupełnie napół obumarłą wiarę. Przecież Europa spieszy z pomocą, aby odświeżyć zagrożoną, starą wiarę Chrystusową: od wieków Rzym posyłał tam swoich missyonarzy, którzy jednak nie wiele zdziałali. Wspomniemy o tych usiłowaniach nieco później, natém miejscu poświęcimy słów kilka missyom istniejącym tam obecnie. Dwie tam są główne missye, pracujące z różnem powodzeniem: angielska i francuska.

Los każdéj missyi w mniéj cywilizowanych krajach, związany jest z politycznym wpływem narodu, od którego wychodzi. Ponieważ Francuzi wspierali współzawodników teraźniejszego cesarza, Anglicy zaś go uznali zaraz po koronacyi, przeto missya angielska przez lat kilka była górą. Jéj misyonarze i konsulowie otaczali ciągle cesarza, i pod jego bokiem rozszerzali działalność swoją. Jednakże nie bardzo im się powiodło. Lud, wierzący w świętych i Matkę Boską, kochający się w obrazach, w processyach i świetnych religijnych obrzędach, odpycha z oburzeniem zimny racyonalizm północy, który mu wcale nie przypada do serca. Cesarz, pragnący we wszystkiem centralizacyi i jedności, nie lubi wcale rozmaitości sekt i cenił angielskich missyonarzy, nie dla ich wiadomości teologicznych, lecz dla technicznych zdolności. Pozamykał im szkoły i zakazał dysputować, ale zato zrobił z nich architektów, inżynierów, dozorców fabryk, lekarzy i Bóg wie co. – Misyonarze musieli budować twierdze, urządzić działolejnię, najrozmaitsze fabryki, i tak stracili czas na najrozmaitszych zajęciach, wyjąwszy głoszenie słowa bożego. Wiadomo, że nareszcie cesarz pogniewał się z Anglią, wsadził większą część misyonarzy i emisaryuszów do obronnej Magdali, a resztę trzyma przy sobie pod strażą. Taki był przebieg nieszczęśliwy missyi protestanckiéj. Katolicka była nieco szczęśliwsza: wspomniałem, że w

./.

dawniejszych (czasach) wiekach rozpoczynała po kilkakroć swoje działanie, ale zawsze bezskutecznie: opowiem zaraz o tych usiłowaniach obszerniej. Teraźniejsza missya katolicka może dlatego więcej jest tolerowaną od dawniejszych, że oddzieliła się od politycznego wpływu Francyi. Od dwudziestu przeszło lat pracuje ona cicho w północnych częściach Abissynii, na samym jéj krańcu, daleko od oka cesarza. Wykształciła sobie kilkudziesięciu krajowych kapłanów, którzy wywierają wpływ bardzo zbawienny na swoje parafie: lud uczęszcza regularniéj do kościołów i otacza związki małżeńskie coraz większym szacunkiem. Oto pierwsze choć bardzo skromne owoce téj missyi, którą założył zmarły w r. 1860 biskup Justyn de Jacobis; był to człowiek tak szlachetny i tak łagodnego usposobienia, że wszystkie sekty, nawet sam cesarz szanowali go mimowolnie. Katolicka zresztą missya postępuje sobie daleko rozsądniéj od angielskiéj: Anglicy chcieli wszystko stare wykorzenić odrazu i dać biblią ludowi w rękę, który po większéj części nie umie nawet czytać; katolicy zostawili wszystkie dawne zwyczaje: staro-etyopską liturgią, rozliczne posty i małżeństwo kapłanów, a w sporach dogmatycznych poczynają sobie bardzo ostrożnie, wiedząc naprzód, że takowe wśród ludu zupełnie zaniedbanego i podupadłego duchowo nie mogą przyczynić się do rozjaśnienia prawdy. Przecież przyszłość dopiero okaże, o ile Bóg pobłogosławi ich szlachetnéj pracy.

———— - ————

Poznaliśmy kraj i stan obecny jego oświaty, powiedzmy także coś o jego dziejach i różnych kolejach, przez jakie przechodził od niepamiętnych czasów. Początki abissyńskiéj historyi otoczone nieprzeniknionym mrokiem bajek, które więcéj pochlebiają narodowéj próżności, niż prawdzie; od wielu wieków panowała nad krajem starożytna familia, która według mniemania ludu pochodzi wprost od Salomona. Wiadomo bowiem z Pisma Św., że piękna królowa Saby, zaciekawiona rozgłosem Salomonowéj mądrości, pojechała do żydowskiego króla w odwiedziny. Z powrotem przywiozła do kraju swego nie tylko wiele mądrych nauk, lecz i zadatek miłości: zadatkiem jéj miłości był syn Manilehek, który został podobno praojcem abissyńskiéj dynastyi. Począwszy od niego, panowała ona, mimo różnych kolei zmiennéj fortuny aż do naszych dni prawie, i dopiero teraźniejszy cesarz, człowiek bez przeszłości, dziecko ludu, pozbawił ją odwiecznéj godności. Ale na cóż przechodzić szczegółowo losy kraju i staréj dynastyi, z nie bardzo one są

./.

ciekawe i nużącej jednostajności, jak we wszystkich despotycznie rządzonych krajach Wschodu. Niesnaski familijne, wojny domowe, bunty krnąbrnych satrapów i możnych panów, walki przeciw majordom, Murzynów i Turków z Egiptu, stanowią kanwę, na której każde stulecie wyhaftowało te same postaci, te same wypadki. Jedyną ciekawą rzeczą na tej historycznej kanwie są stosunki z Europą, toteż zamilczymy zupełnie o historyi wewnętrznej i poświęcimy krótką wzmiankę stosunkom z zagranicą.

Przez całe średnie wieki Europejczycy nie wiedzieli nic zgoła o Abissynii, gdy ta nagle dała znak życia przy bardzo ważnem zdarzeniu. W r. 1439 zebrał się sobór powszechny we Florencyi, ażeby naradzać się nad pogodzeniem powaśnionych kościołów, greckiego i rzymskiego. Otóż na wspomniany sobór przyjechali także abissyńscy zakonnicy, z polecenia swego cesarza Konstantyna. Przysłał ich zaś przeor abissyńskiego klasztoru istniejącego w Jerozolimie od wieku XIII, który był punktem zbornym i gospodą dla pielgrzymów, przybywających co rok do świętego miasta z Etyopii. Abissyńscy zakonnicy nie bardzo wspierali pojednawcze usiłowania soboru, przeciwnie obstawając uporczywie za dogmatem, jako Duch św. tylko od Ojca pochodzi, przyczynili się nie mało do uniemożebnienia zgody między wschodnim a zachodnim kościołem. Przywiązywano przecież w Rzymie niemało wagi do przybycia deputacyi z odległego kraju i dzisiaj jeszcze można w Watykanie oglądać obraz, wyobrażający to szczególne zdarzenie.

W tych czasach także usiłowali Portugalczycy odkryć nową drogę morską do Indyi, a wysyłając różne wyprawy na zachodnie wybrzeża Afryki, aż do ujścia Senegalu, dowiedzieli się tam od kupców, którzy zdaje się przybyli lądem wszerz całą Afrykę, o istnieniu na wschodzie silnego państwa chrześciańskiego. Sądząc słusznie, że państwo to stanie się bardzo ważnem ogniwem w stosunkach z Indyami, posłał nareszcie król Jan II ku końcowi XV stulecia dwóch znakomitych ludzi: Covillan'a i de Payva zwyczajną drogą, przez międzymorze Suez do morza Czerwonego, aby się dowiedzieli tam czegoś pewnego o Indyach, a zarazem o państwie owem chrześciańskiem, napół mistycznem. De Payva przepadł bez wieści w tamtych stronach, Covillan zaś, dostawszy się szczęśliwie do Indyi Wschodnich, i zabawiwszy tam czas dłuższy, wstąpił z powrotem do cesarza Abissynii, Alesandra, który rządował

wtedy w mieście Szoa. Spotkał go los ten sam, co potém wielu innych Europejczyków. Cesarz cenił go, dał mu znaczne posiadłości ziemskie i rozkazał pozostać w kraju. Covillan przecież utrzymywał stałą korespondencyę z królem portugalskim, i pierwszy udzielił pewniejszych wiadomości o Abissynii i krajach sąsiednich. Tymczasem odkrył Bartłomiej Diaz drogę naokoło przylądka Dobrej Nadziei, w ślady jego popłynął Vasco de Gama z silną flotą do Indyi i zdobył Kalikut; odtąd uwaga rządu portugalskiego odwróciła się od Abissynii, a zwróciła się przeważnie ku zachodnim wybrzeżom Afryki, wzdłuż których wiodła nowa droga do ich posiadłości w Indyach.

Mówią powszechnie, że nowa ta droga pociągnęła za sobą przewrót w handlu europejskim i upadek Wenecyi, która przez międzymorze Suez i morze Czerwone utrzymywała stosunki z Indyami. Przecież to nie prawda. Droga przez morze Czerwone jest krótsza i wygodniejsza: kupcy arabscy, perscy, egipscy przywozili regularnie towary indyjskie do Suez, zkąd je zabierali Wenecyanie. Te stosunki handlowe nie potrzebowały lękać się konkurencyi portugalskiej na drodze dłuższej i mozolniejszej naokoło przylądka Dobrej Nadziei. Jeżeli one ustały ze szkodą Wenecyi, to nie w skutek owej konkurencyi, lecz zmian politycznych, zaszłych na brzegach morza Czerwonego. Wiadomo, że Egipt stanowił państwo samodzielne, że tak samo inne wybrzeża morza Czerwonego rozpadały się na liczne wolne państewka; odkąd jednak Selim I został sułtanem tureckim, wszystko się zmieniło od razu. W r. 1517 został Egipt podbitym i przyłączonym na zawsze do państwa tureckiego; w kilka lat potém spotkał tenże los całe pobrzeże morza Czerwonego aż do Indyjskiego oceanu. Wszędzie usadowili się Turcy, wszędzie nakładali olbrzymie podatki i cła niezmierne, i wkrótce bezmyślność i brutalność sułtańskich paszów zniweczyły cały handel, kwitnący od wieków na morzu Czerwoném, a zostający w rękach kupców arabskich i indyjskich; ta więc okoliczność a nie współzawodnictwo portugalskie zadało śmiertelny cios dumnej Wenecyi.

Zdobycze Turków w owych stronach zaniepokoiły mocno Abissynię. Sprzymierzywszy się z sąsiedniemi pogańskiemi ludami, które się szybko nawracały do Islamu, stawały się armie tureckie coraz groźniejszemi. Ale od Abissynii nie daleko do Indyi, a tam kwitnęły już osady portugalskie w najlepsze; wtedy to małoletni cesarz Dawid, pobity przez sąsiadów, i dopro-

wadzony do rozpaczy, usłuchał rady znanego nam już Covillan'a, który żył jeszcze natenczas w pierwszej połowie XVI stulecia. Cesarz wyprawił Armeńczyka Macieja z czułym listem do króla portugalskiego przyrzekając mu połowę państwa, byleby mu dopomógł do zniweczenia Islamu i do zburzenia Mekki. Maciej po długich przygodach dostał się nareszcie trzeciego roku do Lizbony, gdzie go król Jan II przyjął życzliwie i natychmiast wyprawił małą flotę na pomoc abissyńskiego mocarza. Flota ta jednak zmarniała w drodze, i dopiero druga, pod wodzą admirała Segueyr'y dopłynęła szczęśliwie do miasta Massana gdzie i dzisiaj wylądowała armia angielska. Poselstwo portugalskie, mające ze sobą wspomnianego Macieja, udało się natychmiast do Abissynii, gdzie po sześciomiesięcznej podróży spotkało się nareszcie z cesarzem Dawidem. Ale uczucia cesarza odmieniły się wielce: pobiwszy szczęśliwie swoich nieprzyjaciół i niepotrzebujący już zagranicznej pomocy, cesarz przyjął posłów dumnie i nareszcie po pięciu latach nadaremnych wyczekiwań odprawił ich z niczem, zatrzymawszy dwóch z nich u siebie, lekarza Jana i malarza Bermudesa. Ale los wojny jeżeli okazał się gdzie niestałym, to mianowicie w Abissynii. Cesarz Dawid niedługo potem został pobitym od Turków i plemion pogranicznych, i przez lat 14 cała Abissynia była wystawioną bezkarnie na wszystkie okropności wojny. Wtedy to, wśród tych okropnych zamieszek, został portugalski ów lekarz Jan Bermudes, po śmierci abissyńskiego prymasa abuną, t. j. głową narodowego Kościoła. Ledwo dostąpiwszy tej godności, udał się pospiesznie do Rzymu, gdzie od papieża uzyskawszy tytuł „patryarchy morza" wracał do swojej dyecezyi. Ale tymczasem cesarz Dawid umarł, a następca jego Klaudyusz bił się dosyć szczęśliwie z Turkami i Murzynami. Nowy patryarcha wracał ale nie sam; uzyskawszy od króla portugalskiego znaczne posiłki, wylądował w r. 1542 w Massana, poczem armia portugalska pod dowództwem Chrystofera, wsparta silnemi zastępami Abissyńczyków, udała się w głąb kraju, aby połączyć się z cesarzem Klaudyuszem. Jest to pierwsza armia europejska, która odważyła się na to: Anglicy dzisiaj probują to samo drugi raz. Armia jednak portugalska zanim zdołała się połączyć z cesarzem, została w drodze zniesiona przez Turków; bohaterski dowódca Chrystofer de Gama poległ, a głowę jego posłano do Stambułu, jako oznakę zwycięztwa.

Niedobitki portugalskie przedarły się szczęśliwie do cesarza i przyczyniły się potém do zadania Turkom walnéj klęski, poczém cesarz odzyskał wszystkie prowincye państwa. Portugalczycy zaciągnąwszy się w służbę cesarza, osiedli w kraju, gościnnie przyjęci, ale Bermudes, oddawszy tak wielkie usługi cesarzowi, domagał się nadaremnie dyecezyi swojéj, albowiem podczas nieobecności jego obrano innego abunę, a cesarz nie myślał wcale złożyć go z urzędu, ani uznać supremacyi Rzymu. Pozostało więc wszystko po staremu, a usiłowania połączenia Abissynii z Rzymem spełzły na niczém. Rozpoczęło to jednak niedługo potém na nowo. W r. 1555 przybyło kilku OO. Jezuitów, których cesarz przyjął zrazu bardzo życzliwie, ale ci trawili czas na bezużytecznych dysputach z krajowém duchowieństwem, a chcąc odrazu znieść wszystkie odrębne cechy abissyńskiego kościoła, rozjątrzyli lud przeciw sobie. Oprócz tego zdaje się mieli także udział niemały w domowych wojnach, łącząc się zawsze z tym pretendentem, który obiecywał przejść na katolicyzm, ale szczęśliwi pretendenci nigdy nie chcieli dotrzymać obietnicy, a nieszczęśliwi wciągali regularnie we wspólną zgubę swoich katolickich przyjaciół. Ztąd każda nowa rewolucya sprowadzała nowe prześladowanie i na Portugalczyków, osiadłych w kraju i na katolickie duchowieństwo.

Pomyślniejsze czasy zaczęły się dla katolicyzmu, gdy w r. 1597 przybyło kilku OO. Jezuitów z Indyi, z kwitnącego domu w Goa. Byli to naturalnie znowu Portugalczycy a najznakomitszym pomiędzy nimi O. Paez, który umiarkowaniem, cierpliwością i chęcią zgody, osiągnął wszystko to, czego nie mogli wyskać poprzedni misyonarze, powodując się niewczesnym zapałem i przesadzoną gorliwością. O. Paez zrazu działał cicho, założył szkoły, w których mnóstwo kształcił nowo nawróconych krajowców, a nareszcie wystąpił z całym ich orszakiem publicznie w r. 1604. Rozumie się że miejscowe duchowieństwo nie zdołało ostać się w dysputach z młodymi uczniami O. Paez'a, a cesarz tak się ucieszył i z widocznych zasług nauczyciela i z zadziwiających postępów uczni, że oznajmił O. Paez'owi gotowość przejścia na katolicką wiarę i wyprawił listy do papieża i do króla hiszpańskiego; (Portugalia zostawała wtedy pod berłem Hiszpanii), prosząc o jezuitów do zakładania szkół i o rzemieślników, do urządzenia fabryk. Ten krok cesarza wywołał ogólne powstanie magnatów i krajowego duchowieństwa, i nie długo potém ce-

/.

sarz zginął w wielkiej bitwie. Jego następca jednak Socynios pozostał również życzliwym dla katolików: O. Paez używał u niego nadzwyczajnego poważania i katolicyzm robił z każdym rokiem większe postępy. Z tychto czasów datują wszystkie znaczniejsze ruiny, wszystkie resztki dróg i mostów, o których wspomnieliśmy dawniej: są one wszystkie bez wyjątku dziełem portugalskich jezuitów. Przed nimi nie znano w Abissynii kamiennych gmachów, a po nich budować je zaprzestano. Boteż Paez był jak mówią, geniuszem uniwersalnym, znał się na każdem rzemiośle, na każdej sztuce, kierował budowaniem zamków, kościołów, gmachów publicznych, dróg i mostów, których rozwaliska zadziwiają dziś jeszcze wędrowców. Na nieszczęście umarł gorliwy kapłan zbyt rychło, i rzadko kiedy było czyjeś apostolstwo uwieńczone również zadziwiającemi skutkami. Ale od śmierci jego wszystko się zmieniło. W r. 1625 przybył z Rzymu nowo-zamianowany patryarcha etyopski Alfons Mendez. Cesarz Socyniosz z całym dworem złożył mu uroczyście hołd posłuszeństwa. Ale wkrótce nowy patryarcha dumnem i szorstkiem postępowaniem zniechęcił sobie wszystkich, a chociaż Socynios pozostał do śmierci wiernym złożonej przysiędze, już syn jego Bazylides zaraz po wstąpieniu na tron zniweczył całe dzieło ojca, powodując się ogólną niechęcią. Patryarcha i całe katolickie duchowieństwo odebrali rozkaz opuszczenia kraju, a gdy powstanie kilku prowincyi na ich korzyść nie udało się, wielkie prześladowanie zatarło wszelkie ślady niedawno zaszczepionej wiary.

Odtąd ustały na długo wszelkie stosunki między Abissynią a Europą, tylko kupcy holenderscy przyjeżdżali od czasu do czasu z Indyi Wschodnich. Usiłowania Ludwika XIV, żeby ustalić wpływ Francyi w nieznanym kraju, nie odniosły pożądanego skutku i Abyssinia pozostała aż do naszego wieku nieznaną i zamkniętą w sobie. Dzisiaj oczywiście wszystko się odmieniło: w ciągu obecnego stulecia Francya i Anglia usadowiły się w kraju, a z niemi misye anglikańska i rzymska, których działanie poznaliśmy już dostatecznie. Głównie zaś przyczyniły się do poznania kraju podróże odważnych uczonych, którzy z narażeniem życia przejechawszy kraj w dłuż i w szerz, odsłonili w sławnych dziełach

ten nieznany kąt ziemi. Trudno wyliczyć wszystkich, wspomnimy tylko, że już w przeszłym wieku Anglik James Bruce, zwiedził kraj ten i opisał dokładnie. Z najnowszych wymienimy trzech, Anglika Baker'a i dwóch Niemców: hr. Krakow-Wickerode, i nareszcie Heuglin'a, z których każdy dał gruntowne sprawozdanie z swojéj podróży. Skorzystamy głównie z dzieła p. Heuglin'a, „Podróż do Abissynii" i t. d. (Reise nach Abissynien, den Gala-Laendern, Ost-Sudan und Chartum); aby dać czytelnikom kilka szczegółów o cesarzu Teodorze poprzedzimy je krótką wstępną uwagą.

———-———

Powiedzieliśmy już, że od wielu wieków panowała nad Abissynią krajowa dynastya, dość mitycznego pochodzenia. Dynastya ta utrzymywała zawsze berło w swojej rodzinie, z władzą nieograniczoną, a chociaż niéraz się zdarzało, że bracia lub krewni dobijali się władzy najwyższéj, nie odważył się jednak żaden obcy zająć miejsce prawowitych panów kraju. Dopiero od połowy przeszłego wieku doznało znaczenie panującej familii niebezpiecznego szwanku, spotkał ją bowiem ten sam los zupełnie, co niegdyś królów francuskich z domu Merowingów. Marszałek dworu stał się panem rzeczywistym a cesarz tytularnym cieniem. Stosunek taki trwał aż do roku 1855, gdy nareszcie prosty żołnierz imieniem Cassa, dobry wojownik, ale zresztą człowiek bez przeszłości i przodków, wywrócił spróchniałe rządy dynastyi, pozbawionéj od dawna wszelkiéj powagi, i ogłosił się cesarzem w Gondarze pod imieniem Teodora II.

Ludność kraju nadzwyczaj jest rozmaitą: szczep panujący stanowi szlachtę, a podbici krajowcy są zbiorowiskiem najrozmaitszych plemion, których naliczyć można przynajmniéj dwadzieścia, a te nie cierpią się wzajemnie i wojują między sobą bezustannie. Los tych podbitych plemion był bardzo opłakany za dawnych rządów. W każdéj prowincyi znaczna jakaś rodzina z panującéj szlachty dzierżyła najwyższe urzędy, sposobem dziedzicznych lenności. Mali ci, prawie niezależni satrapi, uciskali lud a panujący nie miał dość władzy, aby go zasłaniać. To téż przyjęto wstąpienie na tron Teodora z wielką radością: lud mniemał, że to zbawca zesłany z nieba, gdyż chodziła tam dawna przepowiednia, że kiedyś zjawi się możny pan, który wróci krajowi dawną świetność i sławę. Teodor miał w

f.

istocie wielkie plany, ale zacząwszy zbyt wiele rzeczy naraz, nie mógł żadnej dokończyć. Marzył np. o rozszerzeniu granic swoich aż do morza Czerwonego i o podbiciu pomorza, zostającego pod zwierzchnictwem tureckiego sułtana. Ale niesforna armia abisyńska została pobita przez małą garstkę dobrze uzbrojonych Turków, i trzeba było odłożyć wielkie plany na później. Marzył o zaprowadzeniu dobrych sądów, podniesieniu handlu, dźwignięciu przemysłu, ale nieustające bunty niweczą wszystkie jego zamiary. Od roku 1855, gdy ozdobił skroń cesarską koroną, wygląda Abissynia nadaremnie pokoju. Gdzie cesarz obozuje z licznemi tysiącami, tam go słuchają; ledwie udał się do innej prowincyi, już nowe powstanie wybuchło za jego śladami.

We wszystkich prowincyach stara szlachta, nie cierpiąca samozwańca parweniusza, podnosi rokosz prawie corocznie, znajdując zawsze licznych ochotników, którzy przekładają życie awanturnicze w górach, nad cichy, pracowity pobyt w domowej zagrodzie. Te bandy powstańcze, nie mając pewnej przed sobą przyszłości, żyją z dnia na dzień, wyzyskują teraźniejszość, bo jutro nie do nich należy i pustoszą kraj w najlepsze. Chłopi pozbawieni trzód i sprzętów, łączą się z niemi, aby nie umrzeć z głodu. Rozległość kraju sprzyja powstańcom, dzikie lasy i niezliczone wąwozy dają im bezpieczne schronienie. Armia zaś cesarska, nie lepiej obchodzi się z krajem, od powstańców, wlokąc za sobą tabor nieprzejrzany i tysiące kobiet i dzieci, podobną jest do szarańczy, która nic nie zostawia po sobie: przed nią idzie popłoch, za nią spustoszenie. Tak mianowicie cała południowa Abissynia, która niegdyś była krajem opływającym w miód i mleko, jak mówi Pismo św., zamieniła się w pustkowie, gdzie życie stało się zgoła niepodobnem. Żeby więc wybrnąć z tego zamętu kłopotów i wrócić krajowi dawną pomyślność, trzeba być niemal więcej, niż człowiekiem; zdaje się jednak że cesarz Teodor nie podoła temu zadaniu, gdyż o ile jest dobrym żołnierzem, o tyle złym politykiem, czego dowodem niepotrzebne drażnienie Anglików, które ściągnęło na kraj, w dodatku do istniejących już nieszczęść, jeszcze niebezpieczną zagraniczną wojnę.

Ale zapoznajmy się nareszcie z cesarzem i jego obozem. P. Heuglin odwiedził go dwa razy: w r. 1853 i w kwie-

/.

tnia r. 1862. Przytaczamy kilka szczegółów z drugich jego odwiedzin,
które pod wielu względami bardzo są ciekawe. Cesarz obozował wtedy
w południowej części Abissynii, w prowincyi Wollo, niedaleko od
sławnej fortecy Magdala, gdzie uwięzieni Anglicy wyglądają os„
wobodzenia swego. P. Heuglin, zaproszony przez cesarza, wyje„
chał z honorową eskortą z Gondaru, dawnej stolicy, leżącej prawie
w środku kraju, aby udać się do obozu. Opuściwszy Gondar 17 lutego 1862 r.
przyjechał na początku marca do miasta Gaffat, gdzie mieszkali pro„
testanccy misyonarze. Ci uwiadomieni o jego przybyciu, przyjęli go
gościnnie i zatrzymali u siebie tydzień cały. Misyonarze, stoso„
wnie do rozkazów cesarza, nie zajmowali się wcale głoszeniem sło„
wa bożego, zamiast tego pracowali jako puszkarze, stolarze, stel„
macy, działolejce, siodlarze, inżynierzy i architekci. Cesarz obcho„
dził się z nimi bardzo dobrze: wyznaczył im obszerne grunta na
stałe utrzymanie, a naczelnik prowincyi, rezydujący w Debra-Ta„
bor zaopatrywał ich w bydło, miód i inne potrzeby. Niewolno im
było jednak wyjeżdżać ztamtąd bez osobnego pozwolenia. Zaty„
dzień udał się p. Heuglin w dalszą podróż; 15 marca stanął
pod Magdalą, do której jednak zabroniono mu stępu. Magdala
leży na górze, wynoszącej mniej więcej 1/2 mili kwadr.; przystęp
do niej jest zupełnie niemożliwym, gdyż skaliste boki góry zapa„
dają się stromo w przepaść; forteca więc, posiadająca obfite zdroje
i nawet grunta uprawne, nie da się ani wziąść szturmem, ani
wymorzyć głodem: jest ona główną podstawą cesarskiej potęgi,
gdyż tam znajdują się jego magazyny, arsenał, skarby i więz„
nie stanu. Trzy godziny drogi od Magdali mieszkał alter-ego ce„
sarski Ras-Ubie w oszańcowanym obozie. Ten, młody jeszcze,
dostojny mężczyzna, przyjął p. Heuglin'a bardzo uprzejmie
w namiocie wykładanym bogatemi dywanami, ale oświad„
czył mu z góry, że go zatrzyma u siebie aż do dalszych rozka„
zów cesarza. Areszt ten dosyć zresztą przyjemny, osładzał sobie
p. Heuglin spacerami po dzikiej, malowniczej okolicy, gdzie, jak
zawsze robił ciekawe spostrzeżenia geologiczne i botaniczne,
zbierał liczne okazy ciekawych i rzadkich roślin i zwierząt. Mia„
nowicie studyował tam życie pewnego rodzaju małp, zowiących
się zwykle pawianami a znanych w zoologii pod uczonem na„
zwiskiem Theropithecus. Ponieważ psychologia i socyologia
tych małp bardzo są ciekawe, przytaczam z nich kilka szczegółów;

./.

sądzę, że czytelnicy nie znudzą się niemi.—

Małpy te mieszkają w niedostępnych jaskiniach, gdzie tuląc się do siebie przepędzają zimne noce, bezpieczne od srogich lampartów i żarłocznych hien. Ze wschodem słońca wychodzą ze swoich kryjówek, prowadzone przez kilka starych samców, i drżące od zimna siadają w wielkich gromadach na skałach, zabezpieczonych od wiatru. Podczas tego rannego grzania się na słońcu samice i młode drzemią jeszcze godzinkę lub dwie, jak domyśla się uczony podróżny, podczas gdy samce siedzą szerokiem kołem, jak wedety na straży. Ale odbywanie warty nudzi je diabelnie, toteż ziewają bezustannie, otwierając szeroko brzydką paszczę, przecierają sobie oczy, a gdy chłodny poranny wietrzyk potarga im długą, żółtawą grzywę, warczą (na) głośno na znak niezadowolenia. Tymczasem słońce wzbija się coraz wyżej, gorąco się wzmaga, a małpice drzemiące dotąd w dość niewygodnych postawach, objawiają humor coraz lepszy. Jedna rozciąga się wygodnie na słońcu i przewraca się na wszystkie boki, druga przegląda troskliwie futro swego malca a głośnem klaskaniem zębów oznajmia, że go oczyszcza z różnych drobnych nieproszonych gości. Nareszcie cała gromada, rozbudzona gorącem słońca porusza się, malce przewracają niebezpieczne koziołki z niecierpliwości, starzy tymczasem ustawiają gromadę długim szeregiem, który na czele i na końcu dozorowany przez doświadczonych samców, udaje się gęsim pochodem, po przez spadzistość skał w dolinę. Tam już snują się inne gromady; po krótkiem przywitaniu i rozstawieniu wart, zabiera się reszta do śniadania, które bardzo jest skromnem, składa się z liści, pączków, owoców, ziarn rozmaitych a smakosze podnoszą wielkie kamienie i wyciągają z pod nich tłuste robaki i chrabąszcze, żeby mieć coś pour la bonne bouche. Malcy tymczasem bawią się i skaczą wesoło, przeszkadzają bezustannie starym w jedzeniu, a te doprowadzone do rozpaczy, gryzą na wszystkie strony, biją malców po uszach, lub uchwyciwszy za krótki ogon odrzucają gdzieś daleko. Ale dorosła młodzież niemniej swawolna od malców. Tam nad kamieniem siedzi piękna małpka i zjada smacznie tłustego ślimaka; wtém zbliża się do niej młody galant w zalotnych susach: ona spuszcza skromnie oczki i nie zwraca na niego uwagi; on staje się coraz więcej natrętnym. Ale na nieszczęście małżonek ładnej, skromnej małpki zoczył zuchwałego adonisa, bieży ku nie-

mu szalonym pędem, chwyta go ostremi szponami za wełniastą grzywę; ten się odgryza, nie poczuwając się niby do niczego, a więc wrzawa i straszna bitwa, kończąca się szybką ucieczką swawolnego galanta. I tak wesoły ludek małp bawi się, skacze, ugania się po zielonej dolinie. W tém zaszczekały warty: znak to, że się zbliża jakie niebezpieczeństwo. Popłoch wszędzie: każda gromada zbiera się naokoło swego dowódzcy, samice trzymają przy sobie swoje młode i powoli cały tłum cofa się ku skałom, oglądając się bacznie na wszystkie strony. P. Heuglin szczuł je często dla zabawy psami, ale psy, choć dopędzały z łatwością uciekające małpy, jednak cofały się z przestrachem, ile razy stare pawiany pokazały im zęby. Gdy zaś dostały się już na skały, wtedy żartują sobie z wszystkich, rzucają kamieniami na prześladowców i zmuszają ich do odwrotu. Najlepiej zaś można im się przypatrzyć w bliskości jakiego strumyka, gdyż regularnie po południu całe ich tłumy przybywają do wody, często razem z innemi zwierzętami, byleby nie drapieżnemi; wieczorem zaś wracają do swoich jaskiń na nocleg, tym samym porządkiem, w jakim opuścili je nad ranem. Ale wróćmy od małp do p. Heuglin'a.

Przebywał już dwanaście dni w towarzystwie Ras-Ubié'go, gdy nareszcie obaj wezwani zostali do cesarza. Udali się więc natychmiast w pochód. Po pięciogodzinnej przykrej podróży, wśród deszczu i gradu, zatrzymali się nareszcie w pierwszych forpocztach cesarskiego obozu, który rozciągał się na kilka godzin drogi. Punktem środkowym obozu była wyżyna, na której stały namioty magnatów, wśród nich płócienny kościół obozowy, na prawo i lewo od niego wielkie namioty, zajmowane przez dwie żony cesarza, dalej biskupa, / komendanta obozu i innych wyższych wojskowych. Tam też rozbito namiot dla p. Heuglin'a i jego służby, ale cesarza nie było w obozie. Nazajutrz 29 marca cała armia, Heuglin naturalnie razem z nią, zapaliła obóz i pomaszerowała dalej i dopiero 4 kwietnia połączyła się z cesarzem. Ten zawołał p. Heuglin'a jeszcze tegoż dnia do siebie. Siedział w wielkim namiocie z wełny, wykładanym kobiercami, na małej sofce, w skromném ubraniu. Usadowiwszy p. Heuglin'a obok siebie, przypomniał mu ubiegłe czasy i pierwsze ich spotkanie się w r. 1853, poczém podano obecnym wódkę, wyborny miód

/

i zastawiono postną wieczerzę. Cesarz wydawał się p. Heuglin'owi znacznie starszym niż w r. 1853 i bardzo znużonym, jego oczy jednak nie straciły nic z dawnego blasku. Po wieczerzy pożegnał cesarz łaskawie swego gościa, zapewniwszy go o niezmiennej swojej życzliwości.

Cesarz pracował od świtu do wieczora, ponieważ załatwiał sam wszystkie ważniejsze sprawy. Już przed wschodem słońca zbierają się tłumy petycyonaryuszów, wołających żałośnie abet-abet (panie! panie!) lub też dżan-hoi, dżanhoj (słuchaj nas! słuchaj nas). Cesarz udziela im wszystkim bez wyjątku audyencye w łóżku, wysłucha każdego z osobna i odprawia łaskawie. Po petycyach przybywają urzędowe raporta i gońcy, patrole przyprowadzają nocnych włóczęgów, a cesarz wszystko sądzi własnoocznie, bez wielu słów i długich badań. Jest bardzo sprawiedliwym, wspaniałomyślnym i hojnym, ale też nieubłaganej surowości, a często nawet okrutny, przekonany że tylko postrachem można rządzić tak niesfornym ludem. Ubranie jego zawsze bardzo skromne, chodzi boso lub w sandałach, jeździec z niego doskonały a strzelec niezrównany; w bitwie walczy zawsze w pierwszym szeregu. Przepisów religijnych przestrzega skrupulatnie, i otoczony zawsze licznym zastępem zakonników.

Dnia 6 kwietnia chciał p. Heuglin pożegnać cesarza, ale ten mu wytłumaczył, że dla niepewnych dróg rzecz to niemożebna. Musiał więc pozostać w obozie i miał dosyć czasu, aby w nim się rozpatrzyć. Obóz ten w niczem nie był podobny do naszych. Rozciągał się na dwie mile kwadratowe, a liczba żołnierzy, sług, kobiet, niewolnic i dzieci wynosiła przynajmniej 150000; brak żywności dał się uczuć niebawem, gdyż niezliczone stada krów, koni, owiec i osłów zjadły dokoła wszystko w całej okolicy. Samych żołnierzy było przynajmniej 50000 ale organizacya ich i podział bardzo luźny, artylerya składała się tylko z małych armat, gdyż innych trudno używać w górach, i nie zrobiła osobliwego wrażenia na Heuglin'ie. Jedyna jazda wydała mu się wyborną, która ubrana w czarne wełniane płaszcze, uzbrojona w dzidy i szerokie szaszki, pędziła wesoło na małych, silnych, niekutych koniach. Piechota zaopatrzona w większej części w karabiny, prawda nie szczególne, ale mimo złej broni i gorszej jeszcze amunicyi, strzelała ona nadzwyczaj celnie, choć niedaleko.

P. Heuglin zatrzymany mimowoli, odby-

./.

wał z całą armią najfatalniejsze marsze i nie bardzo smakował w tém dzikiém męczącém życiu; 20 kwietnia obchodzono uroczyście w obozie wielkanocne święto, z muzyką i wystrzałami z armat, oraz pompatyczną procesyą. Cesarz rozdawał na wszystkie strony nagrody i oznaki swojéj łaski, ale też i wiele batów. Wielu nawet generałów doświadczyło na sobie tych dotykalnych dowodów niezadowolnienia. Następnego dnia cesarz nie mając już żywności żadnéj w obozie, wyprawił się z silnym oddziałem do sąsiednich wsi i wrócił po kilku godzinach z wielkim łupem, wiodąc prócz zboża i kawy około 2000 sztuk bydła rogatego. Ale gęste kłęby dymu na niebie świadczyły wymownie, że poddani nie oddali tego dobrowolnie, i że za tę krnąbrność, spalono im zagrody.

Nareszcie 23 kwietnia uzyskał p. Heuglin pozwolenie powrotu i eskortę na drogę; cesarz pożegnał go życzliwie i obdarzył jego towarzyszów hojnie srebrem wybitemi tarczami, drogiemi uzdami, siodłami i innemi cennemi przedmiotami. Nie mamy zamiaru towarzyszyć p. Heuglin'owi w powrocie, gdyż lękamy się, żeśmy i tak już nadużyli cierpliwości czytelników, prawiąc im tak szczegółowo o kraju który nas obchodzi serdecznie mało, i o cesarzu, którego potęga taka mała. Bacząc jednak na to, że małe, niepozorne rzeczy stawają się często przyczynami wielkich wypadków, nie powinniśmy lekceważyć żadnego kraju, choćby najsłabszego, ile razy wchodzi w stosunki czy to przyjazne czy nieprzyjazne z Europą. Zresztą sama ciekawość ciągnie nas silnie do wszystkich mniej znanych zakątków ziemi, a jakkolwiek wydać się może śmieszną, a często nawet bardzo nudną, pozostanie mimo to największym darem, użyczonym nam przez Opatrzność, albowiem ona wiedzie nas do szczęścia i prawdy, torując nam drogę postępu.–

Dnia 10º lutego.

Repertoir Warszawskich Teatrów wzbogacił się podczas jesiennego sezonu nie jednym nowym utworem, obok tego różne starsze utwory przygotowano na nowo na scenę. Poświęcimy dzisiaj uwag kilka „Rozmaitościom" i przejrzymy ważniejsze przedstawienia ostatnich miesięcy. Z nowych zasługuje na większą uwagę i obszerności rozmiarów i dla ciekawości przedmiotu.

Złoty Młodzieniec komedya w 5-ciu aktach p. St. Bogusławskiego. Czy nazwa komedyi właściwą jest dla tej sztuki, okaże się później; tyle pewna, że od kilku miesięcy napełnia salę i bawi publiczność, do czego się głównie przyczynia p. Żółkowski. Ukazał się zresztą nie jeden rozbiór, nie jedna krytyka w tutejszych czasopismach; jeżeli więc tak późno poświęcamy wzmiankę utworowi, znanemu już publiczności naszej oddawna, to jedynie z tego powodu, że w pierwszem naszem teatralnem sprawozdaniu nie chcieliśmy pominąć milczeniem pracy autora, dobrze zasłużonego z wielu względów naszej scenie. Bo któż z nas nie zawdzięcza choć kilka wesołych wieczorów p. Bogusławskiemu, a że Złoty Młodzieniec powiększa ich liczbę, pokazuje publiczność dostatecznie. Jednakże wesołe usposobienie nie jedynym celem, za którym chodzimy do teatru ani jedyną korzyścią, jaką mamy z niego wynosić. Pamiętam wiele sztuk, mianowicie francuzkich, na których śmiałem się do rozpuku przez wieczór cały, a nazajutrz byłem rozstrojony i wcale mi się nie miało na śmiech, jak po nocy przepędzonej przy szampanie. Gdy reflexya odzyska swoją władzę i rozbiera chwile minionej wesołości, wtedy nie zostające więcej pod magicznym wpływem mimiki aktorów, odkrywamy często czczość niewymowną tam, gdzieśmy widzieli przedtem wesołą treść życia, a rubaszność lub wymuszoność tam, gdzie przedtem dowcip serdeczny. Ale to ogólne uwagi, nie tyczące się żadnej sztuki z osobna: przejdźmy do Złotego Młodzieńca. Treść jego taka:

Majętny szlachcic Radost wyprawia na usilne prośby żony jedynaka swego Edwina do Warszawy, aby się tam poduczył i dokończył, co to zowią edukacyi. O życiu w stolicy nie ma ojciec żadnych bliższych szczegółów, wyjąwszy że ma znaczne długi i że mu ciągle trzeba posyłać pieniędzy; gdy nareszcie ojciec stanowczo oświadczył, że nic więcej nie da, wraca Edwin do domu o trzechletniej niebytności. Ojciec widzi przed sobą mężczyznę, obwijanego starannie w futra i szale, z artystycznie wykończoną fryzurą, i sztywnym wąsikiem, w modnem kusem ubraniu; po pierwszej zaraz rozmowie przekonywa się, że syn niewiele skorzystał

./.

w Warszawie, że obręb wiadomości jego nie sięga poza kuchnią Stępkowskiego, wagnerki i różne panie dość dwuznacznej sławy. Syn afektuje obojętność na wszystko, krytykuje ostro niedostatki życia na wsi i wyraża się z zamiarem rychłego powrotu do stolicy, którą opuścił chwilowo tylko, dla braku pieniędzy. Ojciec znowu mając szczerą chęć wyrobić mu społeczną pozycyę, namawia go, aby się starał o rękę młodej, bogatej wdowy, która sąsiaduje z nimi. Wkrótce przybywa Klara, tak się nazywa ta ciepła wdówka, w odwiedziny do Radostów, ale zjawia się na nieszczęście i Zdzisław, gorący wielbiciel jej wdzięków, z nieodstępnym przyjacielem doktorem Henrykiem. Regina, daleka krewna Radostów i niemała kokietka, uzupełnia obraz. Rozpoczyna się niebawem walka rywali. Edwin nie robi na paniach szczególnego wrażenia, popisuje się ustawicznie znajomością kuchni, zresztą co do Klary, sprawa jego przegrana odrazu, gdyż ta kocha Zdzisława. Edwin mimo to jej się oświadcza, ale w sposób głupi i niegrzeczny, czem naturalnie straciwszy resztkę względów, jeżeli miał które u nadobnej sąsiadki, ucieka się do intrygi: znalazłszy kopertę adresowaną do Zdzisława włożył do niej list miłosny, który odebrał niegdyś w Warszawie, i rzuca na stole. Ale tem zgubił się zupełnie; Klara bowiem zobaczywszy list ów niby zapomniany i przeczytawszy go z ciekawości, obwinia z razu Zdzisława o niewiarę. Regina przecież znając list ów, wyprowadza ją wsam czas z błędu i dowodzi, że zapewne Edwin go podrzucił w Zdzisławowej kopercie. Kończy się wszystko na tem, że Klara wobec wszystkich oddaje rękę swoją Zdzisławowi, Regina kokietuje z doktorem, a Edwin, wyśmiany przez wszystkich, zostaje jak zamroczony Hamlet sam z myślą swoją. Ponieważ nie nauczył się myśleć w Warszawie, nic wymyśleć nie może; chciałby wracać do Warszawy, ale nie ma pieniędzy, zgadza się więc na propozycyę ojca, osiada na odstąpionym sobie folwarku i bierze się do gospodarstwa. Otoż i szkielet sztuki. Wypełniony dobremi dowcipami, komicznemi sytuacyami, wesołemi anegdotkami, przyobleczony w lekkie, zgrabne wiersze, podtrzymywany nareszcie wyborną grą dwóch pierwszorzędnych aktorów, p. Rychtera (w roli Radosta) i p. Żółkowskiego (w roli Edwina), potrafi zabawić i rozśmieszyć publiczność; śmiałem i ja się mimowolnie wieczór cały, ale gdym w domu zastanawiał się nad powodami wesołości, nie wydały mi się już tak zabawnemi, jak przedtem.

Zacząwszy bowiem od Edwina, od głównej osoby, ta została zupełnie fałszywie naszkicowaną; przypomina może cza-

./.

sem dowcipem lub słówkiem złotego młodzieńca, ale nim nie jest, tak jak mundur generalski, zawieszony na kiju, nie jest generałem. Ale tak sobie postąpił autor: z kilku uwag, przypominających ton złotej młodzieży, uszył szatę, myśląc że marjonetka w nią ubrana będzie prawdziwym złotym młodzieńcem. Mamy garść pełną dowodów, popierających nasze twierdzenie, ale ograniczymy się na jednym. Jeżeli kto, jak Edwin, obracał się przez trzy lata w towarzystwie dobrze wychowanej młodzieży, a trudno zaprzeczyć, żeby złota młodzież nią nie była, to przyswoił sobie bezwątpienia tyle lekkości w obcowaniu i tyle elegancyi w mowie, że się zdobędzie na kilka zgrabnych komplementów dla pięknej pani i że ją potrafi zabawić przynajmniej pół godziny. Na to odpowie może nie jeden, że się zdarzają czasem tak tępe głowy, że i dziesięcioletni pobyt w dobrém towarzystwie nie nada im żadnego poloru, być może, ale wtedy indywiduum takie stanowi wyjątek i nie może być typem całej klassy. Jeżeli zaś wprowadzamy do komedyi typ jakiś społeczny lub towarzyski, powinniśmy wybrać na to jednostkę najdoskonalszą, nie najgorszą; gdy ktoś ma zamiar pokazać na scenie Don Juana, nie wyprowadzi mazgaja, który nie doprowadził ani jednego romansu szczęśliwie do końca, lecz bohatera, liczącego kochanki swoje na tuziny. Otóż gburowatość, niezgrabność, zapominanie języka w gębie można przypiąć do każdego innego, byleby nie do złotego młodzieńca; wszystkie zaś te wady Edwina występują w jaskrawém świetle w sławnej scenie oświadczeń, która niestety jest punktem grawitacyjnym całej sztuki: Edwin oświadcza się tam pięknej, dobrze wychowanej, młodej wdowie, której ręka ma stanowić o jego przyszłości, w sposób, któryby każda panna służąca znalazła conajmniej rubasznym.

Jeżeli tak główna osoba sztuki została i źle dobraną i fałszywie pomyślaną, byłoby zbytecznem właściwie zastanawiać się nad innemi, podrzędniejszemi figurami, ale dziwna rzecz, że te zamiast uwydatnić ujemne strony głównej osoby, czego należało się spodziewać, podnoszą ją jeszcze w oczach widzów. Bo jakże niepocześnie wyglądają rywale Edwina, Zdzisław i Doktor: pierwszy zupełnie blady i rozpływający się cedzi przez (usta) zęby stereotypowe frazesa o cnocie, obowiązkach, poświęceniu i inne tym podobne komunały; drugi z pustym uśmiechem wiecznie na ustach, robi czasem wrażenie zupełnego sowizdrzała, w którym żaden rzeczywisty doktor nie poznałby swego kolegi. Przyznam się zresztą, że najchętniej nie miałbym nic do czynienia z żadnym z tych

./.

trzech młodzieńców, ale gdyby mi przyszło koniecznie wybrać z pomiędzy nich towarzysza, wolałbym Edwina, bo on jeszcze najmniej nudny i posiada jedną przynajmniej dodatnią zaletę, rozwiniętą do wysokiego stopnia, znajomość kuchni, co jest rzeczą bardzo ważną; ale w jego antagonistach nie mogłem się dopatrzeć podobnież dodatnich przymiotów. A to wielka szkoda dla sztuki, gdy główna osoba wydaje się lepszą niż zamierzył autor, bo przez to ginie sens moralny sztuki.

Autor zapewne nosił się z myślą, że życie złotej młodzieży, zbyt długo przeciągane, przytępia w człowieku wszystkie myśli i uczucia do tego stopnia, że staje się niezdolnym zupełnie, aby dopiąć celu, jaki każdy mąż dojrzały powinien mieć przed sobą: jeżeli kto w młodości siał plewy, to później wygląda nadaremnie plonu. Przedstawić tę prawdę, jest bez wątpienia zamiarem wielkim i szlachetnym, a zarazem jedyną drogą, którą złoty młodzieniec może zostać bohaterem romansu lub komedyi. Twierdzenie to wymaga pewnych wyjaśnień.

Nie ulega wątpliwości, że nazwa złotego młodzieńca bardzo jest popularną i znaną prawie wszystkim; ale pytanie, co to złota młodzież? Nazwa jéj i pojęcie, jak wiele innych rzeczy, importowane do nas z zagranicy, z nad Sekwany; żeby więc zrozumieć kopię, przypatrzmy się pierwowzorowi. Otóż każdy z czytelników naszych wie mniéj więcéj, że to paryzka jeunesse dorée, gdyż spotkał się choćby w romansie z którym jéj przedstawicielem. W Paryżu młodzieniec z dobréj i bogatéj familii, złożywszy egzamin bakkalaureatu, poświęca lat kilka temu, co nazywa poezyą życia, potém czyni rozbrat z poezyą, żeni się i przychodzi do pracy. Łatwo odgadnąć na czém się zasadza jemu poezya życia: zapisawszy się do cerklu, żyje z rówiennikami swemi, uczęszcza mało do salonów, tyle tylko ile przyzwoitość lub stosunki wymagają koniecznie, większą zaś część czasu poświęca swoim: chodzi do cerklu, przejeżdża się po lasku Bulońskim i po polach Elizejskich, bywa na wyścigach i na pierwszych przedstawieniach w teatrze, urządza wesołe kolacye, w których biorą udział przyjaciele jego i tak zwany półświatek żeński. Ale ta poezya kończy się po kilku latach: młody paniczż wybiera sobie towarzyszkę życia i zamienia wywczaną rozmaitość poezyi na regularną, jednostajną prozę salonów; życie bez celu zastępuje życiem czynnym, zmierzającém do pewnego celu, zostawszy albo agronomem na wsi albo politykiem albo finansistą w stolicy. Dałoby się zapewne nie jedno powiedzieć przeciw takiemu pojmowaniu poezyi

/

życia i takiemu używaniu młodości: pessymista zawoła, że owa poezya wycieńcza ducha i ciało a podkopuje nieraz wielkie fortuny. Wszystko to prawda, bo każdej rzeczy używać można na złe i na dobre, jednakże przypomniemy pessymistom że większość francuzkich ministrów i wyższych dygnitarzy, wielu mężów stanu, wielu zawołanych agronomów i finansistów przeszło przez taką młodość wzlacaną i więcej z niej wynieśli korzyści niż szkody. Nawet bankier zapracujący się zimno i trzeźwo na przeczy, uważa za rzecz wcale naturalną, że syn jego przez lat kilka używa życia z wolą zupełnie nieograniczoną, i widzi w tém rękojmię, że później będzie tém rozsądniejszym. Zresztą jest to zjawisko tak naturalne i wynikające z porządku rzeczy, że młodzież powinna wyszumieć, jak mówią ludzie rozsądni, że tak zwana złota młodzież wcale nie jest wyłącznie francuzkim wyrobem, lecz istniała zawsze i wszędzie. Jeżeli w Paryżu więcej o niéj mówią niż gdzieindziej, to dlatego jedynie, że tam ma większą widownię i więcej środków popisu.—

Ale za tém idzie, że złota młodzież, napotykana we wszystkich krajach i za wszystkich czasów, objawiająca wszędzie te same dążności i skłonności, choć czasem pod inną nieco formą, ma w sobie coś kosmopolitycznego, bladego, niewyrobionego, tak jak dzieci lub studenci nie tylko z mundurka lecz i z wielu innych rzeczy do siebie są podobni. Zapytanie więc, czy młodzież owa szumiąca może dostarczyć z grona swego głównego bohatéra do komedyi. Na to odpowiadamy stanowczo, że nie. Komedya jak każda prawdziwa poezya, powinna być oparta na indywidualności, t.j. nie powinna chwytać rysów, w których jednostki do siebie są podobne, lecz malować przedewszystkiem te, w których się wyróżniają od siebie, inaczej nie stworzy jasnych, wydatnych charakterów, inaczej żaden z nich nie będzie skończoną w sobie całością, punktem grawitacyjnym, ciągnącym ku sobie wszystkie drugorzędne postacie, światłem przyświecającym przebiegowi akcyi. Ale czyż złoty młodzieniec potrafi być takim charakterem? on działa, myśli, czuje jak koledzy jego i atmosfera, wśród której żyje, on dopiero wyrabia się ale bynajmniej nie jest wykończonym. Póki jest młodzieńcem, sposób życia jego dla nas jest dosyć obojętnym, czyny jego i dążności nie mają po większej części wybitnego celu, a czy były złe lub dobre, okażą dopiero późniejsze następstwa. Ażeby potępić ten sposób życia, okazać go śmiesznym lub zgubnym, trzeba koniecznie postawić obok niego skutki, a te zjawiają się dopiero w późniejszem życiu. Dopiero

/.

później złoty młodzieniec stanie się tragicznym lub komicznym, gdy on przedłuża nad miarę złoty sposób życia a towarzysze młodości jego tymczasem wyszli na mężów; wtedy okażą się przykre kollizye, między nim a rzeczywistością, i wtedy dopiero, nie prędzej, zajmuje nas jego postawa. Ale jakież złe skutki spadły na głowę Edwina, wystarczające aby potępić jego pobyt w Warszawie? sprowadzają się wszystkie do jednego, że nie skorzystał tam dosyć, aby zasłużyć na miłość pięknej Klary. Nie przeczę, że to czasem skutek bardzo ważny, ale wtedy był autor powinien wykazać, że sposób życia przeciwny do Edwinowego skuteczniej doprowadza do celu. Usiłował to uwydatnić na rywalu jego Zdzisławie. Ale na nieszczęście Zdzisław jest dosyć bladą figurą, lekko jednem pociągnięciem ręki nakreśloną. O ile się domyślam, żył na wsi, pracował, zapewne nad agronomią, czytał różne książki, obcował z rozsądnemi ludźmi, tym sposobem wyrobił sobie pewien sąd o rzeczach, pewną treść duchowną i pewne formy towarzyskie. Autor daje do zrozumienia, że gdyby Edwin był się udał tą samą drogą, byłby dosięgnął tegoż celu. Ale przypuśćmy, że to się stało w istocie. Edwin wyjeżdżając do Warszawy musiał mieć najmniej lat dwadzieścia, po trzech latach wraca nieokrzesanym, bez treści i bez uczuć, obojętnym na wszystko. Trudno zaprzeczyć, że trzyletnie używanie życia, nie tylko w Warszawie, lecz i gdzie indziej może z niejednego zrobić to, na co Edwin twierdzi że sam wyszedł, un homme blasé, ale przeczę stanowczo, żeby dwudziestoletni młodzieniec, chowany w dobrym domu, nie wynosił z niego pewnych form towarzyskich, pewnego zasobu wiadomości i pewnej summy uczuć, których żaden pobyt trzechletni za domem nie zdoła zatrzeć zupełnie. Jeżeli więc Edwin wraca z Warszawy gburem, nieukiem, egoistą i Bóg wie, czém jeszcze, to prawdopodobnie już wyjechał takim z domu. Jeżeli zaś do dwudziestego roku życia dom rodzicielski nic nie potrafił zrobić z niego porządnego, to i następne trzy lata przepędzone w tej samej atmosferze, przy uczciwej pracy, w sąsiedztwie Zdzisława i narwanego doktora, nie byłyby z niego zrobiły kawalera, zawracającego głowy młodym wdówkom.

Podobnych nieprawdopodobieństw jeszcze wiele w sztuce, ale przytoczyłem z nich tylko kilka, tak sobie bez ładu i porządku, w miarę jak mi przychodziły na pamięć pod wrażeniem niedawno widzianej sztuki. Gdy się teraz czytelnik przeczy-

./.

tawszy krytykę naszą, cierpką bez wątpienia ale sprawiedliwą, zapyta, czemu utwór mimo ułomności swoich zachwyca publiczność, odpowiem jak wyżéj: język potoczysty, dobre dowcipy i wyborna gra aktorów porywają nas ze sobą i wprawiają w (ułomność) serdeczną wesołość. Gdyby zresztą autor przezwał był utwór swój krotochwilą, byłby sąd mój wypadł zapewne inaczéj, bo co innego jest sądzić krotochwilę, a co innego komedyę. Jeszcze słów kilka o grze aktorów. Rolę Radosta odegrał p. Rychter w sposób, nie pozostawiający nic zgoła do życzenia; rola zaś Edwina, najtrudniejsza w całéj sztuce, również wybornie pojętą została i oddaną przez p. Żółkowskiego; jego gra nieporównana już wielu sztukom pomogła do powodzenia. Przecież zdawało nam się, że Edwin wyglądał na zbyt dojrzałego mężczyznę, że głos jego był zbyt męzki i twardy. Razi to nieco, gdy przypominamy sobie, że Edwin najwięcéj może mieć lat dwadzieścia trzy, a gdy nareszcie dobréj tuszy mężczyzna siada na kolanach ginącéj przy nim panki: to śmieszna pozycya, ta zrazu wprawdzie wzbudza wesołość, ale ogólne wrażenie, które po niéj zostaje, nie jest wcale estetycznem, lecz nawet nieco rubasznem.

Inną nowością jest mała krotochwila młodszego Fredry, pod tytułem „Przed śniadaniem". O téj sztuce chciałbym koniecznie powiedzieć co dobrego, żeby publiczność nie posądzała mnie o umyślne uwłaczanie wszystkiemu; ale podługiem szukaniu, nie mogę się zdobyć na inny komplement dla autora, jak że pisze gładkim językiem i że czasem jest dowcipny. Ujemne zaś strony małego utworu, a których trudno pokryć milczeniem, odbierają wszelką wartość komplementowi, z serdecznym moim żalem. Bo nie wiem nawet, czy to coś, co widziałem na scenie, można nazwać utworem: nazwałbym to przedrzeźnianiem utworu. Bo wystawcież sobie państwo! Młody gimnazyasta, złożywszy szczęśliwie egzamin dojrzałości, wraca do ciotki na wieś z napuszoną miną; tam spotyka się w ogrodzie z towarzyszką swoich lat dziecinnych, która wygląda go z wielkiem utęsknieniem, wiedząc naprzód że ciotka przeznacza go jéj za męża. A kocha go już namiętnie, bo wszystkim młodym pensyonarkom wydaje się, że kochają niezmiernie. Otóż zoczywszy go w ogrodzie bieży ku niemu z radością, ale on ją wita bardzo zimno i sztywnie, pozując na mężczyznę. Ona jest naiwną i serdeczną jak dawniéj, a on z prawdziwem pobłażaniem spogląda na jéj dziecinne pomysły.

./.

Jemu się naturalnie o miłości nigdy nie śniło. Nareszcie odchodzi, pogrążając ją przez to w głęboką rozpacz. Ale dobre serce jego bierze górę nad pozorowaniem: głos sumienia mu mówi, że zapewne przykrość uczynił przyjaciółce i nagle odkrywa, że ją kocha szalenie. To odkrycie podsuwa mu najpotworniejsze myśli, jakie kiedy powstały w głowie gimnazyasty, zamierza się zabić i to rafinowanym sposobem. Ona dowiedziawszy się o tem szuka go po ogrodzie, on zamiast kark skręcić tylko potłukłszy się trochę spadnięciem z konia, biega także po ogrodzie, szukając jej wszędzie. To bieganie jest jedyną zabawną akcyą w tém [illegible] coś; kończy się zaś wzajemnem spotkaniem, a gdy służący zastawił śniadanie, wpadają sobie w objęcia pod czułem okiem zjawiającej się ciotki, i zabierają się do rzeczy arcyważnej dla gimnazyasty, nawet gdy już skończył kursa, do śniadania. Sztuczka ta przypomina tokiem mowy i dowcipami wodewile francuskie, ale te są mniej czcze, bo przynajmniej w nich jakieś treściwsze osoby. Tutaj mamy parę dzieci, bawiących się w bajronizm i sentymentalność, do których w ich duszach nie ma najmniejszego powodu. Jest to para karykatur, ale nudnych i bladych, zatem role ich dla aktorów arcy niewdzięczne.

Ale zakończmy przegląd ten czémś lepszém. Po lichotach owych widzieliśmy „Sztukę i Handel" p. Kaszewskiego. Autor nazywa tę komedyę bardzo skromnie przerobieniem francuskiego oryginału, ale przerobienie to stało się nowym, samodzielnym utworem: każdy wyraz o tém świadczy, że to sztuka ulana z jednego kruszczu, a jeżeli zagraniczne pomysły weszły do tego kruszczu, to zlały się z nim w massę tak jednolitą, że każdy dźwięk jej czystym, wnikającym do duszy; każdy wiersz jej, a wszystkie pełne miękkiej siły, przemawia do nas, że to utwór naszego, nie obcego poety. Mamy tam prawdziwą komedyę, jest akcya i są działające osoby, a każda z nich typem rzeczywistym, indywidualnym, [illegible] niejako sylwetką przesuwającą się w półcieniu. Ale na cóż opowiadać tu treść sztuki, która znaną jest publiczności od lat wielu? na co wychwalać grę aktorów, ocenionych przez widzów kompetentnych także oddawna? Rzucam tylko myśli, będące wynikiem osobistego wrażenia. Wdzięczni jesteśmy dyrekcyi że po długiej przerwie wróciła nam ten utwór zachwycający. Bo przy naszym bladym repertoarze, gdzie prze-

./.

ważają lichе tłumaczenia błahych wodewilów, zapewne nie małej wagi rzecz, przepędzić wieczór w wyższem usposobieniu i wśród myśli idealnych. Toż raź zdawało się nam, ile razy znajdujemy się wobec tej sztuki. Mamy wtedy przed sobą ideę, wcieloną w wielkiego artystę, który sam jest jej wymownym tłumaczem, ideę, że kult piękna tylko takich przypuszcza kapłanów, którzy mu się oddają z całem sercem i z duszą całą. Klemens X.... w młodości miał wszelkie dary, potrzebne kapłanowi piękna: miał zdolności wielkie i ogień natchnienia i tworzenia siłę. Sztuka sama wybrała go sobie na ucznia, rozlawszy nań najpiękniejsze swoje dary. Ale prędzej wielbłąd przejdzie przez uszko igły, niż bogaty do królestwa niebieskiego. To samo powiemy o uczniach sztuki. Gdyby K.... nie miał był żyć, jak nadzieję, byłby stał się wielkim; ale ponieważ nie zdołał się wyrzec samego siebie, i porzucić doczesne widoki, ponieważ chciał obok świata idealnego uprawiać także marne zyski doczesne, przeto odjęto mu skarb, którego nie zużytkował, jak niewiernemu słudze talent w Nowym Testamencie i ukazał się małym. Na artystę stworzony chciał najprzód intratnem kupiectwem zabezpieczyć swój majątek, myśląc że zawsze czas jeszcze wracać do Muz nieśmiertelnych; ale gdy dokazał, czego pragnął, wtedy już nie miał na czole znaku wybranego, nie był niczém z gola, bez przeszłości i bez przyszłości, i jak sam powiada, artystą być nie chciał, a kupcem być nie umiał. Zapewne wydadzą się ludziom XIX wieku główne myśli tej komedyi wybujałemi, bo oni do płaskości przyzwyczajone nie podnoszą się do nich nigdy, przecież nawet dla epicurów korzystną jest rzeczą, jeżeli choć czasem oddychają idealniejszém powietrzem. A tego pełnemi chausty ciągnąć można z tej komedyi, a czego same słowa nie potrafiłyby nigdy, bo ludzie dzisiejsi czytają z pośpiechem, bez uwagi, to uzupełnia gra nadzwyczajna aktorów. Mianowicie scena owa na początku czwartego aktu, gdy nieszczęśliwy kupiec zadowolniony nareszcie, że może wracać do sztuki, siada do fortepianu, którego nie tknął przez lat ośmnaście, a palce wypowiadają mu posłuszeństwo, wtedy ta boleść, większa niż Laokoonowa, występująca na twarz artysty, ocieniając ją wyrazem niesłychanej rozpaczy, ta chwila w której Królikowski jest naj-

/.

większy i w któréj wątpię żeby ktoś mógł go przewyższyć! Do tego stop-
nia owładała widzami, że wstrzymują oddech i że nawet poczciwe e-
picerskie serce bije gwałtowniéj niż zwykle. Ale czas zakończyć to
sprawozdanie nasze. Ja ile razy byłem na téj sztuce opuści-
łem zawsze salę podniesiony w duchu, czułem się natchnionym
i lepszym, niż przed przybyciem, i myślę że większość czytelni-
ków wyniosła to samo, co ja, wrażenie ze sali. Dlatego nie
wstydzę się mojéj głośnéj spowiedzi. Ale wtedy, dzięki autoro-
wi, który nam sprawia takie chwile, zdarzające się tak rzad-
ko w téj jednostajnéj naszéj, bladéj rzeczywistości i dzięki ar-
tystom, którzy ideę autora wcielili w dotykalne postacie i
uzmysłowili przed nami.

Dnia 19° Stycznia. [1868]

Między odnowionemi sztukami w „Rozmaitościach" zajmuje jedno z pierwszych miejsc „Miód kasztelański" p. Kraszewskiego. Chcieliśmy o tym utworze, który po blisko-rocznej niebytności zjawił się znowu od dwóch miesięcy na scenie, dać już w przeszłym zeszycie Biblioteki sprawozdanie, ale dla braku miejsca musielibyśmy byli poprzestać zaledwie na bardzo krótkiej wzmiance; woleliśmy więc odłożyć uwagi nasze do następnego zeszytu, gdyż utwór zasługuje na dłuższe zastanowienie się. Treść jego mniej więcej taka:

Za czasów Augusta II wraca, rotmistrz Kaniowa, wesoły konfederat, po kampanii, do siostry swojej, owdowiałej cześnikowej Sulimierskiej, na zimowe leże. Magnesem jego krewna cześnikowej, piękna Łowczanka Marta, do której wzdycha młody żołnierz od lat kilku skrycie i na jawie. Ale dom tak się odmienił, że go rotmistrz nie poznaje. Wesoła cześnikowa wzdychająca za życiem, bo go nie zaznała za nieboszczyka męża swego, stała się zamyśloną, poważną; wybiła sobie zupełnie małżeństwo z głowy, jakby to był grzech wielki, nie do przebaczenia. Łowczanka, niegdyś wyrywająca się do świata, i nie gniewająca się na afekta rotmistrza, poszła za jej przykładem i postanowiła zostać starą panną, na większą chwałę niebios. Szczegółów tych nieprzyjemnych dowiaduje się rotmistrz na samym progu od Grzesia, poczciwego sługi, który tłumaczy mu także przyczynę tych dziwnych a nagłych przemian. Otóż ich przyczyna taka: Jacek Połoducha, biedny szlachetka, którego przytulono w domu z litości jako pokornego rezydenta, okiełznał powoli wszystkich. Przekonał wymową swoją kobiety, że stan niezamężny doskonalszy i niebu przyjemniejszy od małżeństwa, a nareszcie dokazał tyle, że wielbiciel cześnikowej, dobroduszny i otwarty sąsiad Petryłło, przestał bywać u niej. Czemu zaś tak postępuje a nie inaczej, dowiadujemy się z własnych jego ust: Jacek chciałby się gdzieś przytulić na dobre, a ponieważ brzydki, podstarzały i pozbawiony wszelkich przymiotów, potrzebnych do podbicia serca niewieściego, pragnie cześnikowę odgrodzić od konkurentów, odosobnić od reszty świata, posadzić jakby na krześle elektrycznem — a później za lat kilka, gdy się sama podstarzeje troszkę, gdy przywyknie zupełnie do pobożnych rozmów i pokornych rysów uniżonego pana Jacka, to kto wie — może zechce go wynagrodzić ręką swoją

/.

za długie, wierne usługi, a wtedy będzie Jacek jak u Pana Boga za piecem. Taka różowa przyszłość uśmiecha się jemu w niepewnej dali, gdy nieubłagany rotmistrz domyślając się tych zamiarów, postanawia je obrócić w niwecz. Posyła natychmiast po Petryllę, gorącego jeszcze wielbiciela cześnikowej mimo odebranego kosza, i razem z nim obmyśla plan wojennej kampanii, której celem ma być zamatowanie niebezpiecznego Jacka. Plan to taki. W drodze do siostry poznał się rotmistrz z panią Olinską, piękną, wesołą kobietą, lubiącą kokietować dla rozrywki. Otóż ta przyjemna żywa kokietka stała się brzytwą, za którą chwytają tonący w nadziejach swoich rotmistrz i Petrylla. Jedzie w trop za nią, dopędza szczęśliwie jéj karetę i sprowadza do domu siostry, jako księżnę Bamberlink, wracającą niby do ogromnych dóbr swoich w Saxonii. Udana księżna wtajemniczona w cały plan kampanii, obiera od razu skromnego, wiecznie zgarbionego Jacka, tarczą swoich pocisków. Piękne jéj oczy zamieniają się w płonące pochodnie, a któryż puklerz zdoła zasłonić serce męskie od takich podpalaczy. To też wnet pożar miłosny ogarnia całe Jackowe jestestwo; zrazu zdaje mu się, że śni, że to niepodobna, aby milionowa młoda pani zakochała się w starym niezdarze, ale potém sen zamienia się w rzeczywistość. Gdy księżna kończy z nim małe tête-à-tête owém magicznem wyrzeczeniem: „gdybyś się waćpan nawet w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym.... zobaczymy" wtedy biedak już jest bliskim szaleństwa. Widzi przed sobą świat zupełnie inny, niesłychanie szerszy, niż ten, o którym marzył dotąd. Przez długie lata stał u końca jego marzeń dworek szlachecki ze skromnym ogródkiem, a teraz miejsce w jego marzeniach zajął wspaniały pałac i park nieprzejrzany: nie dziwię się, że tak gwałtowne rozszerzenie perspektywy obałamuciło wzrok, przywykły od dzieciństwa do ciasnych rozmiarów. Odtąd Jacek zgubiony, rozsądek jego przycichł zupełnie, a wszystkie namiętności, które drzemały w nim spokojnie od dzieciństwa, zrywają się naraz, jak stado żurawi, unosząc go z sobą, jak dzikie gęsi przywiązanego do nich Twardowskiego. Postanawia zdobyć serce księżnej i otrzymać jéj rękę. Ale lęka się rotmistrza i Petrylly

./.

którzy także gorliwie nadskakują Księżnie, postanawia więc odwrócić ich od przedmiotu swoich afektów. Mówią że gdy człowiek rozum straci, fatalność jakaś nakłada nań swoje pęta: ta fatalność zmusza Jacka do zniweczenia tego, nad czem pracował usilnie i wytrwale. Namawia cześnikowę, aby była mniej srogą dla Petryłły, a Łowczankę, żeby nie odpychała rotmistrza; kobiety słuchają z razu z wielkiem zadziwieniem odmienionego z gruntu moralistę, ale przyjmują rady jego z niekłamaną radością, gdyż w głębi ducha nie czują najmniejszego powołania do życia ascetycznego. Tak podarł Jacek sam mozolnie usnutą tkankę, aby dopiąć swego celu, a cel ten wydaje się już łatwym dla niego. Stanowcza chwila się zbliża, i obie strony wyglądają jéj z równą niecierpliwością: Jacek aby usłyszeć z ust Księżny ostateczne słowo, które ma stanowić o jego przyszłości, a Rotmistrz, żeby demaskować świętoszka. Ale Jacek jakoś wzdryga się przed tą chwilą stanowczą, brak mu odwagi, nadzieja i strach wydzierają go sobie bezustannie. Żeby mu dopomódz, posyła litościwy rotmistrz po butelkę miodu kasztelańskiego, jedynego w swoim rodzaju. Ale tymczasem zjawia się szkopuł, grożący zupełnem rozbiciem nawy, kierowanéj tak po mistrzowsku ręką rotmistrza: szkopułem tym niespodziewanym jest pan Petryłło. On wprawiony w zły humor przez wymówki cześnikowej za zbyt grzeczne nadskakiwanie Księżnie, sprzykrzył sobie odegraną dotąd komedyę i nie mogąc nigdy języka trzymać za zębami, wygadał się w gniewném uniesieniu przed Jackiem ze wszystkiem. Jacek jak podróżny wśród ciemnéj nocy, rozjaśnionéj nagle potężną błyskawicą, widzi przed sobą okropną przepaść i cofa się z przerażeniem. Wszystko więc zdaje się straconém; okręt tonie już przed portem. Na szczęście wraca poczciwy Grześ ze sklepu z butelką miodu i domyślając się potwarzach Jacka i Petryłły wszystkiego, biegnie czém prędzéj po rotmistrza. Ten przybywa, wypycha Petryłłę za drzwi i upaja szczęśliwie Jacka po długich ceregielach. Odtąd widzi Jacek znowu wszystko w różowych kolorach, pijany miodem i nadzieją pada do nóg Księżnie i prosi ją o afekt i rękę. Wtedy towarzystwo które się zebrało w głębi sali, parska głośnym śmiechem, Księżna daje nieszczęśliwemu wielbicielowi do zrozumienia, że farsa została odegraną do końca i biedny Jacek ucieka skonfundowany.

/.

Taka treść tego, cośmy widzieli na scenie, a wspomnieliśmy już, że tekst ogłoszony drukiem, został znacznie odmienionym. Albowiem co autor rozciągnął w 5 aktów, ścisnął p. Królikowski w 3, i autor powinien być wdzięcznym p. Królikowskiemu, gdyż utwór zyskał na tém skróceniu. Jakoż w tekście powtarzają się rozmaite sytuacye, nie posuwając akcyi w niczém naprzód, a przez to nużą czytelnika okropnie. Jest tam np. Rózia, służąca cześnikowej i kochanka Grzesia, która zniknęła zupełnie pod nożycami umiejętnego reżyssera. I stało się bardzo dobrze. Albowiem Rózia zjawiając się dopiéro w drugim akcie, opowiada rotmistrzowi to samo, co już usłyszał od Grzesia na samym wstępie aktu pierwszego. Nie zadowolniona z deklamacyi anti-małżeńskich Jacka, stawa naturalnie po stronie rotmistrza, razem z Grzesiem. Bezwątpienia, że lepiéj w życiu mieć dwóch sprzymierzeńców niż jednego, mianowicie gdy jeden z nich jest kobietą; ale sztuka jest daleko oszczędniejszą od rzeczywistości: wszystko, co nie jest koniecznie potrzebném, staje się tém samém zbyteczném i nadweręża ekonomię sztuki. Takim ciężarem niepotrzebnym w budżecie komedyi p. Kraszewskiego jest Rózia, będąc niejako powtórną edycyą Grzesia w czepku. Do téj bladéj kopii przymięszał jeszcze autor potężną ilość nieprawdopodobieństwa: gdyż ona to szepcze rotmistrzowi do ucha cały plan kampanii; pokażemy później, dlaczego to jest nieprawdopodobném. Razem z Rózią odpadły inne podrzędne figury: Wójtek i Hajduk. Wójtek namówiony przez Jacka przybywa do rotmistrza, niby od wojewody, z rozkazem odjazdu. Tym sposobem chce się Jacek pozbyć konfederata, aby mu nie przeszkadzał w koperczakach do księżny. Ale poprzednio już nakłonił Towarzankę, aby odwiodła rotmistrza od stóp księżny do swoich własnych. Na cóż więc używać dwóch magnesów, gdzie wystarcza jeden zupełnie, zwłaszcza że oczy pięknej kobiety więcej potrafią niż rozkazy tysiąca wojewodów. Podobnych scen niepotrzebnych wiele w sztuce, nie wyliczam ich z osobna, dość wspomnieć, że wycięto wszystkie; a przez to bardzo ożywiono sztukę. Krytyka więc nasza nie odnosi się do tekstu, lecz do układu scenicznego. Otóż na scenie zrobił „Miód Kasztelański" na nas

/.

bardzo dziwne wrażenie. Wydało nam się, że widzimy piękną płaskorzeźbę, z której różne figury wyglądają do połowy; komedya jednak postępuje sobie inaczej, zupełnie jak wielkie muzea ze sławnemi posągami: te stawiają posągi tak, że bez trudności można je obchodzić i oglądać ze wszystkich stron, a gdy miejscowość na to nie zezwala, dają im czasem ruchome podnóże, aby się obracały z łatwością, jak gipsowe odlewy w pracowniach artystów. Tego nie ma w utworze p. Kraszewskiego. Widzieliśmy szereg pięknych kształtów, wychylających się do połowy z tła marmurowego, ale nie wiemy, czy który z nich wykończony zupełnie, bo przez cały wieczór okazywał nam każdy jedną i tę samą stronę. Ztąd mimo szybkości akcyi wygląda marmurowa sztywność osób działających; akcya się rozwija, posuwa bezustannie pojedyncze osoby, ale te, niedotknięte akcyą, zostają do końca w tej samej pozycyi, w jakiej ujrzeliśmy je za pierwszem odchyleniem zasłony. Coś podobnego dzieje się w teatrze maryonetek, gdzie ruchu wiele a figurki sztywne. Dowiodę tego na głównej osobie, na Jacku, a czytelnik wziąwszy do ręki tekst komedyi, sprawdzi dowodzenie moje na innych osobach. Jacek Sołoducha jest główną z osób działających, powinna więc akcya od niego wychodzić i do niego wracać bezustannie, a jeżeli da się porwać obcej akcyi, powinno to wynikać z istoty jego ducha. Słowem, komedya powinna nam pokazać Jacka ze wszystkich stron, abyśmy go dobrze poznali, powinna otworzyć przed nami wszystkie tajniki jego myśli, wykazać, jak z nich akcya główna bierze (z nich) swój początek, jak wyrasta, jak olbrzymieje potem i nareszcie ciężarem go swoim przygniata. Upadek pod własną akcyą będzie jego karą. Jeżeli zaś padnie pod akcyą obcych, pod zamachami nieprzyjaciół, wtedy i ci powinni zahaczyć koniecznie działanie swoje o jego jestestwo, powinni mieć prawo prześladowania go, inaczej będzie on niewinną ofiarą, i nie wzbudzi uśmiechu, tylko litość; nie wzbudzi pogardy, tylko współczucie.

/.

Otóż na wstępie sztuki pokazuje nam się Jacek cichym, pokornym, myślącym człowiekiem: że nie lubi hałaśliwego rotmistrza i światowego Petrylly, nie wielka to wada; że zagiął parol na serduszko cześnikowej, nic w tém złego; że pobożnością i pokorą stara się o jéj względy, żadna to zbrodnia, gdyż w ciągu całéj sztuki nie mamy żadnego dowodu, aby Jacek udawał tylko pobożność. (Za to ma być ukaranym; jeżeli zaś kara wcale nie zasłużona, to rodzaj kary wcale nie zastosowany do istoty człowieka. Gubi go kokietka; ale zkąd rotmistrz zna słabość Jacka do kobiet? Na scenie jest to hipoteza, rzucona bez dowodów, jest to próba, która może się udać, może nie udać. (W tekście szepcze Rózia do ucha rotmistrzowi ten rodzaj kary; musiała więc znać słabość Jacka. Ale ona ich nie zna; do niej nigdy się nie zalecał, przynajmniéj nic o tém nie wspomina; gdyby zaś tak było, to Rózia wystarczała do skompromitowania świętoszka, nie potrzeba na to sprowadzać kokietki. Gdy zaś skromność Jacka topnieje pod jéj magicznym wzrokiem, żadna w tém jego wina: któryżby człowiek, najświętszy nawet, byleby niedoświadczony jak Jacek, nie upadł jak on do nóg pięknéj kobiety, gdy ta mu odsłania cudowne nadzieje. To też nie gniewają się widzowie, że Jacek się oświadcza księżnie, przeciwnie, gdyby tego nie uczynił, byłby albo gburem, albo głupim. Pogarda widzów nie spada na jego głowę, lecz na kokietkę: on jest niewinną ofiarą.

Ale księżna ma sprzymierzeńca: butelkę miodu. Butelka może być karą pijaka, ale nie człowieka wstrzemięźliwego. Przez całą zaś sztukę nie objawia nigdzie Jacek chętki do miodu. Nawet Grześ jéj w nim nie dostrzegł, choć go szpieguje na każdym kroku: że zaś daje się namówić przez rotmistrza do wypicia z nim kilka kieliszków, pytam się, cóż w tém złego i jaka to kara? Któżby odrzucił podobną propozycyę? I tak pada Jacek mimowiednie ofiarą butelki, jak poprzednio legł już ofiarą kokietki; dwa razy więc jest on niewinną ofiarą, za każdym razem wzbrania się, jak może, nie gubi się przez wrodzone jakieś nałogi, lecz ginie przez coś, co jego istocie jest zupełnie obcém i wstrętném. Ale skoro tak, skoro nie namiętności duszy, lecz zewnętrzne, przypadko-

./.

ne pokusy wprowadzają Jacka w obłęd, w niczém nie zmieniają, nie dosięgając nawet jego wewnętrznéj istoty: rzeczywiście będzie on na końcu sztuki takim, jakim był na początku, cichym, spokojnym, pragnącym się gdzieś ukryć, aby mieć przytułek na starość. Karanym zaś był za to, co nie jest zbrodnią, a zgubionym przez pokusy, których nie stworzył żadne w nim samym gorszące namiętności: ginie przez butelkę, choć nie pije, ginie przez oczy pięknéj księżny, choć całe życie uciekał od kobiet. Otóż co nazwaliśmy nieruchomością osób wśród szybkiego biegu akcyi: wszystkie działają, ale nie wiedzą czému tak, nie inaczéj; wszystkie mają udział w akcyi, ale akcya nie wypływa z głębi ich duszy. Na scenie zaś uderza nieruchomość, taka więcéj niż w tekście: artyści grają sztukę znakomicie, ale każdy z nich pokazuje nam przez cały wieczór tę samą minę, ten sam chód, to samo poruszenie, twarze ich zesztywniały zaraz w pierwszym akcie na kształt masek, i pozostały takiemi do końca, zkąd jednostajność i znużenie. Ale to nie wina aktorów, oni czynili wszystko, aby podnieść sztukę, mianowicie Królikowski jest w téj roli Jacka niezrównanym. Genialny artysta posiada dziwną tajemnicę przedzierzgnienia się od razu w rolę swoję, podczas gdy wielu znakomitych zagranicznych aktorów dopiero w dalszych aktach dochodzi szczytu tożsamości z przedstawioną rolą. Królikowski, jest od razu Jackiem i takim już pozostaje przez cały wieczór, że raz pokazuje tę samą minę, ten sam chód ostrożny, tę samą postać zgarbioną, to wina autora, który umiemożebnił rozwój psychologiczny w charakterach sztuki.

Mimo jednak licznych stron ujemnych, cieszymy się, że odnowiono sztukę i Dyrekcya zasłużyła na prawdziwą wdzięczność publiczności, że daje od czasu do czasu takie utwory treściwe o rumianych twarzach, i głośnych serdecznych śmiechach.

Guerin, komedya w 5 aktach Emila Augier'a, tłumaczona z francuskiego. Dnia 31 stycznia donosił nam czerwony afisz o wielkiéj nowości, o pierwszem przedstawieniu słynnéj komedyi p. Augier'a pod

/.

tytułem: „Maître Guérin.” Wiadomo czytelnikom „Biblioteki” że komedya ta ukazała się po raz pierwszy na paryzkiéj scenie w grudniu r. 1864. Wzbudziwszy przez kilka tygodni ogólne zajęcie, doczekawszy się licznych pochwał i licznych nagan, poszła już dawno w zapomnienie, jak tyle innych artystycznych i literackich zjawisk na horyzoncie nadsekwańskiéj stolicy. Mieszkaniec wielkich miast żyje tak szybko, ogląda codzień tyle nowych przedmiotów, przebywa codzień tyle nowych wzruszeń, że nawet najważniejszym z nich nie może poświęcić więcéj jak kilka tygodni uwagi; inaczéj nie zdążyłby na czas, musiałby się zatrzymać a jakże zatrzymać się, kiedy stołeczne życie unosi gwałtownym prądem nawet najsilniejszych pływaczy. Tak i „Maître Guérin” p. Augier'a cieszył się przez czas jakiś powszechną uwagą, co dowodzi, jeżeli nie znakomitości całéj sztuki, to przynajmniéj różnych w niéj przymiotów, zasługujących na baczne uwzględnienie; przymiotów takich rzeczywiście nie brak w wspomnianéj komedyi, a ponieważ obecnie została nam przyswojoną i zapomniana już w Paryżu, u nas odżyła niejako na nowo, przeto warto poświęcić jéj chwil kilka uwag pobieżnych.

W miasteczku prowincyonalnym mieszka sobie Guérin notaryusz, który gorliwie pracuje nad powiększeniem swojéj fortuny. Jest to śmiały rybak, którego sieć tak zgrabnie urządzona, że paragrafy kodeksu przepływają przez nią swobodnie, a dobroduszne istoty zahaczają się w niéj regularnie. Zaraz na wstępie rybak sieć zarzuca, a połów będzie bogaty, bo wielka ryba pędzi do sieci. Niedaleko bowiem od miasta, w którém rezyduje Guérin, mieszka w zamku Vallaneuse stary dziwak Desroncerets, wysilający się na wynalazki i pomysły, aby uszczęśliwić ludzkość. Stracił już cały obszerny majątek, z wyjątkiem zamku. Byłby już dawno umarł z głodu, gdyby nie córka Franciszka, która przezorną oszczędnością naprawia bezustanne wyłomy w domowym budżecie. Ale cóż pomogą jéj zabiegi, kiedy nieuleczoną manią opętany dziwak zaciąga bez jéj wiedzy coraz nowe długi. Właśnie nosi się z nowym wynalazkiem który ma odmienić z gruntu społeczne stosunki: wynalazkiem tym nowa metoda czytania, która w kilka tygodni nauczy dzieci bez trudu tego, czego uczyli się dotąd w ciągu lat kilku pod przestrachem rózgi.

./.

Ale trudno o urzeczywistnienie pomysłu bez pieniędzy, a pan Desroncerets nie ma ani szeląga. Zaciąga więc u Guerin'a stutysięczną pożyczkę i oddaje mu w zastaw swój zamek; jeżeli za rok nie wróci pożyczonej sumy, wtedy zamek przejdzie w ręce Guerin'a; nie zły to interes, bo posiadłość warta drugie tyle. Ugoda ta, zawarta za oczami Franciszki, pozostaje naturalnie tajemną, i nikt jéj się nie domyśla. —

Czytelnik zapewne ciekawy, jak się zakończy sprawa, bo czuje już instynktowo, że ona osią całéj sztuki, na około któréj obraca się i niesumienny notaryusz i nieszczęśliwa ofiara. Ale cierpliwości! Desroncerets zabrawszy pieniądze i córkę, jedzie do Paryża, aby praktycznie dowieść prawdziwości swojéj metody; nie zobaczymy go, aż za rok, przy terminie wypłaty. Ale trudno, żeby scena pozostała pustą aż do jego powrotu, inne więc osoby zajmują jego miejsce i to do tego stopnia, że zapominamy o nim zupełnie. W sąsiedztwie bowiem zamku Valtaneuse, a więc pod okiem łowiącego złote rybki notaryusza, mieszka na wsi pani Lecoutellier, żona majętnego dorobkowicza. Ona zrazu o tyle tylko związana jest ze sztuką, że pochodzi z arystokratycznego rodu Valtaneuse, i pragnie gorąco powrócić do zamku swoich przodków. Wyjaśnia to spekulacyę Guerin'a, gdyż on wiedząc o słabości próżnéj i dumnéj kobiety, sprzeda jéj to za drogie pieniądze, co sam kupił za tanie od starego maniaka. Mąż pani Lecoutellier, stary dorobkowicz, bawi się w Paryżu w deputowanego, a ona na wsi igra w miłosną sielankę z synem Guerin'a, pułkownikiem Ludwikiem. Ile ojciec brudny, podstępny, prozaiczny, o tyle syn jest szlachetnym, otwartym, romantycznym. Powiedziałem, że pani Lecoutellier igra w sielankę, albowiem zimna to kokietka posiadająca wszystkie przymioty, oprócz serca. To téż boleśnie patrzyć na nią, jak swawoli z honorem i uczuciami żołnierza, aby je potém rzucić o ziemię, jak dziecinną lalkę. Pułkownik przychodzi ją żegnać, bo pułk jego odebrał rozkaz udania się do Meksyku; ona uśmiechem i łzami dokazuje tyle, że w chwili, gdy wszyscy koledzy jego spieszą na pole walki, on postanawia wziąć dymisyą, aby pozostać przy niéj. Wśród téj sielanki, któréj

/.

brak jednéj tylko rzeczy, naiwności, spada piorún z jasnego nieba: piorunem tym śmierć starego Lecoutellier, który skończył nagle w Paryżu na apopleksyę. Wiadomość o tém przynosi siostrzeniec jego, Artur, godny przyjaciel „stryjenki"; powierzchowność jego wszystkiem, treść niczém; jeżeli w nim bije jakie serce, to tak wolno, jak w płazach, z ląd cały zimny jak żaba. Przehulał swój majątek i kilka spadków, a ostatni zawiódł go, bo stary stryj ożeniwszy się niespodzianie, zapisał cały majątek młodéj żonie.-

Nagła śmierć stryja zmienia cały stan rzeczy: Artur widzi przed sobą możność unieważnienia testamentu; młoda wdowa przeczuwa jego zamiary i układa natychmiast plan zaczepno-odporny; woli Artura mieć mężem, niż przeciwnikiem w trybunale. Ale plan jéj mąci niewczesne poświęcenie pułkownika, jeżeli zostanie, rościć sobie będzie prawo do niezmiernéj wdzięczności; żeby więc go się pozbyć, posyła mu ona bilecik, aby jechał spokojnie do Meksyku i nie przeszkadzał jéj w świętym obowiązku, opłakiwania męża. Pułkownik, posłuszny jéj woli, jedzie; nie wróci jak za rok, trzeba więc już spuścić zasłonę.

Następne cztery akta odbywają się w rok później; możemy je streścić daleko krócej, poznawszy dostatecznie wszystkie główne osoby; brak nam tylko jednéj jeszcze: żony notaryusza. Jest to anioł dobroci, obdarzony może niegdyś licznemi przymiotami, ale mąż zrobił z niéj niewolnicę, zupełnie bierną, nie mającą innéj woli prócz mężowskiéj. Jedna tylko pozostała strona dodatnia w téj biernéj poniewieranéj istocie: miłość syna posunięta do apoteozy. Pułkownik jest dla niéj prawie bogiem, ona z niecierpliwością wygląda jego powrotu. Tymczasem wykłada jéj mąż wielkie plany: ona je podziwia, choć ich nie bardzo rozumie.

Powiedzieliśmy, że śmierć starego Lecoutellier zmieniła całą sytuacyę, ona wpłynęła także na nowe plany notaryusza. Wiedząc bowiem o miłości syna dla młodéj wdowy, postanawia skojarzyć nowe to małżeństwo, a dźwignią do tego ma być zamek Valtaneuse, albowiem przezeń stanie się pułkownik bardzo pożądanym dla wdowy, pragnącéj posiąść zamek przodków swoich. Stary zaś Guerin, także

./.

nie źle wychodzi na tém małżeństwie, bo pani Lecoutellier ma w stolicy liczne stosunki i wpływy; notaryusz pod cieniem jéj skrzydeł zostanie z łatwością deputowanym, potém radcą departamentu, potém... Bóg wie czém jeszcze, dość że karyera polityczna uśmiecha się do niego wdzięcznie; stary Łapigrosz uczuł w sobie ambicyę i pragnie zostać mężem stanu. Tak więc upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: dla siebie wpływ i znaczenie, dla syna przyjemne małżeńskie pożycie.—

Ale misternie wysnute nici rozrywa na nieszczęście pułkownik, wracający z Meksyku, gdzie dokazał cudów męstwa. Pani Lecoutellier przyjmuje go lodowato, bo właśnie pragnie zakończyć gorszący proces z Arturem o ważność testamentu, małżeństwem i zgodą. Notaryusz znowu wykłada jéj wszystkie korzyści, jakie wynikną dla niéj z zaślubienia pułkownika; ona sama nie wie, co zrobić, przelatuje jak piłka między pułkownikiem i Arturem, bieg akcyi gmatwa się coraz więcéj, a widzowie nie wiedzą, kto kogo zaślubi, zwłaszcza że w czwartym akcie zjawia się znowu zapomniany już Desroncerets, w którego córce kochał się niegdyś namiętnie pułkownik. Jednakże ostygł dla niéj zupełnie, bo widząc że Franciszka bierze bezustannie ojca maniaka w kuratelę, i gorliwie zajmuje się gospodarstwem, posądzał ją o zbyt wielki realizm. Nie długo przecież odkrywa mu się przyczyna takiego postępowania. Franciszka zamieniła posag swój w rentę dożywotnią na rzecz ojca, zapewniła jemu wygodne życie aż do śmierci, ale zniweczyła swoją własną przyszłość. Ojciec nie wiedząc o tém, żąda od niéj pieniędzy na dalsze próby, a gdy ona mu odmawia, bo ich niema, przeklina ją: za to pułkownik poznawszy się ze zdumieniem jéj szlachetne poświęcenie uwielbia ją więcéj niż kiedykolwiek. Spostrzegam tu, że opowiadanie moje zmieniło się w rodzaj labiryntu, z którego na żaden sposób nie mogę się wydostać; ale to nie moja wina, ja naśladuję tylko wiernie zawiłość scen przedstawionéj sztuki. Powiedzmy przecież jak się gmatwanina zakończyła. Pan Desroncerets nie ma pieniędzy, bo metoda jego nie udała się w Paryżu, notaryusz więc chce mu odebrać zamek Valtaneuse; pułkownik przecież, dowiedziawszy się o wszystkiém, wyrzuca

/.

ojcu nierzetelność kupna, a gdy ten coraz więcej się zaciekawia, syn zaciąga dług i płaci wekslem cenę kupna. Notaryusz się oburza, głównie zaś na małżeństwo pułkownika z panną Desroncerets, ale oburzenie jego wywołuje ogólną opozycyą, wszyscy wynoszą się z jego domu, nawet żona która idzie za synem ukochanym. Tak zostaje Guerin sam na rozwaliskach swoich pięknych planów, a nie wiedząc co począć, zabiera się do obiadu razem z jakimś „Ojcem Brenu" upośledzonym od natury człowiekiem, który sumienie dawno utopił w kieliszku a teraz jest usłużnym factotum Guerin'a.

Do krótkiej opowieści przekonali się czytelnicy, że brak zupełnie jedności w komedyi p. Augier'a: między pojedynczemi osobami i działaniem ich tak mało istnieje wspólności, jak między różnemi sprawami, wchodzącemi do biura notaryusza, chyba że kto zechce jedność w tém upatrywać, że jedna i ta sama osoba załatwia wszystkie. Pani Lecoutellier i jéj siostrzeniec Artur nie mają żadnych stosunków ze starym Desroncerets i córką jego Franciszką; jeżeli spotykają się czasem i rozmawiają ze sobą, to tak przypadkowo, tak konwencyonalnie, że każde spotkanie takie, niesłychanie naciągane, obraża pierwsze zasady poetycznéj architektoniki, gdzie wszystko powinno być koniecznem, niezbędnem, a nie przypadkowem, zbytecznem. Dwie zaś wymienione pary osób, robią zupełnie wrażenie dwóch cugów odmiennéj maści, które autor zaprzęga po kolei; w życiu powszedniem rzecz to wygodna i praktyczna, ale w poezyi zbyteczna.

Wszakże dzisiaj już odwykliśmy szukać jedności w sztukach francuzkich; pierwsze miejsce zajęło teraz studyum charakterów. Najnowszym francuzkim komedyo-pisarzom mniéj chodzi o powiązanie osób i akcyi w harmonijną całość, a więcej o pokazanie pewnego charakteru. Tym sposobem zamieniła się komedya w jakąś psychologiczną fotografię, która nam coraz inne pokazuje fizyognomie, zdjęte z rzeczywistości, a których tło i otoczenie są czemś podrzędnem, dowolnem. Zatem idzie, że ile razy taki charakter odfotografowany, źle będzie odegranym, sztuka nie zrobi najmniejszego wrażenia, bo reszta aktorów nie posiada żadnych środków, aby zatrzeć ułomną grę głównego. Taki los smutny ./.

spotkał Guerin'a. Z wyjątkiem kilku scen, gdzie p. Rychlerowi
roli starego Desronceret's zachwycił widzów, mianowicie w
4 akcie, publiczność pozostała zimną i obojętną, objawiając
to usposobienie swoje niedwuznacznem ziewaniem. Słowem,
przyjęto sztukę jak najgorzej. Przyczyna temu bardzo prosta,
gdyż rola notaryusza, dla którego autor napisał całą sztu-
kę, jako dla wyniku ciekawych studyów psychologicznych, zo-
stała odegraną niżej wszelkiej krytyki; dostawszy się w ręce nie-
właściwe: Guerin (p. Ostrowski) przybrał minę tak dobro-
duszną, a przytem tak płaską, że widzowie zachodzili w gło-
wę, jak podobna istota może tyranizować żonę, imponowo-
wać dorosłemu synowi, gotować umiejętnie ruinę swoim są-
siadom. Czasem znowu były tam ruchy, przypominające, na-
turalnie bardzo z daleka, szczerego, ludzkiego adwokata z He-
leny de la Seiglière, choć między dwiema rolami nie ist-
nieje najmniejsze podobieństwo. Główną zaś winę p. Ostro-
wskiego było, że uważał mimikę w roli swojej za zupełnie
zbyteczną. Powiedzieliśmy, że z charakterów sztuki został
Guerin najgłębiej pojętym; jakież więc pole dla dobrego mi-
mika! Tymczasem jednak odbywa się wszystko przeciwnie.
Roli najwydatniejszej pod względem psychologicznym poświęco-
no mniej mimiki, niż wszystkim innym razem. Guerin włoży-
wszy na się maskę, w niczem nie podobną do jego charakteru,
zachował ją niezmienioną przez cały wieczór, żadna myśl
nie zadrgała na niej, żadne uczucie, złe czy dobre, nie od-
promieniło jej.... widzieliśmy martwą maskę, a słowa
z jej ust wychodzące były w rażącej sprzeczności z jej sztyw-
ną powierzchownością. Uderzyło to do tego stopnia, że z razu
nikt nie chciał wierzyć, aby Guerin miał być głównym
bohaterem sztuki, osądźcie sami smutne zdziwienie, gdy
nikt inny nie zajął jego miejsca. Mniemam więc, że gdyby
rolę tę powierzono komu innemu, sztuka zrobiłaby bezwą-
tpienia zupełnie inne wrażenie.

— Podczas karnawału grano dosyć
często jedno-aktową krotochwilę Fryderyka hr. Skarbka
„Po maskaradzie” zapełone dlatego, że treść sztuki przy-
padała do czasu. Prawdę mówiąc, lepsza ona od wielu tłuma-
czonych wodewilów, uderza zaś przyjemnie prostotą układu
./.

i naturalnością sytuacyi. Wchodzą do niej: młody aplikant i młoda modniarka; za nimi w głębi ukazuje się pijany stróż domu. Oboje byli na maskaradzie i mieszkają w téj samej kamie-nicy. Aplikanta wracającego najprzód, wprowadza pijany stróż przez omyłkę do pokoju modniarki, a ledwo zdołał się w niéj jakoś zoryentować bez świecy, wraca modniarka: następu-je zdziwienie, potém poznanie, śpiewy, tańce i nakoniec za-ręczyny. Panna Urbanowicz oddaje rolę swoję z niewymuszo-ną wdzięcznością; p. Damse gra młodego aplikanta zbyt fi-luternie; wolelibyśmy na twarzy jego ujrzeć więcéj naiwnéj szczerości.-

Dnia 13. b. m. odbyła się w Wielkim Teatrze pra-wdziwa uroczystość: publiczność pragnąc uczcić i wyna-grodzić zarazem grę niezrównaną p. Żółkowskiego, zebrała się tłumnie na jego benefis, a gdy się nasz półbożek komicz-ny ukazał na scenie, witały go tysiące przeciągłych oklas-ków. Program wieczoru składał się z dwóch części: z farsy, tłu-maczonéj z francuzkiego i znanéj u nas już dość dawno, i z utworu oryginalnego większych rozmiarów, danego po raz pier-wszy. O pierwszéj sztuce „Rapstus" pp. Marc-Michel i Labi-che, nie wspomnielibyśmy wcale, gdyby nie występował w niéj Żółkowski. Przy téj sposobności pozwolimy sobie małą uwa-gę. Sztuczka sama jest bez treści i bez akcyi; główna więc w niéj rola nie może być ani bardzo wspaniałą ani bar-dzo trudną, gdyż cała prawie jéj czynność zasadza się na ści-ganiu służącego i trzepaniu go szpicrutą. Otóż zdaje nam się, że p. Żółkowski poniża swój talent olbrzymi, występując w ro-lach, które można śmiało powierzyć daleko niższym artystom, a które podniesione przez niego uwydatniają tylko nicość sztuki.

Oryginalnym utworem, danym tegoż wie-czora, była „Drzemka Pana Prospera" komedya czte-ro-aktowa, rozpadająca się na 5 samodzielnych odsłon, młod-szego Fredry.

Pan Prosper, poczciwy hreczkosiej, aby dogodzić żonie, przenosi się na zimę do stolicy; stanąwszy w hotelu odda-je się przyjemnemu obowiązkowi oglądania mieszkań. Tymcza-sem młody p. Alfred, przyjaciel czy znajomy, zaleca się do jego żo-ny. W stolicy mieszka już baron-Dyplomata, którego żona zazna-

/.

jominwszy się z Prosperową, wciąga ją w szereg zabaw, wśród których Alfred, kochanek baronowéj, staje się coraz niebezpieczniejszym dla żony Prospera: błaga on ją o miłość siostry, o prawdziwą przyjaźń, a ta nie widząc w tém nic złego, ofiaruje uczucie przyjaźni „stroapionemu" młodzieńcowi, nie wiedząc, że taka udana przyjaźń jest tylko sidłem do czasu utajonéj miłości.

Pan Prosper znudzony temi zabawami nie przestaje oglądać mieszkań, a po smacznym objedzie u baronostwa, wyszedłszy w tym celu, zabłąkał się do salonu primadonny, któréj apartamenta właśnie są do wynajęcia. Ponieważ pani domu nie zaraz się ukazuje, siada Prosper w olbrzymim fotelu i po krótkim czasie zasypia w najlepsze, czemu się dziwić nie można, gdyż zawsze zwykł po obiedzie odbywać małą drzemkę. Gdy primadonna wychodzi do czekającego gościa, nie widzi go od razu, myśli więc, że już odszedł, nie ma zresztą czasu długo o nim pomyśleć, gdyż wchodzi Alfred, cieszący się oddawna jéj względami. Następuje na kanapie poufałe tête-à-tête które na szczęście nie trwa dosyć długo, aby obudzić w widzach niemoralne uczucia. Po Alfredzie zjawia się dyplomata, wzdychający oddawna na daremnie do pięknych oczu primadonny: ta odrzuca wszystkie jego kosztowne oferty i stawia mu zupełnie inny, niespodziany warunek pozyskania jéj względów: żąda od niego aby ją wprowadził do wielkiego świata. Gdy się dyplomata na to zgodzić nie chce, odchodzi primadonna z głośnym płaczem do swego buduaru. Pan Prosper śpi ciągle, chociaż wizyty nie ustają. (Wchodzi młody wierszopista, głupi i brzydki, Florestan Bławatkiewicz, popisujący się nieustannemi zdobyczami nad płcią słabą, zazdrosny i nieszczęśliwy rywal Alfreda na salonach stolicy. Zastawszy w salonie pannę służącą, chce ją pocałować odrazu; ta wzbrania się a gdy natrętniéj nastaje, wymierza mu potężny policzek. Taką była nowa zdobycz p. Florestana Bławatkiewicza. Policzek musiał być okropny, bo aż twardo śpiący pan Prosper przebudził się ze snu. (W téj chwili wraca do salonu primadonna i dziwi się nieznanemu Prosperowi, przeraża się niemało dowiedziawszy się, że assystował w fotelu wszystkim jéj wizytom. Na nieszczęście wraca także dyplomata, aby zaprosić primadonnę na wielki wieczór i z przerażeniem dowia-

./.

duje się o niedyskretnej obecności pana Prospera.

Trzeci akt odbywa się znowu w hotelu u Prospera. Wielbiciele primadonny, Alfred, Baron i p. Bławatkiewicz, myśląc że Prosper posiada ich tajemnicę, przybywają kolejno do niego, aby go nakłonić do milczenia. Jest to jedyny akt, zawierający istnie komiczne motywa, ale autor nie umiał ich zużytkować, choć przyznaję że samo nakreślenie téj sytuacyi świadczy o niemałym talencie. Otóż wszyscy ci panowie zaczynają mówić o swojéj awanturze, ale objeżdżając ją z daleka, w słowach zagadkowych. Prosper nic z goła, naturalnie, nie rozumie; a gdy go zaklinają na przyjaźń, aby nie zdradzał tajemnicy, któréj nawet się nie domyśla, wtedy zdaje się jemu, że albo im albo jemu brakuje piątéj klepki.

Czwarta odsłona pokazuje nam salon baronostwa: goście się schodzą, primadonna zaczyna śpiewać. Wtedy p. Bławatkiewicz szepcze baronowéj, zakochanéj (jak już wspomniano) w Alfredzie, że śpiewaczka wybrała umyślnie ulubioną piosnkę Alfreda; baronowa rzuca się do śpiewaczki jak tygrzyca, wydziera jéj nuty i dokonawszy wielkiego czynu omdlewa w objęciach Prospera. Primadonna odchodzi oburzona, a p. Alfred powiada p. Bławatkiewiczowi nieprzyjemną grzeczność, za co ten go wyzywa na pojedynek.

Na początku piątéj odsłony widzimy zamyślonego Prospera chodzącego po pokoju; ma o czém myśleć, bo go Alfred zaprosił na sekundanta. Sekundant zaś przeciwnéj strony jest rotmistrzem wojsk austryackich i mimo dobréj duszy udaje wielkiego zucha, gada ciągle o śmiertelnych ciosach i niechybnych kulach, czém doprowadza do rozpaczy poczciwego hreczkosieja. Tymczasem baronowa dowiedziawszy się o wszystkiem, przybywa do Prosperowéj i wyznaje jéj swoją miłość do Alfreda. Ta ujrzawszy się sama nad przepaścią, gorąco dziękuje Bogu, że ją w czas jeszcze wstrzymał. Powoli zjawiają się wszystkie osoby: rozgniewana na baronowę primadonna chce rozgłosić wszystko, ale Prosperowa łagodzi ją oświadczając bez ogródki, że i ona kocha Alfreda; przed tą niespodzianą rywalką schyla śpiewaczka piękne czoło i opuszcza nietylko salon, lecz nawet stolicę. Piękny argument, ale zdaje mi się, że w rzeczywistości nie

/.

czyłoby skutkować. Nareszcie panie przebaczają Alfredowi, ten podaje rękę p. Bławatkiewiczowi, a pan Prosper wraca uradowany na wieś.

Pierwszym niezbędnym warunkiem dla utworu piękna jest jedność, w komedyi naturalnie jedność akcyi; może się ona wprawdzie rozpryskać nieraz na liczne drobne koła i kołeczka, ale wtedy potrzeba osi głównej, na około której owe kółka wirują. Tą osią, niejako Atlasem, dźwigającym na barkach swoich sklepienia scenicznego nieba, jest główny charakter: bez niego nie może być jedności w akcyi, bo od kogo weźmie ona początek? Do kogo wróci ona? na około kogo rozpostrze się w coraz dalszych kręgach. W której chwili główna osoba ukaże się na scenie, rzecz to obojętna: czasem na początku, czasem dopiero w dalszym przebiegu akcyi. W sztuce, o której mowa, zaznajamia nas autor zaraz na wstępie z wszystkiemi ważniejszemi charakterami, ale przegląd ten odbywa się tak spokojnie i objektywnie, że zrazu nie wiedzieć która z tych osób zajmie miejsce (bierne.) pierwsze. Pan Prosper nie ma do tego najmniejszej pretensyi, gdyż ciągle pozostaje biernym, on niknie zupełnie wobec świetnego, wielkomiejskiego towarzystwa; każdy co go zobaczył, przysięże od razu, że to nie człowiek, który potrafi owładnąć sytuacyą. W drugim akcie jest on nietylko duchowo biernym, jak w pierwszym, lecz i fizycznie, gdyż prawie ciągle śpi; w trzecim stał się na chwilę panem sytuacyi, posiadłszy niespodzianie tajemnicę wszystkich; widzowie więc słusznie się spodziewają, że on rozwiąże zawikłany węzeł sztuki. Przecież wszystko stało się bez jego wiedzy, on nie domyśla się że posiada czyjąś tajemnicę i zostaje nadal tak krótkowidzącym, jakim był poprzednio. Nawet podczas wieczoru kończącego się skandalicznie, nie wie, że baron kocha primadonnę, baronowa Alfreda, a Alfred prócz śpiewaczki i baronowej, jeszcze własną jego żonę. To też odbywa się katastrofa bez jego przyczynienia się i bez jego współudziału, chyba że ktoś zechce nazwać współudziałem dźwiganie omdlałej baronowej. Skutki straszne katastrofy załatwiają się znowu bez niego: kobiety przebaczają Alfredowi bez niego; przeciwnicy mający się pojedynkować, godzą się bez niego; on sam wyjeżdża w niczem

./.

się nie przyczyniwszy do tego, gdyż to propozycya żony.

Ale może to charakter, prawdzie nie głó-wny, jednak przydatny na scenie do uwydatnienia ułomności w innych charakterach? Odpowiadamy na to z góry, że poczciwy krez-kosiej Prosper nie jest żadną oryginalną koncepcyą twórczej in-tuicyi, lecz zwyczajną, choć bardzo wierną kopią wiejskiego o-bywatela. Znamy kilku, którzy jak dwie krople wody do niego podobni. Człowiek poczciwy, którego choć przyłóż do rany, weso-ły i serdeczny, ale mogący tylko żyć na roli, w swojej atmosfe-rze, jak ryba w wodzie; gdy go wywiesz z tamtąd i przenie-siesz w świat inny, wtedy straci humor, zwiędnie, stanie się bardzo nudnym i okropnie poziewającym. Takich typów nie można wprowadzać ani do salonu ani do komedyi: w sa-lonie nie są dosyć dowcipni, aby innych bawić, ani dosyć śmiesz-ni, aby się bawiono ich kosztem, słowem, są mierni, zatem nudni. W prawdziwej komedyi także dla nich miejsca nie ma, bo tam trzeba albo bardzo chwalić albo bardzo ganić, a typ ten nie zasługuje ani na jedno ani na drugie. Boć za cóż będziesz go chwalił? Dla kogo będzie on przykładem? czy dla dyploma-ty? Całym grzechem dyplomaty jest, że mając już żonę, nota bene zajętą kimś innym, zaleca się do primadonny. Zdaje mi się, że to w dyplomacie grzech nie tak wielki, zwłaszcza że na-leży poniekąd do jego rzemiosła, znać się dobrze na miłości. Ale przypuśćmy, że surowy moralista nie przebaczy mu tego grzechu, czyż mu wtedy postawi na wzór żonatego agro-noma? Od niego skorzysta tak mało, jak ptak od ryby, boży-ją każdy w innym żywiole.

Ale może Alfred jest odwrotną stroną medalu, którego popiersiem jest pan Prosper; może on bę-dzie uosobieniem zepsucia moralnego, jak Prosper uosobie-niem doskonałości. Widzieliśmy, że Prosper nie jest uoso-bieniem żadnej wyższej doskonałości, że zatem wcale się nie zda na popiersie medalu. Ale p. Alfred tak samo nie jest uwydatnieniem żadnego złego. Jest to młody człowiek, cieszą-cy się powodzeniem w salonach, kochający się naraz w kil-ku paniach a nie gardzący i panną służącą, gdy się nada-rzy sposobność. Zakrawa więc nieco na Don Juana, a tem samem kwalifikuje się na pierwszy rzut oka na głów-

nego bohatera. Ale Don Juan musi mieć zupełnie inne grze-
chy na sumieniu, jak parę kochanek, jeżeli ma zająć publiczność
na scenie; Alfred zaś ich nie ma, nie jest ani złym, ani egoistą,
ani rozrzutnym, jest to przyzwoity młody człowiek, który prze-
pędziwszy młodość cokolwiek lekkomyślnie, gdy osiądzie na wsi
i ożeni się, stanie się bez wątpienia zacnym Prosperem. Zresz-
tą gdyby był nawet więcej wyzłobionym, pozostanie mimo to
na drugim rzędzie, gdyż nie wpływa prawie wcale na roz-
wój akcyi.

Gdy czytelnicy, którzy nie widzieli sztuki
na scenie, uprzytomnią sobie z treści przez nas podanej resztę
osób i na wzór naszych wskazówek zechcą oznaczyć udział
ich w ogólnej akcyi, wtedy dojdą niechybnie do wniosku, że
sztuka przedstawia dziwne zjawisko akcyi bez osób działa-
jących; główna akcya rozwija się, porywa kilka jednostek,
tłucze je o siebie, a potém je znowu rozrzuca; możnaby
to nazwać fatalnością, która przymusza jednostki na czas
jakiś do przyjęcia udziału w działaniu, które bez nich za-
częło, bez nich rozwija się dalej i bez nich się kończy; ro-
bią zupełnie wrażenie ludzi, dźwigających węża od sikaw-
ki, trzymają go w prawdzie, ale bystry strumień wody nie
zależy w niczém od nich. Oczywista, że sztuka o takich cha-
rakterach nie zostawia artystom wielkiego pola popisu. O
rolach kobiecych przymilczymy zupełnie, te bowiem zosta-
ły przez autora tak konwencyonalnie pojęte i tak pobież-
nie nakreślone, że nawet pierwszorzędne gwiazdy naszej sce-
ny, panie: Rakiewiczowa (w roli Prosperowej), i Niewia-
rowska (jako baronowa) nie zdołały nas zająć głębiej
mimo wszelkich swoich usiłowań. Role męzkie są wszy-
stkie drugorzędne, bo jak wykazałem, nie masz w sztuce
głównego charakteru, ale mimo to, można było z nich
więcej uczynić, niż widzieliśmy na scenie. Czytelnicy
uwierzą naturalnie już naprzód, że p. Żółkowski pod-
niósł sztukę nadzwyczajnie, czém dał dowód, że i z mier-
nej roli można stworzyć coś wielkiego. Ale koledzy jego
nie poszli za jego przykładem i zdobyli się tylko na nic
nieznaczące silwety lub nawet karykatury. Bladą ta-
ką figurą był Alfred, odegrany przez p. Świeszewskiego,

./.

którego głośnie odpowiadał rozległości teatru a ztąd nietyl„
ko intonatya cała, lecz nawet wiele wierszy i słów znikło przed
publicznością. P. Szymanowski zrobił z Bławatkiewicza
wstrętną karykaturę, która zdolna jest na chwilę rozwese„
lić tłum, ale która się zupełnie mija z prawdą. Niecierpia„
noby jéj w żadnym salonie. P. Grzywinski zdaje się nig„
dy nie widział prawdziwego dyplomaty; o tym zaś którym
nas obdarzył w swojéj osobie, mogę go upewnić, że nie wy„
słoby go nigdzie, nawet do najmniejszéj missyi dyploma„
tycznéj.

Dnia 20 lutego 1868.–

Krytycy wyglądają z wielką niecierpliwością pierwszych "utworów", ale niecierpliwość ta nie jest uczuciem czystém, bezinteresownem. Gdy bowiem ustalonéj już sławy autor wypuszcza na świat nowe dzieło, przystępują do niego nieśmiało, obchodzą z daleka, a gdy kąsają, boć to ich rzemiosło, to nieznacznie, grzecznie, przepraszając za każdym razem. Czynią to zaś, lękając się publiczności, która mogłaby stanąć w obronie ulubionego autora i powiedzieć krytykom, że się nie znają na rzeczy lub że mu sławy zazdroszczą. Dosyć tych względów, aby hamować natarczywość zapędów. Ale gdy zjawia się pierwszy utwór nieznanego autora, wtedy nie ma tylu krępujących przeszkód, uderzają więc śmiało, aby wynagrodzić sobie w dwójnasób okazaną poprzednio nieśmiałość. Wobec słabych można być odważnym do woli. Ja zaś, zapatrując się na wszystko przeciwnie, niż koledzy moi w krytycznem rzemiośle, nie widzę najmniejszéj potrzeby, aby oszczędzać pisarzy zasłużonych, ile razy napiszą coś, co jest niegodnem ich pióra; za to, mniemam, oszczędzać trzeba autorów młodych, początkujących. Zgodnie z tą zasadą moją przyszedłem do teatru w dobrodusznem usposobieniu, a zapomniawszy zupełnie o moich krytycznych zamiarach, aby nie obudzić w sobie ducha negacyi, który wydobywa wszystkie strony ujemne a nie widzi dodatnich, słuchałem z nadzwyczajną uwagą, z nabożeństwem nawet, biorąc przykład z dwóch poważnych matron, umieszczonych obok mnie w krzesłach.

Gdy się podniosła zasłona, ujrzałem klęczącego młodzieńca, ściskającego dłoń narzeczonéj swojéj; utopionego wzrokiem w pięknem jéj licu; przysięgali sobie na wzajem miłość wieczną, nieskończoną. Ale nie wszyscy biorą miłość tak na seryo, jak ta młoda zakochana w sobie para. Helena ma starszą siostrę Celestynę, która patrzy na uczucia serca okiem obojętném, Gustaw zaś starszego przyjaciela, który więcéj w serce nie wierzy. I tak mamy obok młodéj owéj pary dwie osoby, zostające zewnątrz magicznego koła miłości i nie mające zamiaru wrócić kiedy do niego. Wielka jednak zachodzi między niemi różnica: adwokat bowiem Adam, tak się nazywa przyjaciel zakochanego Gustawa, miał

./.

niegdyś wiarę, a później dopiero został skeptykiem; niegdyś on kochał, może również gorąco, jak Gustaw, któż to wie, ale zdradzono go, a wtedy wygasła wiara jego, tak iż nie pragnie więcej ani żony ani miłości. Rozumiemy skeptycyzm taki, bo jest owocem smutnych rozczarowań. Celestyna przeciwnie nie wierzyła nigdy w miłość, za młodu bawiła się wnią, łudząc wielbicieli swoich, aż nareszcie przyszły latka i sama się zestarzała. Przykro jednak pozostać starą panną, mianowicie gdy się ma młodszą siostrę, która za tydzień wyjdzie za mąż: wiadomo, że mężatki mają pierwszeństwo przed młodemi i staremi pannami. To też nie dziw, że Celestyna, widząc na przyszłość absolutne swoje rządy zachwiane, postanawia atak stanowczy, ostatni: przywołuje wzdychającego o miłości adwokata i oświadcza mu się bez ogródki. Skeptyk naturalnie przyjmuje naturalnie wielkoduszną ofiarę z głośnym ironicznym śmiechem; więc zemsta, a stare panny straszne są wzemście swojéj, gdy je kto rozgniewa. Mści się zaś w sposób prawdziwie okropny, gdyż zamierza młodszą siostrę zamienić także w starą pannę: na to wystarcza jéj kilka minut rozmowy, wśród któréj przekonywa Helenę, że niezależny stan panieński jest stokroć szczęśliwszy od jarzma małżeńskiego i że romans z ubogim malarzem Gustawem nie ma żadnego sensu. Malarz mimo wyszłych już zapowiedzi dostaje kosza; wtedy pada on z rozpaczą do nóg Heleny, błagając ją o cofnięcie wyroku. Mowa jego serdeczna i tkliwa rozczuliła dwie matrony, obok mnie siedzące, do tego stopnia, że wśród ogólnéj ciszy zaczęły głośno szlochać (było to raz na drugiém przedstawieniu); publiczność naturalnie przyjęła te poczciwe szlochy z wybuchem głośnéj wesołości. Sama Helena nie rozczuliła się patetyczną deklamacyą i nie cofnęła wyroku; malarz więc odchodzi w ponuréj rozpaczy, dawszy jéj do zrozumienia, że postępuje sobie podle. Wtedy zimny skeptyk przychodzi mu w pomoc i oświadcza się żartem staréj Celestynie, a ta upojona szczęściem nakłania znowu serce siostry do biednego artysty. Widzowie się spodziewają, że wzajemne męki kochanków zakończą się nareszcie weselem, autor jednak rozwiązał sprawę w sposób inny, nieprzewidziany. Malarz przejrzawszy umysł niestały kochanki, odrzuca zgodę i razem z przyjacielem opuszcza dom emeryta. Stary emeryt zostaje sam, z dwiema staremi pannami, w miejsce jednéj; widzowie zaś zamiast jedno–

–/.

aktowej komedyi zobaczyli jedno- aktową tragedyę, której brak tylko zabójstwa do całkowitej tragiczności.–

Widzę w tém główny błąd utworu, ale jest to błąd, którego można na przyszłość uniknąć przy większej wprawie. Mimowoli przypomniał mi się młody, utalentowany śpiewak, którego słyszałem lat kilka temu w Niemczech: nieobrachowawszy się z rozległością głosu swego, zaczął o cały ton za wysoko i zrobił naturalnie fiasco, gdyż głos mu nie wystarczył do końca; gdy zaś następnego wieczora zaczął o ton niżej, zadowolnił zupełnie słuchaczy. Coś podobnego spotkało pana Szobera: uderzywszy z razu niewłaściwą oktawę, zabrakło mu sił aby dokończyć. Niewłaściwą oktawą jest założenie sztuki dramatyczne, podczas gdy powinno być komicznem; Helena bowiem kocha na początku miłością prawdziwą, głęboką, czyż więc podobna, aby za kilka minut zdołała Celestyna wyziębić w niej to uczucie, krótką, anti-małżeńską deklamacyą? Odpowiadamy stanowczo, że nie, gdyż z dwojga jedno: albo Helena kochała powierzchownie tylko, a wtedy pierwsza scena jest nieprawdopodobną, albo też kocha szczerze, a wtedy perswazya Celestyny potrafi w najlepszym razie ostudzić płomienie jej serca na krótko, ale nie zupełnie wygasić. Przyjąwszy zgodnie z myślą autora, że drugie miało miejsce, wtedy postradanie kochanka na zawsze jest karą zawielką, zasmucającą. W komedyi bowiem, ile razy intryga wciska się między dwoje serc, to na to tylko, aby je potém tém więcej zbliżyć do siebie, nie zaś żeby je na zawsze rozdzielić: bo gdyby rozdzielono je na zawsze, spadłaby kara na ofiarę intrygi, zamiast na sprawcę takowej. Oburza to już w tragedyi, w komedyi jest to zgoła nieznośném, gdyż nie chodzimy po to na komedyą, aby się oburzać, lecz aby się naśmiać do woli. W komedyi zaś p. Szobera nie mieliśmy się z czego śmiać ani z kogo. Stary bowiem dobroduszny, napół zdziecinniały ojciec, zostający pod pantoflem córek, chociaż w szlafroku swoim dosyć jest komiczny i chociaż genialnie odegranym został przez p. Żółkowskiego, nie wzbudza większego interesu, gdyż pozostaje zawsze na drugim planie i nie wpływa w niczém na rozwój akcyi. Sceptyczny adwokat jest również podrzędną, a przytém na nieszczęście bardzo suchą figurą, której

./.

deklamacye przeciw kobietom zamiast rozśmieszać, nudzą okropnie. Agnisty znowu, idealny malarz jest osobą czysto dramatyczną, bez plamki komicznej, i pozostaje taką do końca; wspomnę tu nawiasowo, że p. Trascki wywiązał się bardzo szczęśliwie z tej roli, najlepszej zresztą w całej sztuce; liczne patetyczne ustępy, które w ustach młodych aktorów zamieniają się zbyt często w szumną pustą deklamacyę, oddawał naturalnie, z wewnętrznem przekonaniem. Cieszymy się serdecznie z widocznych, ciągłych postępów młodego artysty; artysta, który postępuje, ma wielką przyszłość przed sobą.

Wreszcie szukamy dotąd nadaremnie prawdziwie śmiesznych figur w sztuce p. Szobera; zostają dwie role kobiece. O młodszej Helenie, wspomnieliśmy już, że ukazuje się od razu w świetle fałszywem, które jej towarzyszy poprzez wszystkie metamorfozy, przechodzi bowiem aż trzy metamorfozy w krótkim czasie. Najprzód jest ona szczerą kochanką, potem nieszczerą zalotnicą, przynajmniej usiłuje nią być à tout prix, a na końcu szamoce się jak naiwny podlotek, który sam nie wie czego chce. Otóż myślę, że nagłe przemienienie się motyla w larwę, a larwy w gąsienkę mniejby nas zadziwiło, niż te trzy sprzeczne między sobą metamorfozy, które przebywa jedna i ta sama osoba w jednoaktowej komedyi. Z tąd uważam, że rola ta wcale nie udała się autorowi i p. Borkowska mimo najlepszej chęci nic z niej nie mogła zrobić lepszego. Celestyna zaś, która powinna być główną osobą, jest karykaturą pod każdym względem: jest to figura woskowa, w której żyłach żółć płynie, zamiast krwi. Jeżeli od urodzenia taką była, to nie dziw, że nie znalazła męża; ale wtedy jest ona indywidualnem zjawiskiem, nie typem rodzaju, autorowi zaś chodziło o typ starych pań. Jeżeli zaś za młodu była inną i dopiero później taką została dzięki zestarzałemu panieństwu, to nie był powinien autor zamilczeć o jej pierwszej młodości, skoro w niej tkwiły zarody przyszłej starej panny. Ponieważ tego nie uczynił, nie wiemy dlaczego jest taką, bo sam epitet „starej panny" nic nam nie tłumaczy. W rzeczywistości bardzo trudno o taką starą pannę. Obstawam więc za pierwszem wyrzeczeniem, że Celestyna nie jest kreacyą, opartą na rzeczywistych spostrzeżeniach, lecz karykaturą, która zamiast być śmieszną, przeraża: zamiast żywej

./.

osoby jest ona lalką woskową.

Streszczamy ostateczne wnioski nasze w kilku zdaniach; „Stara Panna" nie jest komedyą, lecz niedonoszonym dramacikiem; jedyna figura komiczna, stary papa emeryt, zostaje na uboczu; jedyna rola dobrze narysowana, młodego malarza, jest dramatyczna; Helena nie jest ani komiczną ani dramatyczną: jest dziwolągiem, jak każdy płód niedonoszony; Celestyna, na podrzędnem miejscu w dramacie byłaby znośną; na pierwszem miejscu w komedyi jest ona okropną. Ogólny rezultat naszych wniosków jest czysto ujemnym: utwór p. Szobera nie jest komedyą. Rezultat ten nie powinien przestraszyć autora: po pierwszych próbach niefortunnych nastąpią coraz lepsze, byleby zechciał. Wypowiadamy to na seryo, gdyż gładkość wiersza i prawdziwie komiczne połyski, rozrzucone tu i owdzie po utworze, przekonały nas, że autor ma talent prawdziwy.

Dnia 23° marca 1868.-

Nigdzie dzisiaj nie grają Delavign'a, a mało kto go czyta: najlepsza to ocena jego wartości.

Spotkał go los ten sam, co innych poetów, rówieśników jego, którzy się zwali klassykami: burza romantyzmu wyrwała ich z ziemi i uniosła precz; nikt ich dzisiaj nie wspomina.

Poszli w zapomnienie, nie dla tego, że obstawali za arystotelesową jednością miejsca, czasu i akcyi; lecz że byli miernymi twórcami, którzy głębokość uczuć zastępowali nawałem słów, a złoto natchnienia błyskotkami nieszczeréj deklamacyi.

Deklamacya przyciąga czasem współczesnych, ale późniejszych ludzi odpycha; odwracają się odniéj ze wstrętem, jak od wybladłéj szaty i różowanych lic staréj zalotnicy.

Utwory Delavign'a podzielają wszystkie ujemne strony téj niegdyś chwalonéj, a dzisiaj zapomnianéj szkoły. Z pomiędzy nich Parya jest najlepszym, przynajmniéj sam poeta tak go nazwał, przypisawszy go ojcu swemu.

Ale przymiotnik ten ma znaczenie zupełnie względne; to też nazywając Paryę najlepszą sztuką poety, wyrażamy pochwałę tak względną, że równa się prawie zaдnéj - chyba że się zdobędziemy na inny jaki przymiotnik. Po długim jednak namyśle nie znaleźliśmy żadnego dodatniego, coby się stosował do sztuki, a za to mnóstwo ujemnych; nie chcąc więc zmniejszyć i tak już względnéj pochwały, zostajemy przy pierwszym.

W rzeczywiście, gdyby sztukę tę dano w dosłownym przekładzie, zasnęliby widzowie z długiego znudzenia, a nikt by nie poszedł na drugie przedstawienie.

A. Szymanowski, kierując się delikatnym zmysłem poetycznym, uznał niemożliwość dosłownego przekładu, wiedząc doskonale, że nawet najlepiéj zrobiony pozostanie dla naszéj publiczności zupełnie niestrawnym, gdyż wychowała się w innych pojęciach estetycznych, niż Francuzi z pierwszych lat restauracyi; dlatego zamiast przekładu dał nam przetworzenie.

To przetworzenie jednak nie naruszyło planu sztuki ani jéj wewnętrznéj istoty; ograniczyło się do dyalogu i chorów, które znacznym uległy zmianom, mianowicie szcze-

/.

śliwemu skróceniu. P. Szymanowski zresztą nie mógł postąpić inaczéj, bo naruszając essencyę sztuki, byłby musiał napisać nową, a to nie było jego zamiarem.

Zadanie więc krytyki naszéj będzie podwójném: uwagi nad treścią i układem tragedyi dotykają wyłącznie dawno zmarłego poety; za to odpowiedzialność za jéj formę zewnętrzną spada na p. Szymanowskiego.

Zaczynamy od kollizyi, powodującej śmierć bohatéra. Kollizya ta została zupełnie fałszywie pojęta. Tragiczna bowiem kollizya powstaje przez uderzenie silnéj jednostki o prawa ogólne, stałe, któremi kieruje się społeczność. Jest ona wynikiem walki, która w początkach mała, roznamiętniła się z taką potęgą, że jeden z dwóch przeciwników musi pozostać na placu.

Ale żeby walka mogła mieć miejsce, powinna ją poprzedzać zgoda. Jednostka zrazu zostaje w zgodzie ze swojém społeczeństwem, razem z niém się rozwija, i dopiero z czasem stawszy się zbyt silną, a w skutek siły swojéj zbyt dumną, wynosi się nad prawa, którym poddane być muszą osobniki, aby społeczność mogła być całą. To wyłamanie się z pod praw ogólnych, staje się powodem walki, kończącej się śmiercią jednostki. Oznaczyliśmy warunki téj walki: obie strony stawają na wspólnym gruncie i spotykają się równą bronią. Jest to walka umyślna, dobrowolnie przyjęta od stron obu, prowadzona z całą świadomością; tylko w téj formie może się objawić kollizya tragiczna.

W „Daryi" zaś téj walki niema; bohatér ginie ale bez walki bo jéj być nie mogło. Gdyby Adamar, zaciągając się do wojska indyjskiego, był wymienił pochodzenie swoje, nie byłby przyjętym; byłby pozostał, jak dawniéj, poza obrębem społeczeństwa. Ginie, nie dlatego, że będąc jednostką wyniósł się nad ogólne prawa społeczności, że wolę swoją osobistą postawił nad wolę ogólną; lecz ginie jak człowiek, przechadzający się w blizkości tarczy, do któréj strzelają żołnierze. Chociaż wie, że to miejsce jest niebezpiecznem, chociaż niema nic wspólnego z ćwiczącemi się żołnierzami, przechadza się jednak uporczywie,

wystawiając się na kule. Gdy go jedna dosięgnie, nie będzie to tém nic tragicznego: będzie to kollizya fizyczna, któréj nikt nie chciał; w zupełnie takiém położeniu jest Idamor.

Póki Indowie mają go za swego, żyją z nim w najlepszéj zgodzie; przekonawszy się raz, że to Parya, usuwają go ze swego grona, do którego nie byliby go przyjęli, znając tajemnicę. Idamor więc ginie, ale bez walki, bez oporu, jak gałąź sucha, odcięta od drzewa. Między wolą Paryi a wolą indyjskiéj społeczności nie może być żadnéj walki, żadnéj kollizyi; są to dwa światy, odgrodzone od siebie czarną, nieprzebytą przepaścią.

Kolizya zresztą ta, sama z natury swojéj mechaniczna, spowodowana zostaje przez wpływy zewnętrzne, obce, a nie pochodzi z żadnéj psychologicznéj przyczyny. Idamor uzyskawszy rękę córki arcy-kapłana, żyłby szczęśliwie wśród Indów, hetmaniąc im długie lata. On sam otrząsł się z przesądów, jakie gnieżdżą się w sercu Paryi, polubił lud, który mu rzuca wieńce pod nogi, pokochał Ilawę, która mu dała żonę. Indowie nie wiedzą, kto on jest; on sam im tego nie powie, bo mu dobrze wśród nich; nie widać więc żadnéj chmurki na niebie Idamorowego szczęścia, nie widać cienia nawet jakiejś możliwéj przyszłéj kolizyi.

W tém przybywa stary ojciec jego, prawdziwy Parya z lasów i staje się powodem wyjawienia tajemnicy; Indowie odkrywszy w Idamorze zwodziciela, który udawał szatrye, oddają go na śmierć, nie dla tego, że on, jednostka, zbuntował się przeciw społeczeństwu, lecz że znalazł się wśród niego, choć do niego nie należy. Śmierć jego tak mało jest tragiczną, jak spłonienie słomki, wrzuconéj w ogień. Idamor znalazł się wśród zupełnie obcego żywiołu, który go strawił, zamienił w proch i nicość. Przewiduję zarzut czytelnika. Jakto! – zawoła z oburzeniem – czyż Parya nie jest człowiekiem i czyż to nie wystarcza, aby go pomieścić wśród społeczeństwa? Zamiast nagany zasłużył poeta na wielką pochwałę, że przejęty litością nad nieszczęśliwą dolą, w któréj od wieków pogrążonem jest całe jedno plemię, wystąpił w jego obronie, pokazawszy w niém ludzi, nie ustępujących w niczem ludziom klass panujących. Czyż wielki zamiar ten da się urzeczywistnić bez

./.

wprowadzenia Paryi na scenę, bez stosunków między nim a społeczeństwem? bez kollizyi nareszcie? Paradoksalne zaś twierdzenie krytyki uniemożebnia to wszystko; podług niej powinien Parya pozostać za sceną, tak jak pozostał zewnątrz społeczeństwa. Czyż wtedy jedna z największych myśli nie będzie wskazaną na milczenie? bo któż ją lepiéj wypowie od sceny?

Przewidywałem zarzut ten, a mimo niego obstaję za mojém twierdzeniem. Należy bowiem myśl, z którą się nosił poeta, odróżniać od formy, w któréj ją wypowiedział. Jeżeli forma niestósowną jest, to razem z nią i treść nie ostoi się przed trybunałem krytyki, bo w estetycznym utworze najprzód i przedewszystkiem o formę chodzi. Jeżeli kto ma myśl wielką, godną uwagi wszystkich, a nie zdobędzie się na odpowiednią dla niéj artystyczną formę, to niech ją wypowie skromną prozą, zwyczajnym językiem uczonéj rozprawy, ale niech nie żąda, aby pobłażano ułomności formy dlatego, że za nią ukrywa się niby myśl wielka i szlachetna.

Wychodząc z téj zasady, oddaję wszelką słuszność pomysłowi Delavign'a. Uznaję, że jest szlachetnym, nawet wspaniałym. Jakiż to pomysł? Istota ludzka wszędzie ta sama; we wszystkich ludziach bez wyjątku tleje iskierka Najwyższego; posiadają ją zarówno klassy najwyższe i klassy najniższe, najwięcej zdeptane; w sercu wzgardzonego Paryi odzywają się uczucia, godne najdzielniejszych rycerzy, w jego głowie powstają myśli, godne największych mędrców. A jeżeli plemię poniewierane nie dostarcza również wielu ludzi znakomitych, w klassy panujące, to jedynie dlatego, że od wieków trzymane w duchowéj niewoli, w ciemnocie zupełnéj, od reszty społeczeństwa odepchnięte, pogardzone od wszystkich, zdziczało w osamotnieniu i sromocie swojéj. Ale dajmy mu prawa i swobodę, okażmy mu litość zamiast wzgardy, miłość w miejsce klątwy, a niebawem spotężeje, wzniesie się do nas, dorówna nam zupełnie.

Nikt nie zaprzeczy, że to myśl wielka, wspaniała, godna sceny, ale potrzeba dla niéj formy, bo czemże myśl bez formy? Delavigne zaś nie stworzył formy odpowiedniéj. Oto i cały zarzut nasz. Chcąc odsłonić w Paryi charakter wielki i szlachetny, nie przerzućmy go od razu

/.

w społeczeństwo, z którem nie ma nic dotąd wspólnego i do które-
go wnijść ma dopiero wskutek naszej obrony. Nie zróbmy go punk-
tem środkowym, do którego grawituje świat zupełnie mu obcy, bo
wielkie jest prawdopodobieństwo, że nie potrafi się utrzymać w nie-
ruchomej równowadze, że się da porwać wirom, tańcującym doko-
ła niego, i zamiast im panować, razem z niemi przepadnie w
otchłaniach nicości. Zostawmy go tam, gdzie wyrósł, gdzie się wycho-
wał, w biednej lepiance, u nóg odwiecznych palm i bananów które
litośnie roztaczają nad nim olbrzymie swe ramiona, zasłaniając
go i od zmiennych kaprysów nieba i przed wzrokiem zawziętych nie-
przyjaciół. Ukażmy go wielkodusznym i szlachetnym, ale w bie-
dném ubraniu, z czołem schyloném bojaźliwie do ziemi. Tak po-
jął Parię i tak go wystawił Michał Beer brat wiekopomnego kom-
pozytora, w jednoaktowej tragedji, znanej publiczności naszej
w starannym przekładzie prof. Zerwestama (w Kłosach). Jego
Parja nie wychyla się nad powierzchnię żywiołu sobie właściwe-
go, to też uwydatniają się harmonijnie wszystkie dodatnie stro-
ny jego pięknej duszy. Rysują się na tle, nie obcém lecz swojém.
Gdy zaś wyrwiemy Parię z żywiołu, w którém oddycha swobod-
nie, gdy go przeniesiemy w świat inny, z którym nie ma nic wspól-
nego, wtedy postać jego, i tak już wątła, niechybnie się złamie pod
ciężarem nowych, niezwykłych stosunków.

Nie możemy bowiem innym sposobem wprowa-
dzić go do zamkniętego świata, jak pod maską kłamstwa. Po-
winien udawać to, czém nie jest; ale postać ukazująca się od po-
czątku sztuki do jéj końca w świetle zupełnie fałszywém, stoją-
ca tylko przez kłamstwo, jest co najmniej kreacyą zupełnie zwich-
niętą. Taką ułomną, próżną na wylot kreacyą jest Idamor De-
lavign'a. Udaje Indyjczyka; pod jego maską dochodzi do najwyż-
szych zaszczytów, do miłości narzeczonej. Taki stan rzeczy stawia
go naturalnie w położeniu nieznośném, bo on nigdy nie wie co
się należy jemu, a co jego masce. Nie dziw, że udawanie mu cię-
ży, że czasem mu się wyrywa prawie z piersi; mimo to wynosi-
my ze sztuki przekonanie, że żyłby bardzo szczęśliwie, przywykną-
wszy do swojéj roli, gdyby nie miał ojca, który się staje powodem
wyjawienia tajemnicy. Widzowie nie oburzają się na to; tolerują
podstęp Idamora, jako w rzeczy samej niewinny i przynoszą-
cy korzyść społeczeństwa. Ale tolerując postępowanie Ida-

./.

mora, nie sympatyzujemy z nim wcale, wolelibyśmy go czystym, bez podstępu: charakter zaś tragiczny, który nie potrafi przywiązać do siebie serca widzów tysiącem nitek, jest źle pomyślany.

To też nie oburzamy się bardzo na upadek Adamora. Wiedział co go czeka. Usposobienie Indów dla współplemienników jego było mu dobrze znanem. Oni inaczej postąpić nie mogą, gdy się wyjawi podstęp. Gdy Adamor wróci do charakteru Parii, usuną go Indowie ze swego grona. Gniewać się za to na nich nie można; bo są w swojem prawie, a nie mają powodu nadwerężyć prawo na korzyść człowieka, którego szanować nie mogą. Wyjaśnimy wzajemny stosunek słów prostym zwyczajnym przykładem.

Nieznajomy wchodzi do porządnego towarzystwa i zasiada do gry, nie mając ani pieniędzy ani kredytu. Na końcu przegrawszy znaczną summę, przyznaje się do winy. Oczywiście towarzystwo nie może nie uczynić innego, jak wyprosić go za drzwi: nastąpi to tak niechybnie, tak fatalnie, jak zjawisko przyrody, którego nic odwrócić nie może. Strona pokrzywdzona mimo najlepszej woli nie może postąpić inaczej, bo gdyby nieznajomy przed rozpoczęciem gry był wyjawił bankructwo swoje, nie byliby z nim grali; skoro z jasną samowiedzą przyjął grę, powinien także przyjąć wszystkie jéj następstwa. W tém położeniu jest Adamor; dla tego w ciągu sztuki nie obudza sympatyi, a śmierć jego zostawia nas dosyć obojętnemi.

Moglibyśmy tym sposobem ciągnąć dalej rozbiór sztuki, i wykazać że nie tylko Adamor, lecz wszystkie inne charaktery, prócz jednej może Neali, zostały źle pojęte, i rzec można wypchane nieprawdopodobieństwem. Ale cóż za cel tych uwag naszych? Delavigne dawno już został skrytykowanym i osądzonym; dzisiaj wystąpić z nową krytyką, byłoby to rzeczą, jeżeli nie płochą, to w każdym razie bezużyteczną. Delavigne zresztą usuwa się dla nas na drugie miejsce, a na pierwsze wstępuje p. Szymanowski. To też cieszymy się niemało, że nareszcie możemy od ganiącej krytyki przejść do chwalącej, ze sfery stron ujemnych, wznieść się do sfery stron dodatnich i prawdziwych zasług.

Wyznajemy z góry, że „Paria" w Wielkim Teatrze jest znamienitą kreacyą; złożyły się na nię trzy kta-

/.

dniki, każdy doskonały w swoim rodzaju, toteż całość, powstała z takich składników nie mogła się nie udać. Dwom częściom składowym poświęcimy kilka drobnych uwag, ponieważ o trzeciem, t.j. o muzyce Moniuszki, drukujemy w niniejszym zeszycie sąd p. Müncheimera; pozostałe zaś dwa czynniki są to pióro p. Szymanowskiego, i gra aktorów. Mówmy najprzód o p. Szymanowskim.

Zarzucono mu, że z wielkiego bogactwa zagranicznych dzieł scenicznych wybrał bardzo mierne i przestarzałe. Zdaje nam się, że zarzut ten ze wszystkich najnieszczęśliwszy. Nie godzi się krytykowi występować przeciw skłonnościom autora, przeciw wyborowi tematu: jego rzeczą tylko oceniać wykonanie. Jakikolwiek sąd mieć można o temacie, trzeba wyznać, że p. Szymanowski wykonał go w sposób znakomity. Chwalono gładkość wiersza, niezwyczajność rymów, bogactwo obrazów; dziwię się jednak, że krytycy zapomnieli o jednej nadzwyczajnej zalecie: jest nią rozmaitość stylu. W pseudoklasycznych tragedyach Delavign'a mówią wszystkie osoby, stare i młode, odważne i bojaźliwe, pany i sługi, tym samym stylem, tym samym gładkim, ocukrzonym wierszem. Jest to najlepsza oznaka nędzy sztuki; blada, jednostajna we wszystkich ustach mowa świadczy najlepiej, że to nie żywe osoby, lecz chińskie sylwetki. P. Szymanowski wprowadził do swego Parii nadzwyczajną rozmaitość: arcykapłan mówi patetycznie, Idamor z energią, treściwie, Neala miękko i kwieciście, jak prawdziwa dziewica Wschodu. Przez to, postacie stały się żywemi, na blade schorzałe lice Delavignowskiej muzy, wystąpił zdrowy rumieniec życia i zapału.

Inną wielką zaletą p. Szymanowskiego jest umiejętne z delikatnym taktem dokonane skrócenie dyalogów; w Delavignie gadają bohaterowie bez końca i nie wiedzieć zwykle do kogo, bo podczas gdy jeden recytuje nie kończące się aleksandryny, drugi nie wie, co począć z swoją figurą. Często wypalą bez zatchnięcia kilkadziesiąt wierszy, gdzie w rzeczywistości nie potrafiłby człowiek więcej powiedzieć nad jeden lub dwa. Żeby dotykalnym przykładem twierdzenie nasze poprzeć, przywodzimy czytelnikom na s.

pamięć początek 5tej sceny II go aktu. Neala wchodząc biegą do Adamora, mówiąc te słowa:

> Czołem do ziemi! bóstwo łaskami swojemi
> Nas darzy! ojciec łączy, więc czołem do ziemi!
> Uczcijmy łaskę bożą i kapłana wolę
> W pokorze.... Ale zkądże chmura na twém czole?

Cóż naturalniejszego? Neala uszczęśliwiona zezwoleniem ojca na zamęście z Adamorem, przybiega do niego z tą radosną nowiną. W takim nastroju ducha, jest ona niezdolna do dłu=gich słów, a najmniej na samym wstępie, zoczywszy Kochanka. Dopiero później, gdy się uspokoi, gdy przeminie pierwsze wzruszenie, stanie się dyalog także spokojniejszym i dłuższym. Delavigne jednak nie zważywszy na to, kładzie w usta Neali dziesięć aleksandrynów, czém obraził prawdę psychologiczną. Ponieważ bowiem zbyt mała przestrzeń dzieląca aktorkę od Adamora nie wystarczy na wydeklamowanie dziesięciu wierszy, powinna się zatrzymać, wypowiedzieć całą tyradę, a potém dopiero rzucić się w objęcia Kochanka. Czyż można wymyślić mniej nieprawdopodobne położenie. Wszystkie dyalogi Delavigne nacechowane są tą wadą; p. Szymanowski skróciwszy je o połowę a czasem i o dwie trzecie, wrócił im naturalność i swobodę.

Przytaczamy z licznych świadczenie nasze popierających przykładów, jeden jeszcze ukazujący talent tłumacza w całej świetności. Mówimy o wielkiéj scenie 4tej III go aktu, gdzie Adamor po długiém rozłączeniu poznaje starego ojca.- Chwila ta tak gwałtowna, że tylko krótkie słowa wyrywają się z wstrząśnionych piersi. Słowa powinny być również wielkie, jak uczucia które w nich wibrują. Adamor usłyszawszy pierwsze dźwięki mowy nieznajomego, wiedziony przeczuciem, pyta się: Ktoś ty?- Zares odpowiada w kilku słowach:

> Obcy.... szukam niewdzięcznika;
> Co mnie opuścił....

Wtedy rzuca się Adamor ku niemu z jednem słowem: Ojcze! na więcéj słów nie zdobędzie się, ale to jedno, wy-

/.

rzucone z natężeniem całej boleśnie wzruszonej piersi, stawa za wszystkie. Kto widział tę scenę na teatrze, przyzna że ani inaczej ani więcej mówić nie może. Tymczasem scena ta jest w Delavigne dosyć słaba, bo więcej tam słów, niż potrzeba. I tak Adamar zamiast pytać się z niepewnością: Ktoś ty, mówi: Que vois-je? ale w tych słowach leży już zupełna pewność, syn już poznał ojca. Wtedy Zares odpowiada czterema wierszami to, co w polskim texcie zamknięto w półtora wierszach, a potém Adamar zamiast rzucać się ku ojcu, deklamuje:

Dieu! vous m'ouvrez vos bras!

A dopiero po odpowiedzi ojca, wypełniającej dwa wiersze pada w jego objęcia, wołając: Mon père! Zdaje mi się że ten przykład uwydatnia najlepiej całą mdłość i wymuszoność stylu Delavign'a, a całą siłę i świeżość pióra p. Szymanowskiego. Niepospolitą zaś ozdobą polskiego przekładu są chóry, w których pomysły francuzkiego poety prawie zawsze zastąpione zostały samodzielnemi lirycznemi koncepcyami; w nich okazał się p. Szymanowski zupełnie twórczym i samodzielnym, i dał nam tak świetne próbki swego talentu, że niektóre strofy zaliczamy śmiało do pierwszorzędnych objawów współczesnej polskiej liryki. Zwracamy uwagę czytelnika tylko na jeden chór, końcowy IIgo aktu. Szkoda że te piękne, mistrznej giętkości wiersze nikły w śpiewie, tracąc wszystkie swoje ozdoby.

Oddawszy winny hołd talentowi i znakomitéj pracy naszego współziomka, poświęcamy słów kilka tym, którzy w tak wielkiej części przyczynili się do jego tryumfu. Jeżeli sztuka mimo fałszywego rozwoju, mimo jałowej scenerji, potrafiła się utrzymać do końca na wyżynach tragicznego natchnienia, to dzięki połączonym siłom aktorów, którzy ubiegając się o lepsze w szlachetnym zawodzie, dokładali wszelkich starań, aby tryumf sztuki był zupełnym; zadanie zaś mieli przed sobą olbrzymie, odstraszające największych: bo improwizować nagle grę tragiczną. A jednak trudność olbrzymia została zwalczoną.

Mówię bez przesady, że trudność była olbrzymią; aktorzy nasi zrośli z nowożytnym dramatem: mowa w nim naturalna, nic prawie deklamacyi, gra artysty wszystkiem. Pseudo-klasyczna tragedya, na wzór greckiéj, oszczędza grę ar-

./.

tysty, ale za to zabiera mu głos cały. Aktor nowoczesnego drama-
tu nie zwykł oszczędzać gry swojéj, kładzie w nią całą swoją duszę;
ale wtedy jest fizycznem niepodobieństwem, aby do natężenia ca-
łego duchowego jestestwa w grze dodał jeszcze natężenie patety-
cznéj deklamacyi. Lękałem się, wyznam otwarcie, o Królikow-
skiego. Wiedząc, że nie oszczędza się w grze, myślałem że nie
wystarczą mu siły do nużącej deklamacyi. A jednak poko-
nał tę trudność i do dawnych wieńców dodał nowy, świetniej-
szy, połączywszy posągowy patos starożytnéj tragedyi z namięt-
ną grą nowożytnego dramatu. Wiedziony szczęśliwą intuicyą,
zrobił on z Adamora, narysowanego przez poetę w półcienistych
konturach, wszystko, co na scenie z niego zrobić można. W pierw-
szym tylko akcie głos jego z początku był powszedni, taki jakim
mówi w komedyi, chód jego nieśmiały, ostrożny, ale potém zni-
kały te małe wspomnienia komedyi, jak mgły rozchodzące się przed
obliczem słońca, i w drugim akcie stał już Adamor tragiczny,
porywający patetyczną deklamacyą serca widzów, owinięty
w powagę starożytnego bohatéra. Zwracamy tylko szanowne-
go artysty uwagę na jedną okoliczność, drobną, podrzędną. W
drugim akcie, gdy się wyznał być Parią, podaje klęcząc miecz
Neali, aby go przebiła; ta cofa się przerażona, obejmuje posąg
Bramy i daruje mu życie. Adamor z klęczącej postawy pod-
nosi się zwolna a trzyma ciągle miecz z rękojeścią zwróco-
ną do Neali, tak jak go jéj podawał. Pytanie, co zrobić na-
dal z tym mieczem? P. Królikowski chowa go zwolna do po-
chwy, a jest to dosyć skomplikowanym zadaniem, ponieważ
trzyma miecz nie za rękojeść lecz za koniec. Sądzimy, że z
wielkością chwili nie zgadza się pamiętać o drobnych rze-
czach. Adamor, usłyszawszy pierwsze słowa kapłanki, już
nie nacechowane odrazą, lecz głębokiem współczuciem, po-
winien się podnieść szybko i zgodnie z wzruszeniem swojém
rzucić miecz daleko od siebie, zwłaszcza, że mu nie prędzéj
potrzebny jak w IV akcie.

Obok P. Królikowskiego stanęła go-
dnie p. Palińska, w roli Neali. Każdy krok jéj dowodził, że
wystudyowała i przejęła się swą rolą; chciała być nadgange-
sową kapłanką i była nią bezustannie, od początku sztuki
do końca. W tém zdaje nam się zbłądziła nieco wielka arty-

./.

stka, że nie była ani na chwilę młodą, wesołą dziewczyną; prawda, że sztuka nie wiele nastręcza do tego sposobności, są jednak takie chwile, choć krótkie, w pierwszym akcie i na wstępie spotkania się z Adamorem w drugim akcie. P. Palińska zamiast tego ukazywała nam ciągle poważną kapłankę; melancholijna gwiazda, rozjaśniawszy na jéj czole w nocnéj schadzce z Adamorem, nie zmieniła już blasku swego aż do jego śmierci. Wadą zaś, któréj zamilczeć nie możemy, a któréj szanowna artystka pozbędzie się z łatwością, jest zbytnia płaczliwość, a ztąd nienaturalność głosu. Gdyby artystka mogła przysłuchać się sobie saméj, zgodziłaby się na zarzut, nasz bez wątpienia.

Zaresa ojca Adamorowego, grał p. Rychter. Czytelnicy naprzód powiedzą, że był trzecim bohaterem wieczora, stojącym na jednéj zupełnie linii z dwoma pierwszemi. Bo jakżeby też być mogło inaczéj. P. Rychter obiera sobie tylko role zgodne z jego talentem, a obraną wykończa potém z zadziwiającą starannością. Ztąd wielkim jest w każdéj roli. Były jednak chwile, w których p. Rychter przewyższał jeszcze oczekiwanie widzów i siebie samego. Zares pozostanie jedną z jego najudatniejszych kreacyi. Zdawało nam się tylko, że bez mniéj realizmu byłby artysta cel ten sam osiągnął. Parya, którego nam pokazał był przerażający. Nie przeczę, że istnieją tacy in natura, ale to nie racya jeszcze, żeby ich wprowadzać na scenę. Że takiego Paryę wykluczają Hindowie z swego towarzystwa, nikt się temu nie dziwi; potém sprzeczność między idealnym, wzniosłym, w błyszczącą zbroję odzianym synem a ojcem, uosobioną nędzą, jest zbyt rażąca. Gdyby artysta tę rolę swoją nieco idealniéj pojmował, nawet w zewnętrznéj postawie, zyskałaby nadzwyczaj, chociaż mniéj by robiła efektu. Ale artysta, jak p. Rychter nie potrzebuje uganiać się za efektem.

Połączenie Królikowskiego, Rychtera i Palińskiéj w jednéj sztuce wystarcza, żeby zapewnić jéj zupełne powodzenie. Było ono tém większe, że i drugorzędne role dobrze były obsadzone, należycie zrozumiane i starannie wykończone. P. Chęciński grał arcykapłana i zadziwił nas, którzy go nigdy nie widzieliśmy w podobnych rolach nie tylko potężną wzniosłą deklamacyą, lecz także grą swoją poważną, pełną

tragicznej godności, a jednak daleką od wszelkiej przesady.
Przerywamy tutaj uwagi nasze nad Parią, z bojaźni, żeśmy nadużyli cierpliwości czytelników. Wynik spostrzeżeń naszych streszczamy w kilku słowach. Delavigne ma dla francuzkiej literatury znaczenie bardzo podrzędne. Dla nas nie ma on prawie żadnego. Pod tym względem trzebaby być otwartym i nie wdawać się w żadne ustępstwa. Bronić Delavigne'a znaczy to samo, co narażać wytworność i pewność swego sądu. Toteż spełzły na niczem usiłowania kilku naszych krytyków, pragnących podnieść wartość Delavig'nowskich poezyi. Zdaje mi się, że uczynili to jedynie w tym celu, aby nie zmniejszyć znaczenia pracy p. Szymanowskiego. Jednakże wzgląd taki był zupełnie niepotrzebnym; przeciwnie p. Szymanowski ma tém większe prawo do naszego szacunku, że z rzeczy lichej, zrobił rzecz znakomitą. Bo powtarzam raz jeszcze, Paria, który go ujrzeliśmy na scenie Wielkiego Teatru, jest dziełem znakomitém. Wiersz p. Szymanowskiego, gra aktorów i muzyka Moniuszki połączyły się w całość tak zachwycającą i tak odbijającą na tle naszego repertoaru, że od lat wielu nie mieliśmy nic podobnego; nic coby stanąć mogło godnie obok téj tragicznej kreacyi. Bo to nie mała jéj zaleta, że jest tragedyą. Od długiego czasu tęsknimy za nią, przesyceni słodyczami komedyi. Dla ducha potrzeba od czasu do czasu mężkiej strawy, jeżeli nie ma zniedołężnieć zupełnie. Taką strawą jest tragedya; ona nietylko jest oczyszczeniem ducha, jak mówi Arystoteles, lecz przemienia miękkie żelazo ludzkiego serca, w twardą stal; pod jéj gorącém tchnieniem przetapia się dusza; grube, doczesne żużle spadają na dół, a wychodzi na jaw sam błyszczący kruszec.

Przez długie lata byliśmy pozbawieni dobroczynnego wpływu tragicznej Muzy; powodem do tego było zapewne, że Dyrekcya uważała siły nasze teatralne za niewystarczające. Teraz przekonała się, że siły te mogą podołać sztukom największego zakroju. Nie wątpimy, że Dyrekcya zadowolniona pierwszą tragiczną próbą naszej sceny, wystawi po niej szereg innych; wtedy rozpocznie się nowa zupełnie era dla naszego teatru. W głębokiem przeświadczeniu, że Paria jest zadatkiem téj nowéj ery

./.

teatralnej, witamy go z niewymowną sympatyą.

(Warszawa 26 maja 1868.–

A. F. Rio, de l'art chrétien. Nouvelle édition 4 vol. 8vo Str. LXXXIV. i 462, 554, 473 i 563. Paris 1861–1867. Hachette.

Z estetyków, zapatrujących się na utwory pięknościowe okiem chrześcianina, jest p. Rio bez wątpienia pierwszy i nie ustępuje, co do wykwitnego gustu i uczucia piękna, żadnemu estetykowi szkoły przeciwnej. Toteż chrześciańscy miłośnicy sztuk pięknych przyjęli z prawdziwym zapałem nowe znacznie pomnożone wydanie znakomitego dzieła, którego tom czwarty i ostatni ukazał się dopiero w roku przeszłym. Budzi on większe zajęcie od trzech poprzednich tomów, jako dla treści swojéj jest on najważniejszy i najwięcej pociągający; obejmuje bowiem, prócz szkoły weneckiéj, gruntowną i po mistrzowsku wykonaną charakterystykę dwóch największych przedstawicieli włoskiéj sztuki, Michała Anioła i Rafaela, z którego śmiercią kończy się dzieło. Zaczyna się ono od słabych początków odradzającéj się sztuki włoskiéj w wieku XIII, któréj pierwsze nieśmiałe usiłowania złożone są w tak zwanéj szkole syeneńskiéj. Streściwszy jéj dzieje przechodzi autor do szkoły florenckiéj, poczém rozwodzi się obszernie nad odrodzeniem się nauk i nad udziałem wielkiéj familii Medyceuszów w tym wspaniałym fakcie. Na tém kończy się tom I szy, wstęp zaś jego poświęcony jest ogólnym uwagom estetycznym, oraz poglądowi na sztukę grecką i początki sztuki chrześciańskiéj. Drugi tom wykazuje, jakie zajęli papieże stanowisko w obec odrodzenia się nauk i jakie położyli zasługi około sztuk pięknych; poczém przechodzi autor szkołę umbryjską a kończy na charakterystyce Savanaroli i jego wieku. Większa część III tomu poświęcona szkole lombardzkiéj i pamięci Leonarda Da Vinci, na końcu spotkała szkołę ferraryską krytyka ostra i zasłużona. O treści IV tomu wspomniałem już wyżéj, oraz o tém że się kończy na Rafaelu. Z krótkiego wyliczenia treści przekonał się czytelnik o jéj obfitości; jest ona zaprawdę tak wielką, że prawie zdaje się niepodobném, aby jeden człowiek podołał jéj zupełnie. Chociaż bowiem napisano dotąd już nie jedną całkowitą historyę sztuk pięknych, mamy jednak mocne przekonanie, że prawdziwy znawca sztuk pięknych strawi duchowo tylko jedną szkołę lub kilka pokrewnych sobie szkół jednego narodu, inne szkoły będą mu nalu-

./.

ralnie znane, ale więcej pośrednio nie wniknie on zupełnie do ich duszy. To samo dzieje się w literaturze: krytyk estetyczny pokocha tylko jednego autora, a co najwięcej jedną szkołę literacką i przejmie się nią do tego stopnia, że ona stanie się niejako jego drugiém jestestwem; wtedy też, ale tylko wtedy, zrozumie on ją prawdziwie i oceni należycie. P. Rio jest w tém szczęśliwém położeniu: długi pobyt we Włoszech i liczne wycieczki po sławnych europejskich muzeach usposobiły go do przejęcia się swoim przedmiotem. Oprócz tego posiadł on wszystko, co jest potrzebném dla krytyka i historyka, zna wszystko co pisano o sztuce włoskiéj w dawnych i w naszych czasach, a wydobył wiele nowych świadectw, które drzémały dotąd zapomniane w archiwach bibliotecznych. Nie zaniechał więc niczego w sumienném przygotowaniu się do pracy, a praca ta musiała się udać, gdyż znane były powszechnie znakomite zdolności autora, jego głębokie i delikatne uczucie piękna. Czytelnik przecież wyniesie więcej z dzieła p. Rio, niż samą korzyść estetyczną; dzieło daje daleko więcej, niż tytuł przyrzeka: poznać zeń można dokładnie cały stan społeczny Włoch aż do wieku Rafaela. Odsłania się tam wielobarwna rozmaitość rzeczy pospolitych, małych i wielkich; widzimy wszystkie po kolei, jak żyją i jak się rozwijają, jak każda z nich stawa się ogniskiem sztuk i oświaty. Genialni papieże i dumne feudalne pany, ciągną przed wzrokiem naszym długim szeregiem, a każdy z nich małém słońcem, w którego promieniach grzeją się artyści i poeci. Nareszcie każdy z wielkich mistrzów włoskiéj sztuki stawa przed nami takim, jakim był niegdyś w przeszłości, poznajemy nietylko zewnętrzne przypadki życia jego, lecz cała niezgłębiona ich dusza roztwiera się przed nami i możemy dostrzedz najmniejsze drżenie jego geniusza, jak się wyrywa na zewnątrz, aby przelać się na płótno lub zesztywnieć w marmurze. Poprzestajemy na tych kilku uwagach, bo chociażbyśmy rozpisali się jeszcze przez stronnic kilka, nie zdołalibyśmy streścić czterech grubych tomów, których jędrną i ognistą dykcyą słusznie podziwiają wszyscy. Prosimy też czytelnika, aby nie uważał tych kilku słów naszych za krytyczny rozbiór, o który pokusić się nie mieliśmy najmniejszéj pretensyi, lecz raczéj za do-

./.

niesienie o ukazaniu się wielkiego dzieła.

-//-

Philosophie de l'art en Italie, par H. Taine. Paris 1867. Germer Baillière. 12o. Str. 184. Autor zapatruje się na świat zupełnie przeciwnie, niż wymieniony poprzednio X. Rio jest idealistą i chrześcianinem, p. Taine materyalistą i ateuszem. Mimo to należy on do małej liczby pisarzy, których trzeba czytać koniecznie, jeżeli czytelnik nie chce zostawić próżni w swojem estetycznem wykształceniu. Ograniczymy się tutaj na krótkiem, treściwem doniesieniu, ponieważ mamy zamiar ogłosić w krótce obszerny rozbiór i krytykę prac p. Taine. Wiadomo, że teraźniejszy professor w paryzkiej szkole sztuk pięknych, jest nie tylko znawcą posągów i obrazów, lecz także bardzo uczonym człowiekiem. W młodości dał się poznać z gruntownych studyów nad Tytusem Liviuszem, uwieńczonych przez Akademię francuzką, później zdobył sobie szeroką sławę przez swoją „historyą angielskiej literatury", będącą nie tylko najlepszą tego rodzaju książką w języku francuzkim, lecz zasługującą na baczną uwagę nawet samych Anglików. Otóż mąż ten uczony, znający dokładnie i klassyczną starożytność i pierwszorzędne nowożytne literatury, przystąpił do krytyki arcydzieł sztuki z ogromnym zapasem historycznych wiadomości. Dzięki temu, widzi on dzieła sztuki w innem zupełnie świetle, niż wielu niemieckich mianowicie estetyków: utwór pędzla nie jest dla niego odosobnionem zjawiskiem, lecz wiernem odbiciem społeczeństwa, wśród którego powstał. Za pomocą starych kronik i prapół zapomnianych legend, wywołuje autor ludzi owego czasu, a przeniósłszy tym sposobem obraz lub posąg z muzeum do dawno minionego wieku, sądzi autor o obrazie podług społeczeństwa, a o społeczeństwie podług jego utworów piękna. Takato główna cecha krytyki p. Taine i trudno zaprzeczyć, żeby nie miała doprowadzić do świetnych rezultatów, byleby ujęto ją w pewne zasady i byleby traktowana była umiarkowanie i oględnie. Jednakże najlepsza nawet metoda wyda zgubne owoce, gdy ją posuniemy do osta-

/.

teczności. Ale nie krytykujemy tutaj metody Tainowskiej, donosimy tylko o najnowszej pracy autora. Metodę swoją zastosował on w wielkich rozmiarach do sztuki włoskiej, ogłaszając sławne w niej listy w Revue des deux mondes, które wyszły potém osobno w dwóch tomach pod tytułem: (Voyage en Italie. Główne zaś zasady tej metody swojej wyłożył autor w dziełku: Philosophie de l'art. Paris 1865., małém co do objętości, ale znakomitém co do formy i wykończenia. Dalszym jego ciągiem jest praca, której tytuł położyliśmy na czele tej wzmianki, albowiem „filozofia sztuki" wykłada teoryę, a „filozofia sztuki włoskiej" zawiera jéj zastosowanie i praktyczne urzeczywistnienie wszystkich hipotez. Rozpada się ta praca na 6 rozdziałów, z których każdy obfituje w trafne spostrzeżenia i liczne estetyczno-historyczne uwagi. Pierwszy rozdział wytyka granice chronologiczne, wśród których mieści się klassyczna sztuka włoska, oraz w czém ona się różni od dawniejszych szkół malarskich i od następnych np. od flamandzkiej i nowożytnych. Drugi rozdział wyjaśnia stosunki społeczne i polityczne, wśród których zakwitła sztuka włoska, a trzeci odpowiada na ciekawe pytanie, czemu wtedy właśnie powstała, a nie prędzej lub później. Czwarty rozdział porównywa życie włoskie w XV stuleciu z naszém życiem i naszemi zwyczajami; piąty wykazuje: jak ówczesne stosunki wpływały na sposób myślenia artystów, na ich wyobrażenia i utwory. Szósty nareszcie otwiera przed nami pracownię owych artystów i zawiera dowody za hypotezę autora: że każdy artysta jest niewolnikiem swego otoczenia, a każdy utwór piękna wyrobem społecznych stosunków, wśród których powstał. Zaiste olbrzymie kwestye poruszane w małém dziełku; czy autor zdołał je rozwiązać, na to odpowiemy w osobnej rozprawie.

– II –

Le Progrès par le christianisme, conférences de Notre-Dame de Paris par le R. P. Félix 8vo. Str. 348. Paris 1867. Adrien le Clere. Otóż jeszcze jedna książka, zajmująca się pięknem i estetyką, a napisana znowu /z

7.

innego punktu widzenia, niż dwie poprzednie. Albowiem jéj autor jest owym sławnym O. Feliksem, z Towarzystwa Jezusowego, którego wymowne słowa ściągają od lat 17 wybór paryzkiego towarzystwa pod wspaniałe sklepienia Katedry Notre-Dame. Co rok urządza gorliwy kapłan szereg Konferencyi, poświęconych ciekawemu, ogół obchodzącemu przedmiotowi; konferencye te następnie ogłoszone drukiem, stanowią zbiór pod głównym tytułem: „Le Progrès par le christianisme". Treść jednak każdego tomu inna, obecny wyszedł w przeszłym roku i zawiera konferencye, miane tegoż roku o sztuce i o wpływie na nię chrześciaństwa. Zaprawdę przedmiot nadto zbyt świecki, aby mógł być wygłaszanym z ambony, przecież O. Feliks dowiódł wymownie, że sztuki piękne tylko do połowy tkwią w doczesności a lepsza ich połowa, niejako najwyższe konary sięgają w niebo i w nieskończoność. Dlatego téż cieszymy się, że kapłan zajął się tym przedmiotem. W naszych czasach, gdzie wszystko, nawet utwory piękna, kostnieją pod tchnieniem materyalizmu, gdzie racyonalizm i widmo bezczelnéj negacyi, zatruwające od kilku wieków spokój duchowy Europy, zapuszczają coraz głębiéj jadowite swoje szpony, należy się cześć nie mała znakomitym francuzkim kapłanom, którzy stanęli w obronie nauk i postępu, naprzeciw apostołom kłamstwa i bezbożności. Kiedy z nich, należy oddawna za filozofię, zagrożoną przez racyonalizm, teraz estetyka także uciekła pod ich skrzydła, a O. Feliks dowiódł, że nie nadaremnie szukała pociechy u źródła prawdy. Poświęcił jéj sześć wspaniałych kazań: w pierwszém oznacza istotę i przedmiot sztuk pięknych, w drugiém mówi o ich celu i o powołaniu artysty; w trzeciém wykazuje stosunek, w jakim zostaje człowiek do artysty, a w czwartém przyczyny duchowego upadku artystów. Piąte kazanie rozbiera wpływ realizmu a szóste wpływ chrześciaństwa na sztuki piękne. Nie potrzeba dodawać, że sławny kaznodzieja wywiązał się świetnie z obranego zadania, i że czytelnik wyniesie z jego dzieła nowy, wyższy pogląd na cudną krainę piękna.—

Tableau des progrès de la pensée humaine depuis Thalès jusqu'à Hegel, par Nourrisson; 3me édition. 8vo. str. VII i 604. Paris 1867. Didier. Dzieło p. Nourrisson'a cieszy się powszechną

sympatyę publiczności, czego dowód najlepszy, iż okazała się po-
trzeba 3go wydania. Różni się ono też głównie od dwóch dawniej-
szych, że podczas gdy tamte skończyły się na Leibnitz'u, trzecia edycya
została doprowadzoną aż do Hegla. Tym sposobem mają czytel-
nicy obraz zupełny i treściwy, choć krótki, całej historyi filozofii,
w ramach biograficznych. Sama zaś książka zasługuje pod
każdym względem na baczną uwagę, gdyż sąd autora zawsze
bezstronny, styl jego lekki i jasny, wykład systemów wierny i
wyczerpujący. Ma ona zaś niezaprzeczoną wyższość nad wie-
lu niemieckiemi historyami filozofii. Te bowiem rozpra-
wiają tyle o „wielkim" Heglu, o „nieśmiertelnym" Fich-
cie, o „bystrym" Herbarcie, o „głębokim" Szleiermacherze
i Böhmie, o jakich jeszcze geniuszach, jacy widać rodzą się
w Niemczech co rok tuzinami, podczas gdy inne narody za-
pewne upośledzone od Opatrzności, liczą tylko małą liczbę
prawdziwych myślicieli na długi szereg wieków lat, że mło-
dy czytelnik obsurzony pochwałami i kadzidłami, wzno-
szącemi się na cześć chmurnych mędrców, zmarnowawszy
najlepsze lata swoje nad ich niesmacznemi dziełami, chy-
ba w starości, gdy już umysł jego zesztywniał, dowie się, że
był jakiś Bossuet, Fénelon, Pascal, jakiś Augustyn św.,
lub Tomasz z Akwinu; ale wtedy już za późno. umysł w
młodości wykrzywiony nie zdoła już gustować w wielkich,
pogodnych myślach tych prawdziwie nieśmiertelnych geniu-
szów. P. Nourrisson zaradził temu złemu, poświęciwszy zna-
komitym chrześciańskim myślicielom obszerne rozdziały.
Może skłonią one nie jednego czytelnika do tego, że mimo prze-
sądów, wpajanych w niego od młodości, zabierze się do prze-
czytania ich wiekopomnych utworów, a wtedy przekona
się niewątpliwie, że nie to dobre, co chwalą zwyczajni skry-
benci i sofiści o wysuszonych mózgach, że blade, z trudnością
wylęgłe, zagmatwane pomysły gabinetowych uczonych, ślę-
czących nad książkami a kuszących się o odtworzenie
dzieła Najwyższego w zapleśniałych umysłach swoich,
niczem nie są w porównaniu do natchnionych, po-
godnych a jasnych słów wielkich Ojców Kościoła i znako-
mitych francuzkich kapłanów XVII wieku, których
od kolebki już otaczał Odwieczny hojnie światłem

./.

w badaniu prawdy.

-II-

Les écoles épiscopales et monastiques de l'Occident depuis Charlemagne jusqu'à Philippe Auguste (768-1180) étude historique par Léon Maître. 8vo str. VIII i. 313. Paris 1866. Dumoulin. — Niemieliśmy dotąd żadnej monografii o szkolnem wychowaniu francuzkiem od IX do XIII stulecia. Prawda, że źródła, mogące posłużyć do monografii takiej, znane były od dawna, gdyż mieszczą się w zbiorach historycznych Mabillon'a, w Benedyktynów historyi literackiej Francyi, i licznych jużto francuzkich jużto niemieckich historykach i kronikarzach. Ze wszystkich tych źródeł i wskazówek skorzystał autor, zestawiwszy je z wielką przezornością i wyprowadziwszy z nich wnioski oględne i trafne; tym sposobem ułożył obraz zajmujący, całkowity i wykończony, biskupich i klasztornych szkół we Francyi od czasów przebudzenia się życia duchowego za Karola W. aż do panowania Filipa Augusta, kiedy powstają pierwsze prawdziwe uniwersytety. Poznajemy wiek po wieku, wszystkie główne ogniska oświaty w pojedyńczych dyecezyach duchownych kraju, poznajemy stan nauczycieli i uczniów; dowiadujemy się, jakie w szkołach tych wykładano nauki, jakich używano w nich podręczników, nareszcie jaką była edukacya wielkich panów i kobiet. Na końcu dzieła umieścił autor ciekawe wyjątki z katalogów najsławniejszych bibliotek klasztornych.-

-II-

Voltaire au Collège. Lettres et Documents inédits par Henri Beaune. 8vo. str CLXXXVII i 143 Paris 1867. Amyot. - Książka ta pomnożyła nieprzeliczoną literaturę, tyczącą się Voltaira. Pierwsza część jej oznaczona rzymskiemi literami, rozpada się na 7. rozdziałów których treść mniej więcej taka: urodzenie się poety, familia jego, młodość, pobyt u jezuitów w kollegium Louis le Grand, jego pierwsi przyjaciele, pierwsze wiersze i pierwsze wystąpienie w salonach. Część ta napisana blado i mierno, choć zawiera różne ciekawe szczegóły i rozwiązanie nie jednej za-

/.

miłości; druga część zawiera 78 listów „niewydanych", a niektóre z nich rzucają nowe światło na młodość poety. Większa jednak ich część była już znaną poprzednio, tylko pod fałszywemi często adresami, często datami.–

„

## Vies des savants illustres de la Renaissanse par Louis Figuier. 8vo. str. IV i 472. Paris 1868. Hachette.–

Niezmordowany i z wielką łatwością piszący, autor licznych dzieł popularnych i wydawca rocznych sprawozdań z postępu nauk przyrodniczych pod tytułem: L'année scientifique, p. Figuier uprawia od niejakiegoś czasu z widocznem upodobaniem historyą nauk, ażeby dawne ich zdobycze uczynić również przystępnemi dla większego ogółu jak teraźniejsze. Z zadania swego wywiązał się bardzo szczęśliwie, dzięki popularnej formie i metodzie. Napisać bowiem oderwaną historyą matematyki, astronomii, chemii, będzie zadaniem trudnem i nużącem; ale gdy zamiast historyi tych nauk opowiemy żywoty wielkich matematyków, astronomów, chemików i t. d. wtedy suche formułki i abstrakcyjne teorye staną się dotykalnemi, żywemi, uosobiwszy się w szeregu znakomitych ludzi, a historya człowieka będzie zawsze bardzo zajmującym przedmiotem. P. Figuier obrawszy sobie tę drogę, postępuje nią śmiało i szczęśliwie: obraz nauk w starożytności dał nam w dziele: (Vies des savants illustres de l'antiquité. Paris 1866 a w następnym roku dołączył jako ciąg dalszy pogląd na stan nauk w średnich wiekach pod tytułem: (Vies des savants illustres du moyen âge. Paris 1867. Publiczność przyjęła dwie te publikacye nader życzliwie i zapewne uczyni to samo z nową pracą, której tytuł podaliśmy powyżej, a która jest dalszym ciągiem dwóch dzieł wymienionych. Obejmuje ona czasy odrodzenia się nauk i daje nam żywoty mędrców, co wsławili się za tych czasów i którym zawdzięczamy teraźniejsze nasze olbrzymie postępy: mędrców tych trzynastu, a niektórzy z nich znani w szerokich kołach, jak Vasco de Gama, Magellan, Ramus, Vesal, Tycho de Brahe i t. d. Każdéj biografii towarzyszy portret mędrca, a wstęp ogólny poprzedzający 13 biografij daje

/.

nam dokładny, treściwy pogląd na stan oświaty w XVI stuleciu. Szczególniéj przyjemnie zajął nas autor poświęciwszy naszemu Kopernikowi bardzo obszerny rozdział, w którym i życie jego i zasługi około astronomii opowiada dokładnie. Mówi o nim z widoczną sympatyą i zawsze podług źródeł polskich, gdyż z wyjątkiem pracy sławnego Gassendi'ego, który w XVI wieku napisał pierwszy gruntowną vitam Copernici, opiera się autor głównie na rozprawie Jana Śniadeckiego: „Discours sur Nicolas Copernic" ogłoszonej po polsku i po francusku w Warszawie w r. 1803 a po raz drugi w r. 1818. Biografią Kopernika przyozdobiono w trzy starannie wykończone ryciny: pierwsza pokazuje nam młodzieńca z fizyonomią prawdziwie słowiańską, otoczonego globusem i astronomicznemi narzędziami, a przed nim rozwarta nieśmiertelna księga De revolutionibus orbium coelestium libri VI. Na drugiéj widzimy młodzieńca, w studenckim płaszczyku, jak w Rzymie wśród ruin przypatruje się z wytężoną uwagą przez ustawiony teleskop zaćmieniu (słońca) księżyca; przed nim stoi na wielkim głazie latarnia oświetlająca bladawo mappę rozłożoną i kilka astronomicznych przyborów. Nareszcie trzecia rycina wyobraża starca na śmiertelném łożu, na pół siedzącego: dokoła smutne twarze przyjaciół i uczniów, a brodaty jakiś uczony w długiéj sutannie podaje umierającemu mędrcowi pierwszy egzemplarz co dopiero wydanej książki. Starzec chciałby wychudłą ręką przewrócić okładkę, ale ręka słabieje, wzrok gaśnie, na wychudłych rysach jakieś bolesne zadowolnienie, jakby chciał powiedzieć: jeszcze kilka minut, a byłoby może za późno. (W życiorysie umieścił p. Figuier następującą anegdotkę, wyczytaną w dziełach sławnego astronoma Arago. Gdy w roku 1807 bawił Napoleon w Toruniu, odwiedził dom, w którym się urodził sławny nasz ziomek. Szczupłe mieszkanie składało się z dwóch pięterek, a choć tam mieszkał pracowity tkacz z liczną rodziną, pozostało wszystko po staremu. Nad łóżkiem, którego czarne wełniane zasłony pamiętały Kopernika, wisiał portret astronoma; jego stół, biórko, kilka stołków i inne meble pozostały nietkniętemi. Cesarz chciał koniecznie nabyć portret, aby zawiesić go w Luwrze, jednakże rzemieślnik nie chciał go się pozbyć żadnym sposobem, twierdząc

/.

że on jest rodzajem talizmanu, przynoszącego szczęście jemu i rodzi-
nie. Cesarz uszanował tę świętą, niewinną wiarę i z widocznem wzru-
szeniem pożegnał Dom, w którym gościł niegdyś jeden z największych
geniuszów.

-II-

Découverte de l'Albert N'Yanza, nouvelles explorations des sources du Nil par Sir Samuel White Baker, ouvrage traduit de l'anglais par Gustave Masson. 8vo Paris 1868. Hachette. (Wydanie to, ozdobione licznemi drzeworytami i 2 mappami, jest nadzwyczaj ozdobném i staranném, jak wszystko co wychodzi nakładem p. Hachette a z pod prassy sławnego drukarza Lahure. Od wieków szukano źródeł Nilu, ale nadaremnie; już w starożytności kuszono się o rozwiązanie geograficznej zagadki, ale bezskutecznie. Cesarz Neron np. wysłał w tym celu osobną wyprawę, ale żelazna odwaga rzymskich centuryonów rozbiła się o niezwyciężone przeszkody dzikich krajów i dzikszych jeszcze mieszkańców. Odtąd mówiono: caput Nili quaerere, aby oznaczyć rzecz niepodobną do urzeczywistnienia. W nowszych czasach przecież podjęto problem na nowo; i Anglicy trzy razy do niego przystąpiwszy za każdym razem rzucili nań więcej światła. Wiadomo, że prawdziwy Nil powstaje przez połączenie się dwóch wielkich rzek pod miastem Chartum w Nubii: jedna płynie od wschodnio-południowej strony i zowie się Nilem niebieskim a druga, płynąca od zachodnio-południowej strony, nazywa się Nilem białym. (W drugiej połowie przeszłego wieku dotarł Anglik Bruce do źródeł niebieskiego Nilu a krótka relacya jego podróży ukazała się w r. 1773, później w tłumaczeniu francuzkim w r. 1790. Ale biały Nil pozostał i nadal nieznanym. Dopiero w r. 1861 wysłał rząd angielski uczoną wyprawę, aby go wybadać, pod dowództwem kapitanów Speke i Grant. Ci zamiast odbyć długą niewygodną, a właściwie niepotrzebną podróż przez Egipt i Nubię w górę rzeki, postąpili sobie wręcz przeciwnie. Wyladowawszy na wschodniem wybrzeżu Afryki nad oceanem Indyjskim, przedarli się z tamtąd lądem w głąb nieznanego kontynentu, a odkrywszy tam olbrzymie jezioro, z którego wypływa podzina rzeka na północ, puścili się nią, i jużto wodą jużto lądem towarzysząc jej bezustannie,

./.

dopłynęli aż do Gondokoro, gdzie przekonali się, że odbyli podróż wzdłuż białego Nilu. Z Gondokoro udali się do Chartum, a z tamtąd do Egiptu, odbywając tym sposobem drogę zupełnie przeciwną, niż Bruce i inni podróżni; owoce zaś tej wyprawy były prawdziwie wielkie, albowiem przekonali się, że biały Nil wypływa z olbrzymiego jeziora. Można przeciw temu twierdzeniu nie jedno powiedzieć: może jezioro to, (Wiktorya N'Janza, jest dla Nilu tem, czém jezioro badeńskie dla Renu; rzeka może przez nie przepływa, ale nie bierze z niéj początku swego. Ale mniejsza o to.– W tym samym roku 1861, w którym kapitanowie Speke i Grand udali się w głąb Afryki, postanowił p. Baker własnym kosztem odbyć podobną wyprawę, ale przez Egipt w górę rzeki, aby spotkać się, jeżeli można, z kapitanami. W podróży towarzyszyła mu młodziutka żona, która mu śród niebezpieczeństw była bodźcem, wśród cierpień i nieszczęść pociechą; totéż w słusznem woła autor uniesieniu: „O kobieto, w chwilach szczęścia jesteś niepewną, kapryśną, wymagającą i zmienną, jak cień drżącego liścia, ale gdy na czole naszém zamieszka kłopot i cierpienie, wtedy zamieniasz się w anioła – pocieszyciela." W lutym r. 1862 przyjechał Baker do Gondokoro, któreto miasto leży już na południe od Nubii, głęboko w kraju Murzynów; tam spotkał się z wyprawą ową wracającą od Jeziora Wiktorya N'Janza i uścisnął przyjaciela swego Speke, którego nie widział był od lat 10-ciu. Pytanie, co miał począć dalej? Speke i Grand wracali do Europy, odkrywszy wypływ białego Nilu u jeziora, wycieczka więc Baker'a stała się właściwie zbyteczną. Jednakże kapitanowie mieli różne skrupuły co do swego odkrycia. Od jeziora Wiktorya N'Janza towarzyszyli bezustannie rzece, póki mogli, ale czasem trzeba było znacznie od niéj się oddalać, dla dzikich brzegów; droga zaś wodą była również niemożliwą dla gęstych wodospadów. Ponieważ zaś rzeka w Gondokoro daleko większa niż przy wypływie z jeziora, przeto domyślali się, że musiała się na prawym brzegu gdzieś połączyć z znaczną inną rzeką, której jadąc po lewym brzegu, a często bardzo od niego oddaleni, nie spostrzegli. Prosili więc p. Baker'a aby zamiast jechać w ich ślady, ku południowi, trzymał się więcej w podróży na zachód, ażeby odkryć mniemany ów przypływ. P. Baker usłuchał ich rady i pożegnawszy ich wracających do Europy, odbył dalej

/.

swoją podróż, która uwieńczona została pomyślnym rezultatem, albowiem odkrył drugie, olbrzymie jezioro, które przezwał Albert N'Janza. Jezioro to zasila silną rzeką biały Nil, wypływający z Wiktorya N'Janza, tym sposobem wiemy, że biały Nil powstaje przez odpływy dwóch potężnych jezior. Osiągłszy cel ten wrócił p. Baker tą samą drogą do Egiptu. Książka jego jest w części dziennikiem odbytej podróży i zawiera obfite nowe szczegóły o tamtejszych mieszkańcach, krajach, o ich faunie i florze; sposób zaś opowiadania tak żywy i pociągający, że czytelnik, odważywszy się na otworzenie grubego tomu, zapewne nie wypuści go z rąk prędzej, aż go nie dokończy zupełnie.

p.–

La philosophie contemporaine en Italie, par Raphael Mariano. Paris. 1868. 18. str. 162. Księgarnia Germer Baillière rozpoczęła lat temu kilka wydawnictwo popularnych dzieł filozoficznych pod tytułem „Bibliothèque de philosophie contemporaine", która już dzisiaj obejmuje liczny szereg prac; jedne z nich, mimo niewielkiej objętości swojej, są prawdziwemi arcydziełami z treści i z wykończenia; inne znowu, jak to zwykle się dzieje w takich razach, nie wznoszą się nad zwyczajną mierność lub też wykonane z jednostronnych punktów widzenia, mają dążność niebezpieczną, co nas tém więcéj zasmuca, że za granicą popularne prace filozoficzne rozchodzą się w bardzo szerokich kołach. Do tych stronniczych i niebezpiecznych zaliczamy dziełko p. Mariano o współczesnéj włoskiéj filozofii. Autor na szczęście jest bardzo otwartym i sprzedaje towar swój pod nazwą właściwą a nie pod skłamanym napisem; podając czytelnikom truciznę, nazywa ją po imieniu, a nie mówi, że daje co innego.- Pierwsza zaraz kartka wyjaśnia dążność dzieła, zawiera szumną dedykacyę dla Karola Rosenkranz, znanego profesora filozofii w Królewcu, gorącego wielbiciela i biografa Hegla. Sam autor jest także wielbicielem Hegla i wyznaje z wielką szczerością, że sądzi o wszelkich tendencyach i rezultatach filozoficznych wyłącznie ze stanowiska mistrza swego. Nauka bowiem Hegla jest dla niego najwyższém stopniem samowiedzy, do jakiéj doszedł duch ludzki; zadanie więc przyszłych włoskich filozofów będzie bardzo prostém, choć wcale nie łatwem: powinni zrozumieć myśl heglowską i przyswoić ją sobie, a jeśli się uda, więcéj wyłożyć i rozszerzyć. Na tej tylko drodze, narodowa myśl włoska przestanie być odosobnioną i wciśnie się jako nowe, młode ogniwo w dziejowy rozwój ludzkiego ducha. Takie położywszy zasady, sądzi podług nich p. Mariano o dotychczasowych pracach włoskich w dziedzinie filozofii. Zna tylko jednego prawdziwego włoskiego filozofa, Jordana Bruno, w XVI wieku; gdy go spalono publicznie, przestały Włochy istnieć nie tylko filozoficznie lecz nawet politycznie. Zaprawdę, dawno już nie czytaliśmy również wielkiego logicznego bluźnierstwa. Autor bowiem sądzi, że Jordano Bruno zjawił się w czasie, gdy nareszcie duch ludzki przełamał dawną swoją ciasną formę a po-

/.

ruszając się swobodnie, zaczął pojmować i własną istotę swoją i ta-
jemnice świata. Rozumie się, że dla p. Mariano owém prze-
łamaniem dawnéj formy jest reformacya a system Hegla o-
statnim, najwyższym rezultatem owego pojmowania siebie.
Rzeczywistość jednak wygląda zupełnie inaczéj, a p. Mariano
znając ją również dobrze, jak my, jeżeli nie lepiéj, kłamie u-
myślnie, aby czytelników wprowadzić w obłęd i odurzyć. Albo-
wiem Jordano Bruno, którego spalono w 1600 w Rzymie, nie
był żadnym zwiastunem nowéj ery ani zapowiedzią nowéj ju-
trzenki. Jutrzenka świeciła już światu szesnaście wieków, od-
kąd zajaśniała nad Betleemem, a jeżeli, dzięki dobrotliwéj O-
patrzności, światło jéj wzmogło się w XV i XVI. wieku, to w sku-
tek odrodzenia się dawnéj helenskiéj oświaty. Ale odrodzenie to, do-
konane przez światłych kardynałów i dbających o wzrost nau-
ki mnichów, nie było wcale jakiemś „przełamaniem" dawnéj chrze-
ściańskiéj formy, dorzuciło tylko kilka nowych kwiatów,
dotąd zapomnianych, do wiecznie zielonego wieńca, zdobiącego
skroń Chrystusowego kościoła. Oświata helenska, odrodzona
przez chrześciaństwo, jest owym faktem wielkim, który wypeł-
nia wiek XV i XVI, ale sława faktu i owoce jego są wyłącz-
nie zasługą chrześciaństwa. Jednakże, gdzie sieją pszenicę, tam
i kąkol wyrasta, a kąkolem takim był Jordano Bruno. Ubo-
lewamy mocno nad tém, że go spalono, bo uczyniono mu przez
to wielką sławę; odtąd ateusze i demagodzy nazywają go mę-
czennikiem „prawdy", miotając słowo przekleństwa na tych,
co go stracili. Pamiętajmy jednak, że w tym samym czasie pa-
lił Kalwin tych, co nie podzielali jego przekonań; zapomnijmy
więc raz przecie o tych czasach gorączkowych, namiętnych i są-
dźmy o wszystkiem bezstronnie.

Przywracamy więc prawdę, którą sfałszował
p. Mariano: nie spalono Jordana Bruno za to, że był pante-
istą, jak młodszy brat jego Hegel. Panteiści wyrastali potém,
jak grzyby po deszczu, a dawano im zawsze pokój: tylko nieroz-
sądni spierali się z nimi, rozsądni ludzie przypatrywali im
się z litością, jak na wszystkich obłąkanych. A jednak później-
si ci byli najczęściéj ludźmi pełnymi godności i spokoju du-
szy, zacnego charakteru i prawych obyczajów, co wszystko nie do-
staje Jordanowi Bruno; pisma jego przepełnione są bruda-

./.

mi: po rzadko rozrzuconych myślach wzniosłych następują gęste wybuchy płaskich namiętności; pisarz ten nie szanuje nic, co święte i prawdziwe, a kocha się we wszystkiem, co rozwiozłe i podłe. Otóż tego właśnie pisarza przechrzcił p. Mariano na proroka nowej ery, która teraz nareszcie rozpoczyna się dla włoskiej myśli; od niego bowiem aż do naszych dni panowały we Włoszech ciemnota i scholastyka. Za nic autorowi tyle sławnych imion, tylu znakomitych myślicieli, którymi się chlubi ojczyzna jego od wieku XVI, autor nie wspomniał o nich nawet, rzuciwszy krótki frazes, że od śmierci Jordana Bruno pozostały Włochy za szrankami dziejowego ruchu filozofii. Wszakże łatwiej było przemilczeć o dawniejszych, których dzisiaj mało kto pamięta a rzadziej jeszcze kto czyta, niż o współczesnych myślicielach, którzy mieli pretensye pewne do filozofii i zostawili licznych, żyjących jeszcze uczniów. Uczniowie ci byliby powstali przeciw takiemu ignorowaniu ich mistrzów. Zważywszy tę okoliczność autor wprowadza ich wszystkich na scenę, a jest ich czterech: Galluppi, Rosmini, Gioberti i Franchi, poświęcając każdemu z nich po rozdziale. Cztery te rozdziały stanowią główną treść dziełka. Wyłożywszy ich nauki i oceniwszy ich wartość, dochodzi autor do pewnych wniosków, które umieścił w szóstym (ostatnim) rozdziale: wnioski te są naturalnie w zupełnej zgodzie z zasadami, które poznaliśmy już dostatecznie. Autor sądzi, że systemy czterech wspomnianych myślicieli, uważane przez Włochów za najpiękniejsze owoce narodowej filozofii, nie mają najmniejszej dziejowej wartości, jako zrodzone za granicami historyi filozofii, a poczęte bez jej współudziału. Może nie zrozumie czytelnik tego dziwnego frazesu, wtajemniczę go więc w jego istotne znaczenie: dla autora jest Hegel uosobieniem dziejów filozofii i zarazem i zarazem ostatnią ich syntezą; ile razy więc budowniczy nowego systemu nie zna Hegla lub nie obiera go za kamień węgielny, tyle razy nowy system pozostanie za obrębem historyi, zupełnie jak dom, wystawiony na przedmieściu, stoi za murami miasta. Prócz heglianizmu nie ma prawdziwej filozofii; jeżeli więc filozofia ma zakwitnąć we Włoszech, trzeba wprowadzić naukę Hegla i uczynić ją przystępną dla wszystkich. Na tej drodze uczyniono już ważne przygotowania, toteż wylicza autor z dumą i radością wszystkich, którzy pracują nad Heglem, wszy-

./.

stkich, którzy go tłumaczą, objaśniają lub przynajmniej otwar-cie się nazywają uczniami jego. Nic też celu odbywa autor prze-gląd ten ścisły: pragnie przekonać wszystkich, jakie już nowa e-wangelia uczyniła postępy a zarazem obliczyć dzień, który przy-świeci zupełnemu jéj zwycięztwu. Najgorliwszym i najzdatniej-szym z włoskich hegelistów jest p. Vera, liczne prace jego nad Heglem i przekłady pism tego filozofa w języku francuzkim, wło-skim, angielskim nawet, są powszechnie znane; toteż autor nazywa go „apostołem ludów", który dla Hegla uczynił to samo, co Paweł św. dla Chrystusa: „Hegel bowiem jest Chrystusem myśli". Hegel i Vera, oto dwa zwiastuny nowéj ery dla wło-skiego kraju, oni to wyprą „katolicką i papiezką" filozofię, która dotąd panowała we Włoszech, mianowicie w dziełach czterech wymienionych poprzednio mędrców. Podobnych bredni pełno w całéj książce; wspomnieliśmy raz o niéj dlatego, aby pokazać na jawie, jak duchowa zaraza ogarnia coraz wię-céj tak zwaną „liberalną" włoską intelligencyą. Śmieszni to ludzie: wydobyli starą, podartą, zakurzoną pajęczynę ber-lińskiego filozofa, w mniemaniu że to sieć potężna; życzy-myim szczęścia, chociaż wątpimy, aby złapali choć po-rządną muchę.

・II・

La Contre-Guérilla française au Mexique. Souvenirs des terres chaudes par le Comte E. de Kératry. Paris 1868. Librairie internationale. 8. str. 322. Mexyk, jak wiadomo powszechnie, nie stanowi jednolitéj geograficznéj całości, lecz rozpada się na trzy pas-ma krajów w niczem do siebie nie podobnych: pierwsze pa-smo obejmuje tak zwane „kraje gorące" (tierras calientes) sięgające od mexykańskiéj zatoki mniéj więcéj 20 mil wgłąb stałego lądu: nie podnoszące się prawie nad poziom morza, wystawione bezustannie na skwary południowego słońca, zjednały one sobie smutną sławę z zabójczych miazmów, unoszących się nad bagnami i z bujnéj roślinności nieprzeby-tych, dziewiczych lasów. Żółta febra panuje tam bezustan-

./.

nie. Zatem pasmem wznosi się drugi, wyższy, z klimatem umiar-
kowanym, gdzie płody południowej Europy rosną obok flory zwrotni-
kowej. (Z tych „krajów umiarkowanych" (tierras templadas) do-
staje się nareszcie podróżny na obszerne wyżyny z powietrzem zi-
mnem lecz zdrowem, są to tak zwane tierras frias, gdzie leżą wszy-
stkie znaczniejsze miasta: stolica Meksyk, sławna Puebla i t. d."
Gdy w październiku r. 1862 gen. Forey objął dowództwo korpusu
okupacyjnego, przebył on naturalnie czem prędzej „kraj gorący",
gdzie leży Vera-Cruz i udał się w pochód do górnego „zimnego
kraju", aby rozpocząć oblężenie Puebli. Wszakże im więcej po-
suwał się naprzód, tem więcej za nim napełniał się „kraj go-
rący" geryllasami, którzy odcinali mu wszelką komunika-
cyą z magazynami i z flotą w Vera-Cruz. W krytycznem tem
położeniu miał generał pomysł szczęśliwy. Było to 14 lutego r.
1863 w Orizabie, na drodze z Vera-Cruz do Puebli, w głównej
kwaterze. Francuzki minister-rezydent p. de Saligny dał świet-
ny bal tegoż wieczora. Na balu, gdy wszyscy oddani byli wesołej
zabawie, przystąpił Forey nieznacznie do pułkownika Du Pin,
przybyłego kilka dni przedtem z Francyi: „pułkowniku, rzekł
mu, „kraj gorący" za nami napełnił się rozbójnikami, którzy
nam odcinają komunikacyą z morzem; ty nas od nich uwol-
nisz urządziwszy kontrageryllasów, którzy przywrócą porządek
na tyłach armii, podczas gdy sam zajmę się oblężeniem Puebli!"
Pułkownik schylił milcząco głowę, a podczas gdy bal ciągnął da-
lej, gdzie incognito tańczył nie jeden dowódzca meksykańskich „ro-
zbójników", Du Pin układał plan kampanii. (Od lutego r. 1863,
do marca 1865 wykonywał on plan ten z żelazną energią i wy-
kończył go w najmniejszych szczegółach: ubrany w czarny płaszcz,
ogromny kapelusz słomiany i wysokie buty, z rewolwerem w rę-
ku a pałasz przywiązany do siodła, pracował on przez dwa la-
ta nad przywróceniem porządku, a chociaż zadanie jego było
prawie nadludzkiem, doprowadził je szczęśliwie do końca. Dwie
przeważnie prowincye, Vera-Cruz i Tamaulipas, były wysta-
wione na okropną tę walkę, gorszą od regularnej; mordercze
potyczki staczane nieraz przez kilkadziesiąt tylko ludzi, odby-
wały się równocześnie w wielu miejscowościach rozległego nieznа-
nego kraju; pułkownik rozrywał się literalnie, aby być wszędzie
obecnym. Jakiego zaś była rodzaju ta walka, malują dowody,

/.

cznie pierwszy jej epizod, niejako karta wizytowa, przesłana od
ochotników francuzkich, meksykańskim gerylasom. Pułkownik
Du Pin, ukończywszy organizacyę swoich oddziałów, rozłożył się
kwaterą w miasteczku Medellinie, aby rozpocząć kampanię;
wtém przybywa do jego kwatery hiszpańczyk Perez Lorenzo i
wprowadzony do jego namiotu, mówi mu: „czy chcesz mnie po-
mścić? miałem domek i ogród, którego owoce sprzedawałem do Vera-Cr-
uz lub do Medellinu, miałem ukochaną ośmnastoletnią żonę,
którą sześć miesięcy temu zaślubiłem w Hawannie. Wczoraj
gerylasy pod dowództwem Juan'a Pablo przybywszy do mnie, przy-
wiązali mnie do słupa, a zniewaźywszy w oczach moich żonę,
zabili ją. Pojmujesz pułkowniku, że jedynie chęć zemsty nie
dozwoliła mi odebrać sobie życie na miejscu." Hiszpan zo-
stał w namiocie pułkownika aż do północy; gdy wyszedł, stało
już gotowych trzydziestu konnych i tyluż pieszych. Lorenzo, ma-
jąc ręce związane, gdyż mu niedowierzano, prowadził mały
oddział wązką, przykrą ścieżką do odległej wioski, gdzie przeby-
wał chwilowo ostawiony dowódzca gerylasów Juan Pablo.
Noc była okropna, deszcz ulewny; żołnierze kaleczyli sobie twarz
i ręce, przedzierając się przez ciernistą gęstwinę. Nareszcie o trze-
ciej godzinie z rana przybyli do wioski, ale była opuszczoną, tyl-
ko w jednej chacie odkryto dziwny stos wełny i materaców. Kil-
ka pchnięć pałaszem w tę podejrzaną kupę, przekonało nie-
bawem, że tam się ktoś ukrywa, jakoż wydobyto w istocie dwóch
oficerów Juan'a Pablo, którzy mieli udział w zabójstwie nie-
szczęśliwej hiszpanki. Skończyło się na tém, że spalono wio-
skę a dwóch jeńców stracono sądem doraźnym na miejscu.
Wspomniałem już, że mały ten epizod był niejako przedmo-
wą do dwuletniej walki, którą toczyli francuzcy ochotnicy z
gerylasami meksykańskimi w dwóch nadmorskich prowin-
cyach. Odwaga i przezorność pułkownika przyczyniła się gło-
wnie do uspokojenia kraju i do ustalenia tronu cesarskiego,
choć nie na długo. Autor Emil hr. Kératry, opisuje wszys-
tko z naocznego przekonania, gdyż sam dowodził przez czas
niejaki oddziałem ochotników; ztąd też wynika sobie świeżość
i nadobną jasność jego stylu. Treść zaś książki była już
dawniej znaną, gdyż pojedyncze jej rozdziały ukazały się
przed dwoma laty w „Revue de deux mondes." Z pracą tą

/.

tęczy się inna księga autora, która równocześnie wyszła w kilku językach:

II.

L'empereur Maximilien, son élévation et sa chute d'après des documents inédits par le comte Emile de Kératry. Leipzig 1867. Duncker et Humblot 8vo. st. 323.

Książka ta zasługuje na uwagę dla tych samych przyczyn, co poprzednio wspomniana: autor zna dokładnie przedmiot, o którym pisze; odbywszy bowiem całą kampanię meksykańską, jako oficer sztabowy w orszaku marszałka Forey'a, zaznajomił się z krajem i ludem, wśród którego odegrał się wielki, przerażający dramat wzniesienia i upadku habsburgskiego Maksymiliana. Czytelnicy, którzy niezadowoleni tém, co im urywkowo donosiły gazety przez lat kilka, pragną sobie uprzytomnić w całości całty przebieg sprawy, znajdą w dziele p. Kératry bezstronną, a szczegółową historyą francuzkiej zamorskiej interwencyi, główne jéj powody, zamiary i koleje różne od r. 1861 do 1867. Autor doprowadził opowiadanie swoje aż do powrotu marszałka Bazaine i odpłynięcia ostatnich francuzkich żołnierzy z Ameryki; a opiera się ciągle na nieznanych poprzednio dyplomatycznych dokumentach i urzędowych raportach, jakto francuzkich, jakto meksykańskich lub amerykańskich, które przytacza wszystkie in extenso. Za pomocą tych źródeł, nie wszystkim dostępnych, rzuca książka zupełnie nowe, niespodziewane światło na politykę gabinetu Tuileryjskiego, na charakter i czynności marszałka Bazaine i na upadek Maksymiliana. Wspomnimy tylko o głównym wniosku, który autor wydobywa z licznych owych źródeł i który uzasadnia, jasno i dobitnie, w ciągu swoich rozumowań: główna wina katastrofy, która zgubiła młodego potomka Habsburgów, spada na głowę cesarza Napoleona; marszałek zaś Bazaine, tylokrotnie oczerniony przez gazety, jako główny winowajca, jakoby przeszkadzał bezustannie Maksymilianowi, a opuszczając Meksyk, nie zostawił mu żadnych wojennych przyborów, wychodzi zupełnie czystym z wszystkich czynionych mu zarzutów. Ostatnie dni Maksymiliana,

/.

na i proces jego nie zostały dotknięte w tém dziele, gdyż autora wtedy już nie było w Mexyku. Wspomniałem wyżéj, że styl autora ujmującéj świeżości a poglądy jego trafne i słuszne, sąd zawsze otwarty i bezstronny.

·//·

Les odeurs de Paris par Louis Veuillot. 9me édition. Paris 1867. Palmé. 8vo. str. XVIII i. 472. – Mamy pod ręką dziewiąte wydanie sławnéj książki, ale nie ręczymy wcale, że przybyło jeszcze kilka nowych. Dziwny tytuł jest niejako antitezą do tytułu pracy dawniejszéj. Przed laty bowiem kilka temu autor po dłuższym pobycie w Rzymie wrócił do Paryża, napisał pod wpływem doznanych wrażeń znakomite dzieło: le parfum de Rome, które przyczyniło się nie mało do powiększenia i tak już wielkiéj jego sławy. Dla wrażeń paryzkich wymyślił on nazwę inną, przezwał je odorami. „Odory" są rzecz można, processem kryminalnym wytoczonym nadsekwańskiéj stolicy; p. Veuillot z powagą generalnego prokuratora czyta akt oskarżenia, nie pominąwszy najmniejszego grzeszku obżałowanego. Napróżno pragnie wielkie miasto utonąć do połowy w cieniach, aby nie zdradzić ułomności swoich. Daremne to zabiegi, bo nieubłagany Veuillot, nakształt szalonéj bachantki, wywija na wszystkie strony gorejącą pochodnię, któréj blask niemiłosierny rozdziera zasłonę cieniów i ukazuje nam grzesznicę w całéj nagości i brzydkości swojéj. Dzieło obejmuje ośm części, będące różnéj wartości i w różnych stopniach ciekawe. W pierwszych np. dwóch częściach, które autor poświęcił krytycznemu rozbiorowi wielkiéj i małéj prassy codziennéj, jest w właściwym swoim żywiole, gdyż sam będąc od lat wielu wytrawnym publicystą, zna doskonale wszystkie zakulisowe sprawki swoich kolegów. Zato w innych częściach gdzie mówi o teatrach, publicznych zabawach, uczonych wszelkiego rodzaju, poetach i artystach, jest często jednostronnym, żółciowym, widzącym wszystko w ciemnych kolorach, nie zostawiając ani dobréj nitki na teraźniejszém francuzkiém społeczeństwie. Ta chorobliwa, wszystko gderająca żółciowość, szkodzi nadzwyczaj donioslości książki, bo jakkolwiek

./.

zasady autora są najlepsze, zamiary najszlachetniejsze, jednakże gwałtowność stylu i niepowściągliwość języka sprawiają efekt wręcz przeciwny, niż się spodziewał pan Veuillot. Kto chce apostołować za prawdą, powinien mówić łagodnie; łając mu niewolno, jeżeli chce, aby go słuchano z pożytkiem. Prawda, że paryzkie społeczeństwo bardzo jest zepsutém, ale czyż je naprawimy, rzucając mu w twarz szyderstwo lub jadowite obelgi? Autorowi, który chce działać na ludzi swego czasu i na potomność, potrzeba stylu spokojnego jak szwajcarskie jezioro, wyrzeźbionego jak marmur paryjski; przymiotów tych nie posiada p. Veuillot, w ciągłej gorączce oburzenia, rzuca myśl za myślą, nie dbając o formę, toteż bardzo trudno pociągnąć linię dzielącą jego prace od pamfletu.

II.

**Gerbert, étude sur la vie et ses ouvrages,** suivie de la traduction des ses lettres par Edouard de Barthélemy. Paris 1868. Lecoffre. 8vo. Str. XI i 296. — W wieku XI wszczął się we Francyi wielki ruch umysłowy, filozoficzno-teologiczny, który w następnym przybrawszy zadziwiające rozmiary, skrystalizował się potém w cudném i głębokiem zjawisku, w tak zwanej scholastyce. Czytelnicy „Biblioteki" poznali główne rysy ruchu tego w życiu Abelarda. Można zapytać się o istotną przyczynę tak świetnego ruchu, o mężów, którzy go przygotowali. Otóż wiek X, poprzedzający to narodzenie się średniowiecznego ducha, odznacza się zupełną stagnacyą umysłów, wielką ospałością, żeby nie powiedzieć, lenistwem w myśleniu. Na pozór nie ma tam nic, coby się stać mogło ziarnem jakiejś naukowej budowy; ale gdy zatrzymamy wzrok nieco na tej nużącej jednostajności dziesiątego stulecia, wtedy wychyla się z niej wielka postać papieża Sylwestra II, którego słusznie można nazwać ojcem następnych myślicieli. On jeden tylko myśli o rzeczach wyższych, on jeden zamyka w sobie zawód nowego umysłowego życia. Zrazu zwał się Gerbert'em i odbierał jako skromny braciszek pierwsze nauki w klasztorze francuzkim Aurillac, ale później znalazł

opiekunów, którzy go zabrali do Włoch i Hiszpanii; w Barcellonie nauczył się po arabsku, a za pomocą tego języka wydoskonalił się w matematyce i astronomii do tego stopnia, że współcześni uważali go za czarnoksiężnika, nieprzyjaciele obmawiali jakoby djabłu zaprzedał duszę, przyjaciele zaś widzieli w nim mądrość wcieloną. Tak wyróżniwszy się zaszczytnie od współczesnych, założył szkołę w Reims, skupował starożytnych autorów, zakładał biblioteki, a co ważniejsza, wykształcił licznych uczniów, którzy w następnem stuleciu, w szczęśliwszych okolicznościach, wywołali ów silny prąd umysłów, ciągnący się od XI wieku aż do naszych czasów. Sam Gerberg piastowawszy po kolei arcybiskupstwo Remeńskie i Rawenskie, ozdobił nareszcie w r. 999 skroń swoją papiezką tyarą, pod imieniem Sylwestra II. Takiegoto męża, który zarówno zajmował się filozofią, sprawami Kościoła i polityką, obrał p. Barthélemy za przedmiot uczonej monografii, która nawet po biografii, napisanej przez p. Olleris, dziekana literackiego wydziału w Clermont, a umieszczonej przed nowém wydaniem dzieł Gerberta, posiada niemałe zasługi; w niektórych zaś szczegółach jest ona wierniejszą i lepszą. Głównym zarzutem jaki zrobić musimy, styl suchy i blady, oraz horyzont duchowy czasem zbyt ciasny. Najpiękniejszą pozostałością po Gerbercie są listy jego, mające wartość nadzwyczajną, jako wierny obraz ówczesnych stosunków, wielu z Gerbertem zbliżonych osobistości. Autor zasłużył więc sobie na wdzięczność niemałą, dołączywszy przekład tych listów do monografii swojéj: sam przekład, o ile czas nam dozwolił porównać go z pierwotworem, został starannie i wiernie dokonanym.–

# Pismo Św. ilustrowane pr. Gusta: Doré.

Niezmordowany ozdobiciel tylu arcydzieł poezyi, genialny ilustrator Danta, Don Kiszota, Lafontena i t. d. dokonał przed dwoma laty nowego zadziwiającego dzieła: ułożył świetny, zdumiewający szereg rysunków do textu Pisma Ś. W przeszłym roku p. Hallberger, księgarz w Stuttgardzie, porozumiawszy się z wydawcami francuzkiej biblii, użył tych samych kliszów do wydania niemieckiego, łącząc do rycin Doré'go równocześnie przekład Lutra albo tłumaczenie uczonego profesora Allioli'ego, aby tym sposobem wydanie zarówno uczynić przystępnem i dla katolików i protestantów. Z wydawnictwa tego ukazało się dotąd 10 zeszytów, każdy z 4 rycinami; na nich to opieramy sprawozdanie nasze, aby publiczności udzielić choć krótką wiadomość o ważnem przedsięwzięciu. Kompozycye Doré'go są powszechnie znane, i nie wiemy co więcej podziwiać, czy olbrzymią produkcyę w tak krótkim czasie, czy niewyczerpaną twórczość w obec nawału tematów. Doré pracuje szybko, a jednak trudno wykazać mu choć małą niedbałość; pracuje bezustannie, a jednak niepodobna zarzucić mu powtarzanie się w pomysłach. Wady jego, któremi i ta ostatnia praca tu i owdzie dotknięta, są innego rodzaju; poświęca np. chętnie człowieka widokiem natury, tam gdzie ona powinna zostać na drugim planie, aby nie odrywała uwagi naszej. Zarzucano mu to już słusznie w ilustracyach Don Kiszota, a chociaż od tego czasu znacznie postąpił naprzód, nie wyleczył się zupełnie z tego błędu.

Zarzut ten stosuje się np. do „śmierci Abla", gdzie Kain, oparty o skałę, schylony jakby pod ciężarem zbrodni swojej, spogląda na zabitego brata, z twarzą, na której złożyły się zarówno rozpacz i przerażenie. Kompozycya wyborna, a jednak odskakuje mimo woli oko nasze od twarzy zabójcy, aby zaprzepaścić się z dzikim krajobrazie o ponurym horyzoncie, rozjaśnionym błyskawicami. Okropność przyrody, wśród której ziemia nawet ucieka przed obliczem zbrodniarza, przeraża nas więcej, niż twarz Kainowa, a przecież gra jej muszkułów dla nas rzeczą główną, sama zaś przyroda obojętnym dodatkiem. To samo powiemy o 3-ej rycinie w V zeszycie wyobrażającej „Hagarę w pustyni". Na przodzie leży na piasku rozciągnięty maleńki Ismael, po lewej stronie

/.

niebotyczna skała, o którą opiera się płacząca matka, załamując ręce. W głębi piętrzą się góry, ocienione czarnemi chmurami. Pomysł tak nieszczęśliwy, że Hagara wydaje się przylepioną do skały, która nie wiedząc z kąd się bierze w tej scenie. Bo utwór ten nietylko daje niepotrzebnie przewagę krajobrazowi nad ludzkiemi twarzami, ale niewierną, bo zastąpiła prostotę biblijną jaskrawym effektem teatru. Pismo Ś. opowiada, że biedna kobieta, „gdy nie stało wody w łagwi, porzuciła dziecię pod drzewem, a odszedłszy, usiadła przeciw niemu i podniosła głos swój i płakała". Czyż słowa te, malujące położenie osób z dziwną trafnością, a rozrzewniającą prostotą, nie zawierają dosyć rysów do wielkiej kompozycyi? czyż godziło się na ich miejsce postawić obraz, jakby wycięty z opery? I tutaj sposobność potrącenia o drugą wadliwość kompozycyi Doré'go, że nieraz silne wzruszenie duchowe, zamiast wyrazem twarzy wyrażone zostały teatralną postawą całego ciała. Do takich, więcej retorycznym efektem niż prawdą sytuacyi nacechowanych grup zaliczyłbym: wyklęcie Chama, odwiedziny aniołów u Abrahama, ucieczkę Lota ze Sodomy, Izaaka błogosławiącego Jakóba: przedewszystkiem zaś 1szą rycinę, gdzie Bóg Ojciec, jak tenorzysta na scenie z ręką jedną, wzniesioną do góry, wymawia wielkie słowo „niech będzie światłość"! Pod Nim rozchodzą się niby ciemności, za Nim jakoby długie skrzydła ponurych chmur. W niektórych znowu rysunkach nie można powiedzieć, żeby układ ich był szczególnym, przecież specyalny taki rozbiór zaprowadziłby nas za daleko.

Powiedziawszy tyle o ujemnych stronach dzieła, powinniśmy tem więcej podnosić jego dodatne, a mianowicie wspomnieć o pomysłach nowych, szczęśliwych. Sam potop dostarczył treści do trzech kompozycyi, a wszystkie trzy uderzają wielkością kompozycyi. Pierwsza ukazuje nam początek strasznej powodzi. Po lewej stronie wzgórze, u którego podnóża huczą bałwany; na wzgórzu potężne drzewo, którego rozłożyste konary, przeplatane ludźmi, złamane ciężarem, lecą w przepaść fal. Powierzchnia wzgórza od stóp drzewa aż do brzegu powodzi, okryła wijącemi się nagiemi ciałami, a jest ich tyle, że myślisz od razu, iż to nie ludzie, lecz polip olbrzymi, sam ze sobą w niezgodzie, rozła-

./.

cza swoje niezliczone członki. Dzikie zwierzęta przypatrują się téj gmatwaninie ciał z przerażeniem. Na przodzie straszna powódź, w jéj falach trupy, jeździec obejmujący konwulsyjnie kark tonącego konia, olbrzymi wąż mocujący się z rozhukanym żywiołem. Na prawéj stronie urwisko skał, na które łańcuch nagich ciał wdziera się nadaremnie. Całość jest pod każdym względem znakomita. Następująca rycina odsłania nam konanie ostatnich istot żywych. Jak daleko spojrzysz, wszędzie ponury ocean, rosnący pod niebiosa; wśród niego sterczy samotna skała, zapewne szczyt najwyższy zatopionéj już góry, a na skale odgrywa się straszny dramat. Dzika pantera stoi wyprostowana jakby do skoku, i błądzi przerażonym wzrokiem w dal, czy nie widać gdzie wśród niezmiernéj powodzi wyspy bezpiecznéj, do któréj mogłaby dopłynąć. W wyniesionéj paszczy trzyma młode szczenię, u nóg jéj wije się kilka innych, a obok nich szamoce się kilkoro drobnych dziatek, które ojciec co dopiéro wrzucił na to ostatnie bezpieczne miejsce; sam jednak nie dostanie się już na skałę, bo ciężar żony, zawieszonéj mu na barkach, ciągnie go na dół, a huczące fale porywają go uporczywie ze sobą. Z wody wyglądają tu i owdzie płynące trupy: na ołowianym horyzoncie widać stado ptaków, ciągnących do skały, aby na niéj odpocząć, bo to ostatni wierzchołek lądu, wyglądający z wody. Pod tą śliczną a wielką w prostocie swojéj kompozycyą można położyć podpis z Pisma Ś.: „wygładził Bóg wszystko stworzenie, które było na ziemi, od człowieka aż do ptastwa niebieskiego!"

Epilogiem do dwóch epizodów z potopu jest 4-ta rycina 2-go zeszytu, wyobrażająca wysłanie gołębicy. Co do pomysłu i wykonania nie ustępuje ona w niczém dwom poprzednim. W głębi wznosi się wspaniały szczyt Araratu, opasany chmurami, wśród nich wygląda arka, z któréj okna wyleciała gołębica. Na przodzie po prawéj i lewéj stronie mniejsze góry, które razem z pochyłością Araratu stanowią kraj dziki, skalisty, przez który przedziera się potężny wodospad. Pochyłość wszystkich gór i skał okryta trupami ludzi i zwierząt, które tak dziwnie między sobą splecione, że wyglądają jak warstwa wodnych chwastów na polu po wylewie rzeki. Blady ten trupi porost gór i cały krajobraz bardzo mało oświetlone, ztąd wrażenie nadzwyczaj ponure: jedna tylko gołębica

./.

jest w całém świetle, bo ona jedna żywa wśród powszechnéj zgnilizny. Trzy te ryciny stanowią razem całkowitą dramatyczną trylogię, a chociaż sam przedmiot wielokrotnie już stał się tematem dla malarskiego pędzla, potrafił jednak p. Doré ująć go z nowéj, oryginalnéj strony.

Wspomnijmy choć pobieżnie jeszcze o kilku innych rycinach: trzecia trzeciego zeszytu wyobraża Abrahama ciągnącego z Mezopotamii do ziemi Kanaan. O ile poprzednie są przerażającą tragedyą, o tyle ta jest obrazem pokoju i pasterskiéj szczęśliwości. Daleko oko sięga, a wszędzie owce, lub raczéj fale owiec, z których wynurzają się tu i owdzie postacie pieszych pasterzy. Na przodzie obrazu wielbłąd z jeźdźcem, a na krańcach horyzontu także kilka jeźdźców na wielbłądach; rzekłbyś że te zakapturzone beduiny, siedzące nieruchomie, są słupami granicznemi olbrzymiego pola, na którego łanach zamiast pszenicy rosną owce. Porównanie to nasunęło nam się dla dziwnego rozkładu światła. Głąb bowiem jasny a cały przód ciemny, w środku zaś ścierają się między sobą światło i cienie. Doznajemy tego samego wrażenia, co na polu, gdy słońce nagle się skryło za chmurę, wtedy najbliższe nam łany już pogrążone w cieniu, podczas gdy dalsze jaśnieją jeszcze w słonecznym blasku; ale cienie postępują, posuwają się szybko naprzód, ogarniają łan po łanie, wydzierając go jasności. Tak i w tym rysunku. Słońca nie widać, chociaż część krajobrazu jeszcze oświetlona, ztąd obok siebie smugi jasności i smugi cieniów, uganiające się za sobą po nad głowami owiec, niby fale kłosów, podnoszące się i upadające na przemian pod powiewem wiatru.

Również śliczną kompozycyą jest Ofiara Izaaka. Abraham z synem są już u celu drogi; młody chłopczyna kroczy wesoło naprzód na górę, trzymając na ramieniu pęk drzewa ofiarnego; ojciec nieco niżéj stojący, patrzy nań z niewymownem wzruszeniem; dokoła bujna roślinność zwrotnikowéj przyrody, a niebo napół przymglone, jakby litujące się nad biedną, niewinną ofiarą; półświatło rozlane nad całym krajobrazem sprawia wrażenie atmosfery gorącéj, dusznéj, wśród któréj palmy i szerokoliste dziwne krzaki dyszą oczekiwaniem, jak też zakończy się próba /.

ojcowskiego serca. Kompozycyę tę uważam za równie udatną jak poprzednie i zaliczam ją do pierwszorzędnych.

Poprzestaję na tem krótkiem sprawozdaniu; zapewne następne zeszyty podadzą mi nieraz jeszcze pożądaną sposobność pomówienia o ilustracyach wielkiego mistrza, którego zasługi położone dotąd w uprzystępnianiu i wyjaśnianiu wielkich arcydzieł poezyi są nieobliczone, a którego młody wiek daje niepłonną nadzieję, że je pomnoży jeszcze w dwójnasób, przynajmniej. Mówię wyraźnie o zasługach jego, choć może nie wszyscy zechcą mu przyznać takowych; nam się bowiem zdaje, że dobry ilustrator oddaje tę samą przysługę utworowi poetycznemu, co dobry aktor utworowi scenicznemu; jeden i drugi wcielają myśl i słowa poety w plastyczne, dotykalne kształty, a przez to czynią je zrozumialszemi nie tylko dla ogółu, lecz nawet dla znawców z powołania.

· II ·

**Histoire d'Hérode, roi des Juifs par F. de Saulcy. Paris 1867. 8vo str. 387.** Uczony członek paryzkiej Akademii napisów i literatury, znany z gruntownych prac paleograficznych nad rozmaitemi zabytkami ludów semickich, nie występuje po raz pierwszy na polu literackiem. Kilka lat temu ogłosił „ostatnie dnie Jerozolimy" (les derniers jours de Jerusalem), których życzliwe w szerszych kołach przyjęcie, dało pochop do ogłoszenia nowej książki; napisał ją w tym samym duchu, co poprzednią i czerpał z tych samych źródeł, t. j. przeważnie z dzieł Józefa Flawiusza: okoliczność ta tłumaczy nam i zalety i ujemne strony prac historycznych p. Saulcy. Każde bowiem sumienne studyum oparte na źródłach, będzie nacechowaném gruntownością rozumowań, jasnością poglądów, a szczególnie świeżością dykcyi, jeżeli autor ma pod ręką źródła mniej więcej współczesne. Zalet tych nie brak w wspomnianej książce: jest ona gruntowną, bo zużytkowano w niej cały znany i postępny materyał historyczny. Autor nie przestał na Józefie ./.

Flawiuszu, oraz innych dotykających przedmiotu tego staro-żytnych pisarzach, lecz zwiedził Palestynę i sprawdził każdą wiadomość, czy to topograficzną czy archeologiczną na miejscu; odbył tam liczne poszukiwania, wydobył na wierzch nie jeden antyk, nie jedną monetę, nie jeden sarkofag z starodawnym napisem, objaśniającym rozmaite szczegóły dziejowego zdarzenia. Toteż nie dziw, że posiadłszy w całości cały materyał, z którego nie wyłączył nawet ustępów Talmudu, ma o każdej rzeczy, o której mówi, jasne wyobrażenie, a ponieważ do opowiadania wcielił liczne już to dokumenta, już to wyjątki spółczesnych wydarzeniu autorów, przeto stało się ono żywem i rumianem, bo wiadomo, że inaczej opowiadamy wypadki, na które sami patrzeliśmy, a inaczej te, o których wiadomość doszła nas dopiero z drugiej lub trzeciej ręki. Otóż mniej więcej zalety monografii o królu Herodzie.

Ujemne jej strony są również wielkie. Najprzód czerpał autor z bardzo stronnego źródła. Józef Flawiusz był żydem i prawowiernym Faryzeuszem, król Herod zaś z pochodzenia Arabem, a choć wyznawał religię Mojżesza, był on bardzo liberalnym w kwestyach teologicznych, a nawet nie taił się wcale z sympatyami swemi, jakie miał dla greckiej oświaty; dosyć powodów, aby oburzyć prawowiernego żyda, któremu Herod wydawał się nieprzyjacielem religii i przywłaszczycielem tronu. Przecież powody te uniewinniające gniew Józefa Flawiusza, nie istnieją dla nowożytnego historyka; dziwnem jednak zrządzeniem losu urodził się autor większym legitymistą od samego Józefa Flawiusza, i powziął większą nienawiść do parweniusza na hebrajskim tronie, niż może cała sekta Faryzeuszów razem przed ośmnastu wiekami. Znać zapomniał o mądrej starożytnych zasadzie, że historyę pisać trzeba bez nienawiści, sine odio. Jakiż zresztą powody oburzenia się na króla Heroda. Otóż wiadomo, że Idumejczyk (Arab) Antipater został pełnomocnikiem króla Hyrkana, ostatniego z rodu Makkabeuszów lub familii Asmoneuszów, jak się ród ten nazywa. Antipater był to człowiek wielkich zdolności i żelaznej woli, Hyrkan człowiekiem ograniczonym, bez woli i charakteru; cóż dziwnego, że z czasem pełnomocnik rządził wszystkiem, a niedołężny Hyrkan zachował tylko tytuł. Syn tego pełnomocnika sam później został królem, za pomocą senatu rzymskiego; on to owym Herodem Wielkim,

./.

jak go często nazywają dziejopisarze. Autor oburza się na ten przydomek i dowodzi bezustannie, że on niczém nie zasłużony, że przeciwnie Herod był człowiekiem przewrotnym, okrutnym, niecnym przywłaszczycielem tronu, katem własnych dzieci; słowem poczwarą, nie mogącą rościć żadnych pretensyi do wielkości!–

Ubolewamy nad tém zaślepieniem autora, bo od czasów Salomona nie miała Palestyna równie rozsądnego króla, pojmującego wszystkie potrzeby i dążności wieku. Zanim objął ster rządu, przedstawiał naród żydowski w pierwszym wieku przed Chr. widok pod każdym względem ohydny: familia panująca zniedołężniała. dwaj bracia rodzeni: Hyrkan i Arystobul, walczą z całą zaciętością semickiéj rasy, o berło Dawidowe, napełniając kraj pożogą i zniszczeniem, a przyzywając na wyścigi „niewiernych" Rzymian ku pomocy; kraj cały pustoszony przez sąsiednie arabskie plemiona; wszędzie ruiny, w których gnieździli się rozbójnicy; wszędzie pustynie, po których ciągnęli fanatyczni prorocy z swemi zwolennikami. Od czasów, jak Herod został królem żydowskim w r. 40 przed Chr. zmieniło się wszystko jakby pod magiczną laską czarodzieja: kraj zaludnił się, rolnictwo się podźwigło, wszędzie powstały nowe miasta handlowe, porty, fortece a król mimo niebezpiecznéj przyjaźni z rzymskim olbrzymem, utrzymywał powagę swoją wszędzie i zjednał sobie powszechny szacunek. Główną zaś zasługę króla widzimy w tém, że dokładał wszystkich starań, aby zapleśniały swój naród wciągnąć nareszcie w dziejowe koło grecko-rzymskiéj oświaty. żydowscy fanatycy owych czasów mogli się na to oburzać, my powinniśmy za to wynosić go pod obłoki. Przez cały ciąg 36-letniego panowania zachował tę samą energię, tę samą pieczołowitość o dobrobyt kraju, tę samą troskliwość o szerzenie oświaty i o uczucia piękna między swoim nieszczęśliwym, zniktczemniałym ludem, zamarłym w ciasnocie pojęć swoich. Nazwano go za to „Wielkim" i sądzę, że jeżeli kto z żydowskich królów zasłużył na ten świetny przydomek, to przedewszystkiem Herod I. W życiu domowém jednak był nieszczęśliwym, kazał stracić żonę, którą ubóstwiał, w kilka lat późniéj dwóch synów, których kochał szalenie, potém trzeciego syna z innéj żony, potém kilku krewnych, a nareszcie w ciągu panowania swego kazał ściąć niemałą liczbę politycznych spiskowców, którzy nastawali jeżeli

/.

na życie, jawnie na władzę jego. Za to nazwano go „okrutnym" i zrobiono z niego krwiożerczego żydowskiego Nerona lub Kaligulę; nie zgadzamy się na takie hojne szafowanie obelżywemi przydomkami, gdyż historya świadczy przeciwnie. Sam p. Saulcy przyznaje w wielu miejscach, choć nie chętnie, że za młodu dawał Herod liczne dowody dobrego serca i czułego przywiązania do rodzeństwa; że zaś zostawszy królem nie oszczędzał przeciwników, i nawet, gdzie potrzeba było, ręką kata przywracał porządek, pochwali każdy, co się rozpatrzył cokolwiek w smutnym widoku ówczesnej palestyńskiej anarchii, i rozbudzonych do wściekłości, skutkiem wojny domowej, namiętności politycznych i religijnych. Tylko silny król mógł rządzić tak rozpasanym ludem, tylko goły miecz mógł uśmierzyć hydrę domowej niezgody. Ale silny król niekoniecznie jest okrutnym; okrutnym ten tylko, co przelewa więcej krwi niż potrzeba. O Herodzie zaś tego powiedzieć nie można. Przez cały ciąg panowania był administratorem wybornym, sędzią sprawiedliwym, panem, dającym chętnie ucho wszystkim skargom poddanych. Nieubłaganym był tylko dla fanatycznej sekty Faryzeuszów, ale z wszystkich sekt, jakie kiedykolwiek mięszały spokój ludzkości, ta była najgorszą i zasługującą najmniej na przebaczenie.

Wielu przecież oddawało słuszność królowi a potępiało go jako ojca i męża, co i p. Saulcy uczynił w szerokich rozmiarach; zdaje nam się jednak, że i te zarzuty bardzo niesłuszne. Herod był w domu człowiekiem najnieszczęśliwszym: harem jego szarpany był przez czarne intrygi, i dzikie namiętności; król długo cierpiał, nareszcie cierpienia jego wybuchnęły straszliwym gromem. Kazał stracić najulubieńszą z żon swoich, Maryamnę, ale dopiero po długich namysłach, po okropnem wahaniu się; nie stracił jej zresztą nagle, samowolnie, jak czynią ludzie okrutni, lecz po długim, skrupulatnym procesie, w którym udowodniono jej niewierność. Herod przynajmniej był o niej przekonany i kazał ją ukarać podług prawa, choć z boleścią w sercu. Dramat ten powtórzył się jeszcze kilka razy w murach jego pałacu; w kilka lat potem kazał wytoczyć proces dwom synom, których miał z Maryamny, a gdy znaleziono ich winnymi zbrodni stanu, oddał ich również katowi. Łatwo wobec takiego faktu zawołać: co za ojciec okrutny! ale kto przypomni sobie, że proces ten, podjęty

parę razy, ciągnął się przez lat kilka, że król kilka razy swoim synom przebaczył, że radził się przyjaciela swego, cesarza Augusta, że największe przebył walki wewnętrzne, zanim pozwolił na ostateczne osądzenie sprawy, ten nie pochwali tego wyrazu i nie nazwie Heroda ojcem okrutnym. Co zaś do trzeciego syna, Antipatra, którego Herod także w kilka lat później ukarał śmiercią, przyznaje sam autor, że był winnym, i cieszy się z słusznej kary która go spotkała. Nie ulega wątpliwości, że Herod był człowiekiem namiętnym, gwałtownym, zdolnym do wielkiej nienawiści, jak wszyscy ludzie południowi; ale od młodości panował nad sobą i przynajmniej w życiu domowem, gdzie najbrudniejsze intrygi i występki najbliższych krewnych zatruwały mu całe szczęście i spokój duchowy, okazał się co najwięcej nieubłaganym sędzią, ale nigdy okrutnym.

Tyle mniej więcej mamy do zarzucenia książce p. de Saulcy i sądzę, że bezstronny czytelnik dojdzie do tych samych wniosków a dadzą się one ująć w jednem zdaniu: autor jest starannym w zbieraniu materyałów, ale nie umiał wznieść się do bezstronnego sądu, ztąd wszystkie sądy jego o charakterze, polityce i zamiarach Heroda, oraz o jego znaczeniu dziejowem, zupełnie są fałszywe. Czytelnik jednak z łatwością sprostować może błędne te wyniki, ponieważ sumiennie zestawiony materyał, dozwala mu wyrobić sobie o wszystkiem sąd własny. O stylu p. Saulcy wspomniałem wyżej, że jest świeży, nie potrzebuję dodać że jest nadobny, jak wszystkich panów Instytutu: sposób opowiadania tylko czasem jest za rozwlekły, bo autor przepisuje, w całej rozciągłości długie mowy, jakie w Józefie Flawiuszu, miewają jużto Herod, jużto inne osoby, a które to mowy, zapewne mało mają w sobie historycznego jądra, są po większej części elukubracyami samego Józefa i ówczas powszechną było modą, popisywać się retoryką. Dzisiaj długie te mowy, do wojska lub zgromadzeń ludowych, zupełnie stały się nieznanemi, i czytelnik nic nie straci, gdy je pominie wszystkie. —

B.

./.

L'Arabie contemporaine avec la déscription du pélerinage de la Mecque, par Adol. d'Avril. Paris 1868. Maillet 8vo. Str. 313. Autor jest obecnie konsulem generalnym Francyi w Rumunii i od wielu lat przybywa w Turcyi; pobyt ten dał mu sposobność poznania rozmaitych dzielnic sułtana, oraz pochop do szeregu studyów historycznych i literackich nad ludami, zamieszkującemi te dzielnice. — I tak poświęcił jedną pracę Bulgarii (la Bulgarie chrétienne), inną historyi sekt religijnych Chaldeów i Nestoryan (la Chaldée chrétienne); poznawszy język serbski przełożył poemat o bitwie na Kossowem Polu (la Bataille de Kossovo, rhapsodie serbe); prócz tego ogłosił różne dokumenta, dotyczące stosunków dyplomatycznych Kościoła wschodniego z Zachodem. Wszystkie te prace mają wartość niemałą, jako dokonane na miejscu, czerpane z źródeł nieznanych i z naocznego przekonania. Niniejsze studyum o Arabii nie ma tego znaczenia, ponieważ autor nie zwiedził kraju, o którym rozprawia; jest to kompilacya z opowiadań podróżnych ogłoszonych już drukiem i znanych powszechnie; kompilacya ta jednak nie jest bez wartości, gdyż została dokonaną umiejętnie i sumiennie i zawiera w treściwym wyciągu wszystko to, co podróżni dotąd o mało znanym kraju napisali. Począwszy od Niebuhra i skończywszy na księdzu Palgrave, skorzystał autor ze wszystkich, a ponieważ żaden z nich nie zwiedził całej Arabii, lecz każdy inną część wielkiego kraju, przeto zestawienie całkowitego obrazu z szczegółowych spostrzeżeń i wyciąganie ogólnych wniosków z pojedynczych faktów, rozrzuconych po wielkiej liczbie dzieł, jest dla większej publiczności rzeczą nader pożądaną. Autor zadał sobie pytanie: co wiemy dzisiaj o Arabii i jaki jest stan obecny kraju? na pytanie to odpowiedział, zużytkowawszy wszystko, co dotąd wiarogodni podróżni o kraju tym donieśli.

Sama książka, prócz krótkiego wstępu o znaczeniu dziejowem i prawdziwej istocie islamizmu, rozpada się na trzy części, z których pierwsza podaje nam opis geograficzny i historyczny pojedynczych prowincyi; druga zawiera spostrzeżenia antropologiczne i społeczne nad ludnością kraju; trzecia nareszcie, najciekawsza, opisuje pielgrzymkę do świętych miast: Mekki i Medyny, oraz życie, jakie wiodą ka-

./.

karawany wśród długiej, niebezpiecznej i pełnej niewygód podróży.
Trzecią część nazwałem dlatego najciekawszą, ponieważ jest tam rozdział, obchodzący zbliska nas Europejczyków. Rozdział ten zajmuje się wyłącznie kwestyą cholery, jej powstaniem, oraz drogami, któremi się dostaje do Europy. W r. 1865 szerzyła ona śmierć w szeregach pielgrzymów, a razem z wracającymi przeniesiona do nadbrzeżnych krajów morza Śródziemnego, grassowała mianowicie w Alexandryi, Konstantynopolu i Marsylii strasznym sposobem. W r. 1866 nawiedziła z równą siłą północne Niemcy. Smutne te wypadki skłoniły mocarstwa Europy do obmyślenia środków ostrożności na przyszłość, aby przytłumić chorobę w samych początkach, na Wschodzie, gdyby się zjawiła na nowo. W tym celu zebrała się Komisya międzynarodowa w Konstantynopolu, która rozpocząwszy prace swoje 13e lutego r. 1866, wydała 3e marca szereg przepisów, mogących na przyszłość zapobiedz nieszczęściu. Ciekawsze jednakże od tych przepisów są raporta tejże Komisyi o rozmaitych punktach tyczących się tej ważnej kwestyi; wśród nich odznacza się raport doktora Fauvel o środkach, jakiemi trzeba zapobiedz cholerze na samym Wschodzie, nie czekając jej przybycia do nas.

Ponieważ przekonano się, że cholera corok grasuje w Indyach, gdzie, jak domyślają się, powstaje z rozkładających się ciał, któremi napełnione są fale Gangesu, a potem przeniesiona bywa do Mekki przez pielgrzymów muzułmańskich, przybywających z Indyi; przeto uważała Komisya za środek najskuteczniejszy, przecinanie w razie choroby wszelkiej komunikacyi między Arabią, a wybrzeżem egipskiem. Wiadomo bowiem, że większość pielgrzymów, zamiast mozolną drogą lądową przez Palestynę, Syryę i Azyę Mniejszą, przeprawia się morzem Czerwonem z Dżeddah do Alexandryi, aby z tamtąd wracać do Algieru, Turcyi i t. d. Pielgrzymi ci wracający morzem, roznoszą zazwyczaj chorobę, ponieważ podczas krótkiej przeprawy, mimo mozolnych kwarantan, nigdy nie zdołano się przekonać zupełnie, czy epidemia na statku wygasła lub nie. Lądowa zaś droga przez Damaszek nie przedstawia dla Europy najmniejszego niebezpieczeństwa; jest bardzo długą, komisarze więc rządowi, towarzyszący karawanie, mogą,

./.

zdawać najdokładniejsze informacye o przebiegu choroby, jeżeli wybuchnie, oraz w czasie, od którego powstała. W r. 1867 rząd turecki zaprowadził już liczne, polecone mu środki ostrożności, to też odbyła się pielgrzymka przeszłego roku, bez żadnych następstw smutnych. Rząd angielski nawzajem dokłada wszelkich starań, aby zapobiedz zanieczyszczaniu rzek w Indyach przez wrzucanie do nich ciał ludzi i zwierząt zabitych, można się więc słusznie spodziewać, że na przyszłość straszna zaraza w samém gnieździe zostanie wytępioną.

–.3.–

## J. Michelet, la montagne, 2-ème édition. Paris 1868. Librairie internationale. 12-o str. IV i. 388.–

Najnowsze dzieło sędziwego dziejopisarza Francyi jest dalszym ciągiem studyów nad przyrodą, do której autor wraca, ile razy znużył się badaniem dziejów ludzkości. Nie są to jednak studya w właściwem wyrazu tego znaczenia, gdyż autor nie zajmował się nigdy fachowo naukami ścisłemi. Wiadomo jakim był rozwój jego ducha: od pierwszych lat młodości zakopał się w pomnikach odległej przeszłości i wydobywał z nich syntezę wygasłych rodów, obraz ubiegłych czasów; przedewszystkiem zaś zajmował się historyą Francyi, głównym przedmiotem wykładów i pism swoich. Wydano o nich sądy bardzo różne, nieraz bardzo surowe; zarzucono im nie bez słuszności, zbytnią przewagę poetycznej intuicyi, która stłumiła nieraz bezstronną zimną reflexyę historyka. Obecnie jednak nie mamy zamiaru ocenić ich wartości, chcemy tylko podnieść fakt, który zwolenników Michelet'a wprawi w niemałe zadziwienie. W roku 1856 wystąpił podstarzały już historyk z pracą zupełnie innego rodzaju, skreślił w sposób poetyczny i przystępny życie i zwyczaje ptaków; gdy książka nadzwyczaj życzliwie przyjętą została przez publiczność, ukazały się po niej inne podobnej treści: po l'oiseau zjawiły się l'insecte i la mer; najnowsza książka, której tytuł znany już czytelnikom, stanowi ich ciąg dalszy. Wielu pytało się o powód tych

/.

publikacyi, chociaż autor nie zataił go wcale, gdyż przyznał otwar-
cie, że ich sława należy się do połowy jego żonie. Wiadomo, że p. Mi-
chelet ożenił się bardzo późno i że od tego czasu rozwój jego duchowy
wszedł na drogę nową; nie masz wątpliwości, że miłość żony zro-
biła go gorącym wielbicielem przyrody. Razem z żoną podziwia
on jéj tajemnice, i pod natchnieniem ukochanéj osoby pisze swoje
szkice, których wartość, jakkolwiek nie opiera się na bada-
niach fachowych, jest nie małą, gdyż wzbudzają w większéj pu-
bliczności entuzyazm dla przyrody i tłumaczą pod nadobną formą
najskrytsze jéj tajemnice.

Pobyt w górach, w Pireneach i Alpach, dał autorowi pochop do napisania książki o górach, zużytkował przy téj sposobności wszystkie swoje wiadomości geologiczne i botaniczne, powlókłszy je pokostem błyszczącego stylu i perłami namiętnéj wy-obraźni. Nie przeczę, że starość wycisnęła tu i ówdzie piętno swo-je na dziele, że są w niém ustępy blade, wlekące się leniwie; ale wie-le innych za to dyszy świeżą woną alpejskich łąk: czuć po nich wyraźnie, że autor je skreślił w górnéj siedzibie, wśród przezrocza balsamicznego powietrza, gdzie oddychał swobodnie, wesoło, zo-stawiwszy w dolinie wszystkie kłopoty i smutki swoje. Szcze-gólnie uderzył mnie rozdział jeden o miłości roślin alpejskich; dawno już nie czytałem nic równie powabnego, toteż przyta-czam z niego kilka wyjątków, aby dać poznać czytelnikom gło-wną myśl autora w kwestyi bardzo ważnéj.

Autor przypędzał czerwiec roku 1867 na pograniczu kantonu Valais, w Bex, i tam, wśród wielkiéj samotności, wraz z żoną pytał się roślin, o ich tajemnice mi-łosne. Wieśniaczka piękna i poważna, przynosiła im codzień najnowsze kwiaty z gór; była nieco wykształconą i znała nawet łacińskie nazwy roślin, któremi chętnie się popisywa-ła; przynosiła codzień świeże, pełne jeszcze życia, co dopiero zer-wane na łące. Pewnego dnia przyniosła kwiat niebieski, z czar-nemi plamkami i kreskami; kwiat ten nazywa się w języku botaników gencyaną, na nim studyowali pp. Michelet główne problemy botaniki. Co to botanika? pyta się autor; odpo-wiedź jego, śmiała i wielka, zapewne nie spodoba się su-chym pedantom: botanika, to nauka miłości. „Nauka ta mało odgrodzona od zoologii: jedna tłumaczy drugą.

./.

Miłość jest wspólnym, prawie nierozdzielonym gruntem, na którym zwierzę staje się rośliną, a roślina żywą istotą, a czasem wynosi się nawet ponad płaski świat zwierzęcy i stawa się podobną do świata najwyższego, do człowieka."

„Żywienie się roślin jest dotąd tajemnicą, ale ich miłość nią nie jest: przyroda nic tam nie ukryła. Jest to jej dzieło dzienne w którem się objawia. Nie położyła tam żadnej zasłony, żadnej przeszkody, wyjąwszy drobność, czasem nadzwyczajną, dwóch kochanków. Z prawdziwą przyjemnością starała się ona o nieskończone urozmaicenie sceny i małych aktorów, aby lepiej objaśnić odgrywający się dramat. Trzykroć stotysięcy form (tyle jest znanych kwiatów) nie wyczerpnęło jej gorącej twórczości ani widocznej rozkoszy, z jaką wyjawia istotę miłości. Oto jak się rzecz odbywa. Pewnego dnia, liść, szczęśliwy ciepłem i światłem, zwija się w ognisko, w ciepłą kolebkę, w miękki pokoik, w którym ma nowy świat się urodzić; tkanka jego nabrzmiewa i wyrasta w małą samicę (słupek), zaopatrzoną w jajeczniki, ale zamknięta jeszcze w sposób dziewiczy. Naokoło niej wytryskują w górę małe pręciki, jej kochankowie, pretendenci do jej ręki, które ją otaczają wspaniałym dworem. Prawie zawsze maleńki samiec, wyrywający się do słońca, podnosi się wyżej od niej. Dwie rzeczy przyciągają go zarówno: piękny promień światła, który go ozłaca i napełnia życiem, a łagodne ciepło wewnętrzne małżeńnego ogniska, które go przyzywa do siebie i zbliża do ukochanego przedmiotu. Oto dwie pokusy. Wolność, życie ruchliwe, w którem buja jego lekka główka, aureola światła, która wydaje się boginią kwiatów, czyż nie powinny przeważyć? tak, odpowie fizyka. Ale miłość odpowiada: nie, i zakochany pręcik robi to, co zrobiłby człowiek na jego miejscu; przekłada ją nad wszystko, nachyla się do niej, a często z gwałtownem wysileniem odwraca się od światła do ciemnego środka, szukając jej, a tem samem głosząc wymownie, że ona więcej niż świat, że miłość więcej niż słońce...

„W innych znowu kwiatach ona przewyższa kochanków, ogromna w przyrównaniu do nich, przeciwstawia im niezwyciężone przeszkody. Takim był widok mojej niebieskiej gencyany. Kwiat to surowy, sok jego cierpki, gdzie miłość napotyka na mnóstwo zapór. Cała scena nawet wy-

/.

dawała się na pół tragiczną. Z głębokiej niebieskiej czary wznosi się wspaniała pani, biała jak dziewica; pręciki bardzo małe, lekko nakropione bladawem złotem, otaczają ją wspodu, dławią ją w objęciach, ale nadaremnie; ona nad niemi, z niedostępnej wysokości, potrząsa podwójną główką, lub raczej parą ust miłosnych. Ubolewałem nad nieszczęśliwemi malcami. Ona przygniatała je roztaczając się nad niemi, jak parasol; przez to zamyka im wszelki przystęp. Gdyby nawet się przedłużały, nie zyskałyby nic prawie, ponieważ brzegi je odpychają. Ona podobną do wierzchołka góry Viso, który na wszystkie strony wydęty, odbiera ochotę wdzierania się i czyni je prawie niepodobnem. Wielką jednak przykrość wyrządziłby małym, prawie niedojrzanym kochankom, ktoby mniemał, że ich namiętność nie większa od ich objętości. Każda tworzy im języki. Każdy z nich mówi za pomocą koloru, za pomocą ciepła; nie mówi jak my, ckliwie o płomieniach swojej miłości, ale zato zmienia temperaturę naokoło swojej ukochanej. Ona czuje ciepło łagodne, które jest nim, które jest miłością. Lamark pierwszy to spostrzegł w kwiatach rodzaju arum. Jak samo lucyola świeci pośród nocy wzdychając. Delikatne termometry Walferdin'a, umieszczone w kwiecie pośród pręcików, dozwalają nam oznaczyć stopień ich namiętności. Namiętność ta przewyższa wszystkie podobne objawy w zwierzętach. W niektórych kwiatach, np. w nasturcyi, pręcik w dziesięciu godzinach spożywa ogromną ilość tlenu, 16 razy tyle, ile wynosi własna jego objętość. Cóż powiemy o kwiatach podzwrotnikowych, o szaleństwie roślin na wyspie Jawa lub Borneo?

„Każde ciepło miękczy, rozczula. To nie dosyć jeszcze. Każda miłość ma swoją magię, swoje tajemnice, swoje czary. Ptaki mają pióra i śpiew. Wszystkie zwierzęta mają nadobność ruchu; za jej pomocą magnetyzują. Tym magnetyzmem w miłości roślin jest woń, ona najsilniejszym miłości czarem. Woń prosi, przywabia, upaja swoją istotą; naprawdę jest ona językiem bogów, porywającym, któremu nic się nie opiera. Jeżeli my ludzie doznajemy tak silnych wrażeń od słodkich emanacyi woni, jeżeli one czasem kobiety wzruszają, mieszają; cóż

/.

stanie się z małą roślinną kobietą? Czyż woniejąca dusza która ją otacza, która do niej się wdziera, która ją przenika i napawa, czyż nie powinna ją zwyciężyć, a cowięcej jeszcze przemienić?

„Na nieszczęście nie masz w gencyanie, którą oglądam, tej pokusy zapachów. Zakochane pręciki nie mają żadnych widoków, że ją wzruszą, że nią wstrząsną, za pomocą upajającej magii. To też nie ma dla nich nadziei bez cudu. Potrzeba, żeby zeschnięte, strawione żądzą własną lub wzrokiem słońca, zamienione w lekki proszek, oderwane zostały od niej i uniesione wiatrem. Potrzeba, aby bujające po powietrzu, niespodziewanym, cudownym trafem wracały z błędnej drogi do ukochanego przedmiotu, i żeby dziwniejszym jeszcze trafem, wpadały wprost na jego łono. Można przysięgać, zakładać się, milion przeciw jednemu, że to się nie stanie i że dumna dziewica żyć będzie i umrze w samotności. One mają tylko jedno za sobą, wielką liczbę. Zamienione w żyjący proszek, oddzielone od siebie, rozmnożone w nieskończoność, mają rękojmię w tej nieskończoności. Los może jednego z nich uszczęśliwić. To też dlatego rozmnażają się w sposób olbrzymi; potrzeba milionów kochanków, konkurentów, aby miłość jednego z nich wybrała za małżonka. Nie pozostaje więc nic innego, jak modlić się do wiatru: Kochana burzo, podnieś nas, zabierz nas!.... Muszą w skutek tego, zabawki powietrza, pływać, bujać, a wszystkie prawie widzą przed sobą pewną zgubę. Ale mniejsza o to, one chciały bądź co bądź, unieść się w górę, aby potem mogły się spuścić. Ona tylko tego obierze, który dostanie się jej z nieba. Ma tem mało nadziei, a jednak cud ten się dokazał, bo Bóg wielki!!"

Przytoczyliśmy kilka tych wyjątków, aby dać próbkę i sposób pisania i głównej myśli autora; sądzę, że próbka ta, podana w wiernym przekładzie, wykształconą publiczność więcej zachęci do przeczytania książki, niż najwymowniejsze pochwały; dlatego wstrzymałem się od pochwał, pragnąc aby sama książka mówiła za sobą.

**Le christianisme moderne.** Étude sur Lessing par Ernest Fontanès. Paris 1867. Germer Baillière. 18o. Str. 216. — Dziwném chciałby nas autor obdarzyć chrześciaństwem; żeby ocenić „nowożytny" strój, w który pragnie przyoblec religię Chrystusową, trzeba wspomnieć, że w łonie francuzkiego protestantyzmu wytworzyła się partya, która idąc w ślady za pewną szkołą niemieckich pastorów, zmierza wytrwale do zniesienia wszelkiej religii a zastąpienia jéj dowolném rozumowaniem jednostki. Stronnictwo to wygłasza nauki swoje w organie dość rozpowszechnionym, którego tytuł nieprawnie przywłaszczony: le disciple de Jesus-Christ. Revue de christianisme libéral. W orszaku uczonych, zasilających pismo to swojemi pracami, widzimy z ubolewaniem imiona, dobrze zasłużone w rozwój teologicznej nauki, jak Michał Nicolas, Wojciech Réville, Atanazy Coquerel (syn). Ostatni z nich wydał w r. 1866 Des premieres transformations historiques du christianisme a w roku następnym la conscience et la foi; obydwa dzieła chodzące w skład znanej już czytelnikom „Biblioteki filozofii współczesnéj" rozwijają tę samą myśl główną, która jest podstawą dzieła p. Fontanès. Jakaż to myśl? Wcale nie nowa, nie raz już wypowiedziana, a za każdym razem przez zwycięzką krytykę pobita na głowę. Według tych panów jest chrześciaństwo produktem doczesnym, czynem wyłącznie ludzkim, który jak wszelkie objawy, powstałe w czasie, podlega zmianom i przeobrażeniom; chrześciaństwo które było dobre dla naszych przodków, dzisiaj już przestarzałem jest, powinno więc postąpić naprzód, zastosować się do cywilizacyi i razem z nią rozwijać się, odpowiednio potrzebom każdoczesnéj generacyi. Myśl ta, zniżająca chrześciaństwo do poziomu ludzkich wyrobów i poddająca je tym samym doczesności, losom i kolejom, nie tylko fałszywą jest, ale zgubną do najwyższego stopnia; prowadzi bowiem do zniesienia wszelkiej religii. Religia, która wczoraj była na czasie, a dzisiaj nie ma żadnej wartości, nie zawiera prawdy bezwzględnéj, wystarczającej na pokarm duchowy dla wszystkich pokoleń, które ukażą się na powierzchni ziemi aż do końca wieków. —

Powiedziałem już że myśl ta nie jest nową; wypowiedział ją Lessing i rozwinął obszernie w pole,

./.

mieznych pismach swoich przeciw prawowiernym pastorom. Wypowiedział ją pod allegoryą w powieści o trzech pierścieniach. P. Fontanès uznawszy otwarcie Lessinga mistrzem swoim podjął tę myśl jego, komentuje ją i rozprowadza obszernie. Allegoryi Lessinga w Natanie można jedno zarzucić, indifferentyzm, bo jeżeli wszystkie religie również dobre, to nie warto się zapalać do żadnej. Jednakże indifferentyzm jest strasznym zarzutem, zbyt strasznym, żeby nie usiłować odeprzeć go. Pomówić kogo o indifferentyzm, znaczy to samo co o śmierć duchową. To też odpiera p. Fontanès zarzut indifferentyzmu z oburzeniem i daje nam bardzo ciekawe wyjaśnienie, co on rozumie przez lessingowski aksyomat, że wszystkie religie również dobre. P. Fontanès np. jako protestant, nie powie, że katolicyzm dobry a protestantyzm także dobry. Byłby to zbyt jaskrawy paradoks. Katolicyzm był niegdyś dobry, gdy chodziło o złagodzenie i ucywilizowanie germańskich barbarzyńców, wdzierających się do rzymskiego państwa; wtedy był on na czasie, ale misya jego spełniła się, a dzisiaj jest on kłopotem, zawadą dla oświaty i dla rozwoju osobistości. Obowiązkiem więc ludzi postępu porzucić przestarzały Kościół i utworzyć nową społeczność religijną, któraby pielęgnowała chrystyanizm wyższy, idealniejszy, bo postępowy. Odbywając jednak tę ewolucyę duchową, nie pragnie autor nadwerężyć wolności tych, którzy wolą pozostać w starym Kościele.

Tak tłumaczy on główną myśl Lessinga (s. 157). Sprowadziwszy zaś myśli autora i szkoły, której on zwolennikiem, do jednego głównego twierdzenia, powiemy o tej szkole, że w miejsce religii pozytywnej, objawionej, chce ona postawić religię naturalną t. j. opartą na wymysłach jednostki. Religia bowiem naturalna, jak ją nazywają, jest zbiorem różnych prawd, z któremi człowiek na świat przychodzi. Ma je wyryte w sercu, i żeby je tam przeczytać, nie potrzebuje objawienia, lecz tylko nauki. Te prawdy wyryte w sercu są zawsze te same, ale objawiają się w doczesnych kształtach, w rozmaitych religiach, które zestarzawszy się umierają i zastąpione bywają przez nowe. Każda z nich ma tylko znaczenie do czasu, a wartość relatywną, bo dla swego pokolenia; każda z nich wyższą jest od poprzedniej a niższą od tej, co po niej nastąpi,

./.

i tak przedstawia się chrześciaństwo jako szereg następujących po sobie, coraz doskonalszych systemów, z których jednak żaden nie zawiera absolutnej prawdy ani bezwzględnej wartości, albowiem szereg ten przedłużać się będzie w nieskończoność.

Kreśląc te słowa powodowaliśmy się zupełną bezstronnością: nie wystąpiliśmy w obronie pewnego, lecz wszystkich wyznań. Zostawiliśmy zupełnie nietkniętem pytanie, które z licznych wyznań chrześciańskich, panujących w świecie, mieści w sobie prawdę całą bezwzględną. Pytanie to, jakkolwiek w sercu naszem i w sercach współwyznawców oddawna rozstrzygnięte, nie wiąże się z książką, o której mówimy. Zasady tej książki nie są wymierzone przeciw jednej formie religijnej, lecz przeciw wszystkim ludziom wierzącym, do jakiegobądź należą Kościoła; bezpośrednio zaś zagrażają protestantom. W łonie niemieckiego i francuzkiego protestantyzmu toczy się od lat wielu głucha walka, dzieląca wyznawców tego Kościoła na dwa przeciwne sobie obozy: jedni chcą zachować protestantyzm takim, jakim się wytworzył w rękach reformatorów XVI stulecia, inni zaś uważają Kościół protestancki za formę przejścia, która niedługo stanie się zupełnie niepotrzebną. Nie wiemy co zamierzają postawić na jej miejscu; o ile wnosić można z dzieł pisanych w tym duchu, pragną rozbić Kościół na jednostki a każdej jednostce zostawić zupełną swobodę wierzenia. Ale rozbić Kościół na jednostki znaczy to samo co znieść go do gruntu; gdy ciało rozpadnie się w atomy, przestaje być ciałem. Toteż występują prawowierni protestanci Niemiec i Francyi w obronie Kościoła naprzeciw zasad, zmierzających do jego obalenia, i myślę, że wierni wszelkich wyznań chrześciańskich, jeżeli dbają o zachowanie pozytywnej wiary, wyższej nad zmienne indywidualne mniemania, jeżeli pragną utrzymać Kościół widzialny, niedozwalający jednostkom rozpierzchnąć się na wsze strony: myślę, że wystąpią zgodnie przeciw zasadom, których fałsz i zgubność nie ulega żadnej wątpliwości.

./.

Vte de Beaumont-Vassy, Les Salons de Paris et la Société Parisienne sous Napoléon III. Paris 1868. Sartorius 18mo. Str. 349. – Autor obdarzył dawniej publi„czność szkicami życia salonowego z czasów Ludwika Filipa (Les Salons de Paris sous Louis-Philippe), teraz pragnął nam dać obraz salonów za drugiego cesarstwa. Nie odkryliśmy ża„dnych wyższych zalet w tej książce i zamknęliśmy ją z zupeł„nem rozczarowaniem. Może zbyt wielkie mieliśmy wyma„gania do autora, tyle pewna, że nawet w najmniejszej części nie zostały zaspokojone. Jedyną stroną dodatnią tej pracy jest łat„wość opowiadania, ale to w Francuzie rzecz tak zwyczajna, że nikt jej nie podziwia zbytecznie; styl jakkolwiek gładki nie wznosi się ponad feile„tonowy styl tygodniowych pogadanek. Na niego nanizał autor, jak„by na sznur jaki, mnóstwo anegdotek, dowcipnych wyrzeczeń, ka„lamburów i t. d., które jednak wszystkie razem, nie dają dokładne„go obrazu obecnych francuzkich salonów. Zdaje się że autor po nich się obracał, ale mało co widział; przynajmniej osoby rysuje on tak niepewno, tak niewyraźnie, że rozpływają się we mgle. Przykładem wystarczającym na to są pierwsze rozdziały, w których obiecał nam autor szkic salonowego życia za rzeczy„pospolitej, po ucieczce Ludwika Filipa. Cóż zamiast tego napotyka„my? mnóstwo anegdotek, nie mających albo związku żadnego z życiem salonów, albo też tak już spowszedniałe, że można je by„ło gdzie na bruku zebrać, nie fatygując się za próg salonu. Waż„niejsze postacie owego czasu, Cavaignac, Lamoricière, Changar„nier i t. d. zbyte zostały kilku rysami, które mniej więcej znaliśmy już z gazet; nigdzie nie widać, że autor zostawał w bliższych, pou„faliszych stosunkach z światem, którego zrobił się dziejopisarzem. Nadzwyczaj zaś nieprzyjemnie razi nas bladość jego przekonań politycznych nie wiedzieć napewno, czy on stronnikiem cesa„rza lub też legitymistą. Zdaje się że nie ma żadnych zasad i że mu zasady innych także bardzo obojętne, gdyż chętniej rozpi„suje się o urządzeniu apartamentów, o meblach i obrazach, niż o ludziach, którzy w nich gościli. Widać wziął tytuł książki swojej (les Salons) w znaczeniu dosłownem; z ląd też tapicer więcej z niej się nauczy, niż pragnący poznać ludzi.

B.

/.

Le Prince-Caniche par Edouard Laboulaye.
4ème édition. Paris. 1868. Charpentier 12-o str. 316.– Był
niegdyś Król i Królowa, którzy panowali szczęśliwie nad potęż-
nym ludem Gobemuszów; po niejakimś czasie urodził im się
syn, przedmiot wieloletnich życzeń. Z radości więc wyprawili mu
świetne chrzciny, na które prócz zwyczajnych śmiertelników,
zaproszono także istotę nieśmiertelną, boginię dnia, która od
niepamiętnych czasów opiekowała się krajem Gobemuszów.
Podczas gdy goście siedzą u stołu, wydarza się scena podobna,
jak niegdyś na weselu Peleusza z Tetydą. Wiadomo czytelni-
kom z lat dziecinnych, gdy nas karmiono mitologią, że na
sławném weselu owem byli wszyscy bogowie i boginie Hellady,
prócz jednéj, prócz bogini niezgody, bo któżby zapraszał nie-
zgodę do stołu. Ale przekonano się potém, że popełniono
gruby błąd nie zaprosiwszy jéj, gdyż zemściła się złotem jabł-
kiem, którego następstwem było zburzenie Troi i zaguba
dzielnego ludu. Król Gobemuszów popełnił błąd podobny za-
prosiwszy boginię dnia, a zapomniawszy o jéj siostrze, o kró-
lowéj nocy. Ta choć nieproszona, przybywa aby się zemścić
i składa w kolebkę nowonarodzonego trzy podarki chrzest-
ne, których zwykle nie mają za rzeczy szkodliwe: rozum,
siłę i piękność. Ale bogini dnia odwraca możliwe zgubne
skutki tych darów, zaklęciem, że ile razy jéj się spodoba,
zamieni Królewicza w pudla. Naturalnie to zaklęcie
matki chrzestnéj nie spodobało się wcale rodzicom, ale cóż
robić, musieli się pogodzić z przerażającą myślą. Król u-
marł a Królewicz chowany pod troskliwém okiem matki,
ogłoszony pełnoletnim w 16-tym roku życia, obejmuje ster
rządu. Otoczony ministrami, którzy mu wszystko przed-
stawiają w fałszywych, poryczanych barwach, nie dowie-
działby się nigdy o prawdziwych potrzebach ludu, o jego ży-
czeniach i myślach, gdyby nie zaklęcie bogini. Od czasu do
czasu, wtedy gdy się najmniéj tego spodziewa, zamienia się
w pudla i wtedy przechodząc pod dziwną tą postacią przez
najrozmaitsze, nie zawsze przyjemne przypadki, wraca za
każdym razem do ludzkiéj postaci z obszernym zasobem spo-
strzeżeń, aby je potém zużytkować na tronie. Niepodobna dać
tu streszczenie zachwycającego dzieła, gdzie nie wymuszona

/.

wyobraźnia i wdzięczny styl chodzą w parze, a małe sceny z niego wyjęte, stałyby się niezrozumiałemi, straciłyby swoją woń i świeżość, jak kwiaty, przeniesione z łąki w szklankę wody. Dodamy tylko słów kilka o wartości i celu dzieła; czytelnicy zapewne domyślili się, że tylko z formy jest bajką, a cel ma inny, wyższy. (Występuje on wszędzie na jaw. Boć też francuzcy akademicy nie piszą bajek dla rozrywki dzieci, jeżeli się bawią w bajki, to dla wyższych pobudek. Pobudkę taką miał p. Laboulaye niezadowolony z obecnego francuskiego rządu; wymierzył przeciw niemu grzeczną, aksamitną, ale czasem drapiącą satyrę. Jest to powieść w rodzaju Wolterowskich; niższa od nich wykończeniem formy i ruchliwością wyobraźni, wyższa szlachetnością zasad i celu. Autor daje do zrozumienia, że obecna forma rządu francuskiego daleką jest od doskonałości: że na głowie panującego za wiele spoczywa odpowiedzialności a poddani nie przywykli jeszcze do załatwiania własnych praw swoich. W tém całe nieszczczęście. Rząd powinien jak najmniej robić, a poddani jak najwięcej: oto maksyma, którą zaleca autor usilnie swoim współziomkom postępującym dotąd wręcz przeciwnie, gdyż całe brzemię spraw publicznych składają na barki rządu. Zapewne poznali siebie samych w walecznym, wesołym ludzie Gobemuszów. Można naturalnie zarzucać książce, że czasem przesadza, ale zarzut ten stosuje się do wszystkich satyr; bez pewnej przesady staje się satyra zupełnie niemożliwą. Jest to przecież ułomność mała, znikająca obok stron dodatnich nadobnego dzieła, które jakkolwiek nie dorówna satycznym powieściom Woltera, ma niemałą wartość estetyczną. Uważamy zwłaszcza to za przykład godny naśladowania, gdy człowiek uczony, jak Laboulaye, pracujący zarówno w prawie, teologii, filozofii i polityce, wsławiony przez prace fachowe, czysto naukowe, od czasu do czasu ku lżejszym skłania się utworom, aby w nich popisać się z dowcipem i roztoczyć skrzydła wyobraźni. Gdyby ludzie uczeni chcieli pójść za przykładem p. Laboulaye, i tworzyć jak on, nadobne powiastki, stałyby się ich prace fachowe mniej nudnemi, twórczość bowiem dowcipnego humoru i na nich odbiłaby się niechybnie.

-/-

W dniu 26 marca r. b. obchodziła akademja francuska uroczystość, która bardzo rzadko wydarza się w jej łonie; gdy bowiem opróżnionem zostało krzesło historyka Barante przez śmierć tegoż, wybrała jego następcą znakomitego O. Gratry, Księdza z Oratorjum, aby wynagrodzić jego długoletnie prace i wielkie zasługi, położone w obronie prawdziwej filozofji, a ściganiu kłamstwa. Dzień 26 marca przeznaczono na uroczystą instalację.

Podług starodawnego zwyczaju, musi nowy członek akademji wystąpić z pochwałą poprzednika swego. Ponieważ zaś znane są powszechnie wymowny styl i dzielna djalektyka O. Gratry, i nawet zjednały mu uznanie przeciwników, przeto nie dziw, że wybór paryskiego towarzystwa napełnił salę Instytutu. Wszystkie stronnictwa polityczne, religijne i naukowe zebrały się również licznie: fjoletowy strój biskupów i purpura kardynałów, ciemne sutany Księży Oratorjan, przybyłych na tryumf towarzysza swoich prac i modlitw, czarne fraki wysokich dygnitarzy, posłów, artystów i uczonych wszelkiego rodzaju, i świetne toalety dam wielkiego świata, ułożyły się w malownicze gruppy, wyglądające niecierpliwie rozpoczęcia sesji. „Nieśmiertelni" (członkowie akademji francuskiej) przybywali pojedynczo lub małemi gruppami, i zajmowali miejsca swoje w półkole, wyłącznie dla nich przeznaczonem, sławniejszych z pomiędzy nich przyjmowała publiczność głośnemi oklaskami, mianowicie pp. Thiers i Berryer, weteranów parlamentu; oznaki sympatji podwoiły się, gdy ukazał się Montalembert, a na którego bladej twarzy widoczne jeszcze były ślady cierpień długiej choroby.

O drugiej godzinie był już cały Instytut zebranym; wtedy zjawił się O. Gratry, prowadzony przez dwóch „chrzestnych" biskupa Dupanloup i Księcia de Noailles, a gdy zajął miejsce na mównicy, prezes akademji, p. Vitet, ogłosił posiedzenie otwartem, poczem nowy członek wolnym, poważnym głosem, odczytał mowę na cześć poprzednika, p. Barante. Umieszczamy tutaj sprawozdanie, aby zaznajomić czytelników, choć pobieżnie, z osobą nowego akademika, którego pisma, jak przekona-

/.

liśmy się naocznie, niestety zbyt mało u nas są znane. Nie damy przecież biografji, bo nie lubimy mówić o stosunkach osób żyjących, wspomniemy tylko pokrótce, jakim był rozwój duchowy uczonego Księdza, ponieważ jest wzorem godnym naśladowania i pouczającym dla dzisiejszej generacji.

Gratry nie jest dzieckiem naszego wieku, choć w nim się urodził; nie ma nic wspólnego z obecnem pokoleniem Francji, będąc raczej zabytkiem sławnego w dziejach francuskich XVII stulecia, duchowym potomkiem Bossuet'a, Fenelon'a, Massillon'a i tylu innych wielkich kapłanów. Dzisiaj ma już lat sześćdziesiąt kilka, urodziwszy się w r. 1805, jeżeli nas pamięć nie myli. Za młodu nie miał żadnego powołania do służby bożej; nikt go zresztą do niej nie namawiał. Ukończywszy z chlubą studya gimnazyjalne, wykarmiony błędnemi zasadami ówczesnego „liberalizmu", marzył tylko o świetnem stanowisku w świecie, i doczesnej chwale. Błąkając się po manowcach zgubnego fałszu, miał jednak nad sobą gwiazdę przewodnią, która mu przyświecała bezustannie, nawet w chwilach zupełnego zwątpienia, i która później za dopuszczeniem Najwyższego zwróciła kroki jego na gościniec prawdy. Gwiazdą tą była gorąca miłość wiedzy, połączona z nadludzką, nigdy niezmęczoną pracą.

Dzień i noc czytając i rozmyślając, a to już w wieku, gdzie dorastający młodzieniec rzadko się zdobywa na poważne myśli, zaniepokoił się nagle nieznośnym stanem ducha swego: wychowany w zasadach wieku, wierzył w nieomylność francuskich materyalistów XVIII stulecia i w wielkość zasad francuskiej rewolucji. Kondillak i polityczni koryfeusze z czasów „postrachu" byli bogami, przed którymi palił kadzidło uwielbienia, ale nagle, jak wspomniałem, zaniepokoił się stanem duszy swojej, zwątpił o bogach, którym dotąd służył, a to zwątpienie było pierwszym krokiem na drodze do prawdy. Zrazu nie umiał sobie tłomaczyć; został jakby w zawieszeniu, nie wiedząc gdzie prawda, bo to, co dotąd za prawdę uważał, okazało mu się fałszem.

Wtedy zwierzył się przyjacielowi, rówieśnikowi z cierpień swoich duchowych, a ten za całą odpowiedź

./.

odesłał go do religji Chrystusa, do owéj prawdy, naiwnéj jak dziecko, a głębokiéj jak morze. Młody sceptyk zdziwił się nie mało, że dotąd sam nie zwrócił téj prawdy, tak przystępnéj dla wszystkich; z óczu jego spadły łuski fałszu, jak niegdyś św. Pawłowi; dusza jego rozkwitła się, jak na pół zamknięta lilja pod łagodnem tchnieniem porannego słońca; upadł na kolana, pomodlił się, a Bóg wysłuchał modlitwę jego i wskazał drogę, jaką miał udać się na przyszłość. Drogą tą była filozofja chrześcijańska.—

Gratry postanowił życie swoje Bogu, a pióro swoje Kościołowi i prawdy, bo głęboką przejęty pokorą, nie czuł się na siłach, aby podołać trudnym obowiązkom pasterza dusz. Sam opowiada w przedmowie do Logiki o tym zamiarze swoim: „gdy dostąpiłem zaszczytu kapłaństwa, nie znalazłem się ani godnym ani zdatnym do służenia sprawie Bożéj innym sposobem, jak piórem. Inni zostali pasterzami, misjonarzami, apostołami; mam nawet współuczniów, którzy są męczennikami. Ja zaś wskazałem się na pisarza. A nawet pośród pisarzy zajmują się inni naukami świętemi, podczas, gdy ja dotąd zajmuję się tylko logiką."

Miał zresztą nie mało powodów do obrania zawodu pisarskiego, tak skromnego i mało znaczącego w jego oczach, a tak korzystnego dla Kościoła i prawdy. Albowiem za czasów jego młodości, a odtąd nie zmieniły się rzeczy, lecz raczéj pogorszyły się jeszcze, twierdzono, że nieprzebyta przepaść dzieli rozum od wiary, filozofję od nauki Kościoła. Gratry zaś, jak wszyscy bystrym wzrokiem obdarzeni myśliciele, którym natchnienie z góry w pomoc przybywa, przekonał się od razu, że zasady wielkich filozofów przeszłości, nie różniły się nigdy w treści swojéj od głównych dogmatów naszéj wiary; że głęboka, pełna dziecięcéj ufności wiara, nie przeszkadza, lecz ożywia, podnosi, wzmacnia subtelne badania rozumu; że przeciwnie filozofja, czyniąca rozbrat z wiarą, uwłaczająca prawdom Kościoła, nosi w sobie zarod śmierci, który szybko wzmagając się, całą pochłania, tak jak bagno pochłania błędne ogniki, unoszące się nad niem wieczorami. Wielką tę prawdę, objętą od razu bystrym wzrokiem natchnionéj intuicji, potrzeba było uzasadnić, przeprowa-

/.

dzić w szczegółach, udowodnić w systemie, aby stało się jasną i przekonywającą dla wszystkich.

W tym celu postanowił młodzieniec zbadać istotę prawdziwej filozofji i sam zostać filozofem, gdyby Bóg dozwolił; ponieważ dzięki wrodzonej energji i wielkiej sumienności, nie zwykł nic robić powierzchownie, do połowy, lecz zbadać wszystko do gruntu, zabrał się z wielkim zapałem do dwóch języków, będących kluczami filozofji, a których nie znał dostatecznie. Nauczył się po grecku i po niemiecku, i już to rozkoszując się w nadobnym stylu Platona, już to mozolnie torując sobie drogę poprzez subtelne, trudno do pojęcia abstrakcye niemieckich panteistów, przygotował się godnie do wielkiego dzieła. Ale nie poprzestał na tem; języki są tylko narzędziem; prócz nich potrzeba materyału do utworzenia wiedzy, a materyałem tym są nauki, mianowicie ścisłe, matematyczne. Znajomość ich była zawsze niezbędną dla filozofów, ale dzisiaj stała się podwójnie potrzebną, ponieważ nieprzyjaciele Kościoła i prawdy, przy każdej sposobności, przyzywają na pomoc nauki przyrodnicze. Gratry postanowił poznać je dokładnie, aby przekonać się, czy miecza, którym przeciwnicy potrząsają tak zuchwale, nie można użyć na własną ich zagładę. Sumienny zresztą człowiek inaczej postąpić nie może, bo nie znając nauk przyrodniczych, nie można nic stanowić o wnioskach z nich wyprowadzonych. Gratry zapisał się więc do szkoły politechnicznej.

Wymagają niemało wiadomości od wstępujących do niej; a Gratry miał już lat dwadzieścia; nie dziwię, że przyjaciele odradzali mu trudne przedsięwzięcie. Entuzyazm jednak pobożnej duszy pokonywa z łatwością wszystkie przeszkody. Młodzieńcowi wystarczyło kilka miesięcy, aby przygotować się dostatecznie i zostać przyjętym. Z wstąpieniem do szkoły rozpoczęły się dla niego czasy zaparcia się i niezmiernych trudów; musiał porzucić wszystko, co mu dotąd było drogiem. Zaniechał ulubionej muzyki, poezji, studiów literackich, aby poświęcić dni swoje gruntownym, wytężonym badaniom. Dusza jego zapomniała o poezji i sztukach pięknych, o marzeniach nad tajemnicami Wieczności, aby karmić się wyłącznie formułami algiebry, problemami geometryi, me-

zdnemi doświadczeniami w chemicznych, lub fizycznych laboratoryach. Nareszcie po dwóch latach niezrównanej wytrwałości dopiął celu; otrzymał dyplom z ukończonych studyów, upoważniający go do zajęcia znakomitej jakiej posady w życiu praktycznym. Wszelako nie poszedł za przykładem współuczniów, lecz uważając mozolne studya za środek tylko zbliżenia się do prawdy, obrał sobie stan, który jest piastunem najwyższej prawdy od osiemnastu wieków.

Zaraz po wyświęceniu przeniesiono młodego księdza, uczonego jak mało kto, do małego seminaryum w odludnych Wogezach, gdzie przez kilka lat, w zapomnieniu, daleko od zawodów świata wypełniał z prawdziwą chrześcijańską pokorą trudne obowiązki teologicznego nauczycielstwa. Ale dni próby skończyły się. Zakon francuskich Oratoryan, jaśniejący tak niezrównanym blaskiem w XVII i XVIII stuleciu, zniesiony w r. 1790, przywrócony został na nowych podstawach w 1853 r., dzięki zabiegom Ks. Petétot, pod nazwą „Oratorjum Niepokalanego Poczęcia". Gratry wstąpił do Kongregacji i znalazł nareszcie to, za czém tęsknił; znalazł spokój i ciszę, gdzie swobodnie, bez roztargnień i kłopotów, mógł modlić się i pisać. Równocześnie, w nagrodę znakomitego talentu, otrzymał publiczną katedrę w Sorbonie, gdzie wyborowa publiczność klaskała jego wymownym słowom. Przy schyłku zaś życia doczekał się rzadkiego zaszczytu, że kwiat francuskiej intelligencyi, „Akademia", wybrała go na członka, uczciwszy w nim pisarza, stylistę, któremu mało dzisiaj jest równych, nietylko we Francyi, lecz i w innych krajach.

Potrzeba więc wspomnieć o tym stylu świetnym, o tej wykwintnej a tak potężnej broni, którą lat już kilkanaście O. Gratry walczy zwycięsko przeciw niemieckiej filozofii, wdzierającej się do Francyi. Kto dzieł jego nie czytał, wyobrazi sobie z trudnością mistrzowską zgrabność, nadzwyczajną jasność, a co więcej, serdeczne ciepło, które ninacechowane jest każde jego słowo, każde zdanie. Bo też styl ten jest jego duszą, a dusza jego cała w ukochaniu prawdy, w nienawiści fałszu. Rezultaty swoich filozoficznych badań złożył w trzech znakomitych dziełach: „La con-

/.

naissance de Dieu, la connaissance de l'âme, la logique"; usi„
łował w nich nową, na chrześcijańskich zasadach opartą syntezę
postawić naprzeciw panteistycznych systemów, powstałych w
Niemczech, w pierwszej połowie tego wieku. Większym jednakże
jest w polemice, która jest właściwem, jakby dla niego stwo„
rzonem polem, gdzie można dowoli podziwiać wszystkie przy„
mioty bystrego i rzutkiego umysłu. Kto chce poznać wzór mi„
strzowskiej dyalektyki, niech przeczyta w jego Logice rozdziały
traktujące o panteizmie i zawierające krytykę heglowskiego
systemu. Można się nie zgodzić na wszystkie wnioski autora,
boć któż jest nieomylnym z nas ludzi, ale jako wzór polemicz„
nej dyalektyki, rozdziały te są zaprawdę niezrównane; czy„
tałem mało ustępów w innych pisarzach, które je przewyż„
szają pod tym względem. Innym pomnikiem jego polemi„
ki są: „la sophistique contemporaine i les sophistes"; gdzie
oceniając prace francuskiej „historycznej" szkoły, prace
pp. Vacherot'a, Renan'a, i t. d., dowodzi przykładami z ich
dzieł, strona po stronie, że wszyscy ci uczeni, wykarmieni
fałszywą logiką panteizmu, stracili zupełnie zmysł od„
różniania prawdy od fałszu, a to do tego stopnia, że często
to na wierzchu stronnicy potwierdzają, czemu zaprzecza„
ją na dole tej samej stronnicy.

Chęć przecież zdania sprawy o literackiej i filozoficz„
nej działalności uczonego, a tak skromnego księdza, zaprowadziłaby nas za daleko; może nadarzy się inna sposobność wywiązania
się z obszernego zadania; dzisiaj chcieliśmy krótką tylko zrobić wz„
miankę o posiedzeniu Akademji; wracamy więc do niego raz je„
szcze. Wspomnieliśmy na początku artykułu, że Gratry odczytał
pochwałę poprzednika swego, historyka Barante. Dziwnem
zrządzeniem losu siedzieli niegdyś na tem samem krześle po
sobie Massillon i Wolter. Z powodu tego zdarzenia zrobił no„
wy członek Akademji na wstępie mowy swojej bardzo trafną
uwagę, że śmiech Woltera zamkniętym został pomiędzy dwie
modlitwy, tak jak stulecie jego kiedyś w historyi Francji zam„
kniętem zostanie między wielkim XVII wiekiem, a przyszłym wie„
kiem świetlej wiary, gdzie kochać będą Boga i ludzi w duchu
i prawdzie. Pomijamy pochwałę p. Barante, o którym powie„
dział Gratry: „że jest człowiekiem tego wieku co ma przyjść", gdzie

./.

nienawiść będzie mniejsza, gdzie śmiech i pogarda upadną, gdzie rozdzielenia lękać się będą jak śmierci, gdzie wojna zostanie ohydzoną i potępioną, gdzie wolność zużywająca się dotąd w walkach, stanie się możliwą w zjednoczeniu!

Ojcu Gratry odpowiedział potem p. Vitet, prezes akademji; w odpowiedzi skreślił najpierw obraz nowo-przyjętego członka, potem uzupełnił jego uwagi nad zgasłym historykiem „Książąt burgundzkich"; była to najznakomitsza praca zmarłego. Ponieważ jednak chodziło nam jedynie o postawienie przed oczy czytelników sympatycznej osoby uczonego księdza, ograniczyliśmy sprawozdanie nasze wyłącznie do niego, a nie wspomnieliśmy o p. Barante, którego znaczenie dla nas odległe, a w szeregu dziejopisarzy co najwięcej drugorzędne. – – –

Uderzyło mię nieraz podobieństwo, jakie istnieje między zachodem słońca a śmiercią ludzi uczonych. Dopóki słońce świeci, nie zwracamy nań żadnej uwagi i każdy z nas idzie swoją drogą, ale gdy to samo słońce pochyli się niby strudzone całodziennym pochodem i zanurzy we widnokręgu, wtedy żal jakiś duszę naszą owłada i chwilkę stojąc w niemej zadumie, z żalem jakby na zawsze się z nim rozstajemy i radzibyśmy jeszcze czas jakiś zatrzymać niknące jego światło. Sądzę, że tak samo rzecz się ma i z ludźmi wielkiej pracy i wielkiej zasługi. Dopóki jaśnieją w krainie wiedzy, rozsyłając na wsze strony dobroczynne światło swoje, nikt nie zwraca na nich oka, wszyscy ogrzewają się ich ciepłem, wszyscy korzystają z ich mądrości, ale mało kto mówi o nich, mało kto zajmuje się ich osobistością, bo to rzecz codzienna. Przy śmierci dopiero, gdy już martwe zwłoki grób pokryje, gdy kto zestawi razem ich prace i zasługi, i niejako jasne światło, którym świecili przez życie całe, włoży w wielokolorowy wieniec, wtedy spojrzy każdy z zadziwieniem na tę jasność, co znikła, a niejeden zawoła: „jak wspaniałe"! i pożałuje, że nie prędzej przypatrzył się pięknemu zjawisku.

Postanowiliśmy dzisiaj opowiedzieć zachód słońca jednego w świecie nauki, o którym za życia mało kto wiedział, bo było to światło zawsze ciepłe, zawsze jasne. —

Jan Mikołaj Jager, urodził się w dawnej Lotaryngji, we wsi Grening, dnia 17 czerwca 1790, z bardzo ubogich rodziców; ojciec bowiem jego szewskiem swem rzemiosłem zaledwo mógł zarabiać na nędzne życie. Gdy go niesiono do chrztu, matka w skrytości ducha uczyniła ślub, że swego pierworodnego, jak skoro dorośnie, Bogu na służbę poświęci. I wysłuchał Pan modlitwy i dał matce środki ku dopełnieniu w całości ślubu. W domu, na kolanach matki, uczyło się dziecko poznawania pierwszych zasad naszej wiary i czytania. Potem uczęszczało do szkółki wiejskiej, a gdy pachole lat 12 wieku swego skończyło, nauczyciel oświadczył, że już się więcej od niego nauczyć nie może. —

Mówiliśmy, że matka uczyła go początków religji; wiadomo bowiem, jakie były czasy jego młodości. Dwa lata po jego narodzeniu wywróciła rewolucja tron, ołtarze, wszelkie zasady porządku i moralności; wygnała duchownych, a nawet tych, co ich nauki powtarzali, srodze prześladowała. Tyl,

/.

ko od małek uczyły się dzieci, jak kochać trzeba Boga i miłować bliźnich; innych kaznodziejów podówczas nie było. Mimo to wszystko, przeszły te czasy, jak minęło już tyle innych, a tak różnorodnych burz, a Kościół stoi nieporuszony, silny zawsze, i zawsze gotów do„ pierać pociski zbuntowanych dzieci.

Gdy po zawarciu konkordatu z Rzymem, Kościół nieco odetchnął po dniach okropnych prześladowań, zaczęto myśleć o wy„ pełnieniu przerzedzonych szeregów duchowieństwa. Wielkie seminarya nie mogły temu podołać, bo stały w wielkiej części pustkami, one same wyglądały rekrutów. Wówczas to otwierano w wielu miejs„ cach małe seminarja, szkoły przygotowawcze, aby zasilać semi„ narja rządowe. Taką właśnie szkołę założył Ks. Lacombe w mia„ steczku Foming. Ponieważ wieś Grening niezbyt jest daleko od tego miejsca, a nawet do parafji Fomingskiej należy, przeto nie dziw, że rodzice małego Jagera, mając ciągle na myśli ślub uczyniony Bo„ gu, i szukając sposobu, jakimby się z niego wywiązać, skoro się do„ wiedzieli o nowo założonej szkole, sprzedali swoję maleńką posiad„ łość i przenieśli się do Foming, a ojciec, jak przedtem, żywił rodzi„ nę pracą rąk własnych. Najstarszy tedy syn, uczęszczał do szko„ ły Ks. Lacombe'a. Postępy jego były tak znaczne a szybkie, że już w roku 1809 otrzymał dyplom dojrzałości (bachelier ès lettres) poczem wstąpił do seminarjum teologicznego w Nancy. Na jednej z nim ławce siadywał przyszły historyk kościelny Rohrbacher. Jager ode„ brał ostatnie święcenie w 1813 roku, a przyjaciel jego i współu„ czeń Rohrbacher, dostąpił tego zaszczytu na dwa lata przedtem. Poczem oceniając znakomite zdolności Ks. Lacombe'a, przeniesio„ no go do Luneville, gdzie musiało szersze do działania pole otwierało, a Ks. Jager został powołanym na przełożonego osieroconej szkoły w Foming. Żyją jeszcze niektórzy uczniowie tej szkoły. Po„ słuchajmy, co mówi jeden z nich Ks. Houpert: „Szczęście to dla mnie i wielkie, żem miał przełożonemi dwóch znakomitych duchow„ nych: Rohrbachera i Jagera. Obadwaj uwiecznili potem imiona swoje w rzędzie najuczeńszych obrońców Kościoła, ale świat, któ„ ry zna ich znakomite zdolności, nie zna może ich wielkich cnót kapłańskich. Im to zawdzięczam powołanie moje i szczęście ży„ wota, poświęconego służbie ołtarza!" Szkółka w Foming roz„ kwitała na dobre pod przewodnictwem młodego, oddanego na dobro ludzkości kapłana, który niebawem wynalazł sobie /.

szersze pole działania.

W roku bowiem 1816 założył podobną, ale już większą szkołę w mieście Vic i tchnął w nią tyle żywotności, że dotąd istnieje ku pożytkowi kościoła. Z tej epoki pochodzi gramatyka francuska, którą wydał dla swych uczniów. Przepisujemy z przedmowy ustęp następujący: „Lhomond wyłożył pierwsze zasady języka francuskiego z niezrównaną zwięzłością; zgłębił charakter dzieci i przemówił do nich stosownym językiem. Gramatyka jego jest prawdziwym wzorem prostoty; wykluczył z niej wszelkie oderwane rozumowania, które jeno zmęczenie młodocianego umysłu i odrazę do nauki sprowadzają. Jednakże mimo tej doskonałości, jest ona przydatną tylko dla początkujących, nie wystarcza dla uczniów więcej przygotowanych, którzy mają poznać dokładnie jeden z najtrudniejszych języków. Zajęty od lat kilku wychowaniem publicznem, dyktowałem stopniowo uczniom moim dodatek do tej gramatyki. Dzisiaj czuję obowiązek oddać to dopełnienie na użytek młodzieży poświęcającej się naukom. Streściłem prace najlepszych nowożytnych gramatyków, i sądzę, żem zebrał wszystko, co powiedzieli ważnego. Naśladując Lhomond'a, starałem się o jego precyzję i jasność w wykładzie zasad, których dalszy rozwój powierzam zdolności nauczycieli. Jeden uczeń mniej jest pojętnym od drugiego; nauczyciel znając stopień rozwinięcia jego władz umysłowych, najlepiej wie, jakim stylem ma wykładać lekcje, aby je zrozumiano!" –

Od tego czasu przybyło wiele nowych podręczników, a mimo to pozostała gramatyka Jagera wzorem prostoty, dokładności i praktyczności.

W roku 1818, na młodego księdza zwrócił uwagę Royer-Collard, prezes komisji oświecenia publicznego, i mianował go przełożonym gimnazjum w Falsburgu. Jager rozwinął nadzwyczajną energię, chcąc zakładowi wrócić i dawną świetność i sławę dawną. Niedługo atoli trwało jego to błogie działanie.

Już bowiem w roku 1820 ówczesny wielki jałmużnik Francji kardynał de Croy, postanowił urządzić nanowo jałmużników armji, (kapelanów wojskowych).

Był to krok nadzwyczaj ważny, bo od lat wielu była armja zupeł-nie wyjęta z pod wpływu duchowieństwa. Ks. Jager został po-wołanym na jałmużnika 9-go pułku piechoty, który wtedy stał w Falcburgu. Gdy w roku 1823 pułk ten wziął udział w kam-panji hiszpańskiej, Ks. Jager towarzyszył swemu pułkowi, i ra-zem z nim się znajdował pod murami Pampeluny.

Raz, a było to w niedzielę, urządzono ołtarz obozo-wy na samym froncie oblegającego korpusu. Nieprzyjaciel, za-mknięty w mieście, skoro spostrzegł, że wojsko całe otoczyło oł-tarz, zwrócił w to miejsce ogień baterji, i zasłał wkrótce pole gradem kul i granatów. Zatrąbiono do odwrotu. Tylko Ks. Ja-ger, odprawiający mszę świętą, pozostał na miejscu, jak żoł-nierz, któremu powierzono straż honorową. Tysiące kul prze-latywało mu koło uszu i ponad głową, on stał nieporuszony, zatopiony w modlitwie, ale Opatrzność czuwała nad nim. Sko-ro po skończeniu św. ofiary, powrócił cały do obozu, żołnierze rzucili się ku niemu z radością trudną do opisania, oficerowie ściskali go z uniesieniem. On im na to: „Wy codziennie śpie-szycie do szturmu, a nie cofacie się. Cóż zatem dziwnego, że kap-łan raz czyni to dla Boga swego, co tysiące ludzi czyni co-dzień dla swego sztandaru?"

Jakież bohaterstwo i szlachetne zaparcie się, a przytem jakaż skromność!

Wybierając się na wojnę, kupił sobie małe wy-danie Demostenesa i Eschinesa w Paryżu, gdzie czekał na osta-teczne rozkazy. „Myślałem, że może nudzić się będę w bezczynności namiotu przy huku armat i wśród poruszeń odwachów. Nad brzegiem rzeki znalazłem stary tomik Demostenesa, drukowa-ny starożytnym alfabetem. Zawsze namiętnie kochałem grec-czyznę. Kupiłem stary tomik, schowałem go do kieszeni, i ra-zem ze mną odbył on kampanję w 1823 roku!"

W wolnych chwilach, w namiocie, tłómaczył Ks. Jager głośne utwory Demostenesa i Eschinesa. Przekład jego ukazał się równocześnie z tłómaczeniem Stievenarda, które pod względem wykwintności formy, może jest wyższem, ale co się tyczy dokładności, tłómaczenie Jagera zyskało powsze-chny oklask znawców. Tym więcej zaś to godne uwagi, że tłómacz nie miał pod ręką, ani komentarzy, ani gramatyk,

ani słowników. Przekład uznany za klasyczny, wprowadzony do szkół, doczekał się licznych wydań.

Nie bez powodu wybrał właśnie wielkich mistrzów wymowy, miał wrodzone poczucie wzniosłego stylu. Wykarmiony na arcydziełach starożytnej literatury, lubił on wymowę, dar bogów. Mawiał nieraz, że trzech było wielkich mówców, a każdy z nich zostawił po sobie jedno arcydzieło, jako wzór dla potomnych. Mówcami temi byli: Demostenes, Cyceron, Bossuet, a ich mowy: O koronę, Za Milonem, O jedności Kościoła, są temi arcydziełami.

Sam zresztą miał sposobność popisać się z wymową. Gdy bowiem korpus okupacyjny zebrany był w Bilbao, doszła do niego wiadomość o śmierci Ludwika XVIII. Zwycięska armja wyprawiła na cześć swego króla wielką uroczystość, a Ks. Jager miał mowę żałobną. Mowa ta zyskała mu listowne pochwały kardynała de Croy.

Po powrocie z Hiszpanji, został kapelanem Inwalidów. Przyszła mu wtedy myśl nader ważna, której zawdzięcza późniejszą swoją sławę.

Wiadomo, że grecki przekład Starego Testamentu, tak zwana Septuaginta, wydany został z polecenia Sykstusa V-go. Jager postanowił tekst ten przejrzeć na nowo, porównać z manuskryptami, oraz cytatami Ojców, jednym słowem, przygotować nowe wydanie. Łatwo zgadnąć, ile do tego potrzeba nauki, cierpliwości, poświęcenia. Pracowity kapłan powziąwszy plan, wykonywał go przez długi szereg lat z niezłomną energją. Znając doskonale język niemiecki, był wtajemniczony w cały ruch teologiczny niemieckich uniwersytetów, których prace podówczas były zupełnie nieznane we Francji. Doniosłość zresztą tego przedsięwzięcia była ogromną. Wiemy także, że Kościół przyjął tekst Wulgaty za autentyczny i jedynie obowiązujący, jakkolwiek jest tylko przekładem. W jakim stosunku zostaje ten przekład do pierwotworu? jak wyglądał oryginał, który cytowali Ojcowie pierwszych pięciu wieków? Wiadomo powszechnie, że Ojcowie mają zwykle pod ręką tekst Septuaginty, a do Nowego Zakonu tak zwany tekst aleksandryjski; potrzeba więc było dwa te pomniki ukazać w ich pierwotnej formie, aby potem

./.

porównać je z tekstem Wulgaty i uzasadnić wybór Kościoła. Żeby to uskutecznić, trzeba zestawić wszystkie miejsca Pisma świętego, znachodzące się u greckich Ojców, trzeba prócz tego porównać wszystkie rękopisma z wydaniem Sykstusa V, a to rzecz nie łatwa. Jager jednak z niezmordowaną cierpliwością wykonywał mozolną pracę. Cały dzień siedział w foljantach. W tych czasach sławny Tischendorf wydawał w Lipsku pierwsze zeszyty swego wydania Nowego Testamentu, według tekstu aleksandryjskiego. Przyjechawszy do Paryża celem poszukiwania i przeglądania rękopismów, spotkał się z uczonym księdzem, który do tegoż zdążał celu. Poznawszy go, zawsze o nim mówił z uniesieniem. Tym sposobem arcybiskup Frayssinous, dowiedział się, jak znakomitego ma księdza w swojej djecezji, i natychmiast powziął zamiar wyrwania go z samotności i postawienia na widowni, gdy wybuchła rewolucya 1840 roku, która zniweczyła jego plany, a Jagera pozbawiła dotychczasowego urzędu w Inwalidów.

Odtąd w samotności ciągnął dalej rozpoczęte dzieło.

Pewnego razu, spotkał w znajomym sobie salonie anglika, z którego ruchów łacnobyś poznał światowca. Ten z widocznem upodobaniem rozmawiał o kwestyach religijnych. Pani domu usadowiła gości w ten sposób, że podczas obiadu anglik siedział w sąsiedztwie kapłana. Po kilku zaraz chwilach, rozmowa między nimi stała się żywszą i poufalszą. Skoro ksiądz się oddalił, pani domu spytała anglika:

— Jak się panu mój ksiądz podoba?

— Przyznaję, odrzekł, że nie znalazłem nigdzie tyle nauki obok takiej prostoty.

Niedługo potem złożył ks. Jagerowi swoje uszanowanie, i przez cały czas swego pobytu w Paryżu, często go bardzo odwiedzał. Rozmawiali zawsze tylko o kwestjach religijnych. Zapomnieliśmy dodać, że anglik nie był katolikiem. W rozmowach tych wyższość była po stronie Jagiera, chociaż sam Jager dziwił się nie mało ogromowi wiedzy teologicznej swego przeciwnika, którego miał przedtem za człowieka światowego. Po wyjeździe anglika, zawiązała się między nimi korrespondencja, która wkrótce bardzo obszerne przybrała rozmiary. Dzienniki nieba, wem owładnęły polemiką, a odpowiedzi Jagera noszące podpis i bezimienne artykuły jego przeciwnika, zaczęły na dobre

/.

zwracać na siebie uwagę uczonych.

Dnia jednego zawołano skromnego Księdza do paryskiego arcybiskupa de Quelen.

— Czy wiesz Księże, zagadnął go arcybiskup, z kim toczysz walkę w Anglji?

Zdziwiony Jager odpowiedział przecząco. Wtedy dowiedział się, że nieznajomym, którego spotykał w paryskich salonach, był sławny doktór teologji oxfordzkiego uniwersytetu, że wróciwszy do Anglji, porozumiał się z wydziałami teologicznemi w Oxfordzie i Cambridge, i że największe znakomitości Kościoła anglikańskiego, kryją się pod anonimami w artykułach przeciw Jagerowi.

— Dobrze więc byłoby, kończył arcybiskup, abyś Księże przybrał sobie kilku kolegów.

Na to Ksiądz Jager:

— Bardzo chętnie, Ekscelencjo! Ale Bogiem a prawdą mówiąc, zbyt wiele to zachodów do zwycięstwa prawdy jasnej jak słońce. Jestem przekonany, że każdy kapłan, byleby miał ufność w Boga, może wprawić w kłopot wszystkich uczonych oksfordzkich i kembrydzkich.

Arcybiskup umyślnie przedłużał rozmowę i coraz inne poruszał przedmioty. Uderzała go gruntowna wiedza naszego kapłana, a szczególniej jego znajomość pism Ojców i dziejów Kościoła.

— Zaprawdę, orzekł nakoniec, jesteś chodzącym soborem. Niech Bóg błogosławi twym pracom, kochany Księże. Prowadź dalej, to co zacząłeś; zdaje mi się bowiem, że nikt lepiej od ciebie nie zakończy tego sporu.

Polemika z anglikanami trwała przez rok cały i zakończyła się zwycięstwem Jagera. Całą tę polemikę odbito w osobnym tomie, rozprzedano w kilka miesięcy. Skromny atoli autor nie chciał nigdy zezwolić na drugie wydanie. Mawiał zwykle: nie hałaśliwie, nie dyskusjami, lecz w modlitwie dokonywa się dzieło Boże. Wystarczy, jeżeli z angielskich tych korespondentów wymienimy nazwisko jednego tylko Newmana, sława którego dziś brzmi po całej Europie.

Odtąd coraz więcej zwracano uwagi na skro-

nnego uczonego. W roku 1836 zamianowała go Kapituła w Nancy honorowym kanonikiem; w tym samym roku lyońska akademja nauk członkiem-korespondentem. P. Dumas, ówczesny sekretarz akademji, tak doń przemówił: „Jesteś słuszny, żeś oddany pańskim zdolnościom, olbrzymiej nauce, osobistym zasługom; każdy z nas cieszy się i szczyci zarazem z tego wyboru!”

Tymczasem pracował dalej. W 1836 roku wydał rozprawę o celibacie (Du Célibat ecclésiastique), arcydzieło teologicznej erudycji. W 1839 r. wydał pierwszy tom greckiego przekładu Pisma św. podług Septuaginty. Zamiarem wydawcy było, rozpowszechnić i niejako odświeżyć w pamięci wszystkich znakomity pomnik, który, raz wydany przez Sykstusa V, potém utonął w zapomnieniu; sam zaś tekst Sykstusa był czasem niedokładny i nieodpowiadający potrzebom wieku. Wydawnictwo swoje oparł na dwóch rękopismach: watykańskim, i tak zwanym aleksandryjskim, przechowywanym w British-Muzeum. Teksta obudwóch są dawniejsze od czasów św. Hieronima: zgadzają się między sobą, wyjąwszy drobne odmiany, a uzupełniają się w miejscach uszkodzonych. Dokładne tylko porównanie dozwoliło przywrócić grecki tekst Pisma św. taki, jaki czynili pierwsi Ojcowie Kościoła. Na początku XVII wieku wszczął się spór wielki, któremu z dwóch rękopismów należy się pierwszeństwo. Po licznych broszurach i kłótniach, zgodziła się większość filologów na jedno, że tekst wydania sykstusowego, ma wszelkie prawa do pierwszeństwa. W skutek tego powtórzył uczony wydawca z niesłychaną dokładnością tekst watykański, podług wydania Sykstusa, z dosłownym łacińskim przekładem, więcej bacząc na dokładne oddanie myśli, niżeli na wykwintność formy. Nie dodając nic, ani odrzucając, ani zmieniając, poprawił, polegając na innych rękopismach, ustępy uszkodzone, oraz błędy drukarskie i inne niedokładności sykstusowego wydania. Na dole umieszczonego wszystkie warjanty rękopismu aleksandryjskiego, które wydawca zestawił i sprawdził co do słowa. Grecki zaś tekst, porównał z tekstem Wulgaty i podług niej rozdzielił go na wiersze. Dzieła apokryficzne, uznane za takie na soborze trydenckim, umieścił na samym końcu. Na tym nie skończyła się praca.

Wiadomo, że Septuaginta, posiada przerwy, które należy uzupełniać z tekstu hebrajskiego. Jager i przed tym trudem się nie cofnął. Scholje Watykanu, wydawcy Alcali i Alda, fragmenta Aquili, Symmacha i Teodotjona i wiele wydanych i niewydanych rękopismów, porównał, wszystkie warjanty popisywał, przetłómaczył, pod tekstem umieścił. Nakładca Didot uczynił także wszystko, co było w jego mocy, aby zewnętrzność dzieła odpowiadała treści.-

W chwili, gdy się ukazał pierwszy tom, zawierający księgi historyczne Starego Zakonu, arcybiskup De Quelen, któremu było dzieło poświęcone, umarł. Jego następca mianował natychmiast Jagera honorowym kanonikiem paryskiej kapituły. Wydanie Septuaginty nie zostało ani na chwilę przerwane, a cały świat uczony przyklaskiwał wielkiemu przedsięwzięciu, które jeden skromny człowiek dźwignął na barkach swoich.

Szóstego marca 1841 odebrał Jager list od sławnego Villemaine'a, ministra oświecenia publicznego. „Mam zaszczyt donieść Księdzu, opiewało pismo, że na przedstawienie arcybiskupa, postanowiłem pod dniem 1-ym marca oddać Mu katedrę historyi Kościelnej w wydziale teologicznym paryskim. Życzeniem moim jest, abyś Ksiądz mógł rozpocząć kurs jak najprędzej: znakomite prace, którym dotąd się oddawałeś, ułatwią Mu nadzwyczaj to zadanie." Jager nie potrzebował długich przygotowań: 30 lat studjów oswoiło go dostatecznie z przedmiotem. Zrazu wziął się do pracy ze strony społecznej. W pierwszym roku wykładów, zajmował się głównie zbijaniem licznych błędów, wówczas rozpowszechnionych. Mówił o bogactwach duchowieństwa, w wiekach średnich, o wpływie Kościoła na nowożytną społeczność, na literaturę, nauki, sztuki; o wpływie zakonów, o środkach pokuty i. t. d.

Raz znowu mówił o karach doczesnych, wymierzonych przeciw heretykom w kodeksach: justynianiskim i teodozjańskim.

Wykłady Jagera sprowadzały liczny zastęp słuchaczy: nawet z odległych krajów przyjeżdżał niejeden, aby uczęszczać na nie. Jager mówił wolno, z po-

/.

wagą, bez wielkiej gestykulacji, kładąc przycisk na wyrazy nie-co z niemiecka. Niewyczerpana nauka i potężna synteza, górowały nad obfitością ciekawych szczegółów, jaskrawych faktów i opowieści, do których zabierał się otwarcie i bez ogródki.

W tym czasie wydał on francuski przekład arcyznakomitego niemieckiego dzieła profesora Voigta, pod napisem: Histoire du Pape Gregoire VII et de son siècle. Książka ta od roku 1841 - 1843 doczekała się trzech wydań. Praca ta razem z równie znakomitem dziełem Huntera: Histoire d'Innocent III, przełożonem w r. 1839 przez pp. Saint-Chéron i Haiber, przyczyniła się najwięcej do rehabilitacji wieków średnich, tak niesłusznie podawanych już to w śmieszność, już w ohydę.

Tegoż roku (1841) wydał on u Didota na nowo francuski przekład Pisma św. p. de Sacy. Grande édition de luxe de la Sainte Bible. Traduction de Sacy, revue et corrigée par les textes originaux par M. l'abbé Jager. profes. à la Sorbonne i t. d. (w arkuszu). Tenże Firmin Didot znany światu uczonemu z wielkich wydań greckich pomników, chciał obok Septuaginty, wydać także Nowy Testament. Za poradą Jagera poruczył tę pracę Tischendorfowi. Zrazu miał Tischendorf zamiar uczynić wyłączną podstawę swej pracy tak zwany przekład aleksandryjski, który wydał był niegdyś w Lipsku u Koehlera, ale powiada: „uczone uwagi czcigodnego ks. Jagera, zmieniły plan mój. (Wiadomo, (są wszystko słowa Tischendorfa), jakie usługi słynny ten uczony oddał i oddaje bezustannie we Francji filologji i literaturze świętej. Przekonał mnie z łatwością, jak ważną byłoby rzeczą poszukać we wszystkich rękopismach greckich Nowego Testamentu tekstów, przemawiających za lekcjami łacińskiej Wulgaty. Rada ta była arcyważną i tym chętniej ją przyjąłem, iż przypomniało mi się, że przygotowując dawniej moją edycję aleksandryjskiego tłumaczenia, podziwiałem często zgodność doskonałą najdawniejszych greckich manuskryptów z Wulgatą. Zgodność ta tak była wielką, że twierdzono nieraz, jakoby greckie teksty odnowiono i poprawiono podług łacińskiego przekładu. Jestto błąd udowodniony dzisiaj, a praca, którą ogłaszam, będzie jednym do-

./.

wodem więcej w tej kwestji!"

Tymczasem wykłady odbywały się z niemałem powodzeniem. Uczony profesor, niedbający o sławę, nie ogłaszał ich, i byłyby dla nas zaginęły, gdyby niejeden z jego słuchaczy, Ks. Marcel, który ogłaszał treściwe sprawozdania w czasopiśmie: l'Université catholique. Później, gdy sprawozdawca zasłabł, obowiązku tego podjął się pan Leopold de Montvert. Niektóre części tych wykładów, ukazały się jako osobne dzieło.

Ostatnie lata swych prelekcji (to jest 1849, 1850 i 1851), poświęcił Ks. Jager francuskiej filozofji XVIII stulecia i prześladowaniom Kościoła za rewolucji. Owocem tych odczytów było dzieło: L'histoire de l'Eglise de France pendant la Révolution, wydane w Paryżu u Didota w roku 1852.

Ale już w 1851 roku odebrano mu katedrę, i zrobiono go jałmużnikiem w Clichy z pensją 800 franków. Śliczna nagroda dla 60-letniego starca!

Dopiero w siedm lat potem, ówczesny minister oświecenia publicznego wyrobił mu dodatek do pensji emerytalnej, co wszystko razem nie przenosiło jednak skromnej summy 2.200 franków. To był chleb jego starości.

Z ułomności podeszłego wieku, miał tylko jedną głuchotę. Duch jego przeciwnie, zdawało się, iż się z latami odmładniał. Z dniem każdym powiększał on liczbę godzin pracy, a gdy przyjaciele o to go strofowali, że się nie szanuje, odpowiadał zwykle: „Kapłan nie do siebie należy, lecz ciało i dusza jego są własnością Kościoła; obowiązkiem moim jest pracować dla Kościoła aż do śmierci!"

Nosił się wtedy z wielką myślą. Na podstawie notatek zebranych dla dziesięcioletnich wykładów swoich w Sorbonnie, zamyślał napisać Dzieje Kościoła we Francji. W chwili, gdy właśnie porządkował olbrzymie stosy materjałów, ukazały się dwa pierwsze tomy dzieła, które tak wiele obiecywało w początkach, a potem tak smutnej dostąpić miało sławy: Histoire de l'Eglise de France, composée sur les Documents originaux et autentiques. Stary uczony cieszył się ze sławy, jakiej dostąpił młody współzawodnik: „Jaka radość dla starości mojej, gdy widzę, jak

./.

dzielniejsza dłoń wykonywa dzieło, o którem marzyłem przez całe życie moje! Ale smutne rozczarowanie pierwotną zastąpiło radość. W następnych tomach i dzieło i autor odłączyły się od Kościoła. Wtedy siwy Jager, niepomny na 70 lat swego wieku, stanął raz jeszcze do walki.

Ojciec św. Pius IX odebrawszy pierwsze cztery tomy nowej tej pracy Ks. Jagera, noszącej tytuł: l'Histoire de l'Eglise catholique en France wraz z przypisaniem, przesłał autorowi breve, w którem go mianował tajnym radcą Jego Świątobliwości. Łzy radości popłynęły po licach starca, skoro przeczytał ten dowód łaski Najwyższego Kapłana.

Takie uczucia ożywiały ten wzór cnoty, poddania się i nauki chrześciańskiej.

Dotychczas dzieła jego pięć wyszło tomów, a całość miała wkrótce się okazać, gdy autor raz, wracając od ołtarza, zasłabł nagle i cicho oddał Bogu ducha, jak ciche było jego życie.

5 lutego 1868 r. był tym dniem smutnym dla całego świata uczonego.

Praca i skromność, nauka i wiara, prostota duszy i wielkość charakteru, złote prawdziwie serce i ogromna inteligencja, oto przymioty tego człowieka.

s. II, 382.
12. II. 1953. Jastrzębowski